

ZBÓJECKI GOŚCINIEC

Brzezińska Anna



calibre 0.7.3

ZBÓJECKI GOŚCINIEC

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przed północą spłonęła kolejna wiedźma. Ósma, jak się Twardokęsek dorachował z uderzeń mosiężnego gongu.

- Rychło przyjdzie i wasza kolej. - W drzwiach pokazał się łysy łeb oprawcy. - Niech was tylko dobrze wypytają i prościutko w ogień. A tymczasem gościa macie. Z samej świątyni.

Przybysz strącił podniszczony hiszpański but i sapiąc, opadł na zydel. Zsunął kaptur. Oblicze miał nalane, spocone z wysiłku. I bardzo dobrze zbójcy znajome. Oblicze Mrocza, ongiś kupca sukiennego, a potem zbójckiego kamrata.

- Zdziwionyś, Twardokęsek? - niedbale spytał Mroczek. - A pamiętasz, co mi w Górach Sowich powiedziałaś? Co komu pisane, to go nie minie. Tak mi rzekłeś i sztyletem nielicho po żebrach zmacałeś...

- Czego chcesz? - warknął zbójca.

- Pogawędzić - Mroczek wyszczerzył nadpsute zęby. - Bo tyś już, Twardokęsek, nie pospolity zbójca. Ty teraz z bogami i książętami za pan brat. Żal tylko, że cię z tego spoufalenia jutro na placu ogniem palić będą. Z wiedźmą pospołu - ukradkiem zmacał pod koszulą chroniący przed urokiem medalik. - Dwóch nas już tylko z całej kompanii zostało, postanowiłem więc kamrata odwiedzić, powspominać stare czasy.

- Czemu cię powroźnicy do wieży wpuścili? - spytał niespokojnie zbójca.

- Bo zapłaceni - wykrzywił się drwiąco - byśmy tu sobie mogli w spokoju porozmawiać. Przy tym wiedzmy się boją. Wolą siedzieć za żelaznymi drzwiami, z dala od plugastwa.

- Widzę ja, Twardokęsek, co ci teraz po łbie chodzi - podjął Mroczek. - Mają mi jutro prawo katowskie czynić, myślisz, jaka dla mnie korzyść język strzępić? Ano taka, że nielekkko człekowi na stosie zdychać.

- Był już tu wcześniej ktoś - szyderczo odezwał się Twardokęsek - co mi lekką śmierć za pogawędki obiecywał. Sam książę Evorinth. I z niczym precz poszedł.

- Ale wróci, Twardokęsek - pokiwał głową Mroczek. - Wróci niezawodnie. A wiesz, co wtedy będzie? Poty cię każe kleszczami szarpać, póki wszystkiego nie wyśpiewasz.

Zbójca niepewnie popatrzył ku wiedźmie rozciągniętej na dębowej ławie.

- Jej nie słuchaj, ona cię od kaźni nie wybawi. A ja tak. Ot, okowitę przyniosłem, popijemy, powspominamy... - Mroczek dobył z sakwy solidny bukłak. - Może zamroczysz się i lżej będzie zdychać... A może prócz okowity jeszcze co w sakwie się znajdzie. Ale pierwej mi opowiesz. Wszystko, wedle porządku. Od tamtego dnia, kiedy z naszym skarbczykiem na grzbiecie z kompanii czmychnąłeś. Goniliśmy za tobą, Uchacz nas prowadził, ale nie zgoniliśmy. Może byłoby lepiej, gdybyśmy zgonili...

* * *

Przychodzi kiedyś taki czas, gdy człek chce posmakować bezpiecznego żywota. Twardokęska ów czas zastał na Przełęczy Zdechłej Krowy, w południowym paśmie Gór Żmijowych. Kompania wracała do obozowiska, złupiwszy o zmierzchu bogaty konwój gildii jedwabnej. Twardokęskowi wlekli się ospale, niechętnie, bo zaciężni z kupieckiej straży zdołali porządnie kompanię poszarpać. Dwóch zbójców szeszło: jeden miał w oku ułomek spisy, a drugiemu najemnicy rozplatali brzuch i darł się straszliwie, póki znudzony Mroczek nie poderżnął mu gardła. Twardokęsek kazał wrzucić ścierwo do rozpadliny, a potem cichaczem wymknął się przed świtem.

Spędził w Górach Żmijowych ze trzy tuziny lat. Zaczynał od czyszczenia kociołków w obozowisku, ale na koniec doszedł do własnej kompanii, małej fortunki i nagrody, nałożonej na jego głowę we wszystkich Krainach Wewnętrzznego Morza. Wiedział, że jest sławny, ale po tym, jak w pierwszej karczmie przy trakcie zobaczył przybity na drzwiach swój konterfekt, skóra mu ścierpła na grzbiecie i postanowił uciekać jak najdalej od rodzinnych stron.

Pospiesznie znalazł statek płynący na Szczeżupiny, archipelag rozciągnięty wzdłuż wschodniego krańca Gór Żmijowych, i szczęśliwie wylądował na Tragance. Co prawda, bogini Szczeżupin, Fea Flisyon Od Zarazy, nie cieszyła się najlepszą sławą, jednak Twardokęsek nie był szczególnie pobożny. Każdej wiosny odprawiał świąteczne ceremonie, lecz nie oczekiwał zbyt wiele

w zamian. Wiadomo, jak jest z bogami.

Stolica Fei Flisyon spodobała się Twardokęskowi od pierwszego wejrzenia. Znalazł gospodę na południowym stoku góry, wysoko, gdzie nie dochodził smród portowej dzielnicy, zakopał w ogrodzie kuferek ze zrabowanym kamratom łupem i uwierzył, że resztę swych dni przeżyje w spokoju. Po pierwszych nerwowych tygodniach coraz śmieiej opuszczał zaułki starego portu i wychodził nawet na główne ulice. Nikt go nie znał, nigdy nawet nie słyszeli jego imienia. A przynajmniej z początku tak myślał.

Miasto było wielkie, światowe. Na nabrzeżu języki Krain Wewnętrzznego Morza mieszały się z narzeczami południowych równin i chrapliwą mową Pomortu. Z wieżyc po obu stronach traktu bacznie obserwowano przybyszów. Ci zaś, czując rozumiały respekt przed sinoborskimi łucznikami, spokojnie przechodzili przez Spiżową Bramę, ku słynnym targowiskom. Fea Flisyon, zwana przez pospólstwo Zaraźnicą lub Morową Panną, wytrwale znosiła wrzaski przekupniów, obelgi pijanych marynarzy, odór gnijących ryb i sztormy zsyłane przez szaloną morską boginkę, Sandalyę. Nie mieszała się ani w zatargi bogów, ani w walki śmiertelników. I właśnie jej rzekoma łagodność zmyliła Twardokęska.

Tamtej nocy wiał paskudny wiatr. W karczmie starego Stulichy, gdzie podawano najlepszą w mieście jałowcówkę, siedziała tylko grupa stałych bywalców. Twardokęsek znał ich z widzenia, lecz bynajmniej nie kwapił się do pogawędki, będąc bowiem człowiekiem rozważnym, nie pytany nie otwierał gęby. Zaszły się w kąciku, obmacywał ryżą posługaczkę i popijał jałowcówkę.

Na stołeczku przy palenisku rozsiadł się mizerny człowieczek: suszył przy ogniu ciżmy, pociągał z garnca i gardłował. Zbójca spotykał go wcześniej. Był to dobry znajomek karczmarza Stulichy, Krupa go wołali. Dawniej ponoć służył w świątyni Morowej Panny, póki go kapłani na dziedzińcu za bluźnierstwa nie oćwiczyli i wygnali.

- Po niebie to oni wtedy gładko, jako krowy po łące, chadzali - rozprawiał Krupa. - Gwiazdy rozpalali według porządku, aby ludziom świeciły, i słońko, by ich grzało. Dobry był czas, jadła dostatek wszelaki, ludzie z bogami pospołu żyli...

Na wpół pijani rybacy przycichli nad poszczerbionym stołem. Z rzadka tylko jeden czy drugi potakująco potrząsnął głową, dolał jałowcówki.

- Później wszakoż ci, którzy stworzyli świat, a było ich pięcioro, rozeszli się i oddalili od siebie - ciągnął Krupa. - I powstał wśród nich spór za sprawą tego, który spętany spoczywał w otchłani. I w zapalczywości swej tworzyli bez miary stwory poczarne a silne, i nazywali je Dziećmi Gniewu. Zaś najpotężniejsza z nich była Annyonne.

Rudowłosa dziewczka wzdrygnęła się na kolanach Twardokęska. Zbójcę też trwoga zdjęła, a trochę i niechętny podziw, bo w Krainach Wewnętrzznego Morza mało kto ważył się wspominać przekłete imię Annyonne. Lepiej tedy uszu nadstawił, choć rozsądek podpowiadał mu, że z podobnego gadania nic dobrego być nie może, tylko zamęt i zgorzenie.

- I podarowano jej skrzydła jasnopióre, by ją po niebie niosły, a także, na własną i innych

zgrabę, miecz o podwójnym ostrzu, wykuty w otchłani, skąd wyłonili się Stworzyciele; nikt nie mógł oprzeć się owemu ostrzu, nikt prócz tego, kto je wykuł. Aż zdarzyło się, że zawędrowała Annyonne do owej głębi przepastnej, gdzie spoczywał Spętany. Przemówił do niej, ona zaś słuchała i słowa jego wzbudziły w niej pychę bezbrzeżną i pragnienie potęgi. Zasiadła na szczycie świata i poczęła gromadzić wokół siebie inne spośród Dzieci Gniewu i podburzać je, by powstały przeciwko swym panom, Stworzycielom. Dzieci Gniewu zaś słuchały chętnie, gdyż blask niezmierny bił od jej skrzydeł i całej postaci, głos zaś miała słodki i czarowny.

- Wtenczas bogowie spuścili z nieba deszcz ognia i siarki. Dzieci Gniewu rozbiegły się w przestachu, szukając schronienia w podziemnych grotach. Lecz szaleństwo i pycha Annyonne były tak wielkie, iż pozostała na nagim szczycie góry, wygrażając tym, co ją stworzyli, póki ognisty deszcz nie pochłonął jej skrzydeł i nie wypalił oczu. Jednak nawet wówczas nie wypuściła z dłoni niosącego zgrabę miecza. Strach wielki tedy padł na Stworzycieli, gdyż wiedzieli, że w owym ostrzu drzemie ich zagłada.

- A bodajby suka szeszła! - mruknął ktoś twardo.

- Szaleństwo Annyonne było tak bezmierne, że nawet oślepiąca ruszyła ze swymi sprzymierzeńcami przeciwko Stworzycielom. Szła dalej i dalej, ślepa i potworna, poprzez siedem bram, ku owym krańcom, gdzie ciemność przesypywała się niczym zakrzepły, słony piach. U jej boku zaś kroczyły ogień i wód wielkie spiętrzenie, szarańcza i pomór...

Za to tedy, nerwowo pomyślał Twardokęsek, za to Krupę kapłani oćwiczyć kazali, a ze świątyni precz wygnali za bluźnierstwo i przeciwko bogom wygrażanie. Bo toż i głupi wyznałby się, że ogień, nic to, jeno Kii Krindar Od Ognia, a wód spiętrzenie to Mel Mianet Od Fali. Żadnemu, ścierwo, bogowi nie przepuszcza, ani samej Zażnicy, co się u niej pod dachem chował, jakby zło w niego jakoweś wstąpiło. Et, zbierać się trza, pomyślał, wysuplując z sakiewki półgroszówkę, nie śpi lichu, nie próżnuje. W taką noc, gdy wicher od Pomortu wieje, nie wiedzieć, co on przynieść może. Kto teraz dojdzie, jak ze Stworzycielami było? Za to dobrze wiadomo, że ani z kapłanami zadzierać nie warto, ani z bogów sobie nieprzyjaciół czynić.

Długo jeszcze miał potem wspominać, jak to sobie wszystko mądrze a przemyślnie u starego Stulichy obiecywał. Ani się spodziewał, że strażnicy świątynni, co widać na Krupę dobre baczenie mieli, zdążyli już osaczyć gniazdo herezji. Przyłożyli zbójcy w łeb na samym progu gospody i wraz ze wszystkimi, którzy się przysłuchiwali bezbożnym wygadywaniem, powlekli do świątyni. I tak się zaczęły kłopoty Twardokęska.

Więźniów trzymano pod niższą świątynią, w żelaznych klatkach wpuszczonych w kanały ściekowe. Strażnicy ich nie torturowali, co to, to nie. Po prostu pozwalali im tkwić całymi dniami w kanale, rozmyślać i przyglądać się wielkim jaszczurom, od których roiło się w ściekowisku. Z tymi gadami to było tak: niegdyś pewien niefortunny kupiec sprowadził do Traganki cały ich statek. Ale kiedy nikt nie kwapił się kupować, a żyjątko były żarłoczne, wyrzucił je do najbliższego kanału. Jaszczury tak się wkrótce rozmnożyły, że w żaden sposób nie dało się ich wygubić. Ponieważ jednak były bardzo zajadłe na szczury, niegdyś najgorsze utrapienie Traganki, mieszczanie skwapliwie wyrzekli się kosztownych usług magików szczurołapów i pozostawili jaszczury w spokoju.

Zbójcę otoczyły trzy pokaźne, wygłodzone sztuki. I tak siedzieli sobie po przeciwnych stronach żelaznej kraty, trzy bestie i Twardokęsek, dzień za dniem gapiąc się na siebie bezsilnie.

Gdy więc pojawił się pierwszy strażnik, zbójca ochoczo wyśpiewał swoją historię. Począwszy od rozpadającej się sadyby w Górach Żmijowych, gdzie przyszedł na świat - co akurat nikogo nadmiernie nie zajęło, natomiast opowieść o swych późniejszych wyczynach na Przełęczy Zdechłej Krowy musiał powtarzać raz za razem. Skończyło się tym, że kapłani położyli łapę na jego kufunku, a samego Twardokęska, z rękami pomazanymi na czarno, jak zwyczaj każe czynić ze złodziejami, w oczekiwaniu na kaźń oprowadzono po placach Traganki.

Twardokęsek był rozżalony. Marzenie o spokojnej starości skończyło się tym, że on, Twardokęsek, postrach Gór Żmijowych, miał zostać poćwiartowany niczym pospolity rzezimieszek. I to bynajmniej nie z powodów, dla których za jego głowę wyznaczono nagrodę w Krainach Wewnętrzznego Morza, lecz dlatego, że nie uiścił z rabunku stosownej daniny. Kapłani, ludzie skrupulatni i praworzadni, odczytali mu rozwlekłą sentencję wyroku. Zbójca tyle zapamiętał, że najpierw mieli mu obciąć dłonie, jako że zagarnął nimi trybut należny Zaraźnicy, i ku przestrodze przyozdobić nimi Spizową Bramę, dalej odjąć nogi, którymi pokalał świętą ziemię Traganki, i wrzucić je do Kanału, potem wyrwać język, którym złorzeczył bogini, i uszy, co się bluźnierstwu przysłuchiwały. Co dalej, nie pomniał. Liczył, że kat nie będzie w rzemiośle zbyt wprawny i przed czasem umorzy ofiarę.

Prawdę powiedziawszy, podczas lat spędzonych na Przełęczy Zdechłej Krowy nie raz i nie dwa przemknęło zbójcy przez głowę, że na ostatek zawiśnie na stryku. Spodziewał się jednak, że nastąpi to ze stosowną ceremonią, z werblastami, eskortą, obwieszczeniami na murach - słowem, że będzie umierał, jak przystoi zbójowi o jego pozycji i sławie. Tymczasem kapłani Zaraźnicy byli oschłymi, skąpymi biurokratami, a kaźń miała się odbyć na wewnętrznym dziedzińcu świątyni, podczas wieczornego bicia dzwonów, aby wrzaski skazańca nie zakłóciły obywatelom drzemki.

Dzień był upalny. Pot zalewał Twardokęskowi oczy, zaś strażnicy, dwaj spragnieni rozrywek prostacy, urządzili sobie zabawę, odpędzając go korbaczami od fontanny.

Stali u Spizowej Bramy, przy głównym trakcie Traganki. Pstrokate budy kupieckich smatruzów tłoczyły się po obu stronach gościńca, przekupnie wrzaskliwie nagabywali wjeżdżających, naganiacze polecali najtańsze karczmy i najlepsze burdele, a neofici Fei Flisyon wychwalali boginię, nie tracąc nadziei na zwabienie nowych wyznawców. Twardokęsek miał być przykładem zgubnych skutków występku, ale lekceważył owo zadanie. W przeciwieństwie do złodzieja po drugiej stronie gościńca, który donośnie biadał nad swym losem, wzbudzając raczej powszechną wesołość niż współczucie.

Wreszcie strażnicy zajęli się butelką taniego porzeczkowego wina i grą w kości. Twardokęsek zaś wsunął się w głąb bramy tak daleko, jak pozwalał łańcuch, i usiłował ignorować splunięcia przechodniów.

Chyba przysnął na słońcu. Obudziło go lekkie pacnięcie w ramię i kilka słów wypowiedzianych z miękkim, cudzoziemskim zaśpiewem.

- Którędy do pałacu?

Pochylał się nad nim wojownik norhemne, odziany w nabijany żelazem skórzany kubrak, przyciężkawy na upalną wiosnę Wysp Szylkretowych, z gębą po barbarzyńsku osłoniętą czarną szmatą. Południowym zwyczajem, przy haftowanym srebrem pasie nosił dwa miecze. Kilka kroków z tyłu przystanął błękitny, czarnogrzywy skrzydłoń. Więcej Twardokęsek nie dostrzegł, przybysz miał słońce za plecami.

Zmrużył oczy. Wierzchowiec niecierpliwie tańczył w miejscu, potrząsał na wpeł zwinętymi skrzydliskami, a przechodnie odsuwali się z respektem. Wcześniej Twardokęsek raz tylko widział żywe skrzydłonie. Nie miał jeszcze ni sześciu lat, gdy norhemni, rabusie z południowych barbarzyńskich plemion, przedarli się do jego wioski. Wyrznęli wówczas wszystkich, którzy nie mieli dość rozumu, by uciec w góry, i ruszyli dalej. Matka niosła go na plecach, a on patrzył w dół, gdzie nad pogorzeliem, które było kiedyś ich wioską, kołowały trzy błękitne skrzydlate wierzchowce.

Jeśli norhemni wolno po Szczeżupinach chadzają, to świat do reszty zszedł na psy, pomyślał ze złością Twardokęsek. I nagle w ociężałej od upału głowie błysnęła mu wredna myśl.

- Trakt was zawiedzie do samiuśkich pałacowych wrót - mruknął. - Tam dri deonema wołajcie. On wierzejami sprawuje.

Wojownik norhemne lekko skinął głową i odszedł.

- A co tak krokorasz, jako kokosz na gnieździe? - młodszy ze strażników oderwał się od flaszki i wymierzył Twardokęskowi potężnego kopniaka.

- O drogę do dri deonema pytał - burknął.

- Iście? - ucieszył się strażnik. - To i my spieszmy popatrzeć.

Tragańska biedota, wygłodzona i pozbawiona rozrywek, zawsze była gotowa pobiec do pałacu na wieść o nowej bijatyce, toteż wkrótce zebrał się znaczny tłumek gapiów. Następowali na pięty nieszczęsnemu norhemne, który z pewnością słyszał wrzawę podnieconych tubylców, ale ani razu nie obejrzał się za siebie.

Kiedy wszedł w kolumnadę, dla wszystkich stało się jasne, że jego los jest przesądzony. Starszy strażnik w przyływie dobrego humoru dał zbójcy pociągnąć z butelki. Wino było kwaśne i ciepłe.

Opiekunowie Twardokęska hojnie rozdzielali kuksańce, aż wreszcie cała trójka wdrapała się na podstawę kolumny, skąd rozciągał się najlepszy widok.

Nie czekali długo. Dri deonemem był w owych czasach pewien wygnaniec, poniekąd krajan Twardokęska, który sływał na Szczeżupinach ze skrupulatnego wypełniania swych obowiązków. Norhemne nie zdążył nawet dotknąć kołatki u wrót pałacu, kiedy dri deoneme rażno wkroczył na plac. Tłum truchcikiem rozsypał się wkoło. Co śmielsi śladem strażników Twardokęska wdrapywali

się na kolumny.

Nieopodal kostropaty ptasznik przyjmował zakłady.

Podobno niegdyś, gdy Szczeżupiny były młode i dzikie, Kretko z Traganki ubił kochanka Zaraźnicy, Dri Deonema. Bogini podniosła wielki lament. Pół miasta wygubiła pomorkiem, potem jednak nieco się opamiętała, po części zapewne dlatego, że jej przypisańcy gwałtem pakowali dobytek na łodzie i straszili emigracją. Zwołała wiec na miejscu, gdzie potem pobudowano pałac dri deonemów, i obwołała tegoż Kretko, co jej kochanka zaszlachtował, nowym wcieleniem zmarłego.

Co rozumniejsi z tragańskich mieszczan popukali się w czoło, lecz nikt się nie zamierzał bogini sprzeciwić. Kretko, roztropny sinoborski skrytobójca, nie mieszał się ani do handlu, ani do teologii. Czas jakiś na Tragance panował spokój. Kretko kazał budować pałac, z pomocnikami murarskimi w kości grywał, nocami zaś pił po gospodarach. Od czasu do czasu szedł na górę do Zaraźnicy; co tam czynili, nie chciał gadać, ale wielce sobie chwalił służbę u bogini. Póki Krzywoszyj, rzeźnicki pomocnik, który wedle bramy konie kleśnił, nie ugodził go zdradziecko nożem.

Tym razem bogini mniej płakała. Kazała przyprowadzić strwożonego, zasmarkanego Krzywoszyja, wsadziła mu na łeb obręcz dri deonema i odesłała do świeżo wybudowanego pałacu. O kaźni i pomście za Kretka ani kto rozprawiał.

Odtąd stało się tradycją, że z Krain Wewnętrzznego Morza zbiegali się do Traganki wszelkiego rodzaju wyrzutowie, mordercy, bratobójcy i bluźniercy, by spróbować sił w walce z dri deonemem. Wedle Twardokęska wszyscy leżli jako kuropatwy w sieć, bowiem chętnych do pojedynku było wielu i zwycięzca nie cieszył się łaską bogini dłużej niż pół tuzina lat. A Szylkretowymi Wyspami po staremu kapłani trzęśli.

Norhemne wyraźnie nigdy o tym nie słyszał.

- Chuderlawy ten dzikus jako paździorko - mruknął strażnik.

- Nie chuderlawy, a żylasty - poprawił go drugi. - Oni tylko wyglądają tak niepozornie, ale straszne to rzeźniki, zajadłe.

Potem dri deoneme przemówił i wszyscy zaczęli się powoli uciszać.

- Radem ci bardzo, norhemne. Zawdy łacniej dzikiego niżli swojaka zaszlachtować - zarechotał oblubieniec bogini.

- Szukam kogoś - rzekł norhemne. - Mężczyzny, wojownika. Zwą go Eweinren.

- Mnie szukasz! - zachnął się urażony dri deoneme. - Wszyscy mnie szukacie!

Przybysz bez słowa potrząsnął głową.

- Tedy - dri deoneme splunął na wyschnięty pył gościńca - trza ci było, norhemne, we własnym chlewie w spokojności leżeć, a nie w miasto iść. Bo w mieściech, norhemne, ludzie złe a niegodziwe

- dodał, wyciągając długi oburęczny szarszun.

Skrzydło zasyczał wściekle. Zakończone czarnymi miotełkami uszy położył po sobie, wyprężył się, szyję w przód wyciągnął, aż się ludzie poczęli cofać z przestachem.

- Udobne żywiszcie! - mlasnął stojący obok Twardo - kęska nosiwoda.

- Nie będę z tobą walczyć - powiedział dziki. - Nie znam cię, człowieku.

W tłumie odezwały się pogardliwe okrzyki. Ktoś cisnął na środek placu obgryzioną skórę dyni.

- Też mi rzeźnik... - zarechotał strażnik.

Nie dokończył jednak, bo dri deoneme z wrzaskiem runął na przybysza. Wszyscy wyciągnęli szyje, by nie uronić ani chwili z mającego nastąpić widowiska.

Norhemne odskoczył zwinnie.

- Czego czekasz?! - ryczał nosiwoda.

Wtedy właśnie norhemne szybko sięgnął do pasa i kochanek bogini zwałił się na bruk. W jego czole tkwiła niewielka metalowa gwiazdka.

Traganka miała nowego dri deonema.

- Oszustwo! - wrzasnął usadowiony na podstawie kolumny chłopak w pstrokatym kubraku. - Toż to nie walka, jeno czyste oszukaństwo było!

Odpowiedział mu ochoczy poszum tłumu. Ludzie byli zawiedzeni. Oczekiwali czegoś dłuższego.

- Kijami takiego tłuc, nie na górę prowadzić! - rozdarła się tęga niewiasta w żółtej sukni. - Sztuką jakowąś, nie żelazem pana życia zbawił!

- Czarownictwo! Przeniewierstwo plugawe! - podchwycono skwapliwie. - Ogniem prawo mu uczynić!

Nosiwoda pochwycił pustą już butelkę po porzeczkowym winie, zgrabnie odbił denko o trzon kolumny i począł wywijać w powietrzu owym naprędcie wykoncypowanym orężem. Nie bacząc na rozpaczliwe ujadania przekupek, w mig połamano na pałki dwa stragany z wizerunkami Morowej Panny, rozchwycono flaszki z cudowną wodą, co bije u wejścia do grotty bogini, a jakowys śmiałek wydarł włócznię z rąk posągu. W niejednym miejscu poczęło pobłyskiwać żelazo. Co prawda, otwarcie na pałacowy dziedziniec broni wnosić nie dozwolano, ale nieotwarcie wszyscy wnosili i teraz użytek zamierzali z niej uczynić.

Twardokęsek uśmiechnął się szeroko.

Wtem potężne wierzeje pałacu rozwarły się i stanęło w nich kilku kapłanów. Tłuszcza zafalowała niepewnie, przycichła, a jeśli nawet ktoś rzucił jeszcze jakieś przekleństwo, to z cicha i bez przekonania. Słudzy Zażnicy dzierżyli miasto twardą ręką.

- No, my też pójdziem, Twardokęsek - postanowił pospiesznie starszy strażnik. - Szybko się uwinęli, nie?

- Ano - przytaknął drugi. - Żadnej rozrywki człowiek nie miał, psiakrew. Ale mówiłem, to straszne rzeźniki.

Norhemne niespiesznie czyścił metalową gwiazdkę o koszulę martwego dri deoneme. Przy wejściu do pałacu zamiatacz ulic czekał już, by uprzątnąć ścierwo. At, jako się to jednemu z przygody rozkosz i świętowanie trafi, pomyślał zawistnie zbójca, a drugiemu przede zmierzchem na skrzypcu kruk oczy wykolę.

- Nie ociągaj się, Twardokęsek! - Szarpnięcie łańcucha zakończyło zbójce filozofowanie. - Jak się spóźnim do wieży na wieczerzę, to ci flaki wypruję jeszcze przed kaźnią.

- Panie - kapłan w białej, świątynnej kapicy pociągnął norhemne za skraj kubraka. - Panie, zda ci się teraz oporządzić, nim przed zachodem słońca wstąpisz na stok góry.

- Po co? - zdziwił się norhemne. - Szukam kogoś i nie mam czasu na głupoty.

Kapłan aż się zachłysnął na myśl o teologicznych skutkach niefrasobliwości barbarzyńcy.

- Właśnie żeś został wybrańcem miejscowej bogini - wyjaśnił nie bez zgryźliwości zbójca. - Póki ktoś inny cię nie utrupi.

Barbarzyńca wykrztusił kilka niezrozumiałych słów.

- W żadnym razie - oznajmił twardo. Wydarł struchlałemu strażnikowi łańcuch, krzepko ujął w połowie, owinął wokół ramienia i zwisającym końcem raz a potężnie zbójcę uderzył. - To w podzięce za wskazanie drogi, ścierwojadzie.

Twardokęsek zaskowytał, kiedy ogniwa łańcucha przeorały mu czoło.

Gapie wiwatowali radośnie.

- Dosyc! - ozwał się gromki głos Miosza, najwyższego kapłana Fei Flisyon.

Za jego plecami mierzyło z łuków sześciu jasnoskórych niewolników o rysach ludu Sinoborza. Na czołach mieli piętna z rodzaju tych, które wypala się na targowiskach u podnóża Góry Hałuńskiej. Norhemne bez dalszych sporów pozwolił się poprowadzić w głąb pałacu, co, jak zauważył Twardokęsek, dobrze świadczyło o obyciu i rozsądku dzikusy.

Łańcucha jednak z garści nie wypuścił.

Pałac był nader obszerną budowlą na południowym stoku góry, gdyż, jak słusznie zauważył Twardokęsek, każdy dri deoneme niezwłocznie po zaszlachtowaniu poprzednika zaczynał odczuwać nieprzeparty pociąg do murarki. Kolumnada przed pałacem pochodziła z czasów, gdy kochankiem bogini był zdradziecki książę Skalmierza i należała do najwyborniejszych dzieł. Wieńczące kolumnadę posągi przodków księcia były daleko mniej udatne. Jeszcze gorsze wrażenie sprawiała przysadkowata wieża z szarego granitu, gdzie zamieszkał pewien przybysz z Wysp Zwajeckich: jak wszyscy Zwajcy, okazał się człkiem nieufnym i ostrożnym, toteż bezzwłocznie wzgardził gościnną kapłanów. Była tam jeszcze palisada z zaostrzonych drewnianych kołów, jakimi grodzi się chutory na trzęsawiskach Wężownika, i most zwodzony nad dość płytkim, do cna porośłym zielskim wykopem. Ostatnimi zaś czasy pałac wzbogacił się o dachowe powietrzniki, rzekłbyś, rodem z wiejskiej sadyby w Górach Żmijowych.

Miosz powiódł ich do niewielkiego rosarium, gdzie czekała ucztą przygotowana dla poprzedniego dri deonema. Łucznicy skromnie przycupnęli w cieniu okalającego ogród muru. Twardokęsek zaś niepostrzeżenie dopadł baraniego udźca i wbił zęby w mięsiwo.

- Chciałbym zobaczyć waszą twarz - poprosił Miosz. - I poznać imię, jeśli łaska.

- Po cóż wam moje imię?

- Bo zostaliście właśnie naznaczeni łaską bogini - oschle powiedział kapłan. - Przed zmierzchem pójdziecie się jej pokłonić.

W odpowiedzi barbarzyńca sięgnął po flaszkę wina. Kapłan posiniał na twarzy.

- Nie rozumiesz, prostaku?! - wrzasnął wysokim głosem trzebieńca. - To nie twój rodzinny chlew! To Traganka, siedziba Fei Flisyon! I albo do niej pójdziesz, albo zaraz każę cię naszpikować strzałami!

Prawdę na straganach gadali, pomyślał Twardokęsek, że kapłani pod świątynią niewolników trzymają, dobrze wyćwiczonych w rzeźnickim rzemiośle. I jak się który dri deoneme za bardzo rozbestwi, to mu cichaczem łeb ścinają. Nie, pójść to on do Zażnicy niechybnie pójdzie, nie dopuściliby kapłani, by jej podobną zniewagę uczynił. Inna rzecz, czy potem za ową hardość czegoś mu kapłani do jadła nie dosypią.

- Nie uraduje mój widok waszej pani - rzekł na koniec barbarzyńca i powoli odsunął zawój.

Mięsiwo ugrzęzło Twardokęskowi w gardle, gdyż oblicze, które się wyłoniło spod czarnej szmaty, niezawodnie należało do niewiasty. Jeden z łuczników poderwał się spod muru. Jak większość strażników świątynnych, był niemową. Przycięty język chrapliwie trzepotał się w jego gardle, lecz nie zdołał powiedzieć ani słowa. Twarze pozostałych były obojętne i nie wyrażały niczego.

Kobieta, która zabiła dri deonema, nie miała więcej niżli dwa tuziny lat. I z pewnością nie jest norhemnem, pomyślał Twardokęsek. Gdyby nie te ryże włosy, wyglądałaby jak niewiasta z północnych wysp.

Jednak prowadziła ze sobą błękitnego skrzydłonia, a jej strój uszyto w namiotach norhemnow, daleko od Wewnętrznego Morza.

- Szukam mężczyzny - wyjaśniła. - Niegdyś nosił imię Eweinren. Eweinren z Karuat i mam wiadomość niezawodną, że go spotkam na Tragance. Nie dalej jak rankiem przyplłynęłam na wyspę i nie znam waszych zwyczajów. Ten człowiek - niedbale machnęła ku zbójcy - kazał mi spytać o dri deonema. Nie bez zamiaru zapewne, aby mnie na tym dziedzińcu usieczono. Ja do was urazy żywić nie będę, jednak nie mieszajcie mnie do tutejszych sporów. Trosk mam dość własnych.

Twarz kapłana z nagłą przybrała przebiegły wyraz. Twardokęsek słyszał, że już wcześniej trafiali się ludzie małego serca, którzy, zamordowawszy dri deonema i zrabowawszy należycie pałac, nie mieli zamiaru położyć głowy w służbie bogini. Jednak za każdym razem Zażnica znalazła sposób, by ich zatrzymać. Należało tylko zagnać oporną dzikuskę przed oblicze bogini.

- Tak czy inaczej idźcie się naszej pani pokłonić - rzekł Miososz. - Jeśli zdobędziecie jej przychylność, może wiele w poszukiwaniach pomóc, bo zna imię każdego człowieka na Tragance. A na razie i my musimy zwać was jakimś mianem.

Przez chwilę niemo mierzyli się wzrokiem.

Oczy niewiasty były zielone, wpadnięte i opuchłe ze znużenia, jak dziury wypalone w kocu. Złe oczy, myślał Twardokęsek, a od wściekłości aż się w nich skrzy. W drodze widać od dawna, przyodziewek na niej nędzny, nawet ta gunia, co nią skrzydłoniowi grzbiet zaściela, dziurawa i wyblakła na słońcu. Po tutejszemu gada, ale z południa idzie. O dri deonemach widno nie słyszała. I nie wieśniaczka to z byle przysiółka, tylko dziewczka dufna a pyskata, miecze dwa nosi, a w tych jukach na skrzydłoniu też pewnikiem nie fasola.

Ani chybi, najemniczka, zdecydował, z owym Eweinrenem w Tragance zmówiona.

- Być może masz rację - przyznała wreszcie kobieta. - Być może pójdę do twojej bogini. Jeśli zaś idzie o imię, jak je nazywacie? - położyła na dłoni metalową gwiazdkę, którą zabiła tragańskiego pana.

- Szarka, szarotka - podsunął Twardokęsek. Nie wiedzieć czemu, wydało mu się, że przez jej twarz przesunął się cień.

- Więc nazywajcie mnie Szarka. A jego gdzie w ciemnicy dobrze zawrzyjcie - wskazała na Twardokęska. - Jeszcze z nim nie skończyłam.

Dwóch rzeźniców bogini o gładko wygolonych czaszkach zaprowadziło Twardokęska do niewielkiej, ciemnej klitki. Poprzez okienko u powały zbójca widział schody, prowadzące do grot, gdzie Fea Flisyon oczekiwała nowego dri deonema. Jednak, choć z całych sił wyteżał wzrok, nie zdołał dostrzec Szarki.

- Jakoż się to dziwnie po świecie plecie - zacmokał ze zdumieniem Mroczek. - Żebyś ty, Twardokęsek, słyszał ile deliberowano, jakim sposobem ta twoja dziewczka doszła do obręczy dri deonema. Jak się spierano, po co ją sobie Fea Flisyon upatrzyła. Ot, knowania, ot, spiski tajemne! Cała tajemnica taka, że tyś ją za norhemne wziął i na rzeź posłał - pokręcił głową. - Zdałoby ci się raczej gdzie przytaić. Ziemi szmat kupić i kapustę sadzić, nie bogom przed oczy leżć. Ale polazłeś. Dziewce obręcz na łeb wepchnąłeś. Suty gościniec. Ażeśmy od tej twojej nagłej hojności mało nie szczęli.

Zbójca nie odpowiedział. Popatrzył na rozciągniętą na szrobie wiedźmę. Głowa opadła jej na bok, ale oczy miała przytomne, połyskiwały spoza na wpół uchylonych powiek. Słuchała. Bo też nigdy jej nie rzekłem, pomyślał nagle Twardokęsek, jak to się wszystko zaczęło. Jakeśmy się z Szarką na wyspie Zaraźnicy spotkali.

- Radbym ninie posłuchać, jak ci się za ów gościniec dziewczka wywdzięczyła - oznajmił drwiąco Mroczek. - Co było dalej, Twardokęsek?

- Poszła do Zaraźnicy - zbójca oblizwał popękane wargi. - O czym po pieczarach ze sobą rozprawiały, nie opowiadała się przede mną, a ja pytać nie chciałem. Tyle że tamtej nocy musiała się widzieć z Koźlim Płaszczem, odstępcą przeklętym. I potem już o Eweinrenie więcej nie mówiono. Niby wesz psiej sierści, żalnickiego księcia się ninie czepiła. Tyle, że on z nią ani gadać chciał, ani ją rozpoznawał. Może jej do cna bogini we łbie zamieszła?

- A bo to bogini potrzebna? - zarechotał Mroczek. - Pomnisz, Twardokęsek, tę sołtysią córkę, coś do niej do sioła chadzał? Tę, co cię przydybała z Vii w stodole i cepem po grzbiecie otłukła? Urodziwa była, ale harda straszliwie, jak psa cię potem pędziła. A kiedy precz poszedłeś, wykładasz sobie, że w świat chciała za tobą leżć, szukać, ledwo jej to ojciec rzemieniem przez rzyć wytłukł? Tak to i jest. On chce, ona nie chce. Ona chce, to jemu już niesporo. Miłość tragiczna.

* * *

- Nie jesteś nim - powiedziała skulona na szczycie schodów postać. Jej głos był mieszaniną wyrzutu, rozczarowania i złości. Przede wszystkim złości. - Znów nim nie jesteś.

Przycupnięta na krawędzi ostatniego stopnia Fea Flisyon nie odrywała wzroku od migoczących na nabrzeżu światełek. Wąska twarz Zaraźnicy i opasujący czoło kryształowy diadem świeciły w mroku tak mocno, że wkrótce Szarka musiała odwrócić wzrok. Dostrzegła jednak, że z lewej, kurczowo zaciśniętej na naszyjniku ręki bogini wyrastało sześć palców.

Za drobną, rozświetloną postacią otwierała się szczelina. Po wyspie krążyła pogłoska, że bogini trzyma w pieczarach niezmiernie skarby i wielu kusilo się je odnaleźć. Żaden nie wrócił.

- Olśniewające miasto, prawda? - spytała z drwiną Zaraźnica.

- Największe spośród tych, które widziałam - przytaknęła Szarka, lecz bogini już odwróciła się ku wejściu do jaskiń.

Szarka zawahała się, patrząc, jak tamta z wolna pogrąża się i ginie w ciemnych trzewiach góry. W dole miasto szumiało setką przyciszonych głosów, zaś kroki Fei Flisyon chrzęściły wśród lodu, coraz dalej i coraz ciszej. Szarka jeszcze raz obejrzała się za siebie i ostrożnie weszła w podziemia, w ślad za odległym blaskiem bogini.

Wewnątrz góry panowała cisza, mącona jedynie monotonnym pluskiem kropeł spadających w rumowisko skał i wielkich kryształowych obłamów.

- Widzisz? - dobiegł ją głos Zараźnicy. - Kiedyś miałam tu tuzin kryształowych sal i wiele tuzinów wojowników drzemie w tym rumowisku. A przecież każde z was, którzy tu wchodzicie, myśli, że jest jedyne.

- A nie jest? - Szarka trąciła czubkiem buta pogięte, przerdzewiałe resztki sztyletu.

- Nie, nie jest. Jedyne jest tylko obręcz, którą nosicie.

Wchodziły coraz dalej i dalej w zimne wnętrza góry. Przodem bogini, przepowiadając coś widać do siebie, bo jej głos pobrzmiwał raz ciszej, raz głośniejszy, a tyłu Szarka, klnąc za każdym razem, gdy musiała przeciskać się pomiędzy zwałonymi głazami.

Na koniec przejście rozszerzyło się w grootę, przeciętą wartko płynącym strumieniem. Z góry, przez odległą szczelinę wpadała smuga światła. Bogini siedziała wysoko na krawędzi oszronionej półki, pomiędzy śnieżnymi sowami. Kosmyk jej czarnych włosów wysunął się spod diademu i opadł na ramię. Poświata przybladła nieco, a Zараźnica machała bosymi nogami, strącając w szczelinę lodowe sopele. Jej twarz była twarzą dziecka, lecz oczy, bursztynowe i błyszczące jak od gorączki, patrzyły wzrokiem bogini, prastarej i złowrogiej.

- Kiedy wieje wschodni wiatr - powiedziała, spoglądając ku górze - szczelina śpiewa jak zmijowa harfa. Usłyszysz, gdy nadejdzie czas deszczów. Jeżeli dożyjesz.

Szarka przyglądała się jej bez słowa, osłonięta ciemnym strojem norhemnow.

- Pewnie na dole znów rzecz zamilczeli, partacze - skrzywiła się Zараźnica. - To obręcz dri deonema. Pierwszego. Prawdziwego. I, skoro już nie mogę mieć z ciebie innego pożytku, będziesz dla mnie walczyć na placach Traganki.

- Dlaczego?

- Ponieważ - oczy Zараźnicy stały się nagle bardzo ciemne i bardzo odległe - tak właśnie postanowiłam.

Sopel lodu zmienił się pod jej dotknięciem w przezroczysty kielich. Bogini zsunęła się w dół, na brzeg strumienia, jej suknia zawirowała jak skrzydła olbrzymiej ćmy.

- Wypij - zaczerpnęła wody.

Szarka nie poruszyła się, pozwalając, by kielich wysunął się z palców Fei Flisyon. Nim sięgnął ziemi, druga dłoń bogini, karząca, lewa dłoń o sześciu palcach, wykonała nieznaczny ruch. Dziewczyna usłyszała przenikliwy dźwięk. Jak bzyczenie osy. Odskoczyła. Dwie cienkie, przejrzyste igły prawie otarły się o jej włosy.

Kielich uderzył w skałę.

- To wbrew prawidłom! - zawyła Fea Flisyon. Jej twarz rozmyła się nagle w jasną, bezkształtną smugę. Kiedy skrzepła na nowo, skórę pokrywały drobne, purpurowe cętki, a rysy wyostrzyły się, sposepniały. I nie było już w nich ni śladu beztroski, tylko odwieczne oblicze, przed którym wzdragano się we wszystkich Krainach Wewnętrznego Morza. Sine, spękane wargi, pomiędzy którymi połyskiwały drobne zęby. Spotniałe czoło, oczy rozszerzone gorętwą i szałem, mętne. Oblicze Morowej Panny, gdy znienacka człeka zajdzie, pośrodku snu najgłębszego u wezglowia stanie, palcem z lekka w plecy stuknie, na zgubę wieczną, na zatracenie.

- Podobni tobie nie przychodzą tą ścieżką! Kto cię, dziwko, na mnie nasłał? - wysyczała, szczerząc ostre jak u rosomaka ząbki. Jej lewa, karząca dłoń drgała i kurczyła się spazmatycznie.

- Nikt! - hardo odpowiedziała Szarka. - I nie należę do twojego przeklętego plemienia, parthenoti.

- Parthenoti?! - wrzask Zараźnicy strącił ze ścian groty resztki sopli. - Parthenoti?!

I zaraz jej gniew nieoczekiwanie opadł, lewa ręka znieruchomiała.

- Skąd jesteś? - spytała przytomnym głosem. - I czego szukasz w mieście?

- Co ci do tego? - mruknęła pod nosem Szarka. - Myślałam, że jesteś tamtą. Póki nie zobaczyłam igieł.

Fea Flisyon zagapiła się na nią, nie rozumiejąc. Czerwone cętki blakły i znikwały.

- Koncept iście Delajati godzien - rzekła wreszcie. - Czegóż chce moja młodsza siostrzyczka? Matczyne bękarty wygubić?

- Nie znam zamysłów Delajati - odparła Szarka. - Szukam kogoś. Zwali go Eweinren. Eweinren z Karuat.

- Skądże pewność, że go na Tragance znajdziesz?

- Jadziołek mi wyjawiał - z ociąganiem przyznała dziewczyna. - Skoro tylko wiosna nastąpi, naglić począł, bym się do drogi gotowała. Przez stopy mnie przeprowadził aż nad sam Kanał, a potem statek na Tragankę wybrał.

- Tak bardzo pragniesz owego Eweinrena odnaleźć - kąśliwie spytała bogini - że usłuchałaś

rojeń na wpół obłąkanego plugastwa? I to takiego, co się nocnym mamidłem pasie? Co cię dla owych zwidów sennych w szaleństwo niezawodnie wpędzi? Nie, nie słyszałam ani o Eweinrenie, ani o Karuat - spojrzała na Szarkę bursztynowymi oczami - a ja wiele słyszę.

Szarka bez słowa podała bogini obręcz dri deonema. Opaska była wąska, wykuta z czerwonego złota.

- Zatrzymaj ją - wzruszyła ramionami bogini. - Wedle obyczaju.

- Nie będę nosić znaków parthenoti. Niczyich znaków.

- Nie dozwolę, by śmiertelna odrzuciła moje dary. Popatrz! - W lewej dłoni bogini zabłysła garść cienkich, kolorowych igieł. - Niektóre niosą trąd, inne dur, czerwoną śmierć albo zgorzel... Dzisiaj zdołałaś się obronić przed czarem, który przywiązałby cię do Traganki. Czy i jutro będzie ci sprzyjać szczęście?

- Grozisz mi? - krzywo uśmiechnęła się rudowłosa. - Grozisz czy ostrzegasz?

- Ni jedno, ni drugie. Co wolisz. Cokolwiek zamyśla Delajati, weź obręcz i idź na północ. I nie wracaj na Tragankę.

Nieco powyżej głowy bogini jadžiołek poruszył się lekko i załopotał skrzydłami. Był drobny, niewiele większy od gołębia. We wnętrzościach czuł znajome, palące uczucie głodu i nie był w przyjaznym nastroju. Ciemnooliwkowe, zakończone haczykami pióra uniosły się i nastroszyły. Na końcu każdego połyskiwały drobne krople. Jak zawsze, gdy ruszał na polowanie.

W dole drobna, jasna postać podała coś jego rzeczy. Szpony jadžiołka zazgrzytały o skałę, zakrzywiony dziób klekotał z rozdrażnienia. Nie powinna tego brać, myślał, wie, że nie powinna. Dogadzał jej, piastował i hołubił, ale pozostała, jak była, niewdzięczna i nieostrożna. I uparta. Zawsze była uparta, od tamtej chwili, gdy pochwycił ją na spalonych słońcem skałach.

Ale potrafiła śnić i była tylko jego. A jej sny były pełne ognia.

- Jesteś do niej bardzo podobna - rzekła Szarka. - Tak łatwo wziąć cię za Delajati.

- Jestem jej bękarcią siostrą - wyjaśniła bogini - ale słabszą i bardziej trwożliwą. Nie chcę wszczynać wojny. Będę cicho i nie wyściubię nosa poza Tragankę, choćbyście pospołu obróciły resztę Krain Wewnętrznego Morza w perzynę. Pozostali jednak będą ścigać do ciebie jak muchy do lepu - dokończyła znacząco.

Szarka odwróciła się tylko i ruszyła w dół pomiędzy ciemnych zwałami kamieni. Jadžiołek też się poderwał i zataczał w ciemności szybkie koła.

- I tyle? - zaśmiała się drwiąco bogini. - Nie będziemy rozprawiać o zgubie świata? O czasie szeflinów i siekier, o krwi na darmo przelanej i ogniu za plecami?

Potem Zaraźnica stanęła w smudze księżycowego światła, uniosła do góry wąskie, ostre dłonie

i rozpoczęła inwokację:

Witaj, jasna gwiazdo zmierzchu, zaklinam cię przez potężne imiona, poprzez dwunastu, którzy umarli od stali, poprzez dwunastu, których powieszono, poprzez dwunastu, których poćwiartowano, poprzez chleb i sól, poprzez dwanaście gwiazd, które są jedno, zaklinani cię, jasna gwiazdo zmierzchu...

Było to zaklęcie stosowne raczej w ustach wioskowej wiedźmy, nie bogini Traganki, ale ten, którego przywoływała, nie pojawiłby się na inne wezwanie. Podmuch wiatru przyniósł ku niej znad szczeliny smród portu i gorzką woń kwiatów - w dole kwitły migdałowce.

* * *

- Patrz, gdzie idziesz! - kwiknął z ziemi pryszczaty wyrostek, wrywając połę kubraka spod buta Szarki. Ladacznicą w żółtej telejce zajadle obmacywała jego sakiewkę.

Niewiasta nosząca obręcz dri deonema rozejrzała się wokół. Od pałacu dzieliła ją rozległa, rozświetlona feerią światełek połać ogrodów. Z rezygnacją podeszła do niewielkiej fontanny. Stała ona nieco na uboczu i przez niedopatrzenie nie napełniono jej winem. Nachyliła się nad wodą, opłukała twarz i wyjęła z włosów długie szpile, z których każda została zanurzona w trującej ślinie jadžiołka. Ostrożnie odłożyła na bok obręcz i pozwoliła włosom opaść na plecy.

Noc była parna, gorąca. Szarka zrzuciła ciężki, nabijany ćwiekami kubrak i zamierzała wymościć sobie posłanie w trawie nieopodał, licząc, że zwieszono nisko nad ziemią gałęzie świerku zasłonią ją przed co bardziej rozochocionymi mieszczanami.

Krzaki po przeciwnej stronie fontanny zatrzeszczały i wynurzył się z nich wysoki mężczyzna. W przeciwieństwie do miejscowych nie nosił brody, włosy miał krótko przystrzyżone, oczy szare. Odziany był pospolicie, w kaftan z barchanu natkany zgrzeblami i poplamione skórzane portki. Na plecach przytroczył potężny, oburęczny miecz.

- Znalazłaś wodę?

Szarka nie poruszyła się. Stała z oczyma odwróconymi w bok, w stronę sadzawki, gdzie jego odbicie rozpadało się na drobne odłamki - strzępy twarzy, światła i opadłe płatki migdałowca. W blasku latarni jej długie, rozpuszczone włosy połyskiwały barwą czerwonego złota.

- Koźlarz! - krzyknął ktoś zza kępy świerków. - Gdzieżeś ty się podział, Koźlarz?

Z zarośli wyjrzało kilku spitych zaków, ale widok miecza mężczyzny skutecznie ich odstraszył i odeszli, na całe gardło rycząc sprośną piosenkę.

Skończył pić i ponieważ dalej stała przy fontannie, odezwał się ponownie:

- Nie zarobisz, dziewczyno. Nie mam wiele srebra.

Pochyliła się niżej, by przez chwilę, poprzez odbicie, które drżało od spływającej z fontanny wody i powstrzymywanych łez, spojrzeć w dal, w miejsca nieskończenie odległe od Traganki.

Więc kiedy wjechali na most, pod czarno - zieloną chorągwią i znakami Karuat, i kiedy wreszcie ją zobaczył - rozwiane włosy na schodach, zakasana suknia, szybki tupot nóg - ludzie krzyczeli wokół, a ona biegła, jak jeszcze nigdy w życiu nie biegła do żadnego mężczyzny.

Śmiech i szloch jednocześnie, kiedy całowali się na dziedzińcu, bezwstydnie, na oczach wszystkich - nic nie mów, proszę, nic nie mów, nie myślałam, że można tak czekać, czekać i pragnąć aż tak, do utraty tchu, do zatracenia.

I później - dwa puste miejsca na uczcie, miejsca, do których spełniano toasty, i smugi światła pod okiennicami, i twoje spojrzenie spod ledwo uchylonych powiek. I już wiem, że oddałabym... oddałabym wszystko... ale wszystko zostało zabrane już dawno temu...

Miała znużoną, bladą twarz, z wielkimi, zielonymi oczyma. Zbyt wielkimi, pomyślał, jeszcze jedna odurzona przyprawnym napojem dziwka. Wiele ich widział w porcie. Niewolnice kupione od frejbiterów na targach pod Górą Hałuńską. Otumanione, wiotkie dziewczki o oczach wielkich od belladonny i szaleju. Nie potrafiły przypomnieć sobie nawet własnego imienia po tym, jak Zird Zekrun Od Skąły dotknął ich karzącą ręką o sześciu palcach i odebrał wszystko, czym były.

Przyszło mu na myśl inne dziecko. Równie bezradne, daleko na północy. Brązowooka dziewczynka, która płakała w cytadeli o oknach wychodzących na Cieśniny Wieprzy - odległe, chłodne wichry, jedna z tych rzeczy, których nie chciał pamiętać.

Dziwki i jałowcówka, pomyślał, przyciągając ją bliżej, tyle dobrego na tych przeklętych wyspach. Jałowcówki miał na dzisiaj dosyć. Zerwał z szyi gładko spleciony, srebrny łańcuszek. Zielony kamyk błysnął z wyrzutem, kiedy wciskał go w garść dziewczyny. Jej palce były lekkie, najłżejsze, a powieki mocno zaciśnięte, i domyślał się, że wspólne pożądanie zanieśie ich w zupełnie inne, odległe miejsca. Jednak pośrodku gorącej południowej nocy nie miało to żadnego znaczenia.

Jadziołek z cieniem wrzaskiem zanurkował z ciemności ponad drzewami prosto ku jego oczom.

Odkoczył, o włos unikając ostrego dzioba. Odepchnięta Szarka zatoczyła się gwałtownie, niemal upadła na trawę.

- Ty dziwko! - powiedział bez złości. - Ty podstępna dziwko!

Z góry dobiegł kolejny gwizd, gdy jednak złe znów pojawiło się w kręgu światła, Szarka wydała gniewny, nakazujący trzel. Jadziołek zawahał się. Krople jadu lśniły oleiście, lecz jedynie zakreślił łuk wokół fontanny i zniknął.

- Nie poznajesz mnie? Naprawdę nie poznajesz? - spytała. - Jak mogłeś zapomnieć?

- Pamiętałbym - uśmiechnął się krzywo.

Cofnął się kilka kroków, powoli, wciąż wyglądając ptaszyska, i zahaczył butem o porzuconą w trawie obręcz dri deonema.

- Chyba jednak powinienem pamiętać - przyznał. - Dzisiejsza walka? Nie, nie ruszaj się - ostrzegł. - Stój tam, gdzie jesteś - Powoli cofał się ku ścieżce, skąd dobiegały rozbawione krzyki. - Cóż, jeśli Zird Zekrun dogadał się z Zaraźnicą, spotkamy się jeszcze. To nie miejsce i czas.

- Mylisz się.

- Nie w tym - potrząsnął głową. - Nie w sprawach Zird Zekruna. Tak samo, jak nie sposób pomylić z czymkolwiek znak, który nosisz na czole, i stworzenie, które cię prowadzi.

- Nie słyszałam o Zird Zekrunie - zaprotestowała.

- O nim każdy słyszał. Nie, nic nie mów. Daj mi odejść. Nic więcej.

Patrzyła, jak się cofa, bez pośpiechu, czujnie, i nie próbowała go zatrzymać; choć wciąż miał na twarzy nieznaczny, rozbawiony grymas, znała go wystarczająco dobrze - a przynajmniej wierzyła, że tak jest - by nie próbować.

Kiedy zniknął pomiędzy drzewami, z rozmachem uderzyła pięścią w jadeitową krawędź sadzawki.

- Plugastwo. - Słowa nie były potrzebne, ale przywykła przywoływać je głosem. - Wytłumacz mi. Zrób to naprawdę szybko.

Z góry, spoza wierzchołków świerków i migdałowców napłynęła fala złości i przestachu. Jadziołek pozwalał się unosić fali ciepłego powietrza ku portowej dzielnicy i w głębi jego małego, plugawego umysłu Szarka nie znalazła żadnej odpowiedzi.

* * *

- ...jakby wszystko zło zleciało się tamtej nocy na Tragankę - dokończył ciężko zbójca. - Rudowłosa dziewczka ubiła dri deonema i powędrowała na górę bogini, ale szczęśliwie nie przypadły sobie do smaku. Za to spotkanie z owym żalnickim wywołańcem, z Koźlarzem, długo mieliśmy potem oplakiwać.

- Czego ty chcesz, Twardokęsek? - zarechotał Mroczek. - Spotkali się i rozmiłowali w sobie okrutnie, jako to w bajkach bywa. Zda nam się teraz wszystkim czekać, by księżę władztwo niecnie zgrabione odzyskał. I by w szczęśliwości po kres wieków żyli...

- A może i na ciebie, Twardokęsek, gdzieś władztwo rozległe czeka... - podjął szyderczo. - Bo to widzisz, nim w bajce czas na świętowanie przyjdzie, księżniczka musi się pierwej okrutnie namordować. Pół świata o kiju przejść, upokorzeń i poniewierki zakosztować, z głodu o chleb suchy

prosić i słonymi łzami go okraszać - zaśmiał się urągliwie. - Za to kiedy ona na dziedzinie swojej osiadzie, to tak wyszlachetnieje, że ledwo ją będą rozpoznawać. Bo nie będzie już szlachcianką wyniosłą i okrutną, jeno panią dobrą a miłosierną, pospolitakom przychylną. I wtedy każdemu sprawiedliwość będzie czynić, dobrami wielkimi wynagrodzi tych, co jej w niedoli pomocą służyli. Znaczy się, ciebie, Twardokęsek. Musi tylko księżniczka zdążyć, nim cię powroźnicy na dobre uwędną. Ale może i tobie panowanie przeznaczone.

- Nie przeznaczone - cicho powiedziała wiedźma. - Ni jemu, ni mnie, ni tobie. Bo my są jeno te plewy, co je wichur po gościńcu pędzi. Prosto w ogień.

Mroczek podszedł do niej, z rozmachem trzasnął ją w gębę.

- Nie kracz, wiedźmo! - syknął.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dobrze przed świtaniem, nim jeszcze dzwon począł zwoływać kapłanów na poranne modły, do pałacu przygnała gromada żaków i tak długo wrzeszczeli na dziedzińcu, aż dopuszczono ich do Szarki.

Żacy byli, są i będą zakałą Traganki. Zawsze gnieździło się ich w mieście kilka setek, wszyscy biedni, wygłodzeni i kłótniwi. Wymuszali haracz od przekupek na targowisku, złorzeczyli kapłanom i odcinali sakiewki pijanym marynarzom. Nikt nie ośmielił się im narazić, a i tak w pobliżu uniwersytetu raz po raz wybuchały zamieszki. Szczególnie odkąd otworzono fakultet teologii. Pozostali studenci, dotychczas skłócen, zaczęli zasadzać się na przyszłe sługi bogini. Nocami po mieście pałętały się bandy podpitego tałatajstwa, wlokąc po bruku potężne morgensterny i zardzewiałe szarszuny, a rozsądni obywatele pospiesznie schodzili im z drogi. Nie tyle z obawy przed żelastwem, bo żacy nie bardzo wiedzieli, co z nim zrobić, ale ze strachu przez wyzwiskami i nieczystościami, którymi hojnie mieszczan obrzucali.

Rejwach szybko poderwał Twardokęska z wyra. W pałacu roiło się od obdartych, wygłodzonych łotrzyków, którzy rozbiegli się na wszystkie strony, usiłując coś zwędzić i napchać brzuchy. Twardokęsek widział, jak zgorszeni akolici wywlekają jednego z krypty z relikwiami pierwszego dri deonema. Szkolarz miał na grzbiecie kolorowy, połatany chałat i przytroczony do pasa pokaźny, juchtowy worek. Wyrwał się akolitom i wrzeszczał:

- No idę, przecież idę! Toż piwniczki szukałem, a Kretka pies lizał!

Żacy zawsze w gębie mocni, bo jakby którego za bluźnierstwo kapłani zamknęli, to reszta taki tumult w mieście uczyni, że wnet go wypuszczą, pomyślał z zazdrością Twardokęsek. Tego ranka zbójca sprzyjał szkolarzom mniej niż kiedykolwiek. Zrozumiawszy bowiem, że ćwiartowanie się odwlecze, postanowił wypróbować swą nową pozycję. Słowem, zażądał od strażników piwnej polewki, zrazików i kaczki z truflami. Kaczki nie było. Ani piwnej polewki. Znalazła się za to micha

flaków z majerankiem i okazały bukłaczek jałowcowki, który pospołu z dwoma pachółkami opróżnił przed świtaniem.

Nie, tego ranka Twardokęsek nie sprzyjał nikomu, kto po podwórku wrzeszczał.

Kiedy zaprowadzono go do Szarki, pora wciąż była wczesna i w komnacie panował przyjemny chłód. Dziewczyna siedziała na wykładanym czarnym aksamitem karle i karmiła jadziołka surowym mięsem, a jej ręki nie chroniło nic prócz miękkich rękawic z jeleniej skóry. Kropelki jadu obeschły już na piórach złego, lecz skoro je Twardokęsek ujrzał, kapłan musiał go przemocą wepchnąć do środka.

Wiele gadek o południowych potworach powtarzali po Krainach Wewnętrznego Morza. O wilkołkach, co się dzionkiem ludzką skórą okręcają, a po nocach z wilczą sforą ludzi ścigają. O odszczepieńczych norhemnach, którzy parzą się z własnymi krowami i płodzą rogatę monstra. O skrzydlatych potworach morskich, niewieścim głosem wabiących żeglarzy na podwodne skały. I o bestii zagnieżdżonej pod urwiskiem krańca ziemi, która każdego zmierzchu próbuje połknąć słońko. Twardokęsek zawsze przysłuchiwał się owym gadkom ciekawie. Raz nawet kazał wędrownego grajka żywcem z Przełęczu Zdechłej Krowy puścić, tak udatnie rozprawiał. Ale żeby miał kiedy w biały dzionek jadziołkowi się przyglądać, to mu ani we łbie powstało.

Jadziołki rzadko się widywało w Górach Żmijowych. Raz tylko zbójca słyszał, że się jakiś po okolicy pałętał.

Zdarzyło się to w czas najazdu norhemnów i widno złe z południa za barbarzyńcami lazło, niegorzej po drodze na ścierwie, co nim pochód znaczyli, popasając. Wioskowa wiedźma próbowała odpędzić je od niemowlęcia. Była to prawdziwie prawowierna wiedźma, wyjątkowo głupia, choć pełna dobrych chęci. Kiedy jadowite pióro uderzyło ją w twarz, własnoręcznie wydrapała sobie oczy. Potem, wyjąc jak wściekły pies, rzuciła się na ciągnące gościńcem stado baranów. Powiadają bowiem, że najgorsze jest nie samo od jadu zdychanie, ale szaleństwo, które pierwej człeka rozbiera.

Żeby tak dziewczę na ręce siedziało, jako kura na grzędzie, pomyślał zbójca, ukradkiem kreśląc znak odpędzający złe. Toż ono plugastwo jest przebrzydłe, bogom i ludziom obmierzłe, ono nie samą krwią się pasie, ale i duszę żywą z żywego wysysa.

A potem przypomniał sobie, co mu muzykant na Przełęczu Zdechłej Krowy gadał. Że czasem norhemne żywego jadziołka własną krwią przywabia i na sługę obróci. I potem ni na krok owego człeka złe nie odstąpi. Tyle tylko, że już go jako swego pilnować będzie, we sny się zakradać, dech z wolna wysysać, duszę kazić.

Na nowo nakreślił znak chroniący od złego.

Plugastwo posłało Twardokęskowi nienawistne spojrzenie żółtych, wąskich oczu, nastroszyło oliwkowe pióra na szyi i zbójca zląkł się, że zaraz skoczy mu do gardła.

Szarka wypowiedziała kilka przyciszonych słów w języku, którego nie umiał rozpoznać i złe

spokorniało odrobinę. Jednak nadal syczało i póki nie skończyła go karmić, przezornie trzymał się z daleka.

- Siadaj, Twardokęsek - obojętnie wskazała półmiski, po czym zabrała się za stos pism, które zawały jej koniec stołu.

Czytała, a on pochłaniał plastry wędzonej świniny, goryczkę po wczorajszym pijaństwie piwem splukiwał, i ukradkiem przypatrywał się dziewczynie. Co prawda niewiele widział, bo znów okręciła twarz zawojem, ale i tak było mu jakoś niesporo. Nie podobała mu się gładko kuta obręcz na jej głowie. Nie podobało mu się, że milczy i ani na niego nie spojrzy. Nie podobali mu się też sinoborscy łucznicy, którzy z kolei przypatrywali mu się nader czujnie.

Nasyciwszy pierwszy głód, Twardokęsek zadumał się nad malowidłami, którymi ozdobiono ściany komnaty. Nie, żeby przyciągnęły go bardzo udatnie wymalowane w szuwarach kaczkę; gdzie im było do wizerunków, co się ukazywały na dnie kubków, które przywłókł na Przełęcz Zdechłej Krowy Mroczek, niegdyś w Spichrzy kupiec bławatny. Ale im się bliżej owym kaczkom i przepiórkom przypatrywał, tym bardziej mu się widziało, że czerwone kamuszki, które drobiowi w miejsce oczu osadzono, to nic innego, jeno szczere rubiny.

Nim jeszcze na dobre przebrzmiały dzwony wieszczące koniec porannych modłów, Mierosz, pierwszy spośród sług Zażnicy, wsunął się do komnaty. Nosił odświętną kapicę, suto naszywaną u dołu framazą, a jego świeżo wygolony łeb aż połyskiwał. Szedł rażno, kręcił młynka palcami i wydawał się wielce kontent.

Zbójca ściągnął ze stołu niewielki nożyk i podważył ślepie najbliższej kaczki. Sinoborski łucznik groził mu wymownie pięścią.

- Jak przeszła noc? - zagał Mierosz.

- Dobrze - ucięła Szarka. - Przysposób mi pakunki na drogę - podała mu kartę zapisaną rzędami drobnego pisma. - Odpłynę dziś jeszcze.

Mierosz posiniał, oparł się ciężko o wyłacane malowidło i przez chwilę zdawał się bliski apopleksji. Zaraz wszakże oznajmił mocnym głosem:

- To się nie godzi!

- Godzi, nie godzi - wzruszyła ramionami Szarka - za jedno stanie. Grunt, że dogadałyśmy się z twoją boginią. Poza tym nie będzie ćwiartowania, bo Twardokęska zabieram ze sobą. Ano, Twardokęsek - dodała złośliwie. - Jeśli myślałeś, że z dobrego serca wyciągam cię spod katowskiego topora, to srodześ pobleździł. Potrzebny mi przewodnik. Ktoś obrotny, kto dobrze zna okolicę i nie polecą w pierwszym miasteczku wójtowi na mnie donieść. Nadasz się wyśmienicie. Drabom nic nie powiesz, bo cię pierwszego obwieszają, a będziesz próbował uciekać, jądziółek zagna cię z powrotem - podrapała złe po oliwkowym podgardlu, aż przymrużyło oczy z przyjemności.

Zbójca milczał, z namysłem przeżuwał słowa Szarki. Nic to, myślał, lepsza już dziewczka z

plugastwem niż ćwiartowanie, a jak staniemy w Górach Żmijowych, to jeszcze obaczym, kto tam kogo będzie na łańcuchu prowadził. Ani chybi, i jasiołek zdrzemnąć się musi, a dziewczka podstępem dri deonema ubiła, sama zaś mdła jest, chuderlawa, łącno ją człek przemyślny pokona.

- Wybierz sobie nowy przyodziewek, Twardokęsek - nakazała. - I niech Mierosz zaprowadzi cię do łaźni. Strasznie cuchniesz. Nie zwłózcicie, bo jeszcze przed zmierzchem z Traganki odbijamy.

Twardokęsek sposepniał. Ze dwie nocki na Kanale zejda, pomyślał ponuro, a jak nas Sandalya sztormem ogarnie, na dobre tam ostaniemy.

W czas przeprawy na Tragankę zbójca dobrze wyrozumiał, że nie przepada za morzem. Szyper zrazu wszystkich podróżnych zapędził do wylewania wody, bo krypa przeciekała okrutnie, a drugiej nocy Kanał tak się rozkołysał, że zbójca prawie o ocaleniu zwątpił. Bydło ryczało przeraźliwie. Niewiasty poklękały i głośno odmawiały litanie do Fei Flisyon. Szyper kłął.

- Byle nie przed zmierzchem - wzdrygnął się zbójca, wspomniawszy, jak każdej nocy coś we ćmie wyło prześmiewcze i z dali marynarzom wygrażało. - Po wyspach ludziska już mocno złe przetrzebili, ale w morzu ono się wciąż bez nijakiej przeszkody lęgnie i nie raz statek przy samym brzegu w głębię wciągnie. Trza nam świtu poczekać, ze słonkiem się wyprawiać.

- Tu co drugi szyper wiezie kontrabandę - kwaśno wyjaśnił Mierosz - przeto o zmierzchu na morze wychodzą, bo natenczas strażnicy się w porcie mieniają i w zamęcie łącno ich oszukać. Ale to małe rybackie statki. Zazwyczaj nie biorą obcych.

Szarka drapała jasiołka po podgardlu. Odwinał się, polizał ją po rękawicy. Język miał różowy. Zostawiał na jeleniej skórze niewielkie czarne plamki.

- Tedy pójdziesz na nabrzeże, Mierosz - oznajmiła - i przekonasz szypra, aby dziś zwyczaj u odstąpił.

Wieczorem wymknęli się z pałacu. Bez świty, lektyk i akolitów zawodzących hymny ku czci Fei Flisyon. Szarka prowadziła błękitnego skrzydłonia, dwóch tragarzy dźwigało pakunki, a Mierosz dreptał z tyłu, z wysiłkiem usiłując omijać liczne, urzędowe i zgoła przypadkowe rynsztoki.

Po wczorajszej zabawie w ogrodach bogini miasto zdawało się przepite, otępiałe i nikt ich nie zaczepiał. Powietrze przesycił wanie dziegciu, smoły, taniego wina, przegniłych śmieci i smażonych na nabrzeżu ryb. Dostawcy kłębili się wokół przybijających do nabrzeża statków, wrzaskliwie targując się o cenę połowu i wydzierając nawzajem z rąk co okazalsze sztuki. Brudne dziewczki w rozchełstanych koszulach włóczyły się smętnie, wabiąc marynarzy do tawern, gdzie właściciele stawiali im darmowe piwo za każdego przyprowadzonego gościa. Zebracy ciągnęli przechodniów za szaty. Przekupnie nawoływali z głębi kramów. U drzwi kantorków, na okazałych drewnianych tablicach wypisano starannie kursy najrozmaitszych monet, tak z Krain Wewnętrznego Morza, jak i z równin Turznii. Traganka była prawdziwie światowym miastem.

- Hej! Tutaj! - krzyknął usadowiony na wbitym w nabrzeże palu kędzierzawy wyrostek o bezczelnej gębie żaka. - Będą łowić w Zatoce Ślázowej. Szyper bierze trzech pasażerów, bardzo

widać im spieszno, bo nie targowali się należycie i zadatek dali. Jeden gębę ma całą bliznami naznaczoną, snadnie go rozpoznacie, bo paskudny jak zaraza. Szyprowi rzekł, że do Spichrzy na Żary ciągną, ale go pozostali zaraz uciszyli. Dziwni to jacyś podróżni - mrugnął porozumiewawczo - tak się między ludźmi obracali, aby na strażników nie natrafić. Mają czekać w łódce przy południowym cyplu. A chcecie statek znać, tedy się dwa grosze należy. - Żak śmiało splunął na zapyłony trakt, o włos od sandała Mierosza.

- Bystry z ciebie chłopak. Grzech, by taki tyłek na nabrzeżu darmo wysiadywał - wycedził przez zęby kapłan. - Ot, zda się ciebie kapką nakryć, sługą Fei Flisyon uczynić.

Żak skulił się na swoim słupie. Zazwyczaj akolitami zostawali niewolnicy z niskiej świątyni, lecz po Tragance nieustannie krążyły plotki o zaginionych chłopcach, a szkolarz wyraźnie nie pragnął zostać wytrzebiony ku chwale Zaraźnicy.

- A bodajby cię nagła niemoc sparła, kurewniku! - syknął i pospiesznie pokazał statek.

Na sam jego widok Twardokęskowi zachciało się rzygać. Miał zaniedbany, pokryty wodorostami kadłub i nawet w porcie głęboko przechylał się z burty na burtę. Na trapie stał rudowłosy, niechlujny dziadyga i przyglądał się im z niezadowoleniem. Zagadnięty przez Mierosza niemrawo zszedł na nabrzeże - zbójca przypuszczał, że nie tyle z uprzejmości, ile z obawy, iż mu kapłan wlezie na pokład. Rybacy z Traganki święcie wierzyli, że obecność sług prześwietnej Fei Flisyon przynosi nieszczęście na morzu.

Z początku szyper ani chciał słyszeć o podróżnych. To prosty statek, nie kapłański korab, tłumaczył. Tu wygod nie dostaje, miejsca mało, marynarze ludzie prości, jeszcze czym szlachetnej pannie uchybią. Ale kiedy Mierosz wyciągnął trzosik z tragańskimi groszami, inaczej gadać począł. Tyle że za nic skrzydłonia zabrać nie chciał. To jest poczciwy barkas, powtarzał, co go jeszcze pradziad budował, nie będą go bydlęta obsrywać. Innego se szypra szukajcie.

- Sami poszukajcie innego statku - Mierosz był już srodze zmęczony uporem szypra i zgoła nie nawykł do targów. - Bo na tym z woli Fei Flisyon my zaraz w morze wyjdziem. A wy możecie się, ot, na tym palu wedle falochronu. Będziecie w wodzie nogami przebierać i płocie nimi we włóki naganiać. Oczywista, jeśli was do lochów za warcholstwo wtrącić nie każe.

- Pomiłujcież, wasza wielebność - żyłasty żeglarz pochwyił trzos i smarknięciem w rękaw spłowiełej koszuli zamaskował przekleństwo. - Kiej tak prześwietna Fea Flisyon każe, pakujcie się na pokład.

Mierosz sięgnął za połę szaty i podał dziewczynie owiniętą chustą pakiecik.

- Pisma do współbraci - wyjaśnił. - Mamy kantory w każdym większym mieście i wszędzie wam chętnie pomocy użyczą. Nie zabądzcie o tym. Nie zabądzcie też, że choć was będą u bram witać i po czerwonym płótnie na dworce prowadzić, snadnie wam kto sztylet w plecy wrazić może. Nie kochają nas po Krainach Wewnętrznych Morza.

Ano, pomyślał Twardokęsek, nie kochają was, bo się od wieków, ścierwa, lichwą bawicie,

pieniądz pod zastaw pożyczacie. W księstwach Przerwaniki co drugi panek tyle jeno ma, co na siedzisku gacie, bo reszta kwitami Zaraźnicy przypisana. Nie dziwota, że co się miesiąc odmieni, nowy gdzieś tumulcik: a to kapłana na drodze tałatajstwo poturbuje, a to znów pod kantorek Fei Flisyon ogień kto podłoży i owe listy zastawne zgrabnie z dymem puści. Ale gdyby mi owo pisanie, co nim Mierosz dziewczkę obdarował, w ręce trafiło, myślał dalej, wiele by człek dokazał. Dziewek po miastach dosyć. Żadna sztuka w szatki norhemnów którą przyodziać, miecze dwa przydać i do kantoru Zaraźnicy posłać, żeby prosiła przyobiecanej pomocy. I sakiewki sowitej. Albo i całego worka.

Szyper stał przy burcie, beznamiętnie dłubiąc paznokciem w zębach.

- Bydlę do ładowni - burknął. - I wy też, panno. Ludzie będą mi lepiej pracować, jak zejdziecie z widoku.

Był to prosty, by nie rzec prymitywny, statek. Szarka ułożyła się na skąpej wiązce słomy, okręciła kraciastym kocem i zaraz usnęła. Zbójca ostrożnie przysiadł obok. Z początku myślał o listach, ale, ponieważ bezwstydnie leżała obok, z głową na szyi skrzydłonia i długimi, szczupłymi palcami wplecionymi w jego czarną grzywę - jej włosy przybrały barwę rdzy, choć pamiętał, że podczas wędrówki przez miasto połyskiwały niczym ciemne złoto - wkrótce zapomniał o listach do kantorów, chcąc jedynie jak najszybciej rozsznurować jej kubrak i rozsunąć szeroko uda.

Nie otwierając oczu, odepchnęła go i sennie powiedziała:

- Twardokęsek, następnym razem złamię ci rękę. Obudź mnie, kiedy inni wejdą na pokład. Obudź, ale nie dotykaj. Nie lubię tego.

Mamrocząc pod nosem, usadowił się jak najdalej od niej, solennie przekląwszy własną głupotę.

Nie wytrzymał długo pod pokładem, oj, nie. I to wcale nie za przyczyną Szarki. Ku uciechu załogi zawisł na burcie i rzygał bez końca. Podobno pomaga, jeśli człowiek napije się słonej wody. Twardokęskowi nie pomogło.

Dopiero dobiegające z rufy wrzaski odrobinę go ocuciły. Nowo przybyli nie wyglądali na przemytników, choć wsiedli na statek na pełnym morzu, co jest starym sposobem na kontrabandę. W słabym świetle czerwonej nocy Twardokęsek dostrzegł, że oblicze jednego z nich znaczyły potworne blizny po usuniętym tatuażu. Zbójca widywał podobne u zbiegłych z Żalników kapłanów Bad Bidmone Od Jabłoni i od pierwszego spojrzenia poczuł do niego dojmującą niechęć. Jak wszyscy w Górach Żmijowych, Twardokęsek szczerze nie cierpiał zakonu żalnickiej bogini.

Właśnie kapłan darł się najgłośniej. Miał krótkie, krzywe i żałośnie chude nogi, wystające spod przykusej kar - watki brzuszysko i z trudem jedynie stał na rozchybotanym pokładzie. Ale gardło go nie zawodziło. A głos niósł się po wodzie donośnie, tak że Twardokęsek nie zdziwiłby się, gdyby było ich słyszać na nabrzeżu w Tragance.

Natomiast drugi z przybyłych był nieco starszy od zbójcy. Włos, zebrany północnym zwyczajem

w dwa długie warkocze, mocno już mu przetkała siwizna. Nosił owalną, jednolicie ciemną tarczę i przyzwoity, długi miecz w pozbawionej ozdób skórzanej pochwie. Ot, pomyślał Twardokęsek, najemnik, jakich sporo ostatnimi czasy pałęta się po Krainach Wewnętrznego Morza. Usiłował uspokoić kapłana, co było zajęciem mozolnym i beznadziejnym.

- Dlaczego wrzeszczysz, Kostropatka? - spytał cierpko.

- Bo to, popatrz, Przemęka - syknął kapłan - szyper, ścierwo, oszukał mnie i wziął jeszcze jakoweś szumowiny. Dziewkę splewić trzeba - wskazał na Szarkę - nim się jaka bieda trafi.

Potem na pokład wdrapał się trzeci człowiek. Wysoki, należycie rozrośnięty w barach, w prostym kubraku, z ciężkim, oburęcznym mieczem na plecach. Jego twarz wydała się Twardokęskowi znajoma.

Szarka stała na dziobie. Płaszcz zsunął się jej z ramion, odsłaniając długie, rozpuszczone włosy. Czerwona, południowa noc barwiła je ogniem, połyskiwała na obręczy dri deonema, zmieniała czerń sukna w głęboki fiolet. I kiedy tak stała, patrzyła i czekała, Twardokęsek zrozumiał, z jakiego powodu przyszło mu opuścić mury Traganki. Dzika kotka, pomyślał, dzika kotka w rui, niech jej kto na drodze stanie, a rozerwie na strzępy.

- Dodamy dobry tuzin groszy - przekonywał szypra nie zrażony kapłan - jak dziewczkę rybom na żer rzucisz.

Stary z namysłem skubał brodę i Twardokęsek przeczuwał, że jeśli kapłan podwoi stawkę, na pokładzie rozpęta się jatka.

Ostatni z przybyłych roztrącił rybaków i kilkoma krokami przesadził pokład. Nagle zbójca sobie przypomniał. To było wtedy, jak w karczmie przy gościńcu zobaczył wizerunek własnej gęby. Był tam i inny konterfekt. Też wisiał na drzwiach gospody, ale nie obok Twardokęska, nie, nie z plebsem, tylko w najwyższym rzędzie, ponad pozostałymi. Toć to syn starego władcy Żarników, zwanego obelżywie Smardzem, pomyślał zbójca. Wygnaniec z ojcowizny. Bezimienny. Zaprzaniec.

Twardokęskowi zaschło nagle w gardle. Wężymord płacił za Smardzowego syna czystym złotem. I to płacił więcej, niż książątka ważyło.

- Toż to jest żalnicki wygnaniec - szepnął cicho do Szarki. - Starego Smardza nasienie...

Dziewczyna odwróciła się ku zbójcy, ale nie zdążyła o nic zapytać, bo w tejże chwili przypadł do nich sam książę.

- Co znów knujesz, niewiasto? Gdzie jadziołek? - warknął.

- Poluje. Szukałam cię...

- Ja bym się dał odnaleźć! - zarechotał jeden z poławiaczy.

- ...ponieważ jest pomiędzy nami pewien dług. I obietnica... - ciągnęła Szarka.

- Masz jeden dług - przerwał. - Plugastwo, którym mnie zeszłej nocy poszczułaś.

- Niechże ją Przemęka zdzieli w łeb i do wody! - poradził kapłan. - Rusz się, Przemęka!

- Stul pysk, głupi! - ostro powiedział ten z ciemną tarczą najemnika. - Patrz, co ona nosi na głowie.

Wszyscy popatrzyli.

Twardokęsek uznał, że na razie są bezpieczni i znów zaczął rzygać.

Na pokładzie uczyniło się okrutne zamieszanie. Rybacy lamentowali, kapłan zajadle złorzeczył Fei Flisyon, szpakowaty Przemęka go hamował, zaś słowa Szarki i księcia ginęły w ogólnym rozgardiaszu. A potem nadfrunął jadžiołek. Opadł na obręcz bogini i rozejrzał się po pokładzie, rzucając wszystkim złośliwe spojrzenia miodowych oczu. Miał wypchane, krągłe brzuszysko i jasne kropelki jadu na końcach piór.

- Zabiorę go pod pokład - w nagłej ciszy oznajmiła Szarka. - Nie jest wam przyjazny.

Zbójcy wydało się, że skrzywiła się przy tym cierpko. Ostatnie słowo jednak należało do kapłana.

- Nie gap się, tylko rzuć sztyletem w ładacznice, Przemęka! - syknął.

- A juści! - szyper złapał za bosak i przysunął go do gęby kapłana. - Tylko najpierw wrażeń ci to w kałdun, ścierwo!

- Jest powiedziane, że niewierni będą przelewać krew wybranych...! - rozdarł się kapłan.

- Dość już! - zachnął się książę. - Tu żadnego przelewu krwi nie będzie, najwyżej Zażnica cię dudem umorzy, Kostropatka, jej tu włości i jej prawo.

- To jak się ułożym? - szyper wymownie postukiwał bosakiem w burzę.

- Zostaniemy na pokładzie - zdecydował książę - a ona w ładowni. Przez dwie nocki nie będziemy sobie bardzo zawadzać.

- Ale opuścisz nam cenę - ocknął się kapłan. - Cały statek najęliśmy, z ładownią.

- Od bluźnierców biorę więcej - zarechotał szyper. - A jak się nie podoba, to fora ze dwora.

Na statku zapanowało tedy coś na kształt rozejmu.

Szarka piastowała pod pokładem jadžiołka, książę z towarzyszami siedział na górze, pod czujnym wzrokiem rybaków, a Twardokęsek pałętał się to w tę, to w tamtą stronę, na przemian usiłując drzemać w ładowni i rzygać.

Za to Szarka miała się nadspodziewanie dobrze. Rozpakowała zapasy na drogę i za każdym razem, jak dolewała sobie wina, zbójca gnał na pokład i wyrzygiwał wnętrzności. Z początku podejrzewał, że, jak wszystkie baby złośliwa i wredna, odgrywa się na nim za wczorajsze zaloty. Potem jednak poznał, iż jeśli istotnie była rozjątrzona, to nie na niego, bo o niego ani dbała, ale że to raczej książątko dopiekło jej do żywego. Gdy ją Twardokęsek o to nieopatrznie zagadnął, zasyczała tylko niczym urażona kotka. I więcej jej Twardokęsek nie wypytywał.

Nie, nie był ciekaw, skąd pochodzi. Zbyt wielu ludzi przewinęło się podczas ostatnich lat przez zbójceckie obozowisko i wówczas, na statku płynącym przez Kanał Sandalyi, Twardokęsek sądził, że widział już wszystko. Zbiegłych ze świątyni mnichów, zbójrycerzy, którzy przegrali w karty ojcowiznę, deztererów ze wszystkich armii Krain Wewnętrznego Morza, powroźników, co spalili więcej pańskich dworców niż wiedźm, servenedyjskie wojowniczkę wyzerające na pobojuwisku wątroby dogorywających wrogów, a nawet obłąkanego derwisza, który podawał się za nowe wcielenie Bad Bidmone Od Jabłoni. Póki nie pchali nosa w sprawy Twardokęska, nie dociekał ani ich prawdziwych imion, ani zdarzeń, które cisnęły ich pomiędzy kompanię na Przełęczy Zdechłej Krowy. I tak wszyscy byli jednacy.

Czy Szarka z jej dwoma mieczami, zawojem norhemnów na twarzy i porachunkami z żalnickim księciem mogła zadziwić kogoś, kogo kochankami były niegdyś trzy bliźniacze siostry z sekty skalnierskich dusicieli, grasujące z kompanią na gościńcu i odkładające grosz na własną anakondę?

Nie mówili ze sobą wiele, zaś złe drzemało na belce, z rzadka tylko uchylając złowrogie żółte oczy. Pod wieczór Szarka wyczesła gęstym zgrzeblem futro skrzydłonia i starannie obejrzała poduszki łap. Posłusznie znosił jej wysiłki, potem jednak natychmiast wytarzał się w kupce słomy, którą mu przeznaczono na legowisko.

- Niecierpliwi się - wyjaśniła kobieta. - Od dawna nie rozkładał skrzydeł i nie lubi morza.

Zbójca słyszał, że skrzydłonie żyły dawniej w Łysogórach, lecz wybito je co do nogi i przetrwały jedynie pojedyncze sztuki hodowane przez norhemnów. Niosły zagłada: żaden mur nie mógł ich powstrzymać. Kiedyś, nim upadło władztwo Vadiioneda w Górach Żmijowych, Kopienicy z trudem tylko bronili górskich przełęczy. Potem i to się skończyło. Prawie co rok norhemni uderzali na Krainy Wewnętrznego Morza, ziemię bez litości pustoszyli, ludzi brali w niewolę. Na szczęście coraz rzadziej widywano w ich hordach skrzydłonie. Zbójca słyszał, że wytrzebiła je jakaś zaraza.

- Aż dziwota, żeś go norhemnom wykradła - mruknął.

- Nie wykradłam - odparła, wybierając źdźbła z grzywy zwierzęcia.

- Skąd więc...?

- Byłam na stepie - wyjaśniła niechętnie - i mało co z pragnienia nie zdechłam, kiedy go skądś jadziołek przygnał. Wolałabym konia, ale ten nie dość, że sam za mną łązi, to konie dwa dobre już rozszarpał. Zębiska ma ostre.

Twardokęsek pamiętał, co o skrzydłoniach gadano: że sam sobie pono jeźdźca wybiera, raz zaś

obrawszy, do śmierci przy nim zostaje. No, i to się może przytrafić, pomyślał cierpko, strach, ile niebezpieczeństw na wędrowca po gościńcach czyha. Zwłaszcza na dziewczkę, co się sama po świecie włóczy.

O zmierzchu Szarka wyszła na pokład i rzuciła jadziołka w powietrze. Kapłan uczynił znak odpędzający nieszczęście, zaś stwór zatoczył nad statkiem kilka kręgów, za każdym razem nieznacznie obniżając lot nad przelęknionym klechą.

- Zgiń, przepadnij, zmoro przeklęta! - mrucał pod nosem kapłan, obrzucając dziewczynę nieprzychylnymi spojrzeniami.

Niebo ciemniało powoli. Z zachodu płynęła ławica latających ryb; niespokojne, wyskakiwały wysoko i kilka już trzepotało się na pokładzie. Twardokęsek oblizał spieczone wargi. O świcie mieli przybić do brzegu. Nareszcie.

Szarka tkwiła przy burcie i patrzyła na wschód. Nikt się do niej za bardzo nie przysuwał. Kapłan raz po raz czynił znak odpędzający zło i mamrotał coś o kurewstwie, plugastwie i sromocie. Żalnicki książę, owinięty łaciatym płaszczem z kozłej skóry, drzemał albo drzemkę udawał. Szpakowaty najemnik majstrował z zacięciem przy podeszwie. Takież i rybacy, dając niezawodny znak rozsądku i przezorności, tylko ukradkiem spoglądali ku dziewczynie. Twardokęsek się temu za bardzo nie dziwował, bowiem obręcz dri deonema nosili zazwyczaj niepośledni szubrawcy. Wciąż jeszcze po Tragance straszono dzieciaki jednym z kochanków bogini, od ulubionego zajęcia zwanym Falownikiem.

Jedynie szyper, gwoli urzędu i wieku ku owej powinności najsposobniejszy, podszedł do dziewczyny i drapiąc się niespokojnie pod pachą, zagaił:

- Wiatr ustał. Nie odwróciła się.

- Będzie sztorm - oznajmiła.

- Czas sztormów już przeszedł - w jego głosie dźwięczał strach.

W głowie zbójcy zakiełkowało nieprzyjemne podejrzenie.

- Jakby coś w sztormie szło - ciągnęła. - I ku nam go popychało.

- Sandalya rozplotła warkocz - wyszeptał bezdźwięcznie Twardokęsek.

Zbójca nie wiedział, co stało się zarzewiem sporu pomiędzy Sandalya i Zażnicą, a po prawdzie to nikt już pomnieć tego nie potrafił. Pamiętano tyle, że ongiś szalona boginka Kanału obróciła w ruinę jaskinie Fei Flisyon. Uczyniwszy to, powróciła do swych ogrodów w północnych cieśninach, kędy prowadził stary kupiecki szlak. Odtąd też poczęła ścigać żeglarzy sztormami, jej pieśni stały się posępne i zwiastowały rychłą zgubę, zaś zaniedbane ogrody rozrosły się potężnie i pokryły powierzchnię splątanymi kłęczami, więząc niejednen statek. Cieśniny opustoszały. Kupcy woleli płynąć południowym przejściem, przedkładając niebezpieczeństwa mielizn nad furie obłąkanej boginki.

Jednak co jakiś czas szaleństwo Sandalyi wzbierało. Rozplatała wtedy warkocz sztormów i pustoszyła brzegi Traganki albo chwytala w uścisk huraganu zabłąkane na Kanale statki. Z tych jeno potrzaskane stępki na brzegu widywano.

Spojrzenia bezwiednie wędrowały ku obręczy na głowie Szarki, jakby poławiacze wierzyli, że zaraz wezwie pomocy Fei Flisyon i cudownym sposobem uniesie statek z morza. Lecz dziewczyna trwała w bezruchu, zwrócona twarzą ku nadciągającemu sztormowi. Oczy miała szeroko rozwarte, zdumione.

- Pani - szyper nieśmiało dotknął jej ramienia. - Pani...

Wówczas, bez ostrzeżenia, otoczyła ich pierwsza fala sztormu. Gwałtowny podmuch wichru cisnął statkiem i w jednej chwili porwał żagiel. Morze rozkołysało się gwałtownie, tworząc potężny, spieniony wir, który ich zagarnął i począł bezładnie miotać statkiem. Znienacka wszystko pociemniało. Potężna fala przewaliła się ponad zbójcą, wycisnęła dech z piersi. A za nią przysła następna, i jeszcze jedna. Szyper krzychał coś, jego głos nikał w łoskocie wichury i przelewającej się przez pokład wody. Obok Twardokęska bom uderzył jednego z poławiaczy w pierś i zepchnął w wodę.

Statek jęczał. Nie, właściwie zbójca niewiele słyszał, raczej od palców stóp aż po końce włosów wyczuwał przenikliwe skrzypienie, jakby statek zaczął opłakiwać własną śmierć.

Pomimo zawodzenia wichru i fal była to jedna z owych martwych chwil, gdy świat jest mały i nieruchomy, a Twardokęsek tkwił w niej, z całych sił uczepony burty, wyraźnie słysząc własny, zadyszany od strachu oddech. I wiedział, że w żadnym razie nie ocaleją, gdyż Sandalya nigdy nie wypuściła wolno statku płynącego od strony Traganki.

Nie pamiętał później, jak długo trwał sztorm. Gdy oprzytomniał, ujrzał Szarkę tulącą łeb skrzydłonia. Podniósł się z klęczek, stanął na miękkich kolanach i potoczył wzrokiem po pokładzie. Dwóch rybaków zmyło za burtę, lecz nie dbał o nich, reszta natomiast wydawała się mniej lub bardziej przytomna. Prócz kapłana, który skowycząc obejmował zakrwawioną głowę, ale też zaczynał dochodzić do siebie. Szyper tkwił przy okaleczonym sterze. Zbójca widział jedynie jego przygarbione plecy i ręce, zbiełate od wysiłku, poznaczone węzłami żył.

Ciężkie, nabrzmiate od sinych chmur niebo zdawało się napierać na strzaskany maszt. Powierzchni wody nie burzyła ni pojedyncza fala, cień ptaka, grzbiet ryby, lecz statek nieustannie posuwał się naprzód, wiedziony czymś, co napełniało Twardokęska grozą.

Szarka wykręciła wodę z włosów. Tętnienie kropel po pokładzie wyrwało ich z odrętwienia.

- Jesteśmy w prądzie - szyper odezwał się głosem człowieka, który stracił nadzieję. - Sandalya pędzi nas wprost do swych ogrodów.

- Trza mnie było słuchać! Trza było zawczasu tę przeklętnicę obmierzłą zaszlachtować! - wykrzyknął uczepony ułamek masztu kapłan. - Toż ona na nas nieszczęście sprowadza! I owa obręcz,

co ją na łbie nosi, zaprzaństwa i kurewstwa wszelakiego znak dowodny!

Rosły, rudowłose rybak obrócił się ku niemu niespiesznie i z zamachu trzasnął w gębę. Kapłan zawył, z nosa puściła mu się krew.

Prąd unoszący statek zwolnił wyraźnie. W powietrzu gęstniała delikatna, grafitowa mgła.

Coś z chrzęstem otarło się o kadłub.

Rybacy poczęli kolejno opadać na kolana, unosząc dłonie w błagalnym geście i odmawiając głośno litanię do Fei Flisyon.

- Od niespodziewanej śmierci na morzu obroń nas, matko wysp nieprzeliczonych... - usłyszał Twardokęsek.

Statek napotkał kolejną przeszkodę, zatrzymał się, szarpnął i popłynął dalej. Księżę wskazał niewyraźne kontury unoszących się na powierzchni wody roślin, zrazu nielicznych, potem zaś coraz gęstszych i coraz potężniejszych.

- Nadciągają - głucho powiedział szyper.

Statek raz po raz wiązał w gąszczu podwodnych roślin, których grube gałęzie zdawały się jak żywe zaciskać wokół kadłuba.

Mimo mgły Twardokęsek dostrzegał majaczące po obu burtach wraki.

- Nie powinienem pozwolić ci wsiąść na ten przeklęty statek, synu - rzekł Przemęka.

Żalnicki księżę położył dłoń na jego ramieniu w milczącym geście wybaczenia, zaufania i zbójca sam nie pojmował, czego jeszcze. Obaj zdawali się opanowani, nie tyle spokojni, ile właśnie opanowani. Odlegli ową nieuchwytną obcością szlachetnie urodzonych panów, którzy są zbyt wyniośli, by płakać, i zdychają bez słowa skargi.

Nienawidził ich. W jednej chwili Twardokęsek znów stał się umorusanym, wygłodzonym dzieciakiem, na kształt wszy uwieszonym matczynej spódnicy, i patrzył, jak przejeżdżają przez wioskę w rok najazdu barbarzyńskich norhemnów. Pamiętał ich konie o smukłych, kształtnych pęcinach i szlachetnych łbach, jakże odmienne od spracowanych wioskowych chabet, którymi wzgardzili nawet norhemni, i pamiętał, jak pięknie dźwięczały podkowy na kamiennej ścieżce, gdy odjeżdżali.

Potem nadeszła zima, długa i śnieżna, podczas której poznał smak mąki z dębowej kory i wywaru ze starej skóry. Wielu umarło, a człowiek nie umiera łatwo z głodu. W pewien mroźny poranek matka Twardokęska nie wstała z łóżka. Zawlókł ją do drewnutni. Śnieg zasypał podwórze, a on był niewielki, więc zajęło mu to całe przedpołudnie. Nim minął tydzień, pokonał tą drogę ponownie, z kociołkiem i nożem do mięsa. Jak nakazywał zwyczaj, matka miała trzy noże, jeden do chleba, drugi do mięsa, trzeci do innych rzeczy i bardzo pilnowała, aby ich nie mieszać. Więc nie mieszał i mówił do niej. Wybacz, matko, najważniejsze, żeby przeżyć, a ty jesteś martwa i żyjesz

tylko tyle, ile ja.

To była długa zima. Kiedy minęła, Twardokęsek powędrował na Przełęcz Zdechłej Krowy. Odpędzano go kijami, lecz wracał za każdym razem. Aż wreszcie nie mogli już go odpędzić.

Nie pamiętał przecież jej twarzy i nie pojmował, dlaczego przypomniał sobie o niej w ogrodach Sandalyi. Zbójca wzdrygnął się z nagłą, jak kundel pod strugą po - myj. Zbyt odległy ból, dawno zapomniana nienawiść. Przestraszyły go.

Rybacy miarowo mamrotali modlitwy, jałowe i daremne. Kapłan przykucnął, nadal ściskając resztki masztu, z ust spływała mu cienka struzka krwi. Żalnicki wygnaniec i Przemęka natomiast tkwili na rufie i z godnością wpatrywali się w grafitową mgłę.

Twardokęsek zaśmiał się sucho.

Księżę spojrział na niego, jakby dopiero wtedy dostrzegł, że jeszcze żyją; spojrzenie szarych oczu było obojętne i odległe.

W dole, na powierzchni morza, rośliny wiły się niczym tłuste, bezgłowe robaki.

Śpiew Sandalyi nadciągnął jak pierwszy, słaby podmuch wiatru. Przejmująca, pojedyncza nuta z pogranicza bólu wciągała statek coraz głębiej w mgłę i skłębione wodorosty. Księżę powoli opuścił dłoń na głowicę Sorgo, potężnego, oburęcznego miecza żalnickich panów.

Szarka odsunęła skrzydłonia i wyprostowała się. Na jej oblepionej mokrymi włosami twarzy malowała się udręka. Uczyniła szybki, przeczący gest w kierunku księcia i jego miecza.

- Zabijałem już wcześniej - odpowiedział. Nie podkreślał słów, lecz każde potoczyło się jak osobny, owalny kamyczek.

- Ja również. I nie tylko mieczem - rzekła.

- Dlaczego? - spytał cicho. - Dlaczego?

- Czy teraz - z gorzkim uśmiechem potoczyła ręką - czy teraz czas i miejsce, by o tym mówić?

Zbójca znów się zaśmiał, spoglądając na tych dwoje głupców, spierających się, które pierwsze stawi czoło boginie w jej żywiole. Niech więc będzie i tak, myślał, zaś przenikliwa, rozedrgana pieśń szeptała do niego o śmierci.

Głos Sandalyi potężniał. Wpływali weń niby w coraz głębszy cień lasu.

Poławiacze zaprzestali litanii, lecz nadal klęczeli. Pięciu wysokich ryzobrodych mężczyzn o grubych dłoniach i brązowej, spieczonej skórze, której nigdy nie opuszczał zapach morza, o włosach poprzetykanych siwizną. Zbyt starych, by na kupieckim statku ruszyć ku Skalmierzowi czy na Pomort, lecz wciąż wystarczająco krzepkich, by wypływać na połów. Twardokęsek przelotnie zastanowił się nad podobieństwem ich twarzy, pobielających i wyostrzonych od grozy - tej przeżytej i tej

przeczuwanej. Zapewne byli spokrewnieni i stracili tego dnia dwóch spośród siebie, braci, synów, nie wiedział.

Szarka nie czekała. Łagodnie odsunęła klęczącego szypra i stanęła na dziobie. Kłęb grafitowej mgły ogarnął ją, lecz smuga włosów przebiła się przez ćmę jak długa, złotoruda witka. I kiedy napłynął kolejny kłęb mgły wraz z silniejszą falą śpiewu boginki, Szarka także zaczęła śpiewać. Jej głos wzbił się ponad pieśń Sandalyi, przejrzysty, odległy.

Jak opisać tamte dwie pieśni, które zabrzmiały w miejscu zatracenia? Sandalya śpiewała swoje szaleństwo, ściągając na nich mrok i zagładę, pożądanie ostrego żelaza w sercu, śmierci wśród oślizgłych, chłodnych łodyg wodorostów. Zbójca widział, jak jego własna dłoń powoli skrada się ku wbitemu w pokład rybackiemu nożowi i niewiele, jakże niewiele brakowało, by uległ pokusie, gdyż wszystkie nienawiści, wszystkie udręki jego małego, parszywego życia zlatywały się do pieśni Sandalyi.

Osnowę pieśni Szarki stanowił smutek, kryształowa, jasna rozpacz i tęsknota - nieskończona, gdyż daremna. Pośród odłamków wiosel, resztek masztu, w ciemnej, grafitowej mgle oplakiwała niezrozumiałą dla Twardokęska stratę.

Pieśń Sandalyi umilkła i grafitowa mgła rozwiła się nieco. Twardokęsek podniósł wzrok i zdjął go lęk, gdyż ujrzał nadciągającą ku nim wyniosłą falę. Szarka także ją dostrzegła, lecz nie przestała śpiewać, doprowadziła melodię do ostatniej nuty i ostatniego słowa. Wówczas fala zawisła nad dziobem statku i opadła blisko, o wyciągnięcie ręki.

Na jej szczycie, w brunatnych i mlecznych smugach piany stała Sandalya w przykrótkiej tuniczce z gnijących wodorostów. Na jej ramieniu spoczywał warkocz sztormów, spleciony z włosów szarych, niebieskich, zielonych, granatowych i czarnych.

- Śpiewałaś! - odezwała się przejmującym i w owej chwili pełnym wyrzutu głosem. - Przywołałaś mnie pieśnią, zapewne nie bez przyczyny.

- Byś pozwoliła nam odejść.

- Nielicha to prośba - niechętnie odparła Sandalya. - Nielicha, a raczej zuchwała, zważywszy, skąd przyływasz i czyj nosisz znak. Nie ma przyjaźni pomiędzy mną i Feą Flisyon z Traganki, a także pomiędzy mną i tymi, którzy jej służą. Na darmo więc przywołałaś mnie pieśnią.

- Przywołałam cię - spokojnie rzekła Szarka - ponieważ mój smutek dorównuje twojemu i nie powinno być między nami waśni. Pozwól nam przejść, przedsięwzięcowa. Nie służę nikomu prócz siebie.

Boginka zaśmiała się szyderczo, okręciła na spienionym grzbiecie fali i znów zaśmiała.

- Przywoływałaś mnie poprzez wodę i poprzez zapomniane imiona z odległych miejsc, ale cóż stąd? - zaśpiewała. - Cóż mi po twojej pieśni, cóż mi do twojej straty? Słuchałam, bo on też miał ów nieokiełznany ogień we włosach; ten, którego obręcz nosisz. Skąd u ciebie podobny ogień,

śmiertelna?

- Po Iskrze, od której pochodzę - odpowiedziała Szarka.

Brwi Sandalyi, wąskie, ciemne smugi na seledynowym czole, zmarszczyły się, nadając twarzy wyraz zatroskanego dziecka.

- Więc powinni cię raczej zabić - rzekła.

- Wielu próbowało - stwierdziła Szarka z odległymi nutami smutku w głosie. - I więcej jeszcze zginęło za przyczyną tych, którzy próbowali. Nie ma we mnie pragnienia twej śmierci, przedsięwzięcowa, lecz moja strata jest większa od twojej. Nie masz prawa mnie zatrzymywać. Zapłacałam. Za przejście przez twoje ogrody także zapłacałam.

Woda pod stopami boginki zasyczała gniewnie, spieniła się, spotężniała i wydeła wysoko nad statkiem. Zielone źrenice Sandały! zmętniały. Twardokęsek wzdrygnął się. Bał się, że zagniewana Sandalya przykryje ich falą.

Nie widział nic, prócz pleców Szarki, smugi włosów na mokrym, ciemnym kubraku, dwóch mieczy i błękitnego, cichego skrzydłonia u jej stóp. Gdy Sandalya znów przemówiła, jej oczy były przytomne i łagodne jak wieczorna bryza, jak jesienny zmierzch.

- Zapomniałam - wyszeptała boginka. - Tak wiele zapomniałam, prawda? Więc teraz twój smutek, twoja strata... - urwała.

- Dobrze więc - podjęła po chwili - uznaję twoją tęsknotę. Co do straty zaś, ostrzegam cię przed znakiem, który nosisz na czole, gdyż nie jest prawdą, że płaci się raz. Płaci się raz i drugi, a potem na nowo i bez końca.

Zbójca nie dosłyszał słów Szarki.

- Przyjmij ode mnie ostrzeżenie. W podzięcie za pieśń. Gdyż jakże możesz wiedzieć, komu służysz, śmiertelna?

Fala przybliżyła się jeszcze bardziej do statku. Boginka pochyliła się nisko nad dziewczyną i zajrzała w jej oblicze. Szarka powoli zdjęła rękawicę z jeleniej skóry i wyciągnęła rękę. Na chwilę te dwie dłonie, wąskie niczym dwa bliźniacze liście turzycy, zetknęły się. Później fala cofnęła z szumem, unosząc boginkę i kłęby grafitowej mgły. W górze, na czerwonym, południowym nieboskłonie znów świeciły gwiazdy, a ciszy nie mąciło nic prócz śpiewu latających ryb. Zbójca zrozumiał, że ocaleli.

- Jestem znużona, potwornie znużona - powiedziała Szarka, nie do Twardokęska i nie do szypra nawet, lecz do żalnickiego księcia - i dzisiejszej nocy potrzebuję światła gwiazd, więc zostanę na pokładzie.

- Nie będziemy o to walczyć - odparł bardzo cicho, usuwając się z rufy. Twardokęsek odgadł, że on również pamięta przejmujący smutek jej pieśni.

Książę pociągnął za sobą najemnika i poszli wylewać wodę spod pokładu. Szarka, ciężko wsparta na grzbiecie skrzydłonia, przeszła na rufę i zwinęła się na nagich, mokrych deskach. Błękitnoskrzydły wierzchowiec, mrucząc, przytulił się do jej pleców.

Wiatr łagodnie popychał potrzaskany statek ku brzegom i Twardokęsek czuł, że nie napotkają dalszych niebezpieczeństw. Dumął nad tym, co się zdarzyło, najbardziej zaś nad niepojętymi słowami boginki, że Szarka powinna zostać zgładzona z powodu koloru jej włosów i za przyczyną Iskry, o której nigdy wcześniej nie słyszał.

Poprzysiął sobie, że opuści ją jak najszybciej.

Leżała nieruchomo, lecz kiedy chciał dołączyć do pracujących w ładowni, zatrzymała go, mówiąc:

- Masz zostać przy mnie, Twardokęsek, i opowiedzieć, co wiesz o... - zająknęła się - o żalnickim księciu.

Zbójca skrzywił się niechętnie. Nie lubił mówić i zazwyczaj mówił mało lub wcale. Kiedy jednak dojrzał, jak kapłan zaczyna im się chyłkiem przysłuchiwać, zeżlił się niepomiernie.

- Jedno to wielkie było kurewstwo, owo żalnickie władztwo - zaczął zgryźliwie. - Kurewstwo, grabież i sromota. Zawdy się nad inne nacje wynosili, z nikim w przyjaźni nie żyli. Toż jak nas tu, w Górach Żmijowych, zwierzołacy prześladowali, to Żalnicy jeszcze i sami się na nas wyprawiali. Krucjaty, kurwi synowie, czynili.

- Boście zaprzańcy! - nie zdzierzył kapłan. - Bogom przeciwni! Plemię psie obmierzłe! Was nawet bóg odstąpił. Na wygnanie iść raczej wołał, niżli dalej was cierpieć.

- Ale zakon ze sobą zabrał! - triumfalnie obwieścił Twardokęsek. - Nie zostawił, by z psami pospółek do księżycy wyli, jako Bad Bidmone ze swymi kapłanami uczyniła. A u was na gębie skąd blizny? Nie po znakach w jej świątyni kłutych? Wyście kapłan, człek godny, tedy mi rzeknijcie, gdzie się Bad Bidmone ukryła? I czemuż was ze sobą nie zabrała? Hę?

Kapłan posiniał, blizny mu krwią nabiegły.

- Tedy cicho siedźcie! - zaśmiał się zbójca. - Jako rzekłem, zawdy źle się tam działo, ale kiedy stary kniaź nastał, co go teraz Smardzem zowią, to Żalniki do reszty w świńskim łajnie ugrzęzły. Bo to, widzicie, umyślił sobie kniaź, że jak my tu wszyscy jedną mową gadamy, trza nas pod jeden knut spędzić. Imperium mu się roiło, a ichniejsza bogini, Bad Bidmone, jeszcze mu w tym bębenka podbijała. Rychło się Smardz z sinoborskim kniazem Krobakiem, co po drugiej stronie Wewnętrznego Morza siedzi, sprzymierzył, a wedle tego przymierza Krobak mu dziewczkę własną za żonę przysłał. Wywianował ją należycie, trzy galeoty za nią przysły, suto dobrem wyładowane. Smardz traktaty opieczętował, weselisko huczne odprawiono. Potem galeoty nazad odpłynęły, a po kraju słuch poszedł, że żalnicki pan żonę w wieży zamknąć kazał.

- Bo się z nieprzyjaciółmi zmawiała! Ze Skalmierskimi, cośmy z nimi natenczas wojowali! -

zachnął się kapłan. - Harda była, poganka, nikogo w powadze nie miała, ni kniazia, ni świątyni samej. Miast kądziel prząść, przeniwierstwa i zdrady się jęła. Jak po nią pacholkiwie przyszli, topór ze ściany chwyciła. Nic jej było męża zbrojnego rozszczepić, przekłębny!

- Widać rozumna była niewiasta - mruknął zbójca. - Wam się podówczas trzeba było ze Skalmierskimi układać, jeno nikt tego Smardzowi rzec nie śmiał. Z wiosną żona mu zległa. Dziedzica już lada dzień wyglądano, tedy jej nieco pofolgował, do niewieścich komnat wrócić zezwolił. I tu się Smardz przeliczył. Choć brzemienna, przecie to była wyspiarka, Krobakowa dziewczka. Podbuntowała pacholków, do ojca w skok poszła, że jeno po gościńcu furkotało. Ale przecie ją Smardz zgonił, do Uścieży zawlókł i tam mu się dziedzic rodził, onże sam sławetny nasz wygnaniec. A dziewczka pomarła. Pono w połogu ją goręta zdusiła, ale mało kto temu dowierzał, a po cichu to i o truci - źnie prawiono.

- A bodajby was kurdziele zmogły! - warknął Kostropatka. - Jako pies zajadły przeciw prawdzie i sprawiedliwości szczekacie.

- Krobaka mało cholera nie zadusiła o to umorzenie córki - wzruszył ramionami Twardokęsek. - Wnet na zięcia uderzył. Smardz, od wszystkich jako locha psami opadnięty, układow jąc się musiał. Kniazia Krobaka o miłosierdzie błagać nad Cieśniny Wieprzy wyszedł. Bez jezdnych, tylko samowtór z dziecieniem owym po Krobakowej córce, co mu w pieluszkach kwiliło. I uładzili się jakoś.

- Wrócił się potem Smardz do stolicy. Syna do świątyni Bad Bidmone na wychowanie oddał i zaraz wici na nową wyprawę rozesłał. Ale wtenczas szlachta żalnicka okoniem stanęła. Rokosz zwołali, na Wilnickich Błoniach, i prosto w oczy kniaziewi rzekli, że oni są ludzia wolna, z dawien dawna w Żalnikach zasiedziła, że oni ceduły pergaminowe mają i przywileje, i nie kniaziewi, ale prawu są podlegli. A prawo jasno stanowi, że się bez ich zgody wypraw wojennych nie będzie zwoływać. Skoro więc kniaziewi na wojnę tak spieszo, niech sobie na nią jedzie, ale sam. Niesmaczne było Smardzowi owo posłanie i bardzo na nie zębami zgrzytał. Z pierwsza kasztelana wilnickiego zdrajcą okrzyknął i nim kasztelan na mękach szeźł, siepaczy przeciwko co znacniejszym rokoszanom posłał.

- Tego już żalnickiej szlachcie nadto było! - zarechotał radośnie Twardokęsek. - Bo też trza wam wiedzieć, że żalnicka szlachta harda jest i nad podziw do warcholstwa skłonna. Nim się Smardz dobrze po zadku zdążył podrapać, wszystko, co żyło w Żalnikach, na koń siadało, grodozierców kniaziewych tłukło i do Rdestnika gościńcem pędziło. Pod samą stolicą dwa hufy zaciężnych na szablach mu roznieśli, po wszystkich Krainach Wewnętrzznego Morza było dziwowisko i radocha. Cytadelę Smardzową z marszu wzięli, ale się tak tam okowitą popili, że im kniaz do kąciny umknąć zdołał. Przyłgnęli przeto popod przybytkiem, miejsce święte uszanowali, a jakże, ani jednego jabłka ze świątynnego sadu nie oberwawszy. Tyle że nikogo prócz kapłanek za bramy nie puszczały, a i kapłankom na trakcie pod kapice zagłądali, czy u nich aby białogłowska natura. Aż mnie ciekawość spiera, co mężowskiemu plemieniu czynili - złośliwie spojrział na kapłana.

- Z miesiąc tak popasali. Potem, zniszczenie okrutne w mieście poczyniwszy, z wolna się rozleźli, bo się żniwa na dobre rozpoczęły. Kniaz do pierwszych przymrozków nosa z kąciny wychylić się nie ośmiał. Gdy zaś wreszcie zeń wychynał, dziwnie spokorniał i więcej o wojnie nie

gadał. Może mu na koniec bogini do rozumu przemówiła. A czas był najwyższy.

- I tyle byłoby ze Smardzowego imperium, gdyby się na koniec alchemiej nie wziął - zbójca podrapał się po brodzie. - Uwierzycie, jaka to po ludziach głupota? Samem na jarmarku takiego alchemika oglądał, co z jajecznego białka diamenty czynił. Wielce się temu dziwowano. W ćwierć dnia mu owe diamenty rozkupiono, magik tyli grosz zebrał, że na kamienicę w Spichrzy na Solnym Rynku starczy. Ale ledwo jego kobyła, alchemicka jej mać, rogatki minęła, wraz się owe diamenty prosto w jajeczne gluty obróciły. Taką to i z owej alchemiej korzyść a pożytek.

- Wszakóż Smardz sobie umyślił, że mu alchemiczna sztuka prosto z siana złoto wyprząść dozwoli. Wprzódy się ludziska tylko natrzęsali. Książ rozmaite wydrwigrosze do Rdestnika ściągał, wieżę im z czarnego kamienia pobudował, gdzie sztuki magiczne i srodze smrodliwe odprawiali. Miru to już wtedy książ żadnego po kraju nie miał. Nawet mieszczanie rdestniccy coraz bardziej przeciwko magikom się burzyli, szczególnie po tym, jak od owej alchemiej pół miasta z dymem poszło. Bogini książa do Uścieży wyprawiła, póki się wszystko nie utrzęsie. Dziewka tam była, Irga ją wołali, alchemiczka ze starej familiej, co się zawdy sekretnymi sztukami parała. I nim się księżyc odmienił, książ ową dziewczkę durną do cna zbałamucił. Jedni gadają, że ślub z nią sekretny brał, inni, że za załóżnicę była, ninie to bez różnicy. Kazał jej alchemickie złoto w tyglach prażyć. Ale i w tym mu się nie poszczęściło, bo dziewczka, choć srogo otumaniona, nie kwapiła się kruszcu szykować.

- Szlachta się żalnicka natenczas wcale nie pomału sposobila książa gdzie po cichońku ubić, a syna jego na stolcu posadzić, stryja Jastrzębca mu do boku przydawszy. A Smardz też się gotowił. Do Wężymorda na Po - mort posłów odprawił, pomocy prosił, choć mu to Bad Bidmone srogo odradzała. Smardz już nikogo słuchał, nikomu dowierzał. Jeno Pomorców wyczekiwał. I przyleźli, a jakże, sam Wężymord ich prowadził. Ani się kto obejrzał, jak cały dworzec wyrznęli, po sprawiedliwości... Smardzów syn na północ ubiezał, a Zarzyczkę, co ją z ową alchemiczka książ miał, nad Cieśniny Wieprzy Wężymord wywiózł - urwał i spojrzął na dziewczynę.

Szarka spała. Skulona przy błękitnoskrzydłym wierzchowcu, zwinięta w kłębek.

ROZDZIAŁ TRZECI

W lekkim, ciepłym deszczu dryfowali do brzegu. Statek posuwał się niezdarnie, popychany wiatrem, który był pożegnalnym podarunkiem od Sandalyi. Szarka spała, tylko jadołek, przyczajony u jej stóp, bacznie toczył wokół miodowymi ślepiami. Płynęli w ławicy wielkich ryb, raz po raz wyskakiwały nad wodę po obu burtach. Zbójca nie pamiętał ich nazwy, ale wiedział, że co roku dążą w górę rzek, coraz wyżej poprzez Góry Żmijowe, by tam zdechnąć.

Nie dbał o złe wróżby. Umiał się o siebie zatroszczyć i pragnął jedynie jak najszybciej uwolnić się od grozy zalegającej na śliskich deskach pokładu.

O świcie statek ugrzązł na mieliźnie. Nie mogli nic uczynić, nie próbowali nawet. Na szczęście morze było spokojne, brzeg zaś bliski. Szarka powstała powoli, uczepiona szyi błękitnoskrzydłego wierzchowca.

- Daleko nas zniosło - odezwał się znużonym głosem szpakowaty. - Poznaję tamte skały. Krogulczy Grzebień. Okolica solarzy. Mają zwyczaj obrabowywać wraki.

- Przynies juki, Twardokęsek - Szarka ocknęła się z otępienia.

Z wysiłkiem zarzuciła sakwy na skrzydłonia. Zwierzę odwróciło łeb i parsknęło z wyrzutem, lecz stało spokojnie. Książę dotknął ramienia szypra.

- Możecie iść z nami - powiedział. - Doprowadzimy was do traktu.

- Nie trza - strzyknął śliną. - Przyłgniem na brzegu, a nie nas, jeno was tropić będą.

Twardokęsek nerwowo oblizał wargi. Przechodził już przez wybrzeże solarzy, tyle że zrazu go nie rozpoznał. Ludzie żyli tu nędznie ponad wszelkie wyobrażenie. Pamiętał jeszcze osadę przy trakcie, nocleg w ciemnej, zatęchłej chacie, rybną polewkę i dziewczkę, która wsunęła się ukradkiem na jego posłanie; najchudsza polewka i najbrudniejsza dziewczka, jakich doświadczył w życiu.

- Będą stali na każdej ścieżce do gościńca - rzekł chrapliwie. - Chłopstwo tu z rabunku żyje.

- I ja szedłem tędy zeszłej jesieni - skinął głową Prze - męka. - Są głodni, obleżą nas jak wszy żebrackie. Prędzej czy później napadną nas, będą szarpać, póki się nie przedrzemy na sam gościńiec. Złe się stało, bardzo złe.

- Jest wszakoż ścieżynka - dodał po chwili namysłu. - Nie szlak, ale my nie możemy zwlekać - zniżył głos. - Suchywilk nieufny jest i podejrzliwy, ani dnia czekać nie zechce, jeśli nie zjawimy się o umówionej porze. W złą godzinę wsiedliśmy na ten statek - dokończył głośniejszym głosem - w gorszą jeszcze przybiliśmy do brzegu. Ścieżka szczytami idzie, nie będą nas ściagać. Albo niezbyt długo.

Zbójca popatrzył na niego spod opadających mu na twarz skołtunionych włosów. Znał góry,

znał je tak dobrze, jak każdy, kto spędził trzy tuziny lat na Przełęczy Zdechłej Krowy i bywał już wcześniej w podobnych miejscach.

- Skalniak? - spytał sucho. - Czy inne plugastwo?

- Przyzywający - przytaknął Przemęka. - Pójdę pierwszy, potem Kostropatka. To jedyny sposób.

Jednak ani książę, ani Szarka nie zrozumieli i Twardo - kęskowi przypadło w udziale wyjaśnić, czym jest Skalniak. Wy tłumaczył więc, nie pominawszy i tego, że istnieje zapłata, stara i niezmienna. Jeden spośród tych, co wejdą na ścieżkę złego.

Książę nie wydawał się zaskoczony lub krył to zbyt dobrze. Choć bowiem w Żalnikach Skalniacy nie siedzieli, wiele innego zła się tam po dąbrowach lęgło, bobaków, mechszyce i prządek, ludzie więc do nagłej grozy przywykli. A groza jedna jest, pomyślał zbójca, jedna śmierć, sprośna tanecznicza, choćby i od Skalnego, co w podziemne legowisko człeka przywabia.

- Gdzież ta ścieżka? - nieoczekiwanie odezwała się Szarka.

Stała nieco z boku, po części z powodu niechęci pozostałych, po części zaś z własnego wyboru. Szerokie rękawy nawilgłej seledynowej koszuli przylgnęły jej do ramion, krótka, wystrzępiona spódniczka lśniła srebrzystymi haftami norhemnow.

- Po co ci wiedzieć, dziewczko? - opryskliwie spytał kapłan. - Dość już ściągnęłaś nieszczęść, idź swoją drogą. Masz skrzydłonia, nie musisz się strachać solarzy.

- Nie jest łatwo go w powietrzu poskromić. - Włożyła nabijany żelazem kubrak. - Bardziej on jadziołka słucha niżli mnie, a ja jestem wyczerpana.

- A juści! - warknął kapłan. - A juści!

Skrzydłoń zwrócił łeb ku Szarce, jego sierść przybrała od deszczu głęboki odcień akwamaryny. Trącił pyskiem ramię kobiety i zamruczał pieszczotliwie.

- Odnajdziesz ścieżkę, Przemęka? - spytał książę. - Bo lepiej nam już między solarzy wleźć, niż się gdzieś w uroczyśka zapaść.

- Jest osada po drugiej stronie Krogulczego Grzebienia. Stamtąd drogę znam.

Szarka ześlizgnęła się po burcie, zanurkowała.

- Nie chcę jej mieć za plecami - mruknął książę.

Sojusznicy na jednej ścieżce, pomyślał zbójca, sojusznicy dla musu, co nad strachem przeważa. Lecz nie druhowie.

Deszcz nie ustawał, monotony jak złorzeczenia Kostropatki. Wspinali się po porośniętym

rzadką trawą i karłowatymi krzakami urwisku. Przemęka prowadził, za nim podążała Szarka i skrzydłoń, który nie odstępował jej ni o krok, dalej zaś księżę, kapłan i na koniec Twardo - kęsek. Szli szybkim, niedbałym krokiem ludzi przywykłych do wędrówki. Jedyne chód kapłana wymykał się owemu rytmowi. Zbójca był pewien, że ów pokryty koszmarnymi bliznami człowieczek wkrótce osłabnie i zacznie opóźniać pochód. Najchętniej więc postąpiłby wedle zwyczaju z Przełęczą Zdechłej Krowy i zaszlachtował go bez namysłu. Zgadywał jednak, że skrupuły pozostałych staną mu na przeszkodzie.

Kostropatka potknął się o korzeń koślawej sosenki i upadłby niezawodnie, gdyby zbójca nie chwycił go za ramię. Pojedynczy kamyk potoczył się po skarpie, po skałach ledwo co przysłoniętych sinymi porostami i skąpymi wiechciami trawy. Stado drobnych, brunatnych ptaszków pierzchło ze świergotem spomiędzy kolczastej chrzęśli u podnóża stoku. Twardokęsek zaklął w duchu, plugawo, soczyście.

Na krańcu cypla Przemęka przystanął i w milczeniu wskazał pokłady mgły poniżej północnego zbocza. Zbójcy donośnie zaburczało w brzuchu. Noc spędził wylewając wodę z ładowni i wciąż nie zanosilo się na popas.

Szarka opierała się ciężko na grzbiecie skrzydłonia. Twardokęsek wiedział, że rozmowa z szaloną boginką kosztowała ją ogromnie dużo, znacznie więcej, niż była skłonna przyznać. Śmiertelni mają swoje miejsce, sarknął w myślach, przedsięwzięcowi swoje, a dziewczka powinna była zostać na Tragance, u Zaraźnicy. Choć po dwakroć zawdzięczał jej życie, w jego oczach była nieczysta, jak więdźmy z ich ciemną magią, wysnutą z krwi, ziemi i śliny, lecz bardziej jeszcze niż one skalana - kochanka bogini, która zsyła gorączkę kości i szkarłatny dur. Przypomnił sobie ciemną ładownię dwie noce temu, kiedy zrzuciła go z siebie jak szmatę i wzdrygnął się. Nieczysta, nieczysta dziwka.

Głównie jej mieczy i obręcz dri deonema lśniły od wilgoci.

- Poprowadź do osady, Przemęka - postanowił księżę.

- Pono wymykamy się solarzom - zauważył zgryźliwie Twardokęsek.

- Znaleźli nas - księżę wzruszył ramionami. - Szli pod urwiskiem.

- Akurat! - obruszył się zbójca, zdecydowany nie dodawać żadnego z należnych księciu tytułów. - Pewno się wam coś ze strachu zwiduje.

- Trzech ludzi. - Twarz Szarki była popielata. - Na początku szło czterech i coś niewielkiego, chyba dziecko. Potem dwoje odeszło.

Przekonały go nie słowa, lecz jej cichy, jednostajny głos. W gruncie rzeczy mieszkańcy wybrzeża byli trwożliwi, jak to wieśniacy, a kapłani Cion Cerena Od Kostura, którzy ciągnęli niemałe dochody z pobieranego na gościńcu myta, zaciekle ścigali zbójów. Poczekają, pomyślał, aż zapuścimy się głębiej w góry, pójdą naszym śladem cały dzień, a w nocy, z daleka od wioski, poderzną nam gardła. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Po złych zbiorach w Górach Żmijowych mieszkańcy całych okolic polowali na podróżnych, a wybrzeże solarzy cieszyło się wyjątkowo złą

sława.

- Miecze - książę wyciągnął rękę. - Nie chcę, żeby w osadzie zapamiętali dziewczkę z mieczami.

Ku zdumieniu Twardokęska, usłuchała. Odpięła szarszuny, oba w ciemnych, nie zdobionych pochwach, i położyła na głazie obok ścieżki.

- Bierz, Kostropatka - rzucił książę.

Kapłan wysunął ostrze z pochwy i złożył niezgrabny parat, nieledwie muskając czoło dziewczyny. Szarka nie cofnęła się ani o krok, uśmiechnęła się tylko zimnym, podstępny uśmiechem. Nie powinien był dawać Kostropatce jej mieczy, pomyślał Twardokęsek, ona walczy żelazem i przychodzi ze stron norhemnów, gdzie skalane ostrze czyści się krwią.

- Takoz twoja gęba - ciągnął książę - zanadto w oczy kluje. Owiniemy ją szmatami.

- Istotnie - Szarka oderwała z rękawa szeroki pas materii i zbliżyła się ku kapłanowi rozkołysanym krokiem. - Rychło da się temu zaradzić - i nim zdążył cokolwiek uczynić, czerwony kamyk w rękojeści szyletu błysnął jak żmijowe oczko.

Kapłan wrzasnął.

Twardokęsek machinalnie potarł rozległą, zbielałą bliznę na policzku. Raz, jeden raz jeno, rzucił się oglądać szabelkę servenedyjskiej wojowniczkii. Piękne było ostrze, giętkie a mocne, dziwną sztuką hartowane. Zagapił się jak głupek, ani się obejrzał, kiedy go Servenedyjka przez łeb cięła. Dopiero potem mu Mroczek, człek bywały, obyczajnie dzikich znający, wyłożył, że jak nic go ubić mogła. Taka to u nich obraza, kiedy kto nie pytany miecz chwyci.

- Ty wiedźmi pomioście! - zaryczał wściekle Kostropatka. - Skortyzanko przekłeta!

Rzuciła im tylko krótkie, kapryśne spojrzenie.

- Skrzydłoń niech luzem idzie, popod graniami. - Nie czekając, zaczęła schodzić ku osadzie. - Bo mi jeszcze udacie, że to krowa na niebiesko ukraszona i miasto skrzydeł wiechciem dla niepoznaki przybrana.

- Jakże to?! - sierzcił się kapłan, rozmazując rękawem posokę na twarzy. - Toć pomiata nami, suka, jako chce! A wy tak? Bez słowa?

- Drasnęła cię ledwie. Czyste cięcie, aby upuścić trochę krwi - odpowiedział zgryźliwie Przemęka - a bogowie świadkami, żeś dobrze na nie pracował. To kobieta norhemnów, lżyj ją dalej, a wyrwie ci wątrobę i zeżre na surowo.

- Ona nie jest z norhemnów - sprostował zbójca.

- A ciebie jak zwą? - spytał Przemęka.

- Derkacz - burknął, bo też to miano jeszcze na Traganca sobie umyślił. - I nie jestem z nią - dodał, choć myśli, że tłumaczy się przed nimi, zeżliła i rozgoryczyła go zarazem.

- Starczy gadek - zganił ich ksiązę. - Ruszajmy, nim dzień cały przemędrkujecie.

Wkrótce zabrnęli w cuchnącą, rozmokłą ziemię pomiędzy rzędami krytych sitowiem chat. Gromadka dzieciaków obrzuciła ich patykami i grudkami cuchnącej mazi. Kobiety tylko stały w drzwiach i patrzyły. Na widok Szarki w czerwonej chustce na szyi i postrzępionej, odsłaniającej uda spódniczce ich wzrok stwardniał jeszcze bardziej. Młoda dziewczka w bezkształtnym juchtowym stroju wybiegła na ulicę i chlusnęła im prosto pod nogi strugę pomyj.

Na rynku, przy studni, stadko kurcząt melancholijnie grzebało w błocie. Karczma naprzeciw wyglądała niewypowiedzianie nędznie. Z początku uderzył ich zmieszany odór ryb, przypalonego tłuszczu i brudu. Później jednak Twardokęsek z zadowoleniem rozpoznał ostry zapach czosnku i smażeniny.

- Zdałoby się coś przekąsić - niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- Ano - zgodził się Przemęka - nieprędko się później okazja trafi. Może podróżni w gospodzie popasają, to się o drogę przepytamy. Jeno aby nikomu co głupiego do głowy nie przyszło - jego zęby błysnęły w nagłym, wilczym uśmiechu.

Pomieszczenie było ciemne, na palenisku słabo tlił się żar. Przy długiej ławie tłoczyło się kilku kapłanów w przybrudzonych, żółtych szatach i dwóch zbrojnych, w których po kubrakach zdobionych czarno - żółtą szachownicą rozpoznał celników, co dla świątyni przy trakcie pieniądz zbierają. Na samym końcu ławy mąż o cisawej brodzie i wyglądzie wędrownego handlarza obłapiał posługaczkę, znosząc jego zaloty z zawodowym znudzeniem. Karczmarz tkwił pomiędzy dwoma tłustymi, zawieszonymi na poprzecznym bierzmie szynkami i bez zapалу wcierał tłuszcz w szynkwas.

Ech, a gdyby tak krzyknąć, przemknęło przez głowę Twardokęska. Kapłani Cion Cerena nie poskapiliby nagrody za żalnickiego księcia. Jednak choć celnicy mieli przypasane miecze, byli tylko poborcami, mało w wojennym rzemiośle wprawnymi, a potężny miecz księcia wzbudzał postrach. Raptem Szarka uśmiechnęła się drapieżnie. Ot, ścierwo, wiedźma jedna, pomyślał z lękiem, ani ona wie, co się człekowi w głowie roi. Ukradkiem uczynił znak odpędzający złe moce i przygarbiwszy się ruszył za innymi.

Przemęka donośnie zażądał piwa. Gospodarz pchnął ku nim cztery kufle.

- Dla dziewczki takż - napomniał Przemęka. - Przemokła, jako wszyscy.

Karczmarz usłuchał, choć jego twarz mówiła wyraźnie, że w tej okolicy kobiety nie chadzają do gospody.

Piwo okazało się lepsze, niż zbójca przypuszczał. Rozejrzał się po oberży. Nad szynkwasem prócz szynek zwieszały się wianki czosnku, cebuli, płaty suszonych ryb i miejscowy przysmak, nanizane na sznurki suche obwarzanki pokryte kminkiem i grubą solą. Na ladzie rozpierały się

wielkie słoje z marynowanymi kałamarnicami. Twardokęsek chciwie przełknął ślinę - głód powrócił i znów burczało mu w brzuchu.

- Na żarze żuwka rybna stoi - karczmarz podał Prze - męce bochenek ciemnego chleba.

Polewka była gęsta, podprawiona kminkiem, majerankiem i zrumienioną cebulą, posypana drobnymi kawałkami ostrego sera. Twardokęsek z zadowoleniem wciągnął w nozdrza jej zapach. Ułamał pokaźny kawał chleba, wydobyl z pazuchy łyżkę i zaczął jeść, pospiesznie, by nasycić choć pierwszy głód, nim pozostali opróżnią naczynie. Od dziecka jadał ze wspólnej miski, jego ramię, łyżka i przełyk poruszały się w zgodnym, płynnym rytmie. Kątem oka dostrzegł, że kapłan niemal dorównuje mu wprawą - lata spędzone wśród akolitów, przy klasztornym, z pewnością niezbyt dostatnio zastawionym stole, musiały odcisnąć ślad.

Łyżka zgrzytnęła o dno. Twardokęsek otarł wargi, wychylił do końca kufel i strząsnął z wąsów zbłąkane krople. Chciał prosić o dolewkę, ale pozostali mieli dosyć; zbójca już dawno spostrzegł, że szlachta zazwyczaj nie potrafi radować się dobrą strawą, zaś im lepsze urodzenie, tym gorszy żołądek. Spostrzegł też, że kapłani w żółtych szatach przyglądają im się ciekawie.

- Hej! Jeszcze po kufelku! - krzyknął Przemęka, klepiąc posługaczkę po rozłożystym tyłku.

- I kilka plastrów szynki! - dorzucił bezczelnie Twardokęsek. - Ze dwie gomółki sera!

- A z daleka idziecie, waszmościowie? - zagadnął celnik. - Gdzie zboczyliście z gościńca?

- Jakbyśmy wiedzieli gdzie - warknął Przemęka - to - byśmy nie siedzieli na tym zadupiu. Ta wichura zeszłej nocy zepchnęła nas ze szlaku w jednej chwili!

- Sandalya znów napastowała dziwkę z Traganki - wyjaśnił otyły kapłan, jego oba podbródki trzęsły się przy tym i podskakiwały. - I tyle traf zacny, żeście na Krogulczy Grzebień wyszli.

- Traf zacny, powiadacie - skrzywił się Przemęka. - Toż nas owa wichura mało do ostatecznego nieszczęścia nie przywiodła, że o koniach pomarnowanych nie rzeknę. Dobrze, że byłem w Zarzyniu przedałem. Sami byśmy go przecie przez Góry Żmijowe nie przewiedli.

Kapłani i celnicy poczęli gawędzić z Przemęką o zarazie, co zeszłego roku przetrzebiła trzody na południowych równinach, o podróży traktach poprzez Góry Żmijowe i słynnych bydłęcych targach w Spichrzy. Przemęką do złudzenia udawał zubożałego sztachetkę, księżę głupawego wyrostka, który pierwszy raz opuścił rodzinną wioskę, a oswiała Szarka suszyła przy palenisku włosy, nie dbając o nagabującego ją kupczyka.

Twardokęsek nie musiał nikogo udawać, jego potężna, przygarbiona sylwetka i tępa twarz zawsze wprowadzały ludzi w błąd. Natomiast z powodu krwawego bandaża Kostropatkę uznano zapewne za wynajętego do ochrony rzezimieszka.

Przemęką coraz bardziej pospolitował się ze sługami Cion Cerena i wkrótce zgodnie wymyślali kapłanom Zараźnicy, którzy od lat psują pieniądz i ciągną z tego niezmiernie zyski.

- U nas też ich pełno - pokiwał głową najstarszy z kapłanów - pijawek przeklętych. Cała sól przez ich ręce przechodzi.

- I bydło - zgodził się Przemęka. - Imaginujecie sobie, wielebny, ściągnęli dziesięcinę od naszych wołów. Jako węgorza ze skóry złupili, przybłądy jedne.

- Wszystko na gorsze idzie - pokiwał głową kapłan. - Ludzie nie szanują bogów, a bogowie skłóceni. Czy uwierzycie, waszmościowie, że nawet ci solarze, nędznicy, usiłowali nas okpić?

- Zawsze z nimi jednak - celnik zacmokał z potępieniem - rychtyk jednak.

- Ano, jest i u mnie paru niewolnych chłopów - przytaknął Przemęka. - Co jakiś czas trza któregoś dla przykładu w gąsior wsadzić, w pokorze utwierdzić.

Pozostali ledwie kryli sarkastyczne uśmieszki. W przybrudzonym, wyświechtanym odzieniu i wysłużonych butach, Przemęka nie wyglądał ani zasobnie, ani dostojnie. Ot, po prostu hodujący woły zbiedniały szlachcic, który beczelnością maskuje pustki w sakiewce.

- Dokąd, waszmość, ciągniecie? - spytał mężczyzna o wyglądzie wędrownego handlarza.

- W górę szlakiem - wyjaśnił Przemęka. - Na wiosenne targi w Żalnikach, choć już dość czasu zmitrężyliśmy przez tego ciemięgę - lekceważąco machnął ku popijającemu piwo księciu - i jego, psia mać, zachcianki. Dziwkę z portowego zamtuza wykradł i na wozie ukrył, a Kikuta rajfurka, siepaczy za nami posłała. Człeka mi nadwerężyli - pokazał obandażowanego Kostropatkę - a że inni podróżni się o wszystkim zwiedzieli, kazali nam iść precz.

Szarka przesunęła się bliżej paleniska, na niziutki stołeczek. Zzuła kaftan i zaczęła czesać szylkretowym grzebieniem splątane włosy.

- Oj! - cmoknął z zachwytem otyły kapłan. - Szczere złoto.

- Matka z dzikich plemion, barbarzynka - wyjaśnił szeptem Przemęka. - Podobno do śmierci nie mówiła w ludzkim języku. Ojciec ze Zwajców, a przynajmniej tak gadała Kikuta. Tuszę, że handlarze poznają się na niej równie szybko, jak wy, wielebny ojcze. Ona nawet na księżęcą nałożnicę zdatna, młoda jeszcze, ni razu nie rodziła. Dlatego musimy zdążyć na targi w Żalnikach.

- Rozumnie - kapłan przepił do niego z uciechą - wielce rozumnie. Choć wasz bratanek może myśleć zgoła inaczej.

- Myśleć to jeszcze za bardzo nie myśli - zarechotał Przemęka. - A ona jest skortyzanka i z takiejże zrodzona, za jedno jej, komu się podłoży. Nie, jemu już upatrzyłem dziewczuchę w naszej okolicy, krzepką, w biodrach szeroką. Z taką to i dom chędogi będzie i gromadkę dzieciaków wywiedzie. Jeszcze mi wdzięczny będzie.

- Jeśli w innym złobie za bardzo nie zagustował - zauważył zgryźliwie starszy celnik. - Bo to, widzicie wasz - mość, nie darmo powiadają, że czym za młodu nawrzał, zawdy śmierdzi garnek.

- Tedy mu będą od obłędu łeb ścierwem czerniawej kurzyny okładał, póki do rozumu nie wróci! - zachnął się Przemęka. - Ale nie lękajcież się, prędkie było miłowanie, tedy prędko minie. Już onegdaj mu na oczach stajennego zbałamuciła. At, wasze wielebności, pomóżcie prostemu człowiekowi i powiedzcie lepiej, jakie wieści krążą. Kto jak kto, ale wy już na pewno wiecie, czy trakty w Górach Żmijowych bezpieczne.

Kapłan z namaszczeniem pogłaskał się po tłustym podgardlu.

- Ostatnimi czasy uspokoiło się trochę - powiedział. - Zimą przetrzebiliśmy zbójców, ze dwa tuziny powiesiwszy, to spokornieli. Tylko to tałatajstwo po wioskach rozbestwione ponad miarę i na nich uważajcie, zwłaszcza z dala od szlaku. Ale póki gościńca, tedy bezpiecznie. Do Gór Sowich, kędy szczuracy chadzają.

Kość kurczęcia chrupnęła w szczękach Twardokęska. Zbójca zasepił się, rozmyślając, ilu jego ludzi z Przełęczy Zdechłej Krowy zawisło na postronkach. Nie żeby do nich tęsknił, ale ostatnia noc i spotkanie z szaloną boginką zniechęciły go do morza i kapryśnych Szczeżupin.

- A kiedy już miniem szczuraków - spytała nagle Szarka - czy wtedy dowleczymy się wreszcie do cywilizacji? Czy może znów do zapchlonego posłania, kwaśnego piwa i chleba z kiszoną kapustą?

- Im dalej na północ, tym więcej kiszonej kapusty - odpowiedział sentencjonalnie kapłan. - Ale z resztą będzie lepiej, moje dziecko.

- Jakże to? - obracała w palcach brzeg spódniczki. - Wojna tam pono wielka była...

- W Żalnikach ninie pokój - przerwał kapłan. - Zeszłej jesieni Wężymord, żalnicki pan, Zwajcom okręty spalił. Czas już był najwyższy sprawiedliwość im uczynić. Zdarzą bogowie, wnet do reszty Wężymord ową zarazę wypleni.

- Czemu?

- Bo nie wierzą w bogów i rękę bluźnierczą na samego Zird Zekruna podnoszą - wyjaśnił inny kapłan. - Skurwysynowie!

Twardokęsek pochylił się, kryjąc krzywy uśmiech. W gruncie rzeczy Zwajcy byli na swój sposób pobożni, składali ofiary, nawet budowali niewielkie kapliczki na krańcach osad. Tyle że miasto ołtarza z imieniem czy wizerunkiem bóstwa zostawiali nie obrobiony kamień, bo, jako gadali, jeszcze się ich zwajecki bóg nikomu nie objawił.

Okrutnie to kłuło w oczy okoliczne kraje. Raz po raz na Wyspy Zwajeckie krucjaty płynęły, choć Twardokęsek rozumiał, że mniej dla owych głązów nie ciosanych, bardziej zasię dla rudy, co ją w zwajeckich hawerniach dobywano. Zwajecki ludek, zewsząd podkopywany niby skrzeczek w norze, pewnie by się na koniec nie oparł, gdyby nie mielizny okrutne, co do wysp przystępu broniły. A i to jeszcze ludzie gadali, że im sam Morski Koń, Mel Mianet Od Fali, co wszelkim morzem trzęsie, bardzo sprzyja, bo to we świecie najlepsi żeglarze.

- Więc powiadasz, wasza wielebność, że szykuje się wojna - podjął Przemęka.

- A jakże by inaczej - odezwał się zuchwale młody kapłan, który dotychczas jedynie przysłuchiwał się rozmowie. - Każdy rozsądny człek odgadnie, że gotuje się coś więcej niż kolejna drobna wyprawa. Nie, tym razem to nie będzie któryś z tych zwajeckich skalnych splachetków. Raczej Czarnowilec albo Sinoborze. Albo i jedno, i drugie.

W miarę jak mówił, palce księcia coraz mocniej zaciskały się na krawędzi stołu.

- Skończyłeś? - głos opastłego kapłana ciął jak ostrze brzytwy. - Wybornie, jeśliś skończył, bo ninie rekolekcje przed Żarami rozpoczynasz. Zda ci się więcej milczenia. I pokory.

- Tedy wojna będzie - Przemęka niespokojnie podrapał się po karku. - Ja z mowy waszej wielebności wyrozumiewam, że wyście człowiek znaczny i w świecie znakomity. Pomiłujcież się tedy naszemu utrapieniu. Luda do Spichrzy najdzie, a wszak w ciżbie o nieszczęście najsporzej. Zacznie się tumult, ani kto będzie pytał, skądemyś są, jeno nas do katowskiej, jako obcych, wieży powiodą. A gdybyście słóweczko mizerne za nami do spichrzańskiej świątyni napisać raczyli, za glejt wszelaki stanie.

Zbójca zachichotał w myślach. Tłusty kapłan był może zwierzchnikiem prowincjonalnej świątyni albo opatem pomniejszego klasztoru, ale gdzie jemu było glejty wystawiać.

- Oberżysto! - krzyknął kapłan, mile widać prośbą Przemęki polectany. - Dajcie no kartę!

- Dobrze, dam wam pismo do kapłanów ze Spichrzy - potoczył wzrokiem po kompanach, których twarze wyrażały należyty podziw i uszanowanie dla jego wpływów u owych znamienitych osób. - Uczyni się zamęt, to was w kącinie ochronią.

Przeciął kartę na pół, dolał nieco piwa do kałamarza, zamieszał i począł pokrywać splamiony, kruchy pergamin rzędami zamasztyego pisma.

- Wielceśmy wdzięczni waszej wielebności. Zechciejcie przyjąć od mizeraków - Przemęka wyciągnął z sakiewki poczerńiałego dukata - na ofiarę dla Cion Cerena i modlitwę za nasze powodzenie.

Moneta była oberżnięta i kapłan wziął jaz wyraźnym rozczarowaniem.

- No, dość czasu strawiliśmy - zdecydował Przemęka.

- Trza na gościniec wracać.

- Za osadą skręćcie w lewo przy gruszy - poradził starszy celnik. - Ale strzeżcie się prawej ścieżki, bo tam zło przyczajone i sam Cion Ceren was nie ocali.

- Idźcie w pokoju - skinął głową kapłan.

Twardokęsek w pośpiechu wychylił kufel, a Przemęka jeszcze chwilę targował się w karczmarzem o jadło na drogę, by na koniec niechętnie wysupłać z mieszka kilka miedziaków. Cisnął

je przez całą długość szynkwasu i wypchnął swych towarzyszy za drzwi.

- Szkoda dziewczki - powiedział z cicha gruby kapłan. - Szkoda dziewczki, bo ładna, a przed świętem te ścierwojady - machnął ręką ku karczmarzowi i posługaczce - zaszlachtują ich jak wieprze.

- To czemuście jej nie zatrzymali, wasza wielbność? - spytał starszy celnik. - Moglibyście, to wasza osada.

- Nie moja, a świątyni! - zachnął się popędliwie. - A świątynia to świątynia, nie przytulisko dla portowych kurewek. Choć może wy chcielibyście inaczej.

- Zwinęła flaszkę waszemu kompanowi - wędrowny handlarz pokazał na stole wilgotny krążek po butelce wina. - Jak rozum w sobie stępi, za jedno jej będzie.

Towarzystwo przy stole zaniósło się rechetem.

* * *

Po wyjściu z osady Szarka przystanąła raptownie. Ręce na biodrach wsparła, a z jej twarzy Twardokęsek poznawał, że wściekła jako osa.

- Mogliście mi pierwiej rzec, żeście mnie z zamtuza wykradali - syknęła do Przemęki. - Bo jeszcze bym, prosta kortyzanka, coś niepolitycznego rzekła. A może mnie obycia nie dostaje? Może taki tu obyczaj, że każdej niewieście kurewstwo przypisujecie?

- Nie, nie każdej - spokojnie odparł Przemęka. - Tej jeno, co w karczmie pełnej chłopa włos rozpuszcza. Co rzec im było? Żeście moja mać staruszka? Że te pstre szmatki to po ciotuchnie nieboszczce, niewieście ze świątobliwości w całych Górach Żmijowych głośnej? Póki u was szarszun w garści, poty licem wyszminkowanym i szumnym przyodziewkiem drażnić możecie, jak najemniczki we zwyczaj u mają, to się was ludzie lękać będą i z drogi schodzić. Ale nie kiedy wam miecza braknie...

- Skoro o broni gadacie - dziewczyna ze złością sznurowała kubrak - tedy mi dobro moje wróćcie. Nim jeszcze co rzeknę, czego byście słyszeć nieradzi.

Przy gruszy skręcili w prawo. Ścieżka do Przyzywającego pięła się stromą granią. Twardokęsek człapał na końcu pochodu, zastanawiając się, co dalej. O tym, że Skalniak wybierze właśnie jego, nie myślał wcale, lepiej nie kusić losu. Lecz niepokoiło go, że znów zapuszcza się w Góry Żmijowe, gdzie dobrze dał się poznać, oj, aż za dobrze: przy trakcie jego konterfekt wisiał w każdej gospodzie. Drogę na Przełęcz Zdechłej Krowy miał zamkniętą, nie powraca się do kompanii opuszczonej chyłkiem, z zagrabionym skarbczykiem na plecach. Mógł się co prawda nająć na służbę, ale nie w okolicznych księstewkach, gdzie pierwszy lepszy panek ochoczo nadzieje go na pal, ani w portowych miastach, gdzie rządili kapłani Zaraźnicy. Może gdzieś na uboczu, w jakimś spokojnym, zasobnym miasteczku.

Jednak kariera zaciężnego żołdaka nie wydawała się kusząca. Ze słów kapłanów Twardokęsek wywnioskował, że na północy zanoszą się na zawieruchę. Zird Zekrun Od Skąły popchnie żalnickiego kniazia Wężymorda i piratów z Pomortu przeciwko ludom Północy. Trzeba przyciąć się i przeczeć, pomyślał nerwowo. Przynajmniej kilka najgorszych lat, nim wszystko utrzęsie się i uspokoi na nowo.

Na szczęście tak już świat urządzono, że nigdy nie zabraknie podróżnych na szlaku i tych, którzy na nich polują. Dlatego nie zaprzętał sobie długo głowy armią Węży - morda.

Przed zmierzchem przystanęli na posiłek. Przemęka wydzielił wszystkim po kawałku chleba i pokroił gomółkę wędzonego sera. Zapijali winem z ukradzonej przez Szarkę butelki, gawędząc pogodnie, jak przystało towarzyszom podróży.

- Jak do norhemnów zawitaliście? - zagadnął Przemęka. - Bo, choć mowę naszą niby swojaczka znacie, przecie przyodziewek stamtąd, zza turzniańskich stepów. Nie kochają tam obcych.

- Kilku ściagało mnie z początku - uśmiechnęła się przelotnie i uprzedzając następne pytanie, dodała. - Wcześniej pasłam kozy. Na zachodzie. Wysokie jałowe góry.

Akurat, pomyślał Twardokęsek, akurat ty mi się, dziewczko, na kozodójkę patrzysz. Iście przy bydłętach te zakrzywione szarszyny nosić przywykłaś.

- A jadziółka jak wam się trafiło przygarnąć? - ciekawie spytał Przemęka. - Pono tylko w górach dzikich żyją.

- Ano - mruknęła, jak się zbójcy zdało, z przyciszoną złością. - I tam się właśnie przypałała. Siedział przy trupie starca, pod uschniętym drzewem. Z początku myślałam, że także z gorąca zdechł, bo skwar był okrutny. A potem w żaden już sposób nie mogłam go przegnać - skrzywiła się niechętnie. - Szybki jest i strzałą go nie sięgnąć. Nigdy wcześniej nie widziałam zwierza, który własnymi piórami razi.

- No, wy się chyba bać nie musicie - książę gryzł w zębach źdźbło trawy. - Jeszcze i innych nim poszczuć umiecie.

- A potrafię - Szarka podniosła na niego zimne spojrzenie. - Przeprowadził mnie przez ziemię norhemnów. Strzegł mnie, źródła pod kamieniami wynajdywał, zwierzowi dzikiemu przystępu bronił, kiedy bez życia leżałam.

Gadają, że on dech wysysa i duszą żywą się pasie. Tedy co? Nigdy jeszcze nie spotkałam człeka, przy którym do snu równie spokojnie bym się układała.

Książę wygnaniec wrzucił ramionami i w milczeniu począł śledzić ciemne, deszczowe chmury.

- Plugastwo to nieczyste - uroczyście oznajmił kapłan - i wyście też plugastwo, bo się z nim pokładacie i przeciwko ludziom prawowiernym szczujecie. Ale już dla was kara od bogów zasądzona, a ogniem wieczystym przyprawna.

Ot, ścierwo, pomyślał z niepokojem Twardokęsek, u dziewczki główka gorąca, wichrowata, czemuż ją jeszcze drażnić, kiedy my teraz pospołu na ścieżce Skalniaka?

- Jako się z owym plugastwem pokładać, nijak sobie przedłożyć nie potrafię - mruknął. - Ale wyście, widzę, człek uczony, w pokładzinach i plugastwie obeznany, tedy wy mi to pewnikiem objaśnicie.

Spojrzenie, które posłała mu Szarka, było nader niewdzięczne. Zbójca bez zwłoki zrozumiał, iż honoru łzonych niewiast bronić nie należy, bowiem zelżona niewiasta bywa rozjuszona i skora brać odwet nie tylko na prześladowcach.

- Wyście z kopiennickich psów - ze złością odgryzł się Kostropatka - przeto nie ujadajcie, boście nie między swymi.

Zbójca porwał się do miecza, zamierzając oplazować kapłana po grzbiecie, gdy z nagła mu się wydało, że coś dołem trzeszczy w zaroślach.

- Idą za nami - potwierdził żalnicki wygnaniec. - Może myślą, żeśmy ścieżki zmylili i rychło na szlak wrócimy.

Książę rozprostował nogi. Sorgo, olbrzymi oburęczny miecz żalnickich panów, spoczywał obok, na wilgotnej trawie, osłonięty powycieraną pochwą. Twardokęsek przypomniał sobie wreszcie, że słyszał o tym mieczu - przechowywano go razem z klejnotami koronnymi w świątyni Bad Bidmone. Na głowni wyryto dewizę rodu żalnickich władców: "Nie starty żelazem ni ogniem, zawsze ten sam", lecz Twardokęska nie uczono czytać.

Po ścieżce potoczył się kolejny kamyk, znacznie już bliżej, i teraz Twardokęsek był pewny, że książę się nie omylił. Niezłe się słuch książątka wyostrzył, uznał zgryźliwie, nie darmo tak długo przemyka pod samym nosem Węży - morda.

Wkrótce podnieśli się i ruszyli dalej.

- Przy Skalniaku będziemy bezpieczni - rzekł Prze - męka. - Tam rozbijemy obóz.

- Ci z nas, co wedle Skalnego przejdą - sarkastycznie uzupełnił Twardokęsek i wszystkim zrobiło się po trochu nieswojo.

Zmierzch zapadł gwałtownie, a ścieżka stawała się coraz bardziej stroma. W ćmie pomiędzy krzami majaczyły ostre grzbiety skałek. Twardokęsek czuł już w całym ciele znajome mrowienie, znak, że podchodzą do Przyzywającego. Wielu ich jeszcze po Górach Żmijowych się kryło, w głazach potężnych albo i górach w ziemię wrośniętych. Gadali ludzie, że to Zird Zekrun je posyła, by ludzi traciły. Zbójca jedno wiedział, że ścieżki, przy której Skalniak przyczajony, strzec się trzeba, bo kiedy on sobie kogo upatrzy, żadna siła powstrzymać go nie zdoła.

Gdy szlak zwęził się w wąski przesmyk, Przemęka stanął. Zbójca rozejrzał się niespokojnie. Co prawda niektórzy powiadali, że Skalniak zawczasu ofiarę wybiera, ale Twardokęsek wierzył, że

pierwsi najczęściej nie mają szczęścia, i wolał poczekać na swoją kolejkę. Która oby nadeszła jak najpóźniej.

- Idź, Kostropatka! - z szyderstwem rzekł Przemęka. - Tyś z nas człek najgodniejszy, prawy a cnotliwy. Trwożyć się nie masz czego, tedy idź przodem.

- Ja... - zawahał się kapłan, jego głos był schrypnięty od strachu. - Ja...

- Idź - popchnął go Przemęka. - Nie gadaj.

Kiedy Kostropatka zniknął w przesmyku, Twardokęsek poczuł obelżywe, natrętne pragnienie, by mimo wszystko zawrócić i przebijać się przez ziemię solarzy. Nie spostrzegł, jak Przemęka ruszył ku przejściu. Ocknął się dopiero wówczas, kiedy Szarka cisnęła w ziemię sztyletem.

- Trąd i pomór! - syknęła, odrzucając z niesmakiem trupka rudej polnej myszy.

Księżę zaśmiał się sucho. Kobieta wytarła sztylet o połę kubraka. Pod naciągniętym głęboko kapturem jej oczy błysnęły matowo, gdy odwróciła się i zrobiła pierwszy krok ku Skalniakowi.

- Dokąd? - chwycił jej ramię Twardokęsek. - Dokąd, kobieto?

Księżę milczał.

- Teraz jego kolej - burknął zbójca. - On przodem pójdzie.

Uwolniła się, bez wysiłku, niemal łagodnie. Przez krótką chwilę poczuł na szyi lekki, ciepły oddech i zająknął jej w twarz. W ciemności wydała mu się pobladła i skurczona.

- Zostaw, Twardokęsek - powiedziała miękko. - Niech się uczy. Niech przywyka druhów na śmierć posyłać. I zza ich pleców patrzeć. Bo takie jest książęce wojowanie. Krew kubrak splami, tedy kubrak pomienić. Nie patrzeć za siebie, ni klątw, ni płaczów nie słuchać. Wczepią się w strzemię czyjeś ręce, to je mieczem ciąć. Nie krzyżeć w nocy. No, co tak gały wytrzeszczacie? To książęca powinność, niech się więc jej zawczasu wyuczy. - Okręciła się na pięcie, tylko włosy zafurkotały.

Kołujący ponad przełęczą jasiołek zaskwirzył przenikliwie, w udręce. Teraz znów widział ją wyraźniej, swoją własną rzecz, upartą jak zwykle, i inne ciepłokrwiste rzeczy, które popychały ją ku zgubie. Moja!, moja!, moja!, wrzasnął i rzucił się w dół.

Skrzydło przylgnał do skał nad ścieżką. Mogła pofrunąć, pomyślał Twardokęsek, odpoczęła w karczynie i utrzymałaby się na grzbiecie. Lecz nie uczyniła tego, aby dać temu książęcemu bękartowi jeszcze jedną szansę.

- Nie wiem, dlaczego to robi - chrapliwie rzekł księżę. - Nie znam jej.

- Pieprzyć was wszystkich - zbójca ze złością splunął mu pod nogi.

Gdy żalnicki wygnaniec poszedł, Twardokęsek słyszał jedynie bulgot przelewającego się nerwowo w brzuchu piwa. I znów czuł niepokojące mrowienie w całym ciele. Potem zaś usłyszał przeraźliwy krzyk Przemęki.

Pewny już własnej skóry popędził naprzód co sił w nogach. W przewężeniu szczeliny Szarka szamotała się z jądziółkiem. Złe raz po raz waliło ją po twarzy końcami skrzydeł, skrzecząc wściekle, ze strachem. Strużki trującej śliny cięły powietrze. Kapłan zawodził.

- Koźlarz! - wrzeszczał Przemęka. - Nie słuchaj tego, Koźlarz!

Księżę szedł ku ciemnej szczelinie w skale, gardłu Skalnego, wyprostowany, z tęsknotą w twarzy. Kiedy Skalniak cię wybiera, pomyślał Twardokęsek, umierasz szczęśliwy.

Szarka zdołała odepchnąć jądziółka. Uderzyła na płask mieczem, z całej siły i złe zawirowało bezwładnie w powietrzu, potoczyło się w ciemność.

- Na zęby żmijów! - obok Twardokęska ktoś ze świstem wciągnął powietrze, Przemęka albo kapłan, nie rozpoznał.

Sorgo, potężny, dwuręczny miecz żalnickich panów, uderzył. Bez zastanowienia uchyliła się, lekkim, płynnym półobrotom. Szybkie, roztańczone ostrza. Za plecami miała Skalniaka i czuła jego przemożne, palące pragnienie, a Koźlarz był szybki, szybszy, niż przypuszczała. Cofała się. Znów rzucił się naprzód i uderzył. I jeszcze raz. I znowu.

Zastawiła się. Obiema mieczami. Głupio, bo Sorgo i tak cisnął nią o ostrą krawędź skały. Głupio, bo myślała, że jak mu z bliska w oczy zajrzy, to się coś odmieni.

Nic się nie odmieniło. Ciął ją przez ramię. Draśnięcie, nic więcej, lecz zaraz napłynęła znajoma chłodna fala. Jak wiosenna woda w stawie. Krótka trzepotała się na krawędzi, z trudem parując ciosy - zwód, płytkie uderzenie, odskok. Potem sięgnęła go, naznaczyła, lecz wyraz jego twarzy pozostał niewzruszony. Zew Skalniaka był silniejszy niż rozsądek czy cierpienie.

Ból jak użądlenie pszczoły. Następna rana. Przygryzła dolną wargę, bardziej ze strachu niż ze złości. Znów napłynęły fale, fale chłodne jak woda w stawie. I wiedziała już, że Koźlarz, czy też raczej ów potwór w skale zwyciężają. Zaczęła śpiewać. Nie było to konieczne, lecz pomagało jej wierzyć. Że jeszcze potrafi się zatrzymać. Jednak było tak, jak zwykle.

Tam także trzymała je, dwa nagie miecze, po jednym w każdej ręce. Stała przed paleniskiem, arogancka, roześmiana, zapalczywa. Już nie dziecko, lecz nadal cała złota, roziskrzona. Jak motyl pokryty delikatnym, słonecznym pyłem. Wystarczająco młoda, by rzucić wyzwanie.

Nie miał wyboru.

Kiedy ją zranił, krzyknęła ze zdumienia, nie z bólu. Walczyli w mrocznej, pełnej gwaru sali, rozpryskując resztki wina na długich stołach. Potem wytrąciła mu miecz.

Śmiała się. Psy, brązowe, szczupłe wyżyły uparcie sięgały do półmisków. Karuat upadło i

Jorghit uległo zagładzie, a kurzawa Birghidyo szła na północ. Kazala szeroko otworzyć okiennice, wiał suchy, południowy wiatr. Potrzebowała obu - wichru i mężczyzny, który z nim przybył.

Z wysiłkiem odpędziła wspomnienie. Twarz Koźlarza była jasną plamą, rozmywała się przed jej oczyma. Czula krew, wiele krwi - jego, swojej. Koszulę miała przesiąkniętą na wylot. Słabła. Cięła go nisko. W tej samej chwili ostrze Sorgo spadło na jej bok. Walczył, aby zabić. Lepiej, niż pamiętała. Lepiej niż niegdyś, w wielkiej sali stołpu o ścianach pokrytych czerwoną ochrą. Jednak wówczas nie chciał jej zamordować. To miało przyjść dużo później.

Chłodna fala powróciła, wyższa i silniejsza od pierwszej, potem kolejna i jeszcze jedna, aż na koniec przyszła ta ostatnia, która pochłania wszystko.

Jest pełnia, Eweinren. Wzbierają fale. Zniszczę je. Zniszczę.

Krzyki. Krew i łzy na twarzy. Mokerna przygwożdżona do ściany dwoma mieczami, jak motyl. Jak ćma.

Zabijasz je! Ty dziwko, zabijasz je! I siebie, zabijasz samą siebie!

Szum. Okrzyki wojowników Diominartha przed bramą, ich także słyszę. Wykrzywiona cierpieniem twarz Mokerny. Ogień, woda. Szum.

Nie zostawiaj mnie. Jeżeli zostaniesz, zdołam wytrzymać jeszcze jedną chwilę. Dość.

Eweinren.

Szum, szum, szum.

Zatoczył się, zrobił jeszcze jeden krok ku Skalniakowi. I nie miała już sił, by go zatrzymać. Razem zwalili się na skałę.

- O, kurwa! - zduszonym głosem powiedział Twardo - kęsek.

Przemęka ostrożnie odciągnął z Szarki ciało księcia. Powieki kobiety zadrżały nieznacznie pod ciemną warstwą spływającej z czoła krwi.

- Oddycha - z ulgą oznajmił Przemęka. - Pomóżcie mi go podnieść. Kostropatka, co się gapisz, dawaj koszulę, twoja najczystsza. Psiakrew, strasznie ciecze. - Niezgrabnie usiłował zatamować krwawienie.

Szarka leżała na boku. Skurczona kukiełka z pozlepianymi kosmykami włosów na twarzy. Krew z głębokiej rany na udzie i jeszcze gorszej w boku, a także wielu innych, rozlewała się wolno po kamieniach. Zbyt wiele tej krwi, pomyślał zbójca.

Nachylił się nad nią - nie, nie z litości. Milcząca, zaciekła walka w ciemnościach przeraziła go. Znow odczuwał ów szczególny rodzaj strachu, który ogarnął go na Kanale Sandalyi i znow nienawidził Szarki za zdradliwą miękkość własnych kolan.

Dogorywała. Przez miłosierdzie powinien poderżnąć jej gardło, nim przyjdą wilki albo jeszcze coś gorszego. Kostropatka przysunął się, zbójca poczuł nieświeży oddech.

- Ależ się, ścierwo, życia trzyma - zęby kapłana błysnęły obok. - Może by tak... sztyletem?

Przytaknął skwapliwie. Gdy jednak nachylili się jeszcze niżej, by sięgnąć po ukryte na piersi Szarki listy do kantorów Fei Flisyon Od Zarazy, znad ziemi dobiegło ostrzegawcze syknięcie. Jadziołek niepostrzeżenie przysunął się do kobiety i chciwie chleptał posokę.

Obaj z Kostropatka odskoczyli jednocześnie.

- Zbierajmy się! - Przemęka ociosywał gałęzie na nosze. - Nie wytrzeszczajcie ślepi. Zdałoby się dziewczę kopiec usypać, wybornie mieczem obraca. Ale nam w drogę co żywo ruszać, a jej teraz już za jedno.

Tymczasem delikatne mrowienie na grzbiecie Twardo - kęska ustało. Skalniak zamarł. Zbójca zaczął się rozglądać za skrzydłoniem.

Tamci już przenieśli księcia na nosze. Wylize się, pomyślał beznamiętnie Twardokęsek, czemuż by nie? Jednak potrzęsnał przecząco głową, gdy Przemęka usiłował zagnać go do dźwigania ranego.

- Lepiej, jak tu jeszcze trochę posiedzę - mruknął.

Przykucnął na piętach w kącie skalnej niecki, z dala od umierającej Szarki, owinał się ciasniej opończą i patrzył, jak odchodzili. Wróci, myślał, skrzydłoń wróci, nim ona do reszty zdechnie, one zawsze wracają. A jak dziewczka na dobre ostygnie, jak plugastwo się posoki nachłepcze, to trza trupa obszukać, listy do kantorków wytrząsnąć. Toż grzech tyle dobra zmarnować.

Ślepie jadziołka łyskały wrogo znad powalanej posoką murawy. Krew była ciepła, słodka, i nie przestawała płynąć. Jadziołek nastroszył oliwkowe pióra, zaskwirzył w przestrichu, lecz jego rzecz nie odpowiedziała. Nie podobało mu się, wcale mu się to nie podobało. Wówczas spojrzął z uwagą w tę drugą rzecz.

Twardokęsek zaskowityał.

* * *

- Jak on mi wtenczas oczyskami łeb świdrzyć począł - chrapliwie powiedział zbójca - to zrazu mi krew z nosa, z gęby poszła, jakby mi tam co w środku trzasło. A ból był takowy, że anim ziemię mógł zmacać... I kiedy mi w rozumie bełtał, to i mnie snadź co z niego przeszło. Bo widziałem, jak on tam na południu norhemnów niczym zwierzynę ścigał. Nie żeby mu który drogę zaszedł, nie z głodu nawet, ale taka jest w nim do człowieczego plemienia nienawiść. My u niego, Mroczek, taniej od bydła stoimy. Tylko tę dziewczkę jedną sobie przyhołubił i jej broni.

- To niechaj jej pilnuje - wzgardliwie odparł Mroczek. - Niech piórami jadowitymi razi. My tyle chłopa naprzeciw posłem, że się piór ze szczętem wyzbędzie. Oskubiem go, jako świętecznego kapłona, i jako kapłona na rożen nadziejemy. A potem dziewczka w dyby pójdzie.

- No, nie wiem - sprzeciwił się zbójca. - Bo jakie mnie potem nockami zwidy nawiedzać poczęły, strach wspomnieć... Nie trzeba było w Tragance Krupy słuchać, kiedy on owe bluźnierstwa o Annyonne wygadywał. Wszystko to się do mnie potem wracać poczęło, wszyściuchno. Siedzę wedle komina, okowitę ze skórzanego kubka popijam, ryża posługaczka w pasie mnie obłapia. Tylko że...

- Ale żeś ty się, Twardokęsek, strachliwy zrobił - pokręcił głową Mroczek. - Gdyby ci nie był kat pisany, niezadługo pewnikiem do pokutników przystałbyś, co się po grzbietach za grzechy świata tłuką. Ech, śmiech i sromota... O wywołańcu mi lepiej gadaj, o Koźlim Płaszczu.

- Półzywego go nieśli z przełęczu Skalniaka. Może gdzie tam skapiał pod płotem.

- Nie widzi mi się.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Deszcz siąpił uparcie i derka, którą nakryli księcia, zdążyła doszczętnie przemoknąć. Ścieżka dawno przepadła i Przemęka ani trochę nie rozpoznawał okolicy. Potykając się raz po raz, brnęli przez kolczastą chachmęć. Głowa księcia bezwładnie podskakiwała na noszach.

We ćmie Przemęce zwidywała się inna, odległa ścieżka. Górską dróżką pomiędzy szczytami, kiedy pierwszy raz pospołu z Koźlarzem wymykali się z opresji.

- Dosyć! - Kostropatka zatoczył się, nosze zahaczyły o krzewinę, zachybowały niebezpiecznie. - Starczy, dalej iść nie Iza! Noc ciemna, że oko wykol. Kto wie, co w wykrotach przyczajone? Jeno krecim się po próżnicy jak pies za chwostem.

Przemęka z wysiłkiem otrząsnął się ze wspomnień.

- Będiesz laź! - powiedział chrapliwie. - Będiesz laź, ile trzeba! Bo on tu nie szeznie! Bo się nie godzi. Nie godzi się, by dziecko, które jeździło w kohorcie... - ...w kohorcie boga! - rudobrody wojownik potoczył szeroko roztruchanem. - Powiadam, w kohorcie Org Ondrelssena dziecko jeździło! Ucztowali w dolnej izbie dworzyszczca, obszernej i ciemnej, gdyż w ścianach pozostawiono jedynie wąskie, zazwyczaj zakryte okiennicami prześwity. Dębowe ławy poczerniały ze starości i od dymu, szczyt na ustawionym w podkowę stole przypominały o licznych biesiadach i bijatykach. U szczytu stołu rozpierał się Czerwienieć, wysoki, czarnowłosy pan Czerwienieckich Grodów. Po jego prawej ręce posadzono najczcigodniejszego z gości, władkę z wyspy Orrth, który w okazałym poczcie ciągnął na południe. Nieco niżej, wedle porządku, zasiedli panowie okolicznych dworców. Na samym dole, jak popadło, biesiadowały drużyny czerwieniecka i

orrthiańska.

- Prawdę gada - przytaknął władyka. - Jeszcze miesiąc nie przeszedł, jak mi popod samym dworem przelecieli, tom się przypatrzył. Szarszun na plecach wielgachny nosi, jako oni wszyscy, tyle że sam ledwo na dwa łokcie od ziemi odrosły. Zwykły smarkacz!

- Ano! - podjął wojownik. - Już drugi rok go u nas oglądają. Nie wiedzieć, skąd pomiędzy widmami ludzkie szczenię!

- Może on z owych dawnych wodzów, co w kurhanach śpią! - Żona Czerwienca, bardzo młoda niewiasta o długich, jasnych warkoczach, przyłożyła dłonie do poczerwieniałych z przejęcia policzków. - Może prawdziwie poczęły się wypełniać przepowiednie! Toż były znaki... wiek jeszcze nie przeszedł, jak zniknęli żmijowie...

- Tfu, nie gadajcie, pani! - wzdrygnął się wojownik. - Strach słuhać!

- Z początku odejść miało to, co wieczyste - ciągnęła pani. - Potem wrócić to, co umarłe...

- Mnie się widzi raczej - przerwał władyka - że to wodnicy pomiot. Sorelki, co popod lodowymi górami żyją, albo wichrowej sevri. Bo mnie się on za bardzo na człowiecze nasienie nie patrzy.

- Choćby szczeniaka bóg w palcach ze szczerego lodu utoczył, toż nam za jedno! - zaśmiał się ktoś u krańca stołu. - Choć raczej go Białobrody z którą z naszych dziewczek utaczał!

Odziani w wilcze opończe wojownicy zarechotali zgodnie: na północy nie lękano się nieśmiertelnych, a ludzie żyli po sąsiedzku z wszelakim nieczłowieczym drobiazgiem. Nawet sam Org Ondrelssen Od Lodu, czy też, jak go pospolicie zwano, Białobrody, często zaglądał do ludzkich siedzib i wszyscy radzi mu byli, bo pan był hojny, skłonny do wszelakich biesiad i wesołości.

- A na koniec... - ciągnęła uparcie pani. - Na koniec świat cały szcześnie, rozpęknie się w płomieniach...

- Dosyć! - uciał z rozbawieniem Czerwienieć. - Miodu każ nam jeszcze z piwniczki przynieść, a my, męczyńskim obyczajem, doglądać będziemy, żeby ani nie szczezło, ani się nie rozpękło.

O świcie zaś srodze przepity władyka odjechał i wkrótce wszyscy dokumentnie zapomnieli o wyrostku, który przemierzał północ w kohorcie Org Ondrelssena Od Lodu. I jeśli już ktoś o dziecku napomniał, to o innym zgoła: w żywocie pani coraz mocniej kopał dziedzic czerwienieckich grodów.

Nastała zima. Żona Czerwienca napakowała na sanie wszelakiego dobra, słoniny, solonych ryb, mąki i ruszyła objeżdżać co biedniejszych sąsiadów. Cztery dni przeszły, nim przyniesiono wieści. Czerwienieć ani się dopytywał, czy ktoś jaz oparzeliska wyciągał. Jak stał pod wrotami, tak się na pięcie odwrócił i przez kolejne trzy dni nikt go nie oglądał.

Rankiem zszedł do wielkiej izby. Kopniakiem odpędził psy i kazał szykować biesiadę. A później, kiedy się już gościom dobrze ze łbów kurzyło, rozdał wszelki dobytek - wszystko prócz

topora - okręcił się baranicą i poszedł z cytadeli ku morzu. Dziwili się ludzie, że tak jednej niewiasty żałuje: jak to na Północy powiadano, jedna sroka z krza, dziesięć srok na krze. Ale powiadano też, że jak się mąż na co zaprze, to grzech go zatrzymywać, choćby sam sobie łeb rozbić zamierzył. Nikt więc nie zatrzymywał.

Nocką mróz nastał okrutny, a wichur aż dech zatykał. We ćmie Czerwienieć niewiele widział, nadto spił się straszliwie i był to jedynie czysty traf, iż w końcu znalazł brzeg. Wyszedł na Bramę, jak nazywano dwie połączone skały, wysoko na urwisko. Stał w samym środku, pomiędzy ciemnymi głazami. Górą wichura wyła potępieńczo, a Czerwienieć wsparł się twardo na stylisku topora - bo też ziemia kołysała się pod nim bardziej niż pokład okrętu - i wrzasnął w ciemność nad zamrażającym oceanem:

- Zabrałeś ich, Białobrody, to i mnie sobie zabieraj, kurwi synu!

Ale choć złorzeczył ze wszystkich sił, żaden piorun nie strzelił. Tylko ochrypl z daremnych zachodów. Aż wreszcie, rozebrany gorzałką, zwałił się twarzą prosto w śnieg.

Inny zamarzałby niezawodnie, ale Czerwieńcowi jakieś лихо stało na zawadzie: przespał się akuratnie w swojej baranicy, bardzo mu dobrze było. Obudził się trzeźwiejszy, rozejrzał wokół: jest Brama, są baranica i topór, a przemrożona gęba piecze coraz bardziej. Za to po lodowych dworcach, w których uczują towarzysze Org Ondrelssena, ani śladu. Zezłił się Czerwienieć przeraźliwie, ale od swych zamiarów nie odstąpił. Ni o jotę. Nie chce go Org Ondrelssen chłodem umorzyć, to się inny sposób znajdzie.

Tylko jaki? Pospiesznie przetrząsał szaty, ale przecież na biesiadzie i miecz, i sztylet ostatni rozdał, żeby go we wdzięcznej pamięci chowano. Ot, nieszczęście. Bo topór, choć broń sławetna i ukochana przez ludzi Północy, okazał się bardzo nieporęczny.

- Poczekajże! - wrzasnął ku ciemnemu niebu. - Raczej łeb sobie na skale rozwałę, niżbyś się miał ze mnie natrzasać!

Podobno tym sposobem Zwajcy potrafili w niewoli życia się pozbawić, ale Czerwienieć miał łeb twardy i zgoła niezwyjecki. Walnął potężnie w Bramę, krew mu z gęby poszła i sturlał się z urwiska. Trochę go zamroczyło, ale nie za mocno.

- Żeby ci przyrodzenie - mamrotał, łażąc na czworakach po lodzie - parchem porosło, kurewniku! Żebyś zdechł marnie! A i tak się zabiję, swojego nie ustąpię.

Następnie usiadł na lodzie, wciąż mamrocząc pod nosem przekleństwa i klątwy na Org Ondrelssena. Za jego plecami uformował się spory kopczyk nawianego wiatrem śniegu.

Ludzie mieli potem powiadać, że w całym grodzisku było słyhać wycie mamunów, że pioruny waliły, jakby się bogowie znów na niebie potykali. Nad wszystkim zaś miał się nieść posepny i dumny głos Czerwieńca, kiedy wyzywał Org Ondrelssena, by zwrócił to, co zagabił. Ale po prawdzie, to nikt nic nie słyszał. Tylko strażnicy, którzy na bramach stali, zaklinali się, że wyraźnie ktoś wrzeszczał: "Skurwysynu!" Ale po biesiadach w czerwienieckiej cytadeli często się tak działo.

Co do samego Czerwieńca, to siedzenie powoli przymarzało mu do lodu, a w uszach dzwoniło. Nie spostrzegł, jak ponad strzaskanymi filarami Bramy rozbłysła fioletowosina łuna. Nie spostrzegł też, kiedy z tumanu wypadła gromada jeźdźców. Spod kopyt wierzchowców pryskały kawały lodu, wichur rozwiewał grzywy i wysoko zadarte ogony. Nie były jednak końmi i nigdy nie dosiadał ich żaden żywy człowiek. Bowiem, jak wierzą na Północy, w kohorcie Org Ondrelssena Od Lodu jeżdżą dawni wodzowie, wojownicy spod kurhanów.

Oprzytomniały Czerwienieć jednym szarpnięciem oderwał od lodu przymarzniałe portki i ryknął z całych sił:

- Bywaj tu! Bywaj!

Wcale się nie lękał spotkania z drużyną boga, nie raz ją przecież wcześniej w czerwienieckim dworcu gościł. Org Ondrelssen śmiał się, aż próchno z powały spadało, wspomniawszy, że dziewczki w tańcu okręcały, a służebne roznosiły złocisty miód. Pijani wojownicy przechwalali się niemiłosiernie, dla potwierdzenia prawdziwości słów walono kuflami - z początku po stołach, później po łbach. Na koniec rąbano belki toporami, by się przed świtem hałaśliwie godzić i wymieniać podarunki.

- Zaczne były czasy - mrucał pod nosem Czerwienieć. - Aż z tej zacności i dostatku do reszty człek zdurniał. Bo osobna rzecz z bogiem pić i dziewczki macać, a osobna uczciwość u niego szukać. Co było do picia, wypił, baby tak pobałamucił, że dwie się w przerębelszczyźnie rzuciły i jak mi za gościnę odpłaca? Ano tak, że i moja w przerębelszczyźnie!

Usłyszał wysoki, przenikliwy wrzask: nad Bramą wirowały wichrowe sevri, młodsze siostry bogów. Czerwienieć uniósł głowę, ale widział tylko ciemne, rozmazane kształty. Zazwyczaj towarzyszyły dzikiej kohorcie Org Ondrelssena, lecz nikt ich nie oglądał. Czasami tylko z wysoka dobiegały krzyki i powiadano wówczas, że sevri zbierają poległych. Powiadano też, że gdy po burzy na maszty okrętów opadają ogniki, to wichrowe sevri zwiastują rychłą śmierć. Dlatego na najdalszej północy, przy brzegach Orrth, nazywano je Iskrami.

Okrążyli go półkolem. Nosili zwieńczone rogami szłomy i potężne topory. Żaden się nie odzywał. Patrzyli na Czerwieńca wyblakłymi, prawie białymi oczami. Czekali.

- Dosyć, Czerwienieć! - Białobrody, owinięty śnieżną szubą jeździec, który przewodził całej drużynie, podjechał bliżej. - Dosyć, przestań błaznować. Musimy się rozmówić.

- Nareszcie! - uradował się Czerwienieć i zaczął się gramolić na najbliższego wierzchowca, zepchnąwszy z siodła nieco ogłupiałego jeźdźcę. - Ruszajmy!

- Pomaleńku - Org Ondrelssen ostrożnie wziął go za odzienie na plecach i na powrót postawił na ziemi. - Straszna rzecz gorzałka, dość by się który napił, a z rozumu ze szczętem schodzi. Co tobie, Czerwienieć, do łba strzeliło? Zabić się chciałeś? To się zabijaj, kto broni? Tylko czemu tak przy tym hałasujesz, że cię pod Hałuńską Górą słychać? Zabijać się należy godnie, w milczeniu, a ty wrzeszczysz jak przekupki, kiedy dorsza na rynku zachwalają. Więcej powagi, powiadam, mniej gorzałki.

- Żebyś ty sam ze swoją godnością jako pies zdechł, kurwi synu! - rozdarł się Czerwienieć, widząc, że sprawy przyjmują zgoła niepomysłny obrót. - Jeszcze mnie będzie, ścierwo, pouczać!

- W samych Czerwienieckich Grodach trzy wielkie świątynie - zaśmiał się Org Ondrelssen - a ludek wciąż prosty, niedouczony. Toż choćbym się jako purchawka nadał i rozpękł, to nie zdechnę. Taka to już boska natura, nic nie poradzisz. Ja wiem, Czerwienieć, jaka ciebie boleść złamała i po starej przyjaźni mimo uszu puszczam, co tu na wiatr wyjesz. Ale dosyć. Traf, że twoja baba na sanne się wybrała, traf, że ją wilki goniły, i traf, że w oparzelisko wpadła. Zaczyna była niewiasta, przyznaję, to i żal, ale nie ona jedna na świecie i starczy tego pośmiewiska.

- Wyście mi ją zabierali, to mi ją teraz wróćcie - nie ustępował Czerwienieć. - Albo i mnie zabierajcie.

- Niedoczekanie! - wrzasnął już groźniej bóg. - Ty mi, Czerwienieć, rozkazywać nie będziesz! Ja do ciebie po dobroci przyjeżdżam, stratę wynagrodzić, a tu ani wdzięczności, ani poszanowania! Ot, widzisz tamtego szczeniaka - wskazał na jednego z jeźdźców, mniejszego nieco i przyczajonego za plecami innych. - Bierz go sobie i za syna własnego na pociechę chowaj.

Chłopak popatrzył na Czerwieńca z jawną wrogością, szłom mu prawie na nos opadał. Ślepia miał szare, a na plecach miecz, taki wielgachny, że na pół długości nad głową sterczał. Spod łaciatego płaszcza łyskała srebrzysta koleczuga, jasne włosy zwyczajem wojowników w dwa warkocze zebrał, ale smarkacz to jeszcze był niedorosły. Dziecko z kohorty Org Ondrelssena, przypomniał sobie z trwogą Czerwienieć. Prawdę ludzie z Orrth gadali, że pomiędzy widmami człowiecze dziecko jeździ, jako bywało w czasach owych dawnych królów, którzy przychodzili z morza i nad potworami władzę mieli.

- A co mi po nim! Baby swojej chcę! - huknął.

- Ty się nie będziesz z bogami targował! - Org Ondrelssen poczynął sierznić się nie na żarty. - Bierz chłopaka i nie wydziwiaj. Co zaś do baby, to przemożesz się, przemożesz się niezawodnie.

I jak tuman śniegu opadł, Czerwienieć samowtór stał na lodzie. Z dzieciakiem, co patrzył na niego jak wilcze szczenię.

Bez słowa powlekli się do dworca. Mało kto spodziewał się jeszcze Czerwieńca oglądać. Ledwo go strażnicy wypatrzyli, przed grodkiem poczał się formować potężny tłum, a skald pospiesznie składał pieśń o tym, jak się pan o śmierć żony z bogami prawował. Zresztą nim minęło lato, jak północ długa i szeroka mieli śpiewać o zapasach Czerwieńca z Org Ondrelssenem Od Lodu. I o pożegnalnym podarunku boga: o dziecku z widmowej kohorty.

Ale pan całe zbiegowisko rozpędził i od podwórca miodu wołał.

- Nie ma miodu! - wzięła się pod boki klucznica. - Ni miodu, ni gorzałki! Nie ma jednej garstki mąki, nie ma masła ni mięsiwa, wszystko pan po pijanemu rozdał. Konie ze stajni wywiedzione, psy pobrane, świnie takż precz popędzili. Do cna dworzec ograbiony, nawet ściany obdarli z tych opon połocistych, co je pani wyszywała. Myśmy ninie nędzarze! - rozplakała się i uciekła, zakrywając

twarz fartuchem.

Pan dworca popatrzył po opustoszałej izbie, po porąbanych ławach, na których walały się resztki jedzenia, i naszła go straszna wesołość. Nogi ugięły się pod nim. Usiadł na ziemi i śmiał się jak szalony. Dziecko z kohorty Org Ondrelssena przyglądało mu się podejrzliwie.

- Nie podoba się, ptaszyno? - zarechotał Czerwienieć. - Ja się do ciebie na niańkę nie najmował, tedy i zatrzymywać nie będę. Jak się co nie podoba... - ...co nie podoba, to droga wolna - oznajmił sucho gospodarz. - Jest tu nieopodal dworzec księcia Piorunka, naszego jaśnie pana. Prowadźcie go tam, jeśli wola, choć nie zaręczam, czy żywego doniesiecie.

Przemęka nie pojmował, jakim sposobem wyszli z chaszczy prosto na chatynkę znachora. Działoniec, jak kazał się wołać, widać przywykł do niespodzianych odwiedzin, bo o nic nie pytał. Przyświecił im kagankiem i kazał wnieść Koźlarza do alkierza. Popatrzył pod bandażę, spod których przesączała się jasna, zmieszana z deszczówką krew, niechętnie zacmokał pod nosem. Nie podobał się Przemęce. Jeszcze mniej podobały mu się drobne, zielone węże, które pełzały pod ścianami.

- Łapy przy sobie trzymajcie - syknął znachor, kiedy Przemęka usiłował odpędzać co bardziej natarczywe gadziny - albo precz idźcie. Samiście tu zratowania szukali, ja was nie zaprosił. Ale pókiście pod moim dachem, poty moje gościnę szanujcie.

- Zostaw - wytatuowany kapłan pochwycił najemnika za rękaw. - Gdzie nam teraz, we ćmie, schronienia szukać? A węży lepiej nie tykać, bo z dawien dawna ludzie w Górach Żmijowych ziemiennikom, gadzinie przeklętej, cześć oddają... obmierzła herezja... ale ninie grunt, że się stary na leczeniu wyznaje.

- Zabawne, konfratrze - Działoniec uśmiechnął się bladymi wargami. - Tyli wiek zakon Bad Bidmone jako zwierzynę nas ścigał i trzebił, a patrzajcie, jak nas na koniec wspólna niesława pobratała. Bo dziś w Żalnikach i wyście herezja obmierzła, i was siepacze tropią...

- A chłopak? - niecierpliwie przerwał Przemęka.

- Skądże mnie wiedzieć? Módlcie się do swoich bogów - rzeki z drwiną guślarz. - Wiele tutaj takich jak on przynoszą, poharatanych, ledwo żywych. To ja im wszystkim powiadam, nie trzeba było...

- ...nie trzeba było go sam opas puszczać! - rozdarła się klucznica. - Baczyć na niego mieliście! I co?! Na całe życie pozwoliliście go naznaczyć! I to komu?! Dzikiej świni! Co by na to pani powiedziała!

Odkąd w czerwienieckim dworzyszczu zabrakło gospodyni, klucznica nie ustawała w wysiłkach, by należycie uładzić ów dziki matecznik wojowników, w który ostatnimi czasy obróciło się domostwo. Ze zmiennym szczęściem. Bo jak się tylko gdzie jaka większa bijatyka szykowała, zaraz posyłano do Czerwienieckich Grodów po dziecko, które w kohorcie boga jeździło po lodowym pustkowiu z zabitymi bohaterami. I choć dzieciak to jeszcze był, prosili, żeby z tym wielkim szarszunem, co mu do połowy nad grzbietem sterczał, i w szłomie z białą kitą wojsko prowadził.

Niech się, powiadali, jego sława na wspólny pożytek obróci. Niechże się swoim szczęściem ze wszystkimi podzieli, jako czynili owi dawni wodzowie, którzy teraz z Org Ondrelssenem biesiadują.

- Mówiłam, że z tego niechybnie nieszczęście się przydarzyć musi! - Stara zamieszała zamasyście w kociołku, aż napój bryznął na gorące węgle. - Toż i wam nie uchodzi z sulicą po uroczyskach ganiać, jak jakiemu wywołańcowi. A wy co?! Ot, siwy chłop jak brzoza, a durny jak koza! Nie dość, że sam głupi, jeszcze dzieciaka judzicie!

Nie przerywając gderań, stara oglądała ranę po spotkaniu z dzikiem. Nie była zbyt głęboka, ale biegła od kolana aż do biodra. Zaraz w lesie Czerwienieć zszył ją grubą nicią - czerwoną dla odstraszenia wszelakiego zła.

- Wam trepy dratwą szyc! - syknęła przez zaciśnięte zęby, obejrzawszy gruby, niewprawny ścieg. - Gorszeście szkody uczynili, niż ta świnią!

- Rzeknijcie wreszcie, co będzie - Czerwienieć nerwowo wyłamywał palce.

- Skąd mnie wiedzieć? - Klucznicą odsunęła kosmyk włosów z czoła nieprzytomnego chłopca. - Krwi dużo uszło, w ranie goręta, a wyście go jako rakarz sprawili - zaciśnęła wargi. - Tyle jeno rzeknę, że jakby to zwykłe dziecko było, to bym was moglię kopać posyłała.

- To i lepiej - mruknął drużynnik, który pomagał przy - dźwigać chłopca do dworzyszczu. - Bo przecie choćby i przeżył... tak ta noga poszarpana, że chodzić na niej nie wydoła.

- Milcz, barani łbie! Wszyscy precz idźcie! - rzuciła ku skulonym pod ścianom służebnym. - Tu pożytku żadnego z was nie będzie.

- Odesłałam ich - mruknęła - bo lepiej niech się to między nami dwoma ostanie.

- Co niby?

- Ano to - powiedziała z cicha - że trza, byście mi wreszcie oczy mydlić przestali. Toż ja dobrze wiem, czyje to szczenię. I wiem, czemu z upiorami po pustkowiu jeździł.

Nigdy o tym nie gadaliśmy, pomyślał Czerwienieć. Słowo po słowie, bo chłopak był milczek, wywiedzialem się, jak uciekł z płonącego Rdestnika z Sorgo, mieczem żalnickich kniaziów. Mówił o wędrówce puszcza, o tym, jak zabłąkał się na trzęsawiskach Paciornika i o stadzie wilków, które go ściagało daleko na północy. Nawet o tym, jak go półzywego z zimna i głodu odpędzali przy brzegach Orrth od ludzkich siedzib. Ale o kohortę boga nigdy nie pytałem.

- Słuchacie? - stuknęła go w pierś chudym, szponiastym palcem. - Wyście nigdy do tego dziecka serca nie mieli! Jakby wam Białobrody szczeniaka darował, lepsze byłoby o niego staranie! Chcecie siebie o śmierć pani winować, wasza wola. Ale od dzieciaka wara! Jak swojego mieliście go chować! A wy co? Tyli czas już w dworzyszczu, a nawet imienia żeście mu nie nadali!

Czerwienieć zawstydział się odrobinę. Nadanie imienia było sprawą poważną. Gdyby nadawał imię obcemu dzieciakowi, usynowiłby go i uznał go za własnego dziedzica. A nie godziło się tego

czynić bez należytej rozwagi, toteż Czerwienieć namyślał się i zwłóczył. Aż wreszcie od kapoty, w której do dworca przyjechał, drużynnicy nazwali chłopca Koźlim Płaszczem. I już tak zostało.

- Bo ja go zmarnować nie dam! - ciągnęła zaciętrzewiona klucznica. - Ale jeśli macie dalej na niego tą posepną mordą patrzeć, to lepiej też sobie idźcie. Rozumiecie?

- Yhm.

- Tedy powiem wam, co w moich stronach o tym ostrzu gadają - ostrożnie dotknęła głowicy Sorgo. - Że on w samych ogniach Mieczownika wykuty i wielka moc w nim zaklęta - oczy klucznicy zaćmiły się z lekka i poczęła recytować: - Rozpękła się ziemia jako bochen chleba i wody wielkie ją zalały w ów czas, gdy moc nieskrępowana chodziła. Jedenaścioro ich było, więzy niezawodne uczynić postanowili, by moc swoją spętać i okiełznać. Na głazie przysięgali, w ziemię głęboko wrosniętym, wysokie fale nie zatopiły ich, lecz niosły. Kii Krindar pęta wykuł, znaki nieodmienne, na utrapienie wielu, zguby mężów przyczynę...

- Prędej, niewiasto - zniecierpliwił się. - I tak, żeby rozumiał.

- Łacniej by mnie kobyle podogonie wyrozumiało! - zachnęła się stara. - Ale żeście tępi, tedy wam powtórzę. U nas na Orrth powiadają, że ongiś bogowie związali pospołu swą moc, zaś Kii Krindar wykuł jedenaście znaków, w których ją uwięziono. Każdy z bogów nazaczył inny kształt, gdy zaś praca została ukończona, Bad Bidmone powróciła do Żalników z Sorgo.

- Ajuści - zaszydził. - Powiadają też na Orrth, że miesiąc to gomółka sera na niebie zawieszona, a przecie się nim nie najem.

- Jakeście tacy mądrzy - klucznica wzięła się pod boki - to mi rzeknijcie, dlaczego ten chłopak wciąż u was w spokojności żywie. Znać jego ród. Wiecie, że jego bóg Pomortu tropi. Czemu go należć nie potrafi? Zaniemógł? Zaniewidział?

- Jakim sposobem dzieciak aż tutaj się przywłókł? - naciskała stara. - Jakim sposobem wymknął się z Rdestnika, Zird Zekrunowi spod nosa? Jak przez paciornickie glibiele przełazi? Czemu nie zdechł z zimna i głodu? Czemu go wilki nie zarznęły?

- No? - spytał z ociąganiem.

- Bo go Sorgo chronił! - triumfalnie odpowiedziała klucznica. - Sorgo, panów na Żalnikach miecz! I może ja jestem stara głupia baba, ale mnie się widzi, że on go i teraz od nieszczęścia waruje!

- A tak! - ciągnęła. - Niech sobie służba myśli, że ja dzieciaka wywarami zratowałam. Niech mnie nawet wiedźmą obwołają. Po to ich odesłałam, żeby bzdurzyli. Ot, miecz na posłaniu połóżcie i drew do ognia dorzucacie... Poczekamy sobie w spokojności, póki...

- ...w spokojności, póki się ta ryża dziwka nie napatoczyła! - wybuchnął Kostropatka. - Przekłęty wiedźmi pomiot, trzeba ją było zrazu na krypie zaszlachtować!

Kapłan siedział w kuchennej izbie. Okręcił się ciaśniej łaciatym płaszczem Koźlarza, dopił

resztki okowity z glinianego kubka. Dygotał.

- Zabierzcie go, panie - poradził z cicha guślarz. - Dałem mu gorzałki na rozgrzewkę, ale widać nienawykły, rozebrało go do cna. A tu w alkierzu jeszcze jeden człek śpi, lepiej, żeby się w waszych sprawach nie rozeznał, jeszcze kłopot będzie. Mam szopkę na siano wedle koziej zagrody, tam się układajcie.

- Przyniosę sobie posłanie w komórcie przy alkierzu.

- Jak chcecie. Mnie za jedno. Weźcie kozuch z sionki, bo tam w komórcie nielicho przez ściany wichur dmucha.

- Wszystko zmarnowane! - Kostropatka pozwolił się ściągnąć z ławy, ale bynajmniej nie zamierzał zamilknąć. - Wszystko wniwecz obrócone! A za jaką przyczyną? A taką, żeście nie chcieli jednej parszywej dziwce gardła poderznąć!

Przemęka przytaknął obojętnie. Był doszczętnie zmordowany i nie zamierzał się spierać. Kozłarz leżał w ciepłej, suchej izbie, z Sorgo przezornie wsuniętym pod posłanie. Co prawda gospodarz nie był może najbardziej godny zaufania - Przemęka jakoś nie miał przekonania do tych jego zielonych gadzin - ale będzie jeszcze czas, żeby mu cichaczem łeb ukręcić. Na razie ściągnął z ławeczki w sieni połataną, wilgotny kozuch znachora i zamierzał na nim zasnąć, jak tylko Kostropatka zmęczy się gadaniem. Tyle że kapłan nie zamierzał zamilknąć.

- Wyście człek prosty, z miecza żyjecie - mamrotał niewyraźnie, lecz wytrwale. - Wy się tam, na Północy w naszych sprawach nie wyznajecie. Za jedno wam, kto na żalnickim stolcu zasiada. Smardz nie był może najmilszym człowiekiem - przyznał po krótkim milczeniu. - Wielce nieroztropnie wybierał małżonki. Ale znał granice. I był nasz. Pamiętam, jak wrócił z krucjaty przeciwko Skalmierczykom... z pięć tuzinów chorągwi rzucono w błoto przed wrotami świątyni... I to stado beczących jeńców, których kniaź przeznaczył na świątynnych niewolników - uśmiechnął się z rozmarzeniem.

- A teraz na co nam przyszło? Chamy mnie w łozinie dopadły - oparł się ciężiej na Przemęce i coraz bardziej mieszał wątki - jak jaką wiedźmę i gębę mi porznęli, kurewniki... herezja obmierzła... Herezja... w twarz mi powiedział., choć dużo nas jeszcze po lasach pochowanych... trzymają się starych rytów i obrzędów dopełniają...

- Ale spieszyć się trza - gadał niewyraźnie. - Toż jaki wielki czas my się sposobili. Pod samym Wężymordowym nosem knuli. A ninie, kiedy dzień nastał... Wszystko zmarnowane. Żalnicki pan zaszlachtowan jako świnia. Na gościńcu, na zbójeckim. I co teraz? - mamrotał, usypiając. - Co my teraz...

- ...my teraz zrobimy? - Kozłarz niespokojnie potarł się po czerwonym, niezawodnie przemrożonym policzku.

Czerwienieć poślinił palec, sprawdził i znów pociągnął osełką po ostrzu topora. Westchnął pod nosem. Nie miał . zacięcia do wychowywania dzieci, ale dawno wyrozumiał, że wrzaskami

niczego nie dopnie: zresztą klucznica wyrzekała za dwoje, aż łód strzelał na potokach. Nie, Czerwienieć nie dawał się sprowokować. Kiedy zdarzyło się coś wyjątkowo złowieszczonego, po prostu siadał i bez słowa ostrzył topór, a na dzieciaka nawet nie patrzył.

- Gdyby nie wasi drużynnicy, Pomorcy wybiliby nas do nogi - przyznał nieco onieśmielony Koźli Płaszcz. - Skąd mogliśmy wiedzieć, że nas wypatrzą? Przesmyki tak pozamarzały, że grzech było nie spróbować. I przekradliśmy się suchą nogą na sam pomorcki brzeg - dodał z zadowoleniem.

Jak wszyscy czerwienieccy wyrostkowie, Koźli Płaszcz nosił kubrak z miętko wyprawionej skóry, na nim długą kolczugę, a na ramionach, jak zwykle, wytarty płaszcz z koziej skóry. Ostatnimi czasy wkroczył w pełen udręk i zgryzot wiek młodzieńczy. Bardzo urósł. Kiedy chodził po dolnej izbie dworzyszczą, wieńcząca jego hełm biała kita omiatała pajęczyny z belek powały. Ruszał się niezgrabnie, a jego głos zawodził w najmniej pożądanym chwilach, łamiąc się i zmieniając w zabawny pisk ku uciesze dziewczek służebnych.

- Tylko że na brzegu przyczaiła się gromada Pomorców - dokończył zakłopotany chłopak. - Strasznie nas poszczerbili. Warka w ramię cięli, rozkazałem mu przodem iść.

* * *

Wark był synem sinoborskiego kniazia. Ojciec przyłapał go z kuzynką w komorze, co zgoła nie było niczym niespotykanym. Tyle że dziewczkę wprzódy bogini przeznaczono, więc okrutnie kniazia ich nagła komitywa zeźliła. Jeszcze dziewczyna nie obciągnęła dobrze spódnicy, jak ją do świątyni powieźli, a synowi kniaź grzbiet otłukł. Kniahini uderzyła w wielki płacz, bo to był najmłodszy syn, wychuchany, wypieszczony. Kniaź nie słuchał. Dostyc już, oznajmił, chłopaka niewiasty pomarnowały. Toż on nie panna, powiedział żonie. Jak tu kiedy wróg uderzy, to co? Zapłasa przed nimi wdzięcznie? I odesłał syna daleko od stolicy, do Czerwienieckich Grodów.

Chłopak okazał się chudym wyrostkiem o jasnej czuprynie i radosnych, szarych ślepiach. Kiedy tylko stanął w jednej izbie z Koźlim Płaszczem, wyszło na jaw ich ogromne podobieństwo. Aż się Czerwienieć zląkł, żeby z gościem pospołu jakie nieszczęście do dworca nie przyszło. Szczęściem drużynnicy przypatrywali się raczej odzieniu przybysza. Wark miał bowiem włosy zebrane w siatkę z pozłocistych oczek, na niej obszerny beret z długim zielonym piórem, wcięty w pasie kubrak z cytrynowego aksamitu i szmaragdowe rajtuzy. Jak długo czerwienieckie dworzyszczce stało na bożym świecie, nie oglądano tu podobnego cudaka.

Rychło miało się okazać, że wojownicy Czerwieńca bynajmniej nie zamierzali hołdować dworskim obyczajom. Póki pan hamował ich zapędy, obchodzili z daleka młodego kniazia, spluwając otwarcie na jego widok. Ale kiedy tylko Czerwienieć nieopatrznie upił się na biesiadzie, obdarli Warka do gołej skóry, potem wymazali dziegiem i wytarzali w śniegu na podwórku, a na koniec pospołu opróżnili baryłkę starego miodu. Bardzo się przy tym pobratali. Klucznicza zadbała, żeby rankiem pobratali się jeszcze bardziej: uwarzyła wielki gar ługu i zagoniła wszystkich do szorowania podłogi. Nic tak nie jednoczy, jak przepicie i wyrzekanie na babską bezdusność.

Wiosną zaś ze stołecznego dworu przysłano wieści o nieudanej wyprawie. Obu braci Warka zarabano gdzieś przy brzegach Pomortu i stary kniaź upraszał, by Czerwienieć zatrzymał chłopaka na dłużej przy sobie. Na wszelki wypadek, bo na dworze też niepokoje nastąpiły: kniahini bardzo zachorzyła i wiele gadano o truciźnie. Czerwienieć trochę się zafrasował. Nie widziało mu się słusznym, by sinoborski dziedzic rósł pospół z synem żalnickiego kniazia. Ale nijak było mu oponować.

Chłopcy chowali się wśród drużynników. Wkrótce Czerwienieć pokłócił się na wiecu z panem pobliskich włości i Wark miał sposobność przypatrzeć się północnym waśniom. W środku nocy wojownicy zakradli się pod wraży dworzec i podpalili go cichaczem. Drzwi i okna starannie zaparto, a mieszkańców, gwoli zapobieżenia dalszym niesnaskom, uwędzono w środku. Warkowi bardzo się ten północny zwyczaj spodobał, co nie wróżyło zbyt dobrze jego przyszłym poddanym. Czerwienieć nie bez złośliwości zauważył, że możnowładcy będą musieli stawić czoło kilku odświeżającym nowościom.

Ani się obejrzał, jak we dworzyszczu załęgła się cała gromada wyrostków. Zwabieni opowieściami o dziecku, które jeździło w kohorcie boga, i sposobnością wkupienia się w łaski następcy tronu synowie wielkich rodów ścigali do Czerwienieckich Grodów jak muchy do lepu. Czas jakiś polowali na wilki, łowili bieluchy przy brzegach Orrth, a przeważnie włóczyli się bez celu po okolicy. Póki nie znaleźli sobie lepszej rozrywki.

Czerwienieć nigdy nie dowiedział się, kto pierwszy wpadł na ów świetny pomysł: ani Wark, ani Koźli Płaszcz nie chcieli wyjawić tajemnicy. Dość, że kilka tuzinów narwanych szczeniaków zaczęło ni stąd, ni zowąd tłuc Pomorców. Na rybackich łodziach wyprawiali się na pomorskie wysepki, północnym obyczajem podpalalinocką osady, a w przypiływie animuszu potrafili uderzyć i na wojskowy garnizon. Wszelkie wędrówki stały się nagle dla Pomorców bardzo niebezpieczne, a kilka statków rozbiło się przy czerwienieckim brzegu po tym, jak ktoś rozpalił na skałach fałszywe ogniska. Napadali podstępnie jak dzikie psy, kąsali i uciekali do grodziszcz. Na północy zaczynano ich nazywać wilczą kohortą.

Zabawa była przednia - choć ludzie Zird Zekruna wpadali w coraz większą wściekłość - póki szczeniaki nie wybrały się na prawdziwą wyprawę. Lód trzymał mocno, więc umyślili sobie, że przekradną się Przesmykiem Sokolnickim na sam Pomort. Na szczęście któryś wydał się przed służebną. Zaniepokojona dziewczyna opowiedziała o wszystkim klucznicy, a Czerwienieć niezwłocznie wysłał młodzikom na odsiecz własną drużynę.

- I co my teraz zrobimy? - powtórzył chłopak. - Wasi Pomorców precz odrzucili, ale ci wiedzą ninie, gdzie siedzim.

Czerwienieć pociągnął osełką. Topór zaśpiewał.

- Zostawcież wreszcie toporzysko! - zachnął się ze złością Koźli Płaszcz. - Rady mi trzeba!

- Ano trzeba - zgodził się flegmatycznie Czerwienieć. - Tyle że nierychło o nią prosić przychodzisz. Nie radziłeś się mnie, kiedyś gromadę durnych dzieciaków judził. Ani wtedy, kiedyście na tą niedorzeczną wyprawę szli. Ciebie Sorgo chroni. A co z innymi?

- Mnie się widzi - klucznica grzebała ożogiem w palenisku - że rychło Pomorcy na Czerwieńskie Grody uderzą.

- Trzeba obronę gotować - przytaknął chłopak.

- Trochę późno - mruknął Czerwień. - Trzeba juki na drogę pakować.

- Nie od razu się przedrą! - zaprzeczył zapalczywie chłopak. - Zdążymy wici po sąsiadach obesać.

- Ja nie o Pomorcach mówię - wzruszył ramionami Czerwień - tylko o sinoborskim kniaziu. O Krobaku.

- O Krobaku? Ojcu Warka?

- Jak ci się zdaje - Czerwień odłożył topór i popatrzył chłopakowi prosto w oczy - czemu on Warka z dworu odesłał? Czemu wyprawił syna do dziczy, gdzie ani obyczajów dwornych, ani zabaw przynależnych następcy tronu nie dostaje? Dla kaprysu?

- Nie wiesz - pokiwał głową. - To ci rzeknę. Książ przemyślny jest i chytry jako liszka, on dla kaprysu ani pchły nie zdusi. Posłał syna na północ, bo tu się w całym Sinoborzu najlepsi wojownicy rodzą. Bo czas takowy idzie, że się książowski dziecko za młodu musi do wojaczki wprawiać. I przyjaciół jednać niezawodnych. Takich, którzy dotrzymają mu słowa, kiedy nastanie czas.

- Rozumiem - wtrącił niepewnie chłopak.

- Nic nie rozumiesz! - warknął Czerwień. - Co mi tu, w tej izbie, rzekłeś? Rozkazałem Warkowi. A kto ty jesteś, żeby jemu rozkazywać?!

- Wark jest synem kniazia - ciągnął spokojniej. - I jeśli ma po ojcu władać Sinoborzem, nie godzi się, by słuchał byle przybłądy. Choćby tym przybłądą było dziecko z kohorty Org Ondrelssena Od Lodu. Książ nam nie wybaczy. Nie tego, że wygubiłeś w Sokolnickim Przesmyku dzieci najmniejszych sinoborskich rodów. Książ nie daruje, że oni szli za tobą, nie za jego synem.

- Jest jeszcze coś - klucznica odłożyła pogrzebacz i wygładziła fartuch. - Nie dziecko, nie czas ci się w Czerwieńskich Grodach przyczajać. Bo tyle dopniesz, że osiądziesz w jakimś grodku z kłótliwą niewiastą i gromadką umorusanych bachorów, co się będą z psami pospólek w popiele bawić. Nie wiem. Może ci się spodoba - uśmiechnęła się krzywo. - Może nawet od święta przydybiesz gdzieś Pomorca albo dwóch i flaki im wyprujesz.

- Łacniej oni ciebie przydybią - wtrącił Czerwień. - Do wojaczki prócz chęci rozumu trzeba.

- Po mojemu - mówiła stara - to nadszedł czas na południe pociągnąć. Jeszcze tam twój stryj, Jastrzębiec, przewodzi rebelii na Półwyspie Lipnickim. I masz siostrę, którą Wężymord wywiózł nad Cieśniny Wieprzy.

- Pojadę z wami. - W na w pół uchylonych kuchennych drzwiach stał Wark. Rękę miał ciasno obwiązaną szmatami.

- Nie, nie pojedziesz - spokojnie odpowiedział Czerwienieć. - Wrócisz do ojca. I ani słowem nie piśniesz, coś tu usłyszał. Bo zgaduję, że dość podsłuchałeś.

Młody książę podrzucił głową. Jak Koźli Płaszcz, był odziany na północną modłę, zaś włosy, zwyczajem wojowników, spletał w dwa sięgające ramion warkocze. Ale twarz miał bardzo młodą, prawie dziecinną, z rzadkimi kępkami jasnych kłaczków na brodzie.

- Wszystko słyszałem - przyznał hardo. - Ale durny nie jestem i żalnickiego pisma też mnie dobrze wyuczono. Wiem, co za miecz na plecach nosisz - rzucił Koźlarzowi przepraszające spojrzenie. - Znam słowa na nim wyryte. Przecież nie wydałbym kuzyna.

- Siostrzeńca - poprawiła klucznica.

- Co?

- Jest ci siostrzeńcem - wyjaśniła oschle. - Starszym ładnych kilka lat, ale synem twojej rodzonej siostry. Twój ojciec wcześniej zabrał się do płodzenia dzieci.

- Wszystko jedno! - niktął. - Siostrzeńca też bym nie wydał.

- Nie składaj obietnic, dziecko - upomniała go z drwiną. - Zwłaszcza takich, których potem możesz żałować. Bo kniaziowi nie przystoi.

Pryszczate oblicze Warka gwałtownie pokraśniało. Wymamrotał pod nosem coś okrutnie plugawego i uciekł z izby.

- Wark nigdy by... on nigdy... - zająknął się Koźli Płaszcz. - To niegodziwe, coście rzekli... niesprawiedliwe.

- Wiedziałałam, że z tej komitywy z kniaziowskim szczeniściem nieszczęście się musi trafić - skrzywiła się klucznica, - Że sobie dzieciak pańskimi durnotami głowę nabije. Niegodne, niesprawiedliwe, aż zęby cierpną od słuchania. Może ci Wark obietnic dochowa, synu. Pierwsza mu się wtedy pokłonię. Ale jak dłużej po bożym świecie pochodzisz, więcej zobaczysz, wtedy sobie o sprawiedliwości pogwarzyemy. Na razie pójdę ci gacie i koszu - liny przygotować. A i Warkowi przyda się kniaziowski tyłek na drogę opatrzyć! - Zebrała spódnicę i wymaszerowała majestatycznie.

- To już teraz ruszać mamy? - cokolwiek żałośnie spytał chłopak. - Tak zniecka?

- A co żeś chciał? - zniecierpliwiał się Czerwienieć. - Fanfar?

Przez cały dzień Czerwienieć nielitościwie poganiał konie i wiedział, że chłopak ledwo trzyma się w siodle. Ale nie miał ochoty przystawać. Krótco po zmierzchu wyjechali na wysoką przełęcz, skąd rozciągał się widok na rozległą równinę, na której pobudowano czerwienieckie grodziszcze.

- Co to? - chłopak wskazał rozlaną po horyzoncie pomarańczową lunę.

- Płoną czerwienieckie grody. - Spod kaptura widać było jedynie oszronioną brodę Czerwienca.

- Płoną? - powtórzył niepewnie. - Jakże to?

- Pomorcy musieli się pospieszyć - wyjaśnił beznamiętnie. - Myślałem, że nie uderzą przed świtem.

- Wiedzieliście? - głos chłopaka załamał się, przeszedł w wysoki pisk. - Wiedzieliście i nic nie zrobiliście? Zupełnie nic? Zostawiliście wszystkich na rzeź, byle tylko unieść własny kark? Jak mogliście!

- Ano mogłem! - odparł Czerwieniec twardo. - Aby wyprowadzić z pożaru dwóch szczeniaków. Zbyt durnych, żeby to zrozumieć. Więc przypatrz się dobrze. Bo tam płonie dziecko, które jeździło w kohorcie boga. Drużynicy będą przysięgać, że Pomorcy zarabali mnie na podwórku mojego własnego grodu. I będą przysięgać, że wichrowe sevri przybyły po umierające dziecko z kohorty Org Ondrelssena. Że morze zabrało swój dar. - Dobięło go coś, jakby zduszony szloch, ale nie przerywał. - Będą tak mówić nawet na torturach.

- I dlatego trzeba, abyś się przypatrzył tym ogniom i dobrze je zapamiętał. Nie raz jeszcze będą dla ciebie i za ciebie ludzie umierać. Moi wojownicy nie pytali, czemu wysyłam ich na śmierć. Może i ciebie kiedyś nie będą pytać. Ale kniaziowska powinność jest wiedzieć. I pamiętać. To jest pierwsze miasto, które płonie za twoimi plecami. Będą następne.

- Drugie - bardzo cicho powiedział chłopak.

- Co?

- Drugie. Widziałem już, jak płonął Rdestnik. Cytadela ojca.

- Prawda - zgodził się Czerwieniec. - Ale teraz powędrujemy na południe. Może odwiedzimy twojego stryja na Półwyspie Lipnickim, ale myślę, że ruszymy jeszcze dalej. Trzeba ci się wiele nauczyć, przypatrzeć Krainom Wewnętrzznego Morza. Tak - powiedział powoli. - Myślę, że już czas. Chyba taka nasza natura, by wierzyć i opierać się przeznaczeniu. Ale Białobrody powiedział mi, że się przemożę. No, i na koniec przemożem się. Nie ma Czerwienieckich Grodów i nie będziesz mnie dłużej wołać Czerwieniec, tylko Przemką.

* * *

- Ano, osłuchałem się o tym żalnickim wypędku - pokiwał głową Mroczek, ongiś kupiec bławatny. - Zdrowo on musiał pomorckim kapłanom krwi napsuć, bo starczy o nim wspomnieć, a klną jako hycle. Myśmy się tu z rana pod bramami w klasztorze Zird Zekruna przytaili. A że mojego,

tfu, pana, zaraza na jego głowę, do kompanii kapłaństwo przypuściło, tom i ja się wiele wywiedział. Ty nie uwierzysz, Twardokęsek, jak ludzie po próżnicy ozorami mielą...

- Nie, żebym nie był ciekaw - podjął, przepijając do zbrojcy. - Ale coś oni za chętnie przy mnie swoje sekreta odsłaniali. Coś za bardzo im się widzi, że ja ze szczętem ich. Nic, na razie przydusili mnie za gardziel, ani zipnę. Niech no jednak sposobność się trafi, a czmycham co rychlej. Bo my się oba w takie gówno, Twardokęsek, wpakowali, że tu ani gardłem się wypłacić. Ja że takie rzeczy oglądał - ręce poczęły mu się trząść, ledwo zdołał gąsior odstawić - że to już nie kryminał...

- Widzi mi się - podjął po chwili - że pomorccy kapłani z dawna mieli baczenie na to żalnickie książątko. Od lat. Tyle że go sięgnąć żadnym sposobem nie potrafili, bo się daleko na południu zasadził. Het za Turznią, za tymi górami wielgachnymi, gdzie norhemni żyją, jeszcze dalej, tam, gdzie jeno szczeżupińskie okręty pływają. Bajali kapłani, że są tam kraje, królestwa niezmierne, gadali też, jak się zwą, ale nie pomnę, taka to była dziwaczność. I tam się książątko za zaciężnego miało najmować.

- A ninie wraca - wykrzywił się Twardokęsek. - Pewnikiem go szczeżupiński okręt w kraj Fei Flisyon przywiózł i takeśmy się w Tragance uwidzieli. Ot, jak biednego nieszczęście zawdy doścignie.

- Ani zgadujesz, jakie nieszczęście - krzywo uśmiechnął się Mroczek. - Ani zgadujesz...

* * *

Pan Krzeszcz niechętnie budził się z pijackiego snu. Właściwie zamierzał przedrzemać do południa, albo jeszcze lepiej, do samego zmierzchu, póki łeb nie przestanie ćmić, a kark nie straci bolesnej sztywności. Pod łokciem dzierzył niemal opróżnione dzbanisko. Wczoraj, widać natchniony szczęśliwą myślą od jakiegoś boga, napełnił je serwatką i od czasu do czasu, kiedy suchość w gardle stawała się zbyt nieznośna, nie otwierając oczu, pociągał pokaźny łyk. Nie zrażało go przytłumione beczenie kóz ani smród dobywający się z kąta chaty, gdzie zeszłego wieczoru ulżył sobie któryś z jego kompanów od kielicha. Spał. Chrapał błogo. Śnił.

Przez podłożone pod głowę ramię przebiegła mu dorodna jaszczurka. Pan Krzeszcz poderwał się gwałtownie, otrząsnął. Gadzina smyrnęła ze stołu, tylko zielony ogon zamachał szyderczo po klepisku. Z nagła wszystko stało się okrutnie wyraźne: skisły zaduch, zgnilizna w gębie i cała mizeria obecnego położenia.

Pan Krzeszcz włóczył się po Górach Żmijowych z dobry tuzin lat i w księstwach Przerwanki nie znalazłbyś ni jednej włości, której by nie przemierzył. Z początku popasał w pańskich dworcach. Przyjmowano go gościnnie, bo w górach ludzie zwykle są wędrowcom radzi. Pan Krzeszcz palce za pas zatykał, brzuch dumnie wprzód podawał i prawił o swych dawnych wojennych przewagach. Kiedy zaś opowiadał o niecnej zdradzie Pomorców, o tym, jak żalnickiego kniazia w jego własnej stolicy pomordowali, szczerze niebieskie oczy pana Krzeszcza zachodziły łzami, a spojrzenie przesuwano się od twarzy do twarzy, jakby szukając u nich zaprzeczenia. Słuchano go też chętnie,

może nawet chętniej niżli innych, a w tamtych czasach wielu było takich, którzy uchodzili z ogarniętych zawieruchą Żalników.

Potem jednak w Górach Żmijowych z wolna zrozumiano, że piraci bynajmniej nie zamierzają złupić Żalników i umknąć na Pomort. Kiedy przewodzący frejbiterom Wężymord obwołał się kniazem, ludzie chwytały się za głowy z zadziwienia, co to się na świecie porobiło. Nic to, powiadano, jest jeszcze Jastrzębiec, starego kniazia brat, on piratów wypędzi i po krewnym koronę weźmie. Ale z czasem stawało się coraz wyraźniej szym, że rebelia przygasa, a Wężymord spycha Jastrzębca coraz dalej ku morzu. Darmo pan Krzeszcz targał posiwiaty wąs, darmo jego oczy zachodziły łzami. Panowie Przerwanki dąsali się jeszcze trochę, ale później jeden za drugim zaczęli wysyłać poselstwa do Wężymorda. Ostatecznie, jak sobie skwapliwie powtarzano podczas wspólnych biesiad, nie mamy żadnych powodów, by żałować starego Smardza. Łotr był to i niegodziwiec, jakich na bożym świecie mało. Trzeba się co rychlej z Wężymordem uładzić, gorszym niżli Smardz nam nie będzie, a może się co na lepsze odmieni. I coraz mniej chętnie witano pana Krzeszcza w książęcych dworcach.

Zrazu nie pojmował on przyczyn owej odmiany. Więcej, ani samej odmiany w czas nie dostrzegł, bo niby panowie nie wychodzili już go witać na dziedziniec i nie sadzano go na samiuśkim szczycie stołu, obok gospodarza, ale przecież panu Krzeszczowi nie o to szło. Wciąż perorował z zapalem, nie bardzo dbając, czy go słuchają, gardziel tylko co i raz skalmierskim winem zwilżał. A jak skalmierskiego brakło, to i prostą okowitą, bo grzech gościną pogardzić. Nie był wybredny.

Aż wreszcie zdarzyło się, że nie tylko nikt go witać nie wyszedł, ale i wrót mu nie otwarto. Darmo pan Krzeszcz pod bramą krzyczał i płuca marnował. Słusznym gniewem zdjęty pomaszerował do następnego dworca, ale i tam go nie przyjęto, jeszcze pacholkiwie psy spuścili. Teraz już nawet człek równie pocziwy i ufny w ludzką dobroć jak pan Krzeszcz pojał, że coś się zmieniło. Próbował księcia pana na ubitą ziemię wyzwąć, gdyż jako prawy żalnicki szlachcic w niczymkolwiek się za gorszego od księcia nie poczytywał. Ale w Górach Żmijowych inne zgoła obyczaje panowały, a traf chciał, że pan Krzeszcz nieopatrznie, acz srodze zelżył matkę i babkę porywczego panka. Pacholkiwie obdarli go do gołego grzbietu i gwoli przestrogi oćwiczili korbaczami.

Tak sobie los z pana Krzeszcza zadrwił, i to zadrwił okrutnie. Bowiem choć opowieści owego żalnickiego patrioty burzyły krew spokojnych mieszkańców Przerwanki, nie było w nich ni krzty prawdy. Ani nie chadzał na wyprawy ze starym Smardzem, ani nie bronił bohatercko rdestnickiej cytadeli przeciwko rozszałatym Pomorcom. Po prawdzie zdarzało mu się potykać jedynie z sąsiadami. Było więc kilka zasadzek przy trakcie, z tuzin bitek w karczmach i jeden zajazd skończony podpaleniem wrażego domostwa. Po owym czynie pan Krzeszcz spędził całą zimę w starościńskiej wieży, co jednak w żadnym razie nie nadwerężyło jego zdrowia i nie odebrało mu zapalu do dalszych zmagañ.

W jednej jednakowoż sprawie pan Krzeszcz nie skłamał: napaść Wężymorda na żalnickie władztwo ze szczętem odmieniła jego życie. Ponieważ posiadłość pana Krzeszcza rozciągała się z dała od najludniejszych traktów (a w gości rzadko się do niego wybierano, szczególnie po tym, jak rozniosła się wieść, że gospodarz rozszczepił czekanikiem podsędką), nieprędko miał się dowiedzieć o pomorskim podboju. Lato było deszczowe. Na polach prawie wszystko zgniło, a co nie zgniło, to zaraza do reszty zmarnowała. Pan Krzeszcz przeważnie siedział w dworzyszczu, pił okowitę i grał w

kości z miejscowym proboszczem. Ani słyszał o Wężymordzie. Zaprzętały go sprawy bardziej istotne: wyprawy do wioski po jakąś dziewczkę, plany zarybiania stawów i przygotowywanie nowego pozwu przeciw niecnym sąsiadom.

Wychynał z kniei dopiero pod jesień. Sprawę w sądzie przegrał sromotnie, a nieurodzaj okazał się tak dotkliwy, że musiał zastawić u kapłanów Zaraźnicy pokaźny kawał dąbrowy, toteż nie przysłuchiwał się zanadto wieściom ze stolicy. Nawet kiedy po okolicznych dworach poczęli pokazywać się partyzanci Jastrzębca, zachęcając co młodszych i mniej rozważnych spośród szlacheckiej braci do powstania, pan Krzeszcz statecznie się temu wszystkiemu przyglądał. Rozumiał dobrze, że w Żarnikach wiecznie jakiś rokosz się podnosi, a pożytku z nich tyle, że przybywa wywołańców, co się po lasach kryli.

Dopiero kiedy zagon Pomorców spustoszył mu dwór, wzburzenie wielkie i gniew ogarnęły pana Krzeszcza. Zebrał zaprawionych w karczemnych bójkach pachółków i zasadził się przy gościńcu. Nie, nie na pomorckich frejbiterów, nie na rebeliantów nawet, których skrycie uważał za niezawodną przyczynę wszelkiego zła. Wykoncypował sobie sprytnie, że w zamęcie, który ogarnął Półwysep Lipnicki, trzeba się jak najdalej trzymać od polityki i starodawnym zwyczajem łupił kupców.

Zima minęła mu szczęśliwie. Fortuna rosła, na miejsce starego dworzyszczca pobudował nową, porządnie obwarowaną siedzibę, a kiedy puściły lody, ubłagani żarliwymi modłami pana Krzeszcza bogowie umorzyli niegodziwego sąsiada. Pan Krzeszcz pośpiesznie zajechał jego posiadłość i podniesiony na duchu tym znakiem boskiej opieki, przemyślał o ożenku. Tymczasem Pomorcy przeklinali rabujących rzekomo na gościńcu rokoszan, rokoszanie lżyli Pomorców, a pan Krzeszcz bardzo się pilnował, by z żadnej pułapki nie uszła żywa noga, co mogłaby niecnie rozpowiadać o jego zaradności.

Aż raptem zdarzyło się nieszczęście. Pokaźny podjazd zacieźnych Wężymorda przydybał go nad wyrżniętym do szczytu konwojem. Pan Krzeszcz roztropnie nie bawił się w emandacje. Wziął nogi za pas i umknął w knieje. Okolicę znał dobrze, więc przekradł się trzęsawiskami aż dwa powiaty dalej. Gdy jednak w przydrożnej knajpie trzech Pomorców usiłowało go zamordować, ruszył na południe i nie przystanął, póki nie minął granicy Gór Żmijowych. I tak właśnie został patriotą.

Ale to było dawno temu, smętnie pomyślał pan Krzeszcz. Czasy pieczonych bażantów, skalmierskiego wina i przychylnych szlachcianek dawno odeszły w niepamięć. Teraz przesiadywał w co pośledniejszych karczmach, jeśli zaś go nędza bardziej przydusiła, to i zaproszeniem do chłopskiego obejścia nie pogardził. Czatował w gospodach na wędrownych kramarzy, najemników, a kiedy innego towarzystwa brakło, grywał w trzyszaka nawet z poborcami podatkowymi i powroźnikami. Trzeba zresztą wiedzieć, że pan Krzeszcz w trzyszaka grywał wybornie - nieznacznie tylko losowi dopomagając - i w tamtych czasach było to jego główne źródło zarobku. Przy tym dbał bardzo, by kompania nie zapomniała, z jak znamienitym towarzyszem przyszło im się bratać, i jeszcze bardziej dbał, by na stole nie brakło okowity. Stąd jego przezwisko poszło. W całych Górach Żmijowych zwano go Wydmikuflem.

W zagrodzie kozy beczały coraz żałośniej. Pan Krzeszcz obciągnął na plecach ochopień z grubego sukna, po czym zmacał na ławie miecz. Przyasał go starannie, bowiem choć ostatnio

chadzał w prostym, niemalże chłopskim ubiorze, przecież nie zapomniał o swej szlacheckiej godności. Przyglądał czuprynę i wyszedł na podwórko, łaskawie skinąwszy znachorowi, który wracał właśnie ze skopkiem koziego mleka.

Już prawie miesiąc pan Krzeszcz popasał w gościnie u znachora Działońca. Domostwo było w okolicy nieco dzikiej, ale z rzadka tylko trafił się dzień, by nikt nie zastukał do drzwi. Jedni ściągali po sławne ziołowe remedia, inni prosili znachora, by chorobę zaklął i odpędził, jeszcze inni chcieli, żeby w wodę patrzył i przyszłość przepowiadał, bo, jak powiadano, wróż był z niego przedni. Pan Krzeszcz przyglądał się owym praktykom obojętnie, że zaś znachor zdawał się chętnie go przyjmować, nie spieszył się w drogę.

Na ławeczce pod starą lipą siedział turzniański szlachcic. Pszczoły brzęczały leniwie od strony pasieki za chatą, a on pogryzał pajdę razowca z miodem i jak z zazdrością spostrzegł pan Krzeszcz, ani było po nim znać wczorajszego pijaństwa.

- Jakże tam synaczek waszmości? - spytał łaskawie pan Krzeszcz.

- Ano, bogów chwalić, szybko do zdrowia przychodzi. - Turznianin podsunął mu bochen chleba i drewnianą miskę z miodem. - Do świata się rwie, a we łbie mu szumi jako w kadzi piwo młode. Dobrze, że go Działoniec hamuje.

- Waszmościów prawdziwie - mruknął z pełną gębą pan Krzeszcz - dobry duch prowadził. Bo Działoniec iście zna się na leczeniu lepiej niż niejeden medyk. Wielem ja tu u niego dziwów widział, aże strach czasami człeka zdejmował...

I ludzisków mnogo tu przychodziło, dodał w myślach, ale żaden mi się tak osobliwy nie wydał jako wy. Boć przecie dwór księcia Piorunka nieopodał, dość chłopca pchnąć albo i samego Działońca, a nie poskapią rannemu opieki. Wy zaś tutaj siedzicie, zapiecek wymoszczony baranym kozuchem nad dworskie puchowe poduchy i miękkie piernaty przedłożywszy. Ot, dziwowisko.

Pan Krzeszcz uśmiechnął się pod wąsem. Nie był w ciemną bity i swoje wiedział. Nie na samo znachorstwo ludzie do Działońca ściągali ani nie na wieszczenie. Toć on sam, we własnej szlacheckiej osobie, niby to snem zmożony, podglądał starego, jak ukradkiem koziego mleka w miski leje i pod progiem wystawia na ofiarę domowym wężom, ziemiennikom.

Ale nie wydał się ze swym odkryciem, bynajmniej. Miesiąc jasno świecił przez przesłonięte rybim pęcherzem okno, a pan Krzeszcz długo spać nie mógł, wiercił się na pościeli. Wąs żuł i rozmyślał. Rozumiał, że w klasztorze Cion Cerena nagrodziliby go suto za wydanie starego. Bał się jednak, że kiedy się wieść o zdradzie rozniesie, to nie tylko łupu, ale nawet głowy bezpiecznie nie zdoła unieść, bo go rozjuszone chłopstwo drągami i cepami tuż za klasztorną bramą zatłucze. Męczył się więc i wahał. Aż następnej nocy do chaty znachora ściągnął ów turzniański szlachcic, który się kazał Przemęką wołać.

Nie bez przyczynyś tu ściągnął, ptaszyno, pomyślał z przekąsem pan Krzeszcz. Na głos jednak nic nie rzekł, a Przemęka też nie kwapił się do pogawędki.

Siedzieli tak bez słowa, odkrawając pajdy od jednego bochna i zarazem nie dowierzając sobie nawzajem ni trochę, póki Przemęka nie spostrzegł rannego. Szedł wolno, oparty na kij, który dlań onegdaj znachor wystrugał, ale zaszedł już całkiem daleko od obejścia, aż się pan Krzeszcz zadziwił. Chciał się owym zdumieniem z Przemęka podzielić, a może nawet krzepkości dziedzica mu winszować, ale ten wstał i przeklinając pod nosem, ruszył za synem.

A tuś mi, pomyślał z uciechą pan Krzeszcz, kiedy obaj zniknęli za drzewami. Już teraz nie daruję i wybadam, coś ty za ptaszyna. Nieprędko mogła się znów podobna okazja nadarzyć, jako że Przemęka baczył, żeby się nikt przy izbie chorego nie kręcił. Owszem, wieczorami z panem Krzeszczem pił, aż im obu ze łbów dymiło, i chętnie przysłuchiwał się jego opowieściom, ale do nadmiernej komitywy z synem go nie - dopuszczał. Co więcej, jak któryś z kmieci, co do zielarza zachodzili, za bardzo do alkierza zaglądał, to go zwyczajnie za kark brał i z chałupy precz wyrzucał. Toż człek rozumny zawsze winien wiedzieć, z kim się pospolituje, przekonywał się pan Krzeszcz, grzech byłoby nie sprawdzić, co kryją. A nuż, myślał, jest w tym jaka inna zgoła przyczyna, może oni takżoż ziemiennikom cześć oddają? Może prawdę gadają kapłani Cion Cerena, że w całym świecie żywią wyznawcy onych żmijowych bożków i wszelakim drugim narodom zgubę knują?

Przed oczyma stanęły mu krwawe opowieści o tajemnych spotkaniach, na których oszołomiona przyprawnym trunkiem chanaja rozdziera w strzępy niewinne dzieciątka. Sprośne tańce z wiedźmami pod czerwonym księżycem w pełni, uczyty, na których ludzkie plemię pospołu ze szcurakami do jednych stołów zasiada. Wzdrygnął się z początku, ale strzymał: człek szlachecki mężny musi być i na przeciwności, choćby najpotworniejsze, gotów.

W kuchennej izbie nie było widać Działońca, ale stary miał zwyczaj włóczyć się po lesie i pan Krzeszcz właściwie nie spodziewał się go zastać. Ostrożnie przekradł się do alkierza - niewielkiej, ciemnej izby na tyłach chaty. Drzwiczki były niskie, musiał się prawie wpół zgiąć i mimowolnie pokłonić obrazom żmijów, którymi znachor obwiesił tylną ścianę izby. Z pomieszaniem patrzył na inne wizerunki, na skrzydlate jaszczury wyrzeźbione na zagłówku, na rogate monstra, co pochylały się ku niemu z narzuty. Aż wreszcie ocknął się i baczniej rozejrzał po ciemnym pomieszczeniu.

Tobołki leżały pod ścianą. Pan Krzeszcz szybko rozsznurował dwie niewielkie skórzane sakwy, ale nic nie znalazł, ani złota, ani pergaminów. Zajrzał pod łóżko, przepatrzył podbity futrem płaszcz Przemęki, pilnie badając, czy tam gdzie czegoś nie zaszyto. Nic. Rozwiązał każdy z woreczków w kufrze pod oknem - tyle że zaczęło mu się w nosie kręcić od ziół, które tam znachor miał pochowane. Rozgrzebał zarzucone baranicą posłanie Przemęki, ale nie wyszukał niczego prócz wsuniętej pod poduchę manierki; w środku była bardzo zacna śliwowica, o czym pan Krzeszcz nie omieszkał się przekonać. I na sam koniec, zupełnie mimochodem, wysunął z pochwy wielki oburęczny miecz, który stał oparty o ścianę. Nie wiedział właściwie, czemu to uczynił, bo pochwa była z pospolitej, czarno barwionej skóry, a rękojeść wieńczyła najprostsza okrągła głowica.

Ciężki był szarszun, ledwo go pan Krzeszcz w obu rękach mógł utrzymać. Kiedy już nieco oswoił się z ciężarem, podszedł do okienka i począł się bliżej głowni przypatrywać, bo wydało mu się, że dostrzega wryte na niej znaki. Potem powoli i z niejakim wysiłkiem, gdyż z rzadka tylko czynił użytek z liter, przeczytał: "Nie starty żelazem ni ogniem, zawsze ten sam".

Zaraz omdlały mu ramiona, czy to pod brzemieniem oręża, czy też nagłego zrozumienia, gdyż

jeden tylko był taki miecz w Krainach Wewnętrznego Morza. I teraz pan Krzeszcz wiedział już nieomylnie, co przyszło mu odnaleźć i co to może oznaczać.

* * *

- Czas wam się będzie zbierać.

Przemęka aż się wzdrygnął na widok Działońca spokojnie stojącego przy kępie łoży. Jak on się w tej łożynie przekrada, pomyślał niechętnie, ani mu co pod butem trzaśnie.

- Każę chłopom, żeby was przeprowadzili na północ - ciągnął znachor. - Tyle że na widok kapłana żalnickiej bogini jeno spluwać będą. Nikt z tych, co stare obyczaje szanują, nie pospieszy mu z pomocą, raczej książęciem znać dadzą. Za dobrze ludzie pamiętają, jak oni tu kiedyś kraj prześladowali.

- Co więc mamy uczynić? - książę niecierpliwie postukiwał kijem.

- Precz go odesłać - zawzięcie rzucił Działoniec. - Niech się sam ratuje. Jeśli potrafi.

- Mam swego człeka na zgubę posłać - oschle odparł Koźlarz.

- Powiem wam, jak się gadziny z opresji ratować zwykły - zielarz uśmiechnął się niemiło. - Jak je co ucapi i dobrze trzyma, wtedy one część własnego ciała odrzucają. Jeszcze się tam ogon u ptaszyska w dziobie trzepocze, wrywa, ale gadzina dawno już w trawę smyrgnęła, chociaż i bez ogona. Tak i wam zda się uczynić. Odrzucić ogon, by się choć głowa ostała.

- Tośmy chyba ze szczętem u ptaszyska w dziobie - szyderczo odezwał się Przemęka. - Ale, widzicie, myśmy ludzia zbrojna, a ptaszysku łącno można łeb urezać.

- Popróbujcie - wzruszył ramionami Działoniec. - Rychło się okazja trafi, bo pijanica właśnie pognał książęciem was wydać. I nie dziwota, skoro u mnie w alkierzu miecz żalnickich kniaziów przydybał.

Przemęka bez słowa popatrzył na Koźlarza. Książę zacisnął wargi.

- Czemu wy nam pomóc chcecie? - spytał.

- Wielka nagroda za was naznaczona, ale mnie ani bogactwo nie nęci, ani mi gniew Wężymorda niestraszny - odparł stary. - Kto w Żarnikach na stolcu siedzi, też nie dbam. Ale od tego, co Zird Zekrun czyni, i sama ziemia święta krzyżeć poczyna. Dlatego wam pomogę.

* * *

Pan Krzeszcz gnał przez las. Sam nie wiedział, dokąd gna, ale nogi niosły go ręczo poprzez wielkie paprocie i kolczastą chachmęć porastające dno lasu. Ani dbał o coraz płytszy oddech i ciężkie dudnienie pod czaszką. Przebiegł w bród strumień, potknął się, przewrócił w błoto. Nie wiedział, gdzie jest, nie wiedział, jak trafić na gościniec, ale gnał z całych sił, póki nie rozpoznał pól okalających dwór księcia Piorunka.

- Co ci, Wydmikufel? - poczęli pokrzykiwać grabiący siano chłopci. - Bobaki ci w lesie rzyć przyszczypały?

Ale on nie słyszał ich krzyków. Roztrącił halabardników, wpadł prosto na dziedziniec, pomiędzy stado gęsi. Gęsi zaraz podniosły okrutny rejwach, a gęganie obudziło wylegujące się obok stajen kundle, które z radosnym ujadaniem wpadły pomiędzy kłębiące się wokół gnojownika kury. Wkrótce cały dziedziniec wypełnił przeraźliwy harmider. I wtedy właśnie na nieszczęście z kuchni wychynęła niedojda pomywaczka. Debilka przyglądała się zamieszaniu z rozdziawioną gębą, a potem z całej siły wrzasnęła:

- Górze! Ratujcie, ludzie! Ogień we dworze!

W owejże chwili pan Krzeszcz bez sił opadł obok bydlęcego poidła i omdlał. Tam go właśnie odnaleźli pachołkowie i doprowadzili do księcia Piorunka. Bardzo zeźłonego księcia Piorunka.

Przechadzał się wzdłuż szeregu okien z oprawnych w metal szybek. Drobnny, żyłasty mężczyzna w zupełnie zwyczajnej, znoszonej karwatce z bydlęcej skóry i siwych nogawicach. Kiedy spoglądał ku panu Krzeszczowi, ten mimowolnie wciągał głowę w ramiona. Książę Piorunek dzielił wszelkie przywary ludzi nikczemnego wzrostu, którzy, jak powszechnie wiadomo, są hardzi, gniewliwi, we wzburzeniu prędcy wielce, a bez rozmysłu.

Przy ostatnim oknie stał drugi mężczyzna. Nieco wyższy od księcia i tak wychudzony, że przypominał nieledwie szkielet owinięty brunatną, świątynną kaplicą Zird Zekruna. Jego milcząca obecność wzmagała jeszcze irytację księcia Piorunka. Niegdyś, po niesławnej kłótni z opactwem, rozjuszony książę przepędził dworskiego kapelana, zaś kaplicę Cion Cerena obrócił na rupieciarnię i bezwzględnie zakazał domownikom kontaktów z bogiem, którego sługi tak bezczelnie go okpiły. W poczuciu słusznej krzywdy, acz, jak miał później przyznawać, wielce nierozważnie, zwrócił się ku tym, których się najbardziej w Górach Żmijowych obawiano - ku sługom Zird Zekruna. Nim pierwszy gniew księcia minął, w dworcu zagnieździł się posępny klecha o czole naznaczonym piętnem skalnych robaków.

Dopiero później Piorunek zrozumiał, że to, co miało być zemstą na przeniewierczych mnichach Cion Cerena, obróciło się przeciwko niemu. Przypomniawszy sobie, że właściwie darzył pewnym przywiązaniem siwobrodego sługę Cion Cerena, którego największymi przywarami były zażyłość z kucharką i nieprzewyciężone upodobanie do obsmażanych w cukrze wiśni. Tymczasem zamiast niego w kaplicy załagał się mąż o spojrzeniu gada, które sprawiało, że w domostwie przygaszała wszelka radość, zaś małżonka księcia, którą ten skrycie, lecz ogromnie miłował, coraz częściej bez przyczyny wybuchała płaczem.

- Więc byliście w chacie znachora? - spytał przez zaciśnięte zęby książę. - A czegoście tam szukali, mości Krzeszczu?

- U Działońca, w samej rzeczy u niego, wasza miłość - pokornie odpowiedział pan Krzeszcz. - A szukać niczemu nie szukał, jeno mnie w krzyżu okrutnie strzykać poczęło... Bo też zdrowie, z dawien dawna nadwątłone, coraz bardziej szwankuje - tu pan Krzeszcz poczuł chęć rozwiesić się szerzej, ale Piorunek przerwał niecierpliwie.

- Nie kręćcie, mości Krzeszczu - wycedził przez zęby.

- Wyście tu tak gnali, że i niejednego młodego by zatchło, a i ryczełiście niby tur. Nie, mości Krzeszczu, po mojemu to wyście nie porady u znachora szukali. W trzyszaka żeście z nim rżnęli i chłopów moich rozpijali, ot co!

- Jam się z rozmysłu przytaił - oznajmił pan Krzeszcz.

- Znachor, świńskie nasienie, skryty jest i podejrzliwy. A nie bez przyczyny, bo ziemiennikom służy i jeszcze wszelakie wiejskie chamstwo do pogaństwa zachęca.

- Dobrzem się jego przebrzydłemu rzemiosłu przypatrział - ciągnął. - Alem ani suponował, jaka w nim śmiałość i przeciwko ludzkiemu plemieniu zajadłość. Bo to nie dość, że gadom pokłony bije i innych do świętokradztwa przyciąga. Na ostatek z najokropniejszymi w Krainach Wewnętrznego Morza zaprzańcami się pobratał. Z onym żalnickim wygnańcem, starego Smardza pomiotem. Kapłan Zird Zekruna tylko sapnął z cicha.

- Bzdurzycie waszmość - Piorunek zmarszczył brwi, a brwi miał potężne, opadające na oczy czarną kisią. - Nasłuchaliście się o skarbach, które Wężymord przyobiecał za wygnańca i bzdurzycie. Toż jak byście go rozpoznać mieli? Dzieciakiem z Rdestnika uszedł.

- Żebyśm zdrow był, on to! - zaperzył się pan Krzeszcz. - Straszliwie ów zaprzaniec z gęby do starego kniazia podobny, nadto w każdej karczmie przy gościńcu jego wizerunek na drzwiach wisi. Ale inny tam jeszcze znak był dowodny, co jasno waszej miłości pokaże, żeśm się nie omylił. Bom ja u niego w komorze Sorgo odnalazł, żalnickich panów miecz, co go zaprzaniec ze świątyni Bad Bidmone haniebnie skradł i precz unióśł. On to jest, nikt inny. Smardzowe szczenie.

- A nie zwidziało wam się aby? - uszczypliwie spytał książę. - Nie przebraliście miary w okowicie?

- Wiem, com widział - godnie odparł pan Krzeszcz. - Nie raz ów miecz w Rdestniku, jeszcze za starego kniazia, oglądałem. Sorgo to, nic innego.

Twarz Piorunka wyrażała głębokie powątpiewanie. Miał on pogląd o panu Krzeszczu z dawna wyrobiony: nie przypuszczał, by kiedykolwiek gościł on w rdestnickiej cytadeli, i szczerze powiedziawszy, nie darzył go zbytym szacunkiem. Nie uśmiechały mu się też łowy na Smardzowego syna. Nie jest godną rzeczą, myślał, by poddany zdradzał swego pana, choćby bluźniercę i wywołańca.

Jednak pan Krzeszcz wziął książęce milczenie za zachętę do dalszych wynurzeń.

- Zrazu mi się owi ludzie dziwnymi wydali. Bo ciemną nocką do Działońca ściągnęli, cichaczem. Młodszy, ów Smardzowy pomiot - łypnął porozumiewawczo ku kapłanowi Zird Zekruna - tak srogo był mieczem poranion, że ledwo dychał. Turzniańską szlachtą się wołać kazali, alem ja ich już wtedy w podejrzeniu miał...

Kapłan Zird Zekruna wyczekująco spoglądał na Piorunka.

- Dobrze - zdecydował markotnie książę. - Dobrze, pojedziemy.

Czeladź w dworcu była dobrze wyćwiczona i nim się pan Krzeszcz obejrzał, wsadzono go na bułaną klaczkę i oto jechał przez las z pokaźną gromadą pachołków. Kapłan Zird Zekruna trzymał się zaraz za księciem. Pan Krzeszcz sycił oczy widokiem jego rozwianej na wietrze, brunatnej opończy. Nie minie mnie teraz nagroda, myślał triumfalnie, wór szczerego złota przyobiecał Wężymord temu, kto książętko przydybie, a jam nie samo książętko zoczył, ale i Sorgo, całego żalnickiego władztwa znak. Ot, jeszcze na stare lata panem zostanę, w srebrzystych pontalach będę chadzał.

Jednak ledwo zagroda znachora wyłoniła się spomiędzy drzew, wydało się panu Krzeszowi, że coś jest nie tak, jak należy. Nie słyszał beczenia kóz, tylko otwarte na oścież wrota od zagrody kołysały się smętnie. Przy kołowrocie stał Działoniec i przyglądał im się spode łba, bezczelnie. Nic się, gnida, nie boi, pomyślał niespokojnie pan Krzeszcz, jakby nas właśnie czekał.

- Patrzajże, jaki ci gościniec przywiodłem! - zakrzyknął ku staremu. - Samego księcia pana. Nie na wywczasy on przyjechał, ale po owego wywołańca, co w komorze przytajony. Wydadź go po dobroci albo siłą weźmiem. Luda z nami siła.

- O nijakim wywołańcu nie wiem - rzekł z wolna Działoniec. - Prawda, było tu trzech ludzi, ale anim im w toboły zaglądał, ani o imiona pytał. Rannego mi przynieśli, a że ozdrowiał, tedy swoją drogą poszli.

Coś w jego głosie przekonało pana Krzeszcza, że stary znachor istotnie przewidział zdradę i gdzieś przemyślnie ukrył żalnickiego księcia.

- Trzeba izbę przeszukać! - ryknął w desperacji. - Zagrodę i sad, toż on ledwie chodzić może, daleko nie uciekał.

Pachołkowie rozsypali się po obejściu. Z chałupy dobiegał brzęk tłuczonych garnków. Ktoś podarł pierzynę, bo z okna posypały się kłęby pierza i resztki potrzaskanych sprzętów. Dwóch, parobków przewracało ule, trzeci kłuł widłami stertę siana. Od strony kuchni kilku bardziej zaradnych wytaczało zdobyczne beczki z kiszonymi ogórkami i okowitą. Świniak ledwo zdążył zakwiczeć.

- Ogień strzechą puścić - poradził pan Krzeszcz. - Może gdzie tam loszek utajony.

Działoniec tylko uśmiechał się wąskimi wargami.

- Nie ciesz się, dziadu! - warknął kapłan Zird Zekruna. - Skończym z żalnickim zaprzańcem, to i na ciebie czas przyjdzie. Chrustu, chwała bogu, nie brakuje. Cienko będziesz nogami płasał, cieniutko, jak ci gacie skwierczeć poczną.

- Póki tymi ziemiami władam - odezwał się gniewnie Piorunek - nie będzie się w ogień żywcom ludzi rzucać. Pierwej go badać będę, a jeśli przewinił, to go kat zetnie. Chcecieli się nad ścierwem wytrząsać, to je potem palcie, sobie samym na urągowisko.

Znachor zaśmiał się w głos, sina piana wystąpiła mu na wargi. Wczepił się we wrota, z wysiłkiem uniósł głowę i spojrzał na pana Krzeszcza, jakby jeszcze coś chciał powiedzieć, ale zaraz przewrócił się, zadrgał może ze dwa razy. Kapłan wrzasnął. Z rękawów koszuliny starego wypełzły dwie zielonkawe zmijki.

Przerażeni pachołkowie cofnęli się, ciasniej otoczyli księcia. Sługa Zird Zekruna spiął konia, ale gadziny mignęły tylko między kopytami i wpełzły w trawy.

- Prawdziwie piękne polowanie, panie Krzeszczu - odezwał się Piorunek. - Na tyle się wasze przeniewierstwo zdało, że przydybaliśmy starca i tak żeśmy go wystraszyli, że bez ducha leży. Godny czyn, wiekopomny, trzeba go nagrodzić. Nie stać tak! - ryknął potężnie. - Nie wytrzeszczać gał! Wracamy do dworca!

Cała osada zbiegła się, by patrzeć, jak pachołkowie przywiązują pana Krzeszcza do pręgierza. Nawet księżna pani, która zwykle skazańców od kaźni wypraszała, teraz stała obok księcia Piorunka, jedno dziecko trzymała na rękę, drugie czepiało się jej spódnicy. Patrzyli. Książę coś mówił o wiarołomstwie i zdradzie. Pan Krzeszcz nie słyszał, tak mu krew we skroniach łomotała. Chciał milczeniem wzgardę okazać, ale wkrótce ryczał z całych sił, ryczał, nim jeszcze bat porwał na nim przyodziewek. Ryczał, szarpał się w postronkach. Najpierw zmiłowania wołał, potem prześladowców przeklinał. Na koniec omdlał.

Ktoś podnosił mu głowę, wlewał między rozbite wargi piekący napój. Pan Krzeszcz zajęczał, odepchnął prześladowcę. Kubrak miał powalany nieczystościami, z rękawa zwieszał się pęk zgniłej botwiny.

- Cicho! - syknął mu do ucha przyciszony głos. - Cicho, jeśli nie chcecie tu skąpiec!

Pan Krzeszcz spojrzał przytomniej i rozpoznał sługę Zird Zekruna. Kapłan rozciął mu więzy na rękach, przytrzymał.

- Pachołkowie posnęli, ale rychło się obudzą - ostrzegł. - Umykajcie co prędzej.

- Dokąd pójdę? - załkał pan Krzeszcz.

- Do domu - w świetle pochodni znamię skalnych robaków falowało na czole kapłana. - Bogowie poprowadzą was do domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W Górach Żmijowych wiosna rozbuchała się na dobre i tamtego wieczora krzak jaśminu rozsiewał w ziemiance wiedźmy przemożną woń kwiatów.

Wiedźma nuciła przyjemnym, z lekka chropowatym głosem. Była maleńka, bardzo szczupła i bardzo piegowata. Drobne jasnobrązowe cętki znaczyły całą jej twarz, wychylały się z wycięcia sukni, pokrywały ramiona. Przykucnąwszy pośrodku ziemianki, zagniała ciasto na kawałku deszczułki. Kosmyki nierównych, spłowiałych włosów raz po raz opadały jej na twarz, utrudniając pracę. Obok wiedźmy, na wysypanym świeżymi trocinami klepisku stały dwa dzbany, brązowy i niebieski z utraconym uchem, a nieco dalej rozpościerało się pokryte przetartym kocem legowisko z jodłowych gałęzi.

Gwałtownie szarpnięta chmielowa witka opadła jej na ramię i ze ściany zeskoczył kociak.

Nalała mleka z niebieskiego dzbana.

Kot chłeptał łapczywie, rozchlapując białe krople na klepisku. Drobne wiórki drżały mu na wąsach.

Wiedźma skończyła z ciastem, otrzepała suknię. Rzuciła w palenisko grono czerwonych zeschniętych nasion. Węgłe zaskwierczały i znad ziemi podniosły się smużki sinawego dymu o gorzko - słodkim zapachu. Potem utoczyła z ciasta małe kulki, nadziała je na pęk patyków i zatknęła nad ogniem. Pomysł wydawał się dobry, lecz smakowały plugawo, zwęglone z wierzchu, surowe w środku.

Spośród wielu niezbędnych zajęć gotowanie sprawiało wiedźmie najwięcej kłopotu.

Popijając resztki mleka, wiedźma usiłowała przypomnieć sobie zapach jęczmiennych placków swej matki. Mieszkali w zachodnim paśmie Gór Żmijowych, w miejscu zwanym Szczerkotką. Ojciec jaśminowej wiedźmy był kmieciem. Zwyczajnym, ani bogatszym, ani biedniejszym od innych. Miał kilka zagonów ziemi, krępą, krótkorogą krowę, stado owiec i oprócz wiedźmy spłodził pięć lat starszą od niej Milkę i syna, który pełzał jeszcze na czworakach, gdy okolica zwiedziała się o wiedźmie. W Szczerkotce uchodził za człowieka zasobnego i szczęśliwego.

Tylko ja mu się jakoś nie udało, pomyślała wiedźma.

Na początku było całkiem nieźle. Miała imię. Miłe imię, zwyczajne. Jednak sama nie była zwyczajna. Gdy rzeka zalewała pastwiska, zawsze zdążyła przeprowadzić stado wyżej. Jak lis grasował po kurnikach, ich obejście omijał z daleka. Kiedy gąsienice oblażyły kapustę, to wszędzie, tylko nie w ich ogrodzie. Jabłonie mieli wolne od parchu, roje pszczół nigdy nie uciekały im w obce sady, a krowa nie zdechła na wzdęcie.

Miłka zrozumiała pierwsza. Padał grad. Wiedźma stała pośrodku pola, nucąc cicho w łanie młodego owsa, zaś grad starannie omijał ich zagony. Potem dowiedziała się matka. Zabrakło drewna na opał. Matka poszła więc do szopy i zobaczyła dziewczynkę rąbiącą pieńki. Bez siekiery. Jednak nic nie powiedziała, a Miłka też trzymała język za zębami. Bały się. Bały się o wiedźmę. Jest bowiem takie prawo, że ziomkowie mogą ukatrupić wiedźmę nawet wówczas, gdy jest prawowierna i głupia. Prastary, nieodmienny przywilej wiedźmobicia.

Jakiś czas się udawało, bo mieszkali na uboczu i nieczęsto kto do nich zaglądał. Ojciec też przemykał oczy, a wiedźma była mała i chuda, chętniej siedziała w zagrodzie z owcami niż z ludźmi w alkierzu. Potem wszystko się wydało. Przyszła wiosenna burza, piorun uderzył w dach chaty i słoma zajęła się w jednej chwili.

Na nieszczęście stara Cebrzykowa schroniła się u nich przed zawieruchą i wszystko widziała.

Rozpowiedziała po wsi i zjawili się tej samej nocy. Z kosami, nożami, pochodniami. Jednak nie przyszło im do głowy, że wiedźmą jest młodsza córka owczarza, chudy, płowowłosy pokurcz, który niemal nie otwierał gęby, i to właśnie Miłkę spalili. A wiedźma była zbyt głupia, aby ją obronić. Z wiedźmami właśnie tak jest. Są za głupie. Ich ciemne babskie czary, wysnute z ziemi, krwi i śliny, pojawiają się nieoczekiwanie i znikają bez śladu, kapryśne i zwodnicze, zaś wiedźmy mają zbyt mało rozumu, aby je opanować.

Ojca zarżnęli kosą na samym początku. Nawet nie bronił się za bardzo, przekonany, że bogowie karzą go za spłodzenie plugastwa. Matka długo darła się za stodołą. Co było z braciszkiem, wiedźma nie widziała. A kiedy z Miłki została kupa zwęglonych szmat, wieśniacy postanowili uczcić śmierć wiedźmy. Bo zabić wiedźmę to jest wielkie święto. Zarżnęli owce, rozpalili ognisko pośrodku obejścia, wytoczyli baryłkę śliwowicy. Krowę też zaszlachtowali, chociaż była stara i żyłasta, nie do jedzenia. Tylko z wiedźmą mieli kłopot. Była dziewicą, a śmierć dziewicy ściąga gniew Bad Bidmone. Ponieważ jednak w Szczerkotce mieszkali ludzie solidni i skrupulatni, postarali się, żeby już nie była dziewicą.

Kiedy się ocknęła pośród pijanych wieśniaków, drewno chaty przestało się żarzyć, tylko smród spalenizny wisiał w powietrzu. Posiedziała sobie, pogapiła na pogorzeliśko. A potem zapomniała, bo rozum wiedźmy jest jak dziurawe rzeszoto, za lichy, by pamiętać. Na koniec nawet swoje imię zapomniała.

Dzisiaj była potwornie zmęczona. O świcie dzieci zdybały ją poblizu obory i przez resztę dnia wymykała się bandzie wieśniaków przekonanych, że czarami osusza wymiona ich krów. Kiedy dwa lata temu pojawiła się w okolicy, panowała plamista gorączka i ci sami kmiecie błagali ją o ratunek. Jednak teraz chcieli tylko, aby wyniosła się jak najszybciej i jak najdalej.

Zazwyczaj tak się działo i nie miała do nich żalu. Dawno temu, na samym początku, gdy nie rozumiała jeszcze zbyt dobrze, czym jest, Ignęła do ludzi. Jak inne dziewczęta splatała włosy w warkocze i próbowała ukrywać swą naturę, lecz oszustwo zawsze wychodziło na jaw. Później spotkała Kurdziela, wędrownego kuglarza, oszusta o zręcznych palcach i nerwowej twarzy, takiej, która nieodmiennie przyciąga uwagę niewiast. Kurdziel zdawał się nie dbać o jej magię i przez jakiś czas wędrowali razem skrajem Gór Żmijowych. Ubierał ją w bordowe ciężkie suknie, nauczył pić

kwaśne młode wino i nie wstydzić się rozpuszczonych włosów. Na koniec jednak ukamienowano go przy wejściu do świątyni w nadmorskim miasteczku. Nazwy tego miasteczka nie zapamiętała.

Z wolna przywykła do swojej doli. Dalej włączyła się po Górach Żmijowych, a gdy gościniec brzydł jej ze szczętem, osiadała gdzieś na krótko. Póki kolejni wieśniacy nie wypędzili jej z kolejnej wioski.

Po Kurdzielu miała jeszcze kilku kochanków, zazwyczaj jednak szybko sprowadzała na nich nieszczęście. Ponadto była bezpłodna, gdyż taką karę nałożyli bogowie na początku świata na te, które ośmielały się parać nie - przystojnym wiedźmim rzemiosłem, i zbyt głupia, by utrzymać przy sobie mężczyznę za przyczyną magii, choć jej napoje miłosne nigdy nie zawodziły. Jak długo sporządzała je dla innych.

O zmierzchu krzak zwykle pachniał najmocniej, dziś zaś księżyc stał w pełni i woń kwiatów rozleniwiała wiedźmę. Ziewnęła, przeciągnęła się, rozważając starannie pokusę kąpieli. Woda w jeziorcu nagrzała się za dnia należycie, a wiedźma lubiła leżeć na powierzchni i patrzeć w niebo.

Nagle kot wygiął się w pałąk i fuknął ostrzegawczo. Nie zdążyła jeszcze odwrócić głowy, gdy poczuła natrętne, gwałtowne, niemal bolesne wezwanie. I nie było ono z rodzaju owych drobnych codziennych potrzeb, gdy trzeba odczynić kołtuna albo uzdrowić bydło. Gdzieś pod księżycem w pełni, na wysokiej górskiej ścieżce rozlano krew, wystarczająco wiele krwi, by obudzić jej ciemną magię. Wiedźma zadrżała. Skoro krew została już przelana, niełatwo będzie odwrócić bieg przeznaczenia.

Pospiesznie - gdyż nakaz stawał się coraz bardziej naglący - zgarnęła do worka oba dzbany, nóż z ułamanym trzonkiem, glinianą miskę, spódnicę z grubego płótna, koszulę, grzebień, zimowe pończochy i największy skarb, stary mosiężny imbryk. Potem wrzuciła kocię do kaptura i starannie wygasiała ognisko. Wiedziała, że to, co nadchodzi, jest wiedźmim szałem, zsyłanym przez krew i czerwony księżyc w pełni. I była przerażona. Wcześniej raz jeden tylko zdarzyło się jej coś podobnego, wówczas, gdy w nadmorskim miasteczku patrzyła, jak kamienowano Kurdziela. Nie mogła uczynić nic, by mu pomóc. Lecz następnej nocy podniosła się z posłania gorzejąc niczym pochodnia i biegła przez ulice, zabijając każdego, kto stanął jej na drodze - ciemna niszczycielska magia przelanej krwi i ognia. Gdy szal minął, stała na urwisku, patrząc na dymiące zgliszcza domów. Zrozumiała wówczas, dlaczego ludzie odpędzają wiedźmy od swych siedzib i dlaczego na jej widok matki ze strachem zasłaniają twarze niemowląt.

Wezwanie bezustannie popychało ją naprzód. Oczy rozszerzyły się boleśnie i czuła, że szal ogarnia ją coraz mocniej, wyciskając z głowy resztki przytomnych myśli. Wreszcie zadyszana dotarła wystarczająco daleko od osady i traktu, by nie mógł jej dostrzec żaden z wieśniaków czy podróżnych. Wyjęła kota z kaptura i przymknęła oczy, przygotowując się do wiedźmiego biegu, który miał ją przenieść do owego miejsca w górach, gdzie rozlano krew.

Po policzku spływała jej pojedyncza zapomniana łza.

- Biegła granią - Twardokęsek mówił cicho. Starał się nie spoglądać na wiedźmę, na jej brodę pokrytą krwią z rozbitych warg. - Nie wiem, jakim sposobem nas wtedy obok Skalniaka wypatrzyła. Może ją jasiołek przywołał, a może taka wiedźmia natura, że się do posoki zlatują? Jakem jej w ślepią spojrział, wielkie, krwią nabiegłe... ni jednego słowa nie trza było...

- Ale później podobno lepiej się z wiedźmą zaznajomiłeś! - zaśmiał się Mroczek. - Choć mnie za jedno, czyś jej tam czego pod spódnicą zmacał... toż nie ty jeden przecie.

O dziewce mi lepiej gadaj. I jakeście do opactwa zawędrowali.

- Wiedźma nosze wiązać kazała - potulnie podjął zbójca. - Skrzydłoń jej do rąk przyszedł, łeb na podółku położył, kiedym go do noszy przyprzęgał. Jasiołek jak wściekły wkoło krążył, jadem pluł. Dziewka na płachcie ledwie żywa leżała...

* * *

Na dwie godziny przed świtem u bram opactwa Ciecierki stanęli zgoła nieoczekiwani goście. Potężny mężczyzna o gębie płatnego mordercy prowadził błękitnego skrzydłonia i na widok owego wierzchowca zawiść ścisnęła serce Ciecierki. Zwierzę szło powoli, ciągnąc po ziemi sklecone z gałęzi nosze, a z tyłu postępował jeszcze ktoś. Owinięta opończą niewiasta.

- Otwórzcie! - krzyknęła kobieta, uderzając pięścią w bramę. - W imię Kostura, opiekuna dróg, wzywam was: otwórzcie!

Jej głos przetoczył się przez klasztor, podrywając braciszków na nogi. Niewiasta przyklęła obok noszy, kładąc czubki palców na piersi rannego, lecz jej twarz była skierowana ku górze, ku księżycowi w pełni. Jeden rzut oka na owo oblicze upewnił Ciecierkę, że przed bramami opactwa stoi jedna z przeklętych. Oczy miała niebieskie i wielkie, rozdęte wiedźmim szalem. Opat niezwłocznie rozkazał odeprzeć dźwierze. Kiedy wiedźmę wypełnia dzika, ciemna magia, śmiertelni nie mogą jej zatrzymać.

Braciszkanie wybiegli tłumnie na podwórzec. Ciecierka dostrzegł gromadę postaci w białych nocnych koszulach, nieprzystojnie łopoczących wokół łydek, ale wiedział, że żadne upomnienia nie zdołają zagnać mnichów z powrotem do cel. Nudzili się. Odkąd Ciecierka zakazał włóczenia się po gościńcu, nudzili się nieprzytomnie.

Wiedźma zatrzymała się na chwilę, nieświadoma zamętu, który za jej przyczyną ogarnął opactwo, i wskazała palcem na przylegającą do muru przybudówkę.

- Tam! - oznajmiła.

Czarnobrody mężczyzna bez słowa zawrócił skrzydłonią i Ciecierka zrozumiał, że żadne z nich

nie zamierza pytać gospodarzy o zgodę. Po prawdzie, wybrali nie używaną od dawna chatkę ogrodnika, ale opatowi chodziło o zasadę. Wiedźma nie miała prawa włączyć do jego opactwa jak do swojej nory i postanowił dać jej należytą odprawę.

Kazał szafarzowi ułożyć na dziedzińcu zgrabny stos i tuż przed świtem - złość tak go trzęsła, że nie położył się spać - wybrał się do chatki ogrodnika z dwoma zaciężnymi u boku. Chciał przydybać bezwstydną, gdy tylko opuści ją magia. Spodziewał się, że nastąpi to o brzasku, gdyż słońce ma moc płoszenia zrodzonej z księżycy i złej krwi maligny. Nie zdążyli jednak nawet dotknąć skobla, gdy spod okapu rozległo się złowieszcze, wściekłe syczenie i na wysokości twarzy Ciecierki rozwarły się dwie pary żółtych oczu jadžiołka. Odskoczył, donośnie wzywając opieki Cion Cerena, zaś złe zasyczało jeszcze raz, przeciągle i ostrzegawczo.

Wiedźma stanęła na progu, odziana jedynie w przy - krótką, nie przepasaną telejkę. Najemnicy zarechotali przyjaźnie na ten widok, a płowowłosa niewiastka uśmiechnęła się do Ciecierki i spytała:

- Czy mógłbyś przynieść odrobinę wody, mój dobry człowieku? - po czym wcisnęła mu do ręki pogięty mosiężny imbryk i zamknęła drzwi.

Ciecierka, którego nikt wcześniej nie ośmielił się nazwać dobrym człowiekiem, wymamrotał pod nosem kilka nie przystających ustom opata obelg, lecz syk jadžiołka powstrzymał go przed ponowną próbą nawiedzenia okupowanej przez wiedźmę chatki. Posławszy po wodę jednego ze starszych braciszków, opat wycofał się w pielesze alkierza.

O zmierzchu strzeżona przez jadžiołka wiedźma powlokła się do przyklasztornego ogrodu. Zerwała naręcze ziół oraz kilka garści zwykłego zielska spod płotu, po czym znów zamknęła się w chatce, napełniając Ciecierkę ponurym podejrzeniem, że złe zagnieździło się w jego opactwie na dobre. Tego samego dnia na pobliskim pastwisku znaleziono jagnię z wyszarpaną wątrobą. Ciecierka był pewien, że zadusił je jadžiołek, jednakże bogom dziękował, że choć mnichów plugastwo pozostawiło w spokoju. Przykazał braciszkom trzymać gębę na kłódkę, aby wieść nie rozniosła się po okolicy, odstraszać od klasztoru podróżnych.

Ale nie był zadowolony z obrotu spraw, wcale nie.

Stał w krużganku, z zaciśniętymi zębami obserwując, jak skrzydłoń objada winorośl z portyku. Podobno ranna - bo się wywiedziały, że na noszach leżała poraniona niewiasta, bezwstydną towarzyszką wiedźmy, a może i sama też wiedźma - miała się nieco lepiej. W każdym razie przestała zrywać mnichów ze snu, co często zdarzało się na początku. Nie, żeby wrzeszczała. Raczej skowytała z cicha, a przyklasztorne kundla solidarnie wtórowały jej całymi nocami.

Ze złością uderzył kosturem, znakiem zakonu Cion Cerena, w posadzkę z białego marmuru. Nie powiodło mu się w życiu z wyborem boga. Jego matka pochodziła z okolicznej drobnej szlachty i powiwszy szczęśliwie pierwородnego syna w przydrożnej kapliczce Jałmużnika, uczyniła ślub, że dziecko pójdzie na służbę u boga, który udzielił jej schronienia w owej jakże istotnej chwili. Ciecierka nigdy nie wybaczył jej, że wiedząc o zbliżającym się połogu, lekkomyślnie wałęsała się po okolicy. Nie przebolewał też ślubowania, które skazało go na żywot w opactwie tak lichego i

pospolitego boga.

Czynił wszakże niemało, by przysporzyć opactwu godności. Za jego czasów klasztorowi przybyło drugie skrzydło, pierścień murów, okazały wał od strony gościńca oraz (co niektórzy cenili najbardziej) nowe chlewnie i obora. Opactwo, niegdyś zapuszczone i ubogie, obecnie świeciło czystością, daniny spływały regularnie, jak nigdy wcześniej. A Ciecierkę słusznie zwano człowiekiem przezornym i zapobiegliwym.

Bezpowrotnie skończyły się czasy, gdy braciszkanie wałęsali się bezpańsko po gościńcu, usiłując nawrócić w karczmach, przy kuflu piwa, przygodnych towarzyszy i rozdając za bezcen talizmany mające chronić przed złą przygodą w podróży.

Ponieważ przez ziemie klasztoru przebiegał trakt na północ, ku państewkom Przerwanki i dalej, aż do Żalników, Ciecierka uczynił rzecz najprostsza: wprowadził cło na każdy mostek, na każdą kładkę oraz obdarzył okoliczne wioski prawem składu, co zmuszało kupców do wystawiania towarów po najniższych cenach. Wędrowcy znieawidzili go solennie, lecz wkrótce stał się na tyle potężny, by wydrzeć okolicznym księżątkom zagrabione za rządów poprzednich opatów dzierżawy. Następnie zagnał najstarszych mnichów do prac w bibliotece, gdzie po niedługim czasie nieoczekiwanie odkryto kilka starożytnych dokumentów potwierdzających nie tylko niezależność opactwa, ale też nadających mu prawo do pobliskich kopalń srebra.

Jak można było oczekiwać, żądania Ciecierki potwornie rozwścieczyły księcia Piorunka. Jednak wzniesiony przez braciszków wał okazał się wystarczająco solidny i opactwo szczęśliwie przetrwało cztery kolejne oblężenia. Były to dla Ciecierki trudne czasy. W miarę jak dieta stawała się coraz skromniejsza, szemranie mnichów przybierało na sile, księżę zaś kazał przerzucać przez bramę klasztorną obelżywe listy z opisem losu, który spotka opata, gdy tylko dostanie się w jego książęce ręce. Czasami Ciecierka miał ochotę ugiąć się, lecz na koniec potajemnie zwrócił się z prośbą o pomoc do kapłanów Zaraźnicy. Ci natomiast, w zamian za zgodę na otwarcie przy trakcie nowych kantorów i składów, poradzili mu, by przystał na sąd polubowny.

Bracia alchemicy mieli tamtego roku mnóstwo roboty. Dniami i nocami mieszano w tyglach starożytne złote wota z pospolitymi cynowymi łyżkami, a kufry Ciecierki pęczniały od nowiutkich, przyjemnie złotawych, choć nie do końca złotych monet. Gdy udało się namówić Piorunka do rozejmu, jeden za drugim kufry opuściły opactwo, zmierzając na załadowanych dla niepoznaki burakami wozach do najbliższych kantorów Zaraźnicy. Wiosną zaś ogłoszono wyrok, oddający kopalnie opactwu. Piorunek opierał się jeszcze kilka miesięcy. Na koniec ustąpił, nie tyle pod wrażeniem prawomocności wyroku, ile za przyczyną małżonki, która spodziewała się potomstwa i miała Morową Pannę w głębokim poważaniu.

Wkrótce też kapłani innych bóstw zaczęli zabiegać o przychyłność opata. Zeszłego roku, w porze, gdy nadchodzą jesienne pozdrowienia, spotkał go podwójny triumf: z dalekiej północy przybyli do opactwa słudzy Zird Zekruna, pana ciemnej pomorskiej ziemi, zaś księżę Piorunek, niegdyś zaciekły wróg opata, zaprosił go na chrzciny syna. Ciecierka posłał na dwór księcia piękną srebrną kołyskę. Srebro pochodziło z kopalń, które niegdyś stały się zarzewiem ich sporu i świadomość tego wynagrodziła opatowi ów znaczny wydatek. Sam jednak przezornie trzymał się z daleka od Piorunka, który słyszał z tego, że niełatwo przebacza urazy.

Natomiast widok pięciu sług Zird Zekruna przekraczających bramy opactwa przeraził go i jednocześnie napełnił dumą. Ciemne znamiona skalnych robaków pokrywały czoła przybyłych od nasady włosów aż po brwi, obwieszczając ich wysoką godność. Opat pierwszy raz w życiu miał sposobność przyjrzeć się im z bliska i ze strachem spostrzegł brunatne, wijące się kształty, widomy znak obecności bóstwa. Tamtej nocy wiele rozmawiano i wiele ważkich obietnic poczyniono, ale, co dziwne, o poranku opat miał wrażenie, że coś umknęło jego uwagi. Pamiętał tyle, że zgodził się powiadomić sługi Zird Zekruna, gdy tylko na trakcie pojawi się niesławnej pamięci książe wygnaniec z Żalników, zaś kapłani z północy mieli dopomóc mu podczas obioru zwierzchnika zakonu Cion Cerena, o czym Ciecierka skrycie marzył od lat.

Sumiennie wywiązał się ze swojej części umowy. Strażnikom na mostach dostarczono dokładny opis bluźniercy i rozkazano natychmiast powiadomić opata, gdyby przypadkiem pojawił się na jego ziemiach. Jednakże wieść niosła, że czas już jakiś temu żalnicki książe pociągnął na południe i Ciecierka szczerze wątpił, czy kiedykolwiek powróci do Krain Wewnętrzznego Morza, gdzie kapłani naznaczyli za jego głowę nagrodę wartą pomniejsze księstwo. Zdumiewało go jedynie, czemu bóg równie potężny jak Zird Zekrun przywiązuje wagę do pogroźek śmiertelnika. Na koniec uznał, że idzie o zasady. Nikt nie miał prawa mącić ludziom w głowach bluźnierczą gadaniną.

Tym większą złość wzbudziła w nim zupełna bezradność wobec najazdu złego na opactwo. Ciecierka nie mógł pozwolić, by po Górach Żmijowych poszła wieść o tym, jak został wystrychnięty na dudka przez zwyczajną wiedźmę. Stary braciszek, który usługiwał przybyłym, zapewniał co prawda opata, że wiedźma jest prawomyślna i łagodna jak dziecko, lecz Ciecierka wiedział, że niebezpieczeństwo często przybiera najbardziej niewinne kształty. Prawdziwie prawowierna wiedźma nie wędrowałaby pospołu z jadowitym potworkiem i czarnobrodym opryszkiem. By nie wspomnieć o niewieście, która wedle słów starego mnicha została po wielokroć raniona mieczem i z twarzy przypomina mieszkańców Wysp Zwajeckich.

* * *

Twardokęsek siedział na przyzbie, melancholijnie obserwując, jak jadziołek i kociak wiedźmy wydzierają sobie zmasakrowane, pokryte resztkami piór ścierwo. Z jakiegoś powodu zwierzaki radowały się swoim towarzystwem. Co więcej, zbójca spostrzegł, że wracając z wieczornych łowów, jadziołek za każdym razem skwapliwie dzieli się z kotem zdobyczą. Zażyłość ta raczej niepokoiła Twardokęską.

Siedział na słońcu, żuł źdźbło trawy, rozmyślał i kłął. Na wspomnienie, co mu na przełęczu Skalniaka jadziołek uczynił, zbójca, choć przecie człek dzielny i losem srodze doświadczeń, poczynął trząść się i dygotać. Obmierzłe, żółte ślepia wkręciły mu się prosto w rozum, przewierciły, przenicowały na wylot. Ani się spostrzegł, jak własną koszulę na szarpie darł i dziewce rany przewiązywał. I tyle aby pomnieć potrafił, że zesłał okrutnie. Ćmiło mu się przed oczami, krew nosem szła, a dziewczka kwiliła mu na rękach.

Gdyby nie napatoczyła się wiedźma, pomyślał z żalem, wykrwawiłaby się jak nic. Ale nie,

musiała się, przeklęta, przyplątać i z plugastwem pokumać. At, żeby ich szlag trafił, sarknął w myślach zbójca, dziewczkę, wiedźmę i plugastwo pospołu.

Od strony studni podszedł ku niemu zgrzybiały braciszek z mosiężnym czajnikiem w ręce.

- Jak dzisiaj wasza dziewczeczka? - zagadnął.

Zbójca znów zaklął pod nosem. W tej okolicy jego imię było wcale głośne, tedy wykoncypował, że lepiej będzie, jeśli w opactwie zapamiętają go jako opiekuna Szarki. Wyjaśnił mnichowi, że ojciec dziewczyny posłał ją na zrękowiny do Uścieży i że po drodze napadli ich grasanci, wozy obrabowali, a drabów wytłukli. Wszystkich prócz jego samego, bo zabarłóżył w karczmie.

- Spała cały dzień - burknął - ale pod wieczór gorączka się roznieca na nowo.

- Nieprędko pociągniecie dalej - mnich podniósł na niego wypłowiałe niebieskie oczy.

- Ano - zgodził się niechętnie Twardokęsek.

Drzwi chatki uchyliły się, skrzypiąc, i na progu stanęła płowowłosa wiedźma. Głębokie cienie pod jej oczami przypominały, że nie spała od wielu dni. Jak zwykle nosiła obszarpaną szafranową telejkę, która ni do połowy nie zakrywała jej ud, ogorzałych od słońca i tak podrapanych, jakby w malinowej chrzęśli tańcowała. Przeciągnęła się.

Wiedźma ciekawiła Twardokęska od owej chwili, gdy wychynęła znikąd i przykazała wieźć Szarkę do klasztoru. Ciekawiła, ale też i trwożyła niepomału. W dolince nieopodal Przełęczy Zdechłej Krowy też wiedźma siedziała. Jagódka ją wołali. Od przypadku zbójcom łby łątała, ale sam Twardokęsek z rzadka do niej zaglądał. Na koniec wieśniacy kijami ją utłukli. Ponoć kumała się ze zwierzołakami, bydło trzebiła pomorkiem, a niewiasty prześladowała nieplodnością. Było to zresztą babsko złośliwe, wredne i nieużyte. Kiedyś Mrówka jej kota skopał, a kocisko miała ryże, wypasione i bezczelne, to tak się odwinęła, w gębę mu napłuła, że przez całą zimę parchy go nie odeszły.

Bo tak to właśnie z wiedźmami jest. Niby wedle choroby zamawiają, pogodę wróżą, świnie zgubioną w lesie wynaleźć potrafią, napoje rozmaite warzyć, a i niewiasty zległe ratować. Ale nie pomoże parszywej szkapie pozłocista uzda, pomyślał zbójca. Zawdy się na złe owa wiedźmia magia obraca albo i na gorsze jeszcze, bo złe do złego ciągnie, a plugawe się z plugaw jon bratać przywykło. Takoz i o wiedźmach gadano, że z wilami po uroczyskach tańczą, zwierzołaków przyhołubiają i inne potworki rozmaite, za dnia sprytnie ukryte i przyczajone, nocką zaś ludzi srogo prześladowujące.

Przyglądał się więc wiedźmie Twardokęsek bacznie, ale mu się jakoś niewydarzona widziała. Stara Jagódka była starucha wielka, rozłożysta. Kiedy zakłęła, to w drugim powiecie ją słyszeli, a dość że na którego Twardokęskowego kamrata koso spojrzęła, by nie zwlekawszy z chałupy umykali. Tymczasem tutejsza wiedźma była chuchro, chude a przelęknione i od ludzi stroniące. Kota niby ze sobą ciągała, ale co to był za kot? Żebra mu przez skórę sterczały, pysk miał sparszywiały, oczka

kaprawe i nijak sobie Twardokęsek wyłożyć nie potrafił, by z niego jaka potwora być mogła.

Jednak tam, na przełęczy, wiedźma Szarkę kosztusze wydarła, uczarowała. Ziołami jej rany obłożyła, mchem sinym. Jak się ich wedle Skalniaka dopatrzyła, za nic rzecz nie chciała, jeno nielitościwie Twardokęska do klasztoru popędziła. Potem też nie legła. Napoje warzyła, przy dziewce zaklinania mruczała, aż po blady świt nad ranami wiedźmiła. A jeszcze później zbójca wynalazł ją we własnym posłaniu. Po prawdzie zresztą to nie tylko wynalazł. Do boku mu przywarła, miękka, ciepłuchna.

Wiedźma przycupnęła obok zbójcy i oparła głowę o jego ramię.

- Zda ci się odetchnąć - odchrząknął ze zmieszaniem, a minę miał dosyć głupawą. - Mało co sypiasz.

- Ona majaczy - odparła ni w pięć, ni w dziewięć - od tej rany w boku.

- Modliłem się o jej uzdrowienie do Cion Cerena - zapewnił ich stareńki mnich.

- A co do niej Kosturowi? - prychnęła. - Ona Morowej Panny znak nosi.

Staruszek spojrział na nią ze zdumieniem, ale bez słowa podreptał do chaty, by zakrzętać się przy wieczerzy. Z początku Twardokęsek miał ochotę objaśnić wiedźmie, że właśnie rzekła coś, co w żadnym razie nie powinno było zostać wyjawione, lecz zrezygnował. Wiedźma była po prostu zbyt głupia, by pojąć przymus utrzymania tajemnicy. Skrycie miał nadzieję, że wkrótce Szarka zdechnie, a oni wszyscy rozejdą się do swoich spraw.

Z okapu bacznie przyglądał im się jadžiołek. Zbójcy zdawało się, że w jego miodowych ślepiach połyskiwała czysta i niepohamowana nienawiść. Niby złe było mizerne, od gołębia tylko krzywą znaczniejsze, ale jak się nastroszyło, jak spojrzało na Twardokęska, to go nieodmiennie zimny pot oblewał.

- Po co ona to plugastwo za sobą ciągnie? - na pół ze wstrętem, na pół ze strachem skrzywił się zbójca. - Toż pomnę, co ono mi wedle Skalniaka w łeb kładło i że całego człowieczego plemienia nienawidzi.

Wiedźma zachichotała cichutko.

- Ono wędruje w przód i w tył - wyjaśniła, tuląc się do Twardokęska. - Bez niej jest tylko pół. Ślepe, nigdzie nie dojdzie.

Jadžiołek przestąpił z nogi na nogę. Dwie pary oczu świeciły miodowo i czujnie.

- Idzie poprzez jej sny, tam i z powrotem - ciągnęła wiedźma. - Wędruje, przepatruje, od uroku, od złego strzeże.

Twardokęsek ze zniechęceniem potrząsnął głową. Bredziła, jak to wiedźma.

- Źle to komu na Tragance było? - rzekł bardziej do siebie niż do niej. - Miasto było ogromne, za cały świat starczy.

- Prawda, że domu żal, oj, żal - ni stąd, ni zowąd zgodziła się wiedźma. - Węgorze wielgachne tam żyły, smakowite. Trzeba mięsa kawał dobrze podgniętego na haczyk, a one już smyrgają do niego po mule, po mętym, aż dziw bierze, boć to przecież zgnilizna. Raz takiego ułowili. Na sążeń był długi i ramię niewieście w żywocie jeszcze miał, w seledynowym zarękawku. A przecie nie rozpoznali białogłowy.

Zbójca bez słowa potrząsnął czarnym łbem. Ot, tyle, jak kto wiedźmę o odpowiedź prosi, pomyślał markotnie, ani ładu, ani składu.

- Przyrządziłem wieczerzę - zza framugi wychylił się braciszek. - Chodźcie, dzieci.

Twardokęsek rzucił pobieżne spojrzenie na łóżko, gdzie pod grubą warstwą koców spoczywała Szarka. Twarz miała zaczerwienioną od gorączki. Na włosach, zmatowiałych i splątanych, błyszczała obręcz dri deonema. Wielce się to zbójcy nie podobało, bo nie dość, że wiedźma języka nie pilnowała, to jeszcze bardzo baczyła, żeby dziewczyna zawsze znak Fei Flisyon nosiła.

Gdy weszli, Szarka zaczęła miotać się na pościeli. Z przerażeniem odpychała od twarzy nieistniejącą grozę. Wiedźma przykucnęła szybko obok łóżka, objęła ją i Szarka uspokoiła się nieco.

- Co z nią? - zaniepokoił się zbójca.

Wiedźma podeszła do stołu, opadła na rozchybotaną ławę. Ręce jej dygotały. Zaciśnęła palce wokół kubka z parującym krwawiennikiem, jakby się chciała od niego ogrzać. Powoli sączyła napar. Zbójca nie pojmował czemu, bo napój był paskudny, cierpki i piekący. Ale wiedźma zawsze wieczorem krwawiennik piła.

- W jamę, w głęboką, ją wrzucili, między gadziny jadowite - wyjaśniła zmęczonym głosem. - Sromota jej była węży się bać, to i wrzucili.

- Iście słyszysz, co się ludziskom po głowach kołacze? - spytał zbójca.

- Mhm - przyznała niechętnie. - Niektórym.

Wyrwało mu się pełne podziwu sapnięcie. Ech, gdyby taką do kompanii dostać, pomyślał, suto sobie mnisiego rosołu nalawszy. Siedziałyby cicho w karczmie przy trakcie, przysłuchiwała się, gdzie kupcy mają pochowane złoto (wedle Twardokęska żaden kupiec nie mógł na długo powstrzymać się od myślenia o złocie) i jak wszyscy nocką legną, kamratów by przywoływała. Tyle że na zbójowanie po gościńcu za durna ona, pomyślał z żalem.

- Jak długo jeszcze przyjdzie nam tu siedzieć? - mruknął. - Coś mi się zdaje, że opat chce nam pod zadki podłożyć kawałek gorącego stosu.

I zaraz pożałował grubiaństwa, bo jej wargi zaczęły drżeć od powstrzymywanego płaczu. Przycisnęła do brody krawędź kubka, spuściła głowę. Nic nie rzekła.

- Lepiej drew na noc naszykuję - zaofiarował się pospiesznie, gdyż wiedźmie łyzy nielicho mieszały mu we łbie. - Wywar trza będzie przyrządzić...

I umknął z chaty. Urok jakowy rzuciła czy co, sarkał do siebie po drodze. Toż to jest wiedźma, przeklęta w niej moc. To nie dziewczka do obłapki, ale jad, krew zła i zgnilizna.

Kiedy wziął się za rąbanie drew, na dziedzińcu zebrała się grupka mnichów i przyglądali mu się, żywo gestykułując. Wyczuwał, iż gospodarze są coraz bardziej zeżłeni. W krużgankach na drugim piętrze przechadzał się niecierpliwie opat i Twardokęsek dałby sobie głowę uciąć, że obmyśla coś potwornie wrednego.

Po wieczornych modłach stary mnich ponownie zakradł się do ich chatki. Prowadził wynędzniałego, chromego żebraka. Dziad szedł powoli, wspierając się na cisowym kosturze. Wiotecznik na grzbiecie miał przetarty i dziurawy, a spod dziadowskiego kapelusza wyglądała pocętkowana ognistymi wrzodami gęba i rzadka szpakowata broda. Śmierdział straszliwie. Kiedy się przybliżyli, zbójca dostrzegł na jego czole piętno, niechybnie katowskim żelazem wypalone, i poczerniały dół miast lewego oka. Widno nie zawsześ ty, dziadu, pomyślał niechętnie, po gościńcu z kołatką wędrował.

Dziad stanął przy ościeżnicy, łeb na ramię przechylił i począł się im przyglądać zdrowym okiem. Jego bezzębne wargi poruszały się miarowo, lecz nic nie rzekł, potrząsnął tylko kosturem. Brzęknęła zawieszona na konopnym sznurku miseczka, zadzwoniły dzwonki u kapelusza.

- On jako bydlę nieme - wyjaśnił mnich. - Język mu za hultajstwo urzezali, a psami zewsząd szczują i odpędzają.

Wiedźma zakrzętnęła się żywo. Nagotowała balię z wrzątkiem i zagnała żebraka do kąpieli. Co prawda, wedle zbójcy żebraczy smród bynajmniej nie zelżał. Raczej po zmieszaniu z wonią używanego w opactwie łojowego mydła nabrał szczególnej ostrości. Lecz gdy rejwach podniósł, rzekła mu wiedźma, że noc idzie pogodna, może sobie posłanie na ganku przysposobić. Wiedźma jak to wiedźma, uparta była i wredna.

Po północy napojona wywarami Szarka przestała wreszcie majaczyć i zapadła w płytki, niespokojny sen. Jaśminowa wiedźma wpełzła do łóżka zbójcy, splakana i dygocząca. Było tak za każdym razem, gdy Szarka gadała w gorączce.

- Pociesz mnie - pociągając nosem, zażądała wiedźma.

Kiedy zaś pocieszył ją najlepiej, jak umiał, zwinęła się w ciepły kłębek, jej oddech stał się miarowy i spokojny. Ostrożnie przykrył ją kocem.

Śnił o Tragance. Był w gospodzie starego Stulichy, jałowcówkę potężnie popijał, a skulony pod kominem człeczyna prawił o wędrowce Annyonnie poprzez siedem bram piekła. Ryża posługaczka przysiadła za plecami Twardokęska, głowę mu na ramieniu układała, opasała rękami.

Za okiennicami wył wicher, w kominie huczał ogień. Od gorącości, co mu na twarz biła, ledwo

mógł Twardokęsek dychać, a powolny, miarowy głos Krupy wiódł go ku otchłani. Brama Srebrnej Prządki... Zwierciadło Nekromantki... Szalona Ptaszniczka...

Ramiona posługaczki zacisnęły się niczym kleszcze.

Spojrzał w dół. Obejmowały go ramiona szkieletu.

Kot wiedźmy ukąsił Twardokęska w wystający spod koca wielki paluch u nogi. Dotkliwie, aż się zbójca poderwał z przekleństwem, zamierzając przetrącić zwierzakowi kark. I zaraz zachłysnął się, zatoczył na ścianę.

Chatę wypełniały sine kłęby, pod powalą było gęsto od dymu. Tlił się kryty sitowiem dach, drobne ogniki pełgały już po belkach. Od spadających, ognistych wiechci z wolna zajmowało się posłanie Szarki, a dziewczyna miotła się pod kocami. Nie zastanawiając się, chlusnął nań wodą z cebrzyka i podbiegł ku okiennicy, wparł się z całej siły. Nie ustąpiła.

Wciąż otępiały, potrząsnął na wpół zaczadzoną wiedźmą. Zakaszła słabo, otworzyła oczy, bełkocząc coś nieskładnie, a zbójca pojął, że nie będzie miał z niej pożytku. Pchnął wiedźmę ku posłaniu Szarki i szarpnął drzwiami. Nie drgnęły.

Ani chybi opat drzwi zaprzec kazał, przemknęło mu przez myśl, i wedle zwyczaju ogień pod wiedźmę podłożył, ani go kto za to winić będzie, ani wypytywać. Coś zatrzeszczało. Jedna z belek zarwała się, uderzyła w klepisko. Twardokęska niespodzianie ogarnęła przemożna wściekłość. Złapał siekierę. Coś tam wrzeszczało w zapamiętaniu. Drzwi rąbał.

Przy chruścianym płotku, co chatkę ogradzał, stał Ciecierka, który odkrył, że jasiołek ma zwyczaj nocami polować na jagnięta w kotlinie i postanowił pod jego nieobecność pozbyć się uciążliwych intruzów.

A przy nim tkwiło pięciu najemników. Dostrzegli zbójcę, wymierzyli z łuków.

- Rusz się! - ponaglił wiedźmę Twardokęsek. - Toż dach zaraz się zarwie!

- A co ja wrona, żeby kominem wylecieć? - prychnęła wiedźma.

Poprzez łopot ognia przedarło się pobrzękiwanie dzwoneczków. Spod żebraczego kapelusza łysnęło ku Twardo - kęskowi dwoje żółtych, pałających oczu.

Dziad szedł wyprostowany. Już nie kulał, nie opierał się na cisowej lasce, tylko uniósł ją władczo niczym buzdygan. Z początku ogłupiały zbójca próbował go zatrzymać, lecz ten jedynie odsunął Twardokęska pod ścianę i dotknął czubkiem kostura drzwi. Resztki desek rozpadły się wraz z ościeżnicą, a ogień zgasł w jednej chwili. Żebrak jakby zebrał się w sobie, urósł i przestąpił próg.

Najemnik w skórzanej kamizeli spokojnie zwolnił cięciwę. Strzała przeszła siwą, żebraczą koszulę. I znikła. Dziad uśmiechnął się krzywo.

Jabłonie w sadzie zaszumiały, zakołysały się niczym w pokłonie.

Brązowe pomarszczone oblicze żebraka zniecka wydało się Twardokęskowi znajome. Najpierw z niedowierzaniem, potem z rosnącą pewnością rozpoznawał rysy boga wyrzeźbionego niezdarnie przez jednego z braciszków w lipowym korzeniu. Twarz Cion Cerena, który od dnia stworzenia przemierza ścieżki świata, pukając do ludzkich drzwi pod postacią żebraka. By wynagradzać tych, co użyczą mu strawy, i karać tych, co głodnego od progu odpędzą.

A wiedźma, gamratka jej mac, rosół przesoliła, pomyślał bezsensownie.

Jałmużnik niespiesznie szedł ku zmartwialemu opatowi. Długi błękitny płaszcz ciągnął się na nim po wilgotnej trawie, laska w lewej zaciśniętej dłoni o sześciu palcach lśniła oślepiającym blaskiem.

- Nie będziesz policzony między moimi sługami - przemówił Cion Ceren.

Głos miał niski, głęboki. Zdawał się dobiegać zewsząd, nie z bladych ust Jałmużnika, ale z całego sadu, spośród majaczących we śmie pobielanych wapnem pni jabłoni. Znad oświetlonych latarniami dachów opactwa. I z ciemności ponad nimi.

Na oczach Twardokęska kostur opata zmienił się w zieloną żmiję i sycząc odpełził w ciemność. W mroku przywarł zbójcy do ramienia mokry rozogniony policzek wiedźmy. Bez słowa objął ją, przygarnął. Mocno, z całej siły, by własny strach pohamować. Aż jęknęła boleśnie.

- Pragnąłbym cofnąć wiele spośród tego, co się zdarzyło - bóg posepnie przerwał skowyt Ciecierki. - Ale za dnia ujrzysz na swoim czole obce znamię i zrozumiesz, jak daleko oddaliłeś się od tych, którzy mi służą. Nie mnie tedy obdarzać cię błogosławieństwem na daleką drogę. Bo będzie daleka.

Jałmużnik bez słowa odwrócił się i ruszył z powrotem do osmalonej chaty. Ogień wygasł, lecz dym wciąż palił w oczy. Posłanie Szarki zmiążdżyła belka, a dziewczyna leżała bez czucia na klepisku. Wiedźma wyrwała się Twardokęskowi, przymrużyła oczy, zasyczała wściekle. Cion Ceren nie przystanął.

- Uczyniłaś, co mogłaś - rzekł, odsuwając lekko wiedźmę. - Pozwól teraz mnie spróbować.

Ranna zakwiliła cicho pod jego dotykiem, szarpnęła głową. Cion Ceren pochylił się niżej i Twardokęskowi wydało się, że w jego twarzy, spalonej słońcem i pooranej zmarszczkami niczym stary korzeń, odbiło się głębokie niedowierzanie i przestach. Niepewnie przesunął palcem po czole Szarki, po obręczy dri deonema.

Wiedźma oklapła nagle, zmaląła.

- Próbowałam zrobić tak, żeby zapomniała - chlipnęła. - Ale nie potrafię.

- Nie byłaby za to wdzięczna, choć może wielu spośród nas przyklasnęłoby ci z zapalem - potrząsnął głową. - Zbyt stare brzemię, przez zbyt odległe ścieżki niesione, w zbyt głębokiej ranie.

- Ale byłaby żywa na końcu - sprzeciwiła się, płacząc.

Cion Ceren długo się w nią wpatrywał, aż wreszcie z wahaniem położył dłonie na piersiach Szarki. Powietrze w chacie drgnęło, zawibrowało. Zbójca wstrzymał oddech.

A potem Jałmużnik pogładził wiedźmę po płowych włosach.

- Zdaje mi się, dziecko - rzekł zmęczonym głosem - że uczyniono cię towarzyszką tej niewiasty. Ciebie zaś - zwrócił się z kolei do Twardokęska -znaczono na jej powiernika. Niełatwe brzemię, lecz sądzić je należy nie po trudach wiosny, lecz po owocach jesieni. Jeśli dotrwamy jesieni.

Po plecach Twardokęska przebiegł ostry skurcz. Jesienią zamierzał być daleko na zachodzie. Jak najdalej od Szarki i jej pokrętnych zamysłów.

- Chodźmy - wiedźma położyła dłoń na ramieniu zbójcy. Posłusznie wziął Szarkę na ręce i wyszli do cichego sadu, zostawiwszy za plecami znieruchomiałego boga.

* * *

Na spichrzańskim trakcie Ciecierka z rozpaczą popatrzył na swoje odbicie w przydrożnym rowie. Pomimo warstwy zaschniętej krwi wyraźnie odróżniał na czole pierwszy zarys formującego się brunatnego znamienia, pod którym żywo poruszały się obce, obłe kształty. Usiłował je pochwycić, lecz zawsze umykały głębiej pod skórę, a on jedynie dotkliwiej rozdrapywał ranę.

Podróżni przyglądali mu się z niechęcią, tak samo, jak on miał zwyczaj patrzeć na żebraków. Nagle Ciecierka zrozumiał, że wygląda jak jałmużnik. Zakrwawiony, odziany w brudne szaty włóczęga.

Jakaś kobieta wychyliła się z powozu i rzuciła mu parę miedziaków. Ciecierka bezmyślnie patrzył, jak opadają w rozdeptane błoto drogi, a potem uczynił w kierunku powozu obelżywy gest. Towarzysz kobiety wymownie pogroził mu pięścią.

Jeszcze wczoraj byłem opatem tych ziem, pomyślał z goryczą, miałem więcej złota niż ta wypomadkowana dziwka widziała w życiu. Wszystko przez wiedźmę, pomyślał nienawistnie. Gdybym nie musiał jej spalić, Cion Ceren nigdy nie wygnałby mnie z opactwa.

- Przestań - ze zniecierpliwieniem przerwał głos w jego głowie. - Jesteś głupcem.

Ciecierka poderwał się z wrzaskiem, płosząc osła, którego jakiś przekupień prowadził na pobliski jarmark, lecz ostry ból w czole cisnął nim z powrotem na ziemię, pomiędzy wybujałe łopiany. I nagle przypomniał sobie owo nieuchwytnie coś, co tak długo tkwiło ukryte w zakamarkach pamięci. Ostatnią obietnicę. Czy będziesz dobrze służyć naszemu panu? - spytał kapłan Zird Zekruna, a przytrzymujący strzemień jego kobyły Ciecierka przytaknął gorliwie.

Kapłan pochylił się. Lekko dotknął jego czoła znamieniem skalnych robaków i odjechał.

Zwiedziono mnie, pomyślał ze skargą, byłem głupcem i oszukano mnie.

- Cóż, dobiliśmy targu i przypieczętowaliśmy go należycie - szyderczo odezwał się głos Zird Zekruna. - Czy naprawdę wierzyłeś, że będziesz wyklócał się z bogami? Kostur cię wygnał, ja zaś mam dla ciebie zadanie i lepiej, abyś znów mnie nie zawiódł.

Ciecierka skulił się na ziemi niczym kupka zabłoconych łachmanów, gdy pan pomorckiej ziemi bez wysiłku i wedle własnego uznania przemierzał komnaty jego wspomnień.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jak przyobiecał znachor, bartny ludek przeprowadził Koźlarza i Przemkę bocznymi ścieżkami aż na samo żalnickie pogranicze. W pierwszej osadzie kupili dwa srokacze. Jechali ku Spichrzy, roztropnie unikając co ludniejszych miasteczek, ale też nie kryjąc się zanadto. Okolice była dziwnie spokojna. Od ranka natknęli się na kilka wozów, ale jechały pojedynczo, bez obstawy zbrojnych, furmani zaś nie wydawali się zbyt wylęknięci. Owszem, grzecznie życzyli Przemce i Koźlarzowi dobrego dnia, ale ani nie zachęcali do pogawędki, ani nie ciekawił ich nadmiernie widok wędrowców.

Szlak wił się po dnie wąskiego parowu i po kolejnym zakręcie drogę zagroziła im przyprzężona do siwej kobyłki dwukółka. Wóz był wyładowany po brzegi i nakryty burą płachtą, szczelnie okrywając ładunek. Z kozła dobiegały odgłosy sprzeczki. Przemka widział tylko dwa szpiczaste kaptury ze zwieszającymi się na uszy ozdobnymi chwostami: musiały im te chwosty niezłe słuch przytępić, bo darli się straszliwie.

- Krochmalu dolewać! - wrzeszczał cytrynowy kaptur. - Krochmalu więcej, powiadani!

- Sam krochmal nie poradzi! - odkrzykiwał rażno brunatny. - Obciążać trza! Obciążać, ile wlezie!

Kiedy podjechali bliżej, dostrzegli, że powoził niewielki człowieczek w wypchanym paździerzami kaftanie. Obok niego siedział grubas w krótkiej żółciutkiej kurcie. W ręce dzierżył kawałek pergaminu i tak zajadle coś towarzyszowi klarował, że zrazu żaden nie odpowiedział na pozdrowienie Przemki.

- Co to za okolice? - zagadnął Przemka.

- Księżę Wiergi - grubas w szafranowej żupicy spojrział na nich nieprzychylnie znad wystrzępionej paginy i zwinął ją pospiesznie.

- A miasto czyje?

- A nasze.

- Chyba nie waszmości? - zdziwił się najemnik.

- E, nie - grubas aż pokraśniał z zadowolenia, że go tytułują waszmością i stał się bardziej rozmowny. - Nasze, znaczy się wspólne.

- Jakże to tak? - zaśmiał się Koźlarz. - Księżę Wiergi, powiadacie, to i książe być powinien.

- Z daleka, widzę, jedziecie - rzekł grubas chełpliwie - boście tutejszych spraw nic nie znajomi. Nie książe tu był, jeno księżna, pani świątobliwa. A raczej panienka, bo ona nigdy za

chłopem nie była.

- Żeby ją z jej świątobliwością pospołu zaraza zżarła!

- zachnął się woźnica. - Paskudna baba była, gębę całą miała ognipiórem stoczoną, słodkim wrzodem. Gniło to, cuchnęło tak okrutnie, że tęgie chłopcy w jej przytomności mdlały. A te, co nie mdlały, rwały ze dwora ile sił w nogach, bo w panie taka ochota była do zamążpójścia, że krew jej medycy musieli puszczać.

- I co? Wychłodła? - zaciekawił się Przemęka, rozumiejąc, że trafiła im się wcale ciekawa kompania.

- Nie, za to zmarło się księciu nieborakowi, jej ojcu - podjął z uciechą ten w kanarkowym kubraku. - Synowie po nim dziedzinę rozdrapali. Pięciu ich było, tedy każdy tyle ziemi ledwo dostał, żeby tyłek porządnie usadzić. O wianie dla panienki ani który zamyślał. Uradzili, że u Bad Bidmone za mniszkę ostanie i precz ją ze dwora popędzili.

- Ano - przytaknął woźnica. - Stąd jej świątobliwość. Ze szpetności i braterskiego skąpstwa.

- Tęgo im potem za owo skąpstwo odpłaciła - pokiwał głową grubas. - Ale z początku to my się za głowy brali, jak ona tu po okolicy łąziła. Brudna, bosa, w samej konopnej koszulinie na grzbiecie. Głodna taka, że świńskie pomyje z koryta żarła. Straszne było w narodzie zgorszenie.

- My się jej, panie, bali. Łeb sobie ogoliła, jak to gadała, na znak pokuty. Łazła od wsi do wsi, batogami się po plecach ćwiczyła, aż krew szła. A jak bluźniła! Szykujcie się, wołała. Podeptani będą bogowie w swej nikczemności, jeden po drugim. Nie szczzło ostrze w otchłani wykute i posłaniec już naznaczon. Szykujcie się, bowiem nie szczzła Biała Kniahini. Czysta wariatka!

- Biała Kniahini? - spytał Koźlarz.

- Ano - przytaknął grubas - tak tu na Annyonne wołają. Zrazu my się po czołach pukali - opowiadał. - Myślelim, że z tej nędzy do szczętu baba zdumiała. Ale ona, zamiast gdzie po przyzwoitości zemrzeć, coraz głośniejszy raban czyniła. Tu, panie, jak się rok mniej urodzajny trafi, to zawdy wszelakimi szaleńcami obrodzi, prorokami, wieszczkami... Ani takich, co się bogami mienią, nie brakuje, bo się ludziom z głodu we łbach miesza.

- Tyle że ich pospolicie wójtowie wyłapują i w co głębszych piwnicach zamykają. Ale kto by księżniczkę w ciemnicy zawarł? - splunął woźnica. - Co było czynić? Nim my się obejrzeli, wielka gromada wszelakiej chanai uczepliła się naszej jaśnie panienki. Prorokinią ją obwołali. Pono cuda czyniła, chorych uzdrawiała, wodę z kamieni wypuszczała...

- Jako i byle wiedźma potrafi! - oburzał się grubas. - Ale żadna wiedźma nie śmiałaby bogom zagłady zwiastować i Annyonne na świat przywoływać. Oj, było zamieszania ze świątobliwą panienką. Książęta po cichu zaczynali się niecierpliwić i pewnie by jej na koniec łeb kazali ukręcić, ale właśnie wtedy wojna z Pomorcami nastąpiła.

- I wypełniły się przepowiednie - zgadł Koźlarz. - Okazało się, że księżniczka szczerą prawdę

głosiła. A tych, co wciąż nie dowierzali, Pomorcy migiem w pobożności wyćwiczyli. Począwszy od wyrodných braci.

- Bystrzyście, panie - przytaknął grubas. - Choć nie do końca. Pomorcy iście do księżniczki posyłać poczęli, ale ona ich precz popędziła. Przeklęty wasz pan i wyście przekłęci, tak im rzekła, także kres wam pisany. Ona, panie, jak ta wściekła suka, wszystkim po sprawiedliwości szczełała. Niele dwie połową Gór Żmijowych owładnęła, cholera. Zewsząd do niej książęta posyłali po poradę, a kręciła nimi, jako chciała. Bo widzicie, panie, ona wieszczyla. Najpierw my myśleli, że nam oczy mydli. Ale gdzie tam! Prawdę wieszczyla! Sami Pomorcy się jej lękali.

- Co tam o Pomorcach gadać! - zachnął się woźnica. - Najgorsze, że się owa świętobliwa panienska właśnie w naszej okolicy zalęgnąć musiała. Ot, wjedziem na górkę, obaczycie waszmościowie, jaki klasztor naszym kosztem wystawiła, potężny niby zamczysko. I tam pokutowała...

- A my wszyscy z nią pospołu - wtrącił drugi. - Bo nasza księżna założyła ze trzy legiony pokutników. Tyle że ci pokutnicy to najgorsze szumowiny były! Tak nas przydusili, że i zbój lepiej by nie potrafił. Po wsiach jeździli, kurwie syny, wszelką chudobę przepatrywali. Niech jeno kto nowy dom pobuduje, a już podatek od zbytku. Obrodziło pole, nuże daninę płacić. Nasza świętobliwa panienska okazała się łakoma jak pleban, ale bardziej uczona była, cholera, i przemyślna. Spisy porobiła, panie! - z oburzenia począł tak wymachiwać rękami, że mu pergamin spadł na dno wozu. - Spisy, rozumiecie?! Przyłaziły te jej pokutniki, po trzech, bo już wtedy w ludziach taka złość była, że za kłonicę brali, i po obejściu węszyli. Spisywali!

- Wszelka radość ich w oczy kłuła - gadał woźnica. - Niech jeno niewiasta gdzie z odkrytą głową wyjdzie, to ją ze szczętem gola. Trafi się weselisko, kapela kapkę głośno przygrywa, to drzwi zaprą i ogień podłożą. W kości grać nie Iza, dziewczek na sianie nie Iza obracać ani gorzałki pędzić... To po co żyć, panie?

- Iście - westchnął grubas. - Szcęściem od ustawicznych postów i batożenia nasza świętobliwa pani coraz bardziej słabowała. Aż razu jednego, jak na rynku prorokowała, jucha jej z gęby buchnęła. Bez życia ją w klasztor ponieśli i przed świtem szczeła.

- Jako my natenczas owych pokutników popędzili! - zaśmiał się woźnica. - Serce roście! Zewsząd chłopcy szły. Jedni z cepami, inni z kosami, co tam kto w komorze miał pochowane. Takeśmy się zawzięli, że przed zmierzchem całe plugastwo było przemożone.

- Na trzeci dzień poselstwo od księcia przyszło, naszej świętobliwej pani brata. W opiekę nas brać obiecywał, relikwie po najdroższej siostrze chronić. A zaraz następnego dzionka od Wężymorda z Żalników przysłano. Także chciał nas przyhołubić. Ażeśmy się nadzieić nie mogli, ile po świecie mamy przyjaciół.

- Ale widzę, żeście postronnej pomocy nie szukali - uśmiechnął się Koźlarz.

- Widzicie, panie - jegomość w szafranowym kubraku podrapał się po brzuchu. - Myśmy się z tą świętobliwą cholera bez mała tuzin lat męczyli. Tak i uradziliśmy, że słusznie nam się po niej

pociecha należy. Zeszliśmy się, wszyscy co znaczniejsi, w refektarzu i uradziliśmy, że odtąd nie będziemy znać inszego pana. Naszą pobożną księżniczkę za świętą a prawdziwą patronkę tej ziemi weźmiem - splunął potężnie.

- A nie próbowali was gwałtem do innej opieki nęcić?

- spytał Przemęka.

- Z początku - uśmiechnął się tłusciuch. - Miasto raz nawet podpalili. Ale że my tu pomiędzy Żalnickimi a księżętami siedzimy, tedy posyłali do nas z obu stron i jedni drugim bruździli. A my się znowuż w refektarzu zeszli i uradzili, że zdałaby się nam opieka, co by nas przed opiekunami broniła. Jedni chcieli mury wedle miasta sypać i pospolitą milicję ustanowić. Ale głupia była rada, bo tu ludek pracowity i, za przeproszeniem, nadto roztropny, by z sulicami po krzakach ganiać. Od słowa do słowa, ugodziliśmy po Serwenedyjski słać.

- Dlatego droga spokojna jak księżęcy szlak - pokiwał głową Przemęka. - Bogate musi być miasteczko, skoro się południowym wojowniczkom opłaca.

Grubas w żółtym hybercuchu uśmiechnął się chytrze.

- Ano, miniem jar, to się waszmościowie przypatrzycie. Nim jednak jeszcze wyjechali z wąwozu, Przemęka owionął dotkliwszy z każdym krokiem smród.

- No, można rzec, żeśmy u samych bram Księżęcych Wiergów - zaśmiał się furman. - Patrzajcie, waszmościowie, już folusz widać i farbiarnię.

W dole, w rozległej, przedzielonej potokiem niecce rozciągało się istotnie miasteczko czy też raczej luźne zbiorowisko rozmaitych szop, składów i baraków. Wszystkie były niziutkie, o płaskich dachach podpartych grubymi słupami. Postawiono je całkiem niedawno, bo drewno nie zdążyło jeszcze porządnie ściemnieć. Pomiędzy budynkami kłębiła się cizba ludzi i wozów. Coś turkotało donośnie, skrzypiały żurawie.

- Jak my się już naszej świątobliwej pani zbyli - tłusciuch dumnie potoczył ramieniem - to zrazu śmieiej poczęliśmy budować. Bo to, panie, z księżętami straszna bieda. Postawi człek folusz, to każą rozbierać, bo widok z okna psuje. Co drugi dzień nasza świątobliwa pani święto ogłaszała albo, psia mać, odpoczynek. To my siedzieli po domach i kłyckie ze złości gryźli. Przystań na noc łańcuchem grodzili! Żurawie im za głośno skrzypiały! A garbarnie? Jedna tu była, i to z dala od miasta, żeby jaśnie pani nie śmierdziało. I co, że śmierdzi?! Od smrodu nikt jeszcze nie umarł, a z głodu niejednemu się przytrafiło! Głód tu kiedyś taki panował, że na przednówku ludzie trawę żarli.

- A teraz z całych Gór Żmijowych skóry skupujemy - cmoknął z zadowoleniem grubas. - Taniutko, bo myśliwi wiosną strasznie piją, a gorzałka droga. Gorzelnie dwie pobudowaliśmy i browar, pewnie się nasza świątobliwa pani w grobie przewraca - zarechotał. - Skóry wyprawiamy, farbujemy, potem się je rzeką spławia, bo tam kupców ze Szczeżupin więcej i ceny lepsze. Ale rok w rok coraz liczniej zjeżdżają do Księżęcych Wiergów i rychło tu targi sławne będą jako w samej Spichrzy.

- A że śmierdzi? - zaśmiał się furman. - Panie, myśmy tak do tego smrodu przywykli, że jak do Spichrzy który pojedzie, to i spać ciężko, i jadło jakieś niezdałe, nawet dziewczki na nic.

Pośrodku osady, przy głównym placu, gdzie Przemęka spodziewał się dojrzyć ratusz i kamienice rajców, wznosiła się większa od innych i zwieńczona okazałą wieżą budowla. Z komina ulatywały kłęby zielonkawego dymu.

- A tamten dom czyj? - zaciekawiał się Kozłarz. - Starosty?

- E, gdzie by! - zaśmiał się wozak. - Grododzierzca po drugiej stronie rzeki. Widzicie tamtą długą szopę? To właśnie jego mydlarnie. Przybudówkę sobie postawił, tam ni - nie całymi dniami siedzi i interesu dogląda. A tam, gdzie się na zielono dymi, to naszego alchemika wieża.

- To i alchemika macie?

- Ano, mistrza Kośmidra. Po prawdzie lepszy z niego farbiarz niż alchemik! - wyjaśnił gruby. - Nie uwierzylibyście, panie, jaka to łachmyta był, jak się do Wiergów przywłókł. Żebrak nieledwie! Pono ze Spichrzy uchodzić musiał. Gadali, że czymś się tam straszliwie wielmożnej Jasence naraził albo że grosze książęce fałszował. To my go przygarnęlim.

- Oj, była zrazu bieda! - rzekł furman. - Nie dość, że głowę alchemicznymi bredniami miał nabita, to jeszcze i kowala najlepszego nam zbałamucił. Wieczny zapęd sobie umyślili! Kowal, zamiast przy żelazie robić, ciągiem jakieś koła i sztaby z alchemikiem składał. Coś tam skrobali, piłowali, sposobili. Niby że się kręcić miało.

- A po co? - zdziwił się Przemęka.

- No, tego to już alchemik nie wiedział! Ja żem nawet ten wieczny zapęd widział. Okrutnie mądrze wyglądał, w niczem się wyrozumieć nie potrafiłem. Klapka tam była pośrodku i niby ona miała klapać, machać czy co tam. Pierwszy to wieczny zapęd będzie, gadał alchemik, i w całym świecie pojedynczy. Kręcić się będzie, prawil, bez końca. Klapać.

- Prawie jak moja stara! - zaśmiał się grubas. - Też ma klapkę w gębie i też bez przerwy klapie!

- My się z desperacji za głowy brali. Bo to wiadomo, jaka z owego kłapania szkoda być może? Na szczęście alchemika pożenił z miejscową niewiastą. Ta, jak to żona, dla mądrości nijakiego zrozumienia nie miała. Rychło po wiecznym zapędzie klapka się jeno ostała i także klapką alchemikowi baba zbytki ze łba wybiła. Siedzi teraz w wieży, krochmal ku spornemu pożytkowi warzy i farby nowe wymyśla.

Na samym skraju osiedla dwukółka zatrzymała się przed bramą prowadzącą do jakichś zabudowań. Co to były za zabudowania, Przemęka nie zdołał wybadać, gdyż przezornie ogrodzono je wysokim na dwóch chłopa i bardzo szczelnym parkanem, a żaden z wiergowskich mieszczan bynajmniej nie prosił w gościnę. Brama uchyliła się na pierwszy dźwięk kołatki i połknęła dwukółkę. Przemęka dostrzegł jedynie potężne parujące beczki: przy każdej tkwił parobek i długim drągiem

zjadł w kadzi mieszał.

- Osobliwszy jakiś ludek - uznał, kiedy brama zatrzasnęła się na dobre. - Rozmowny nad podziw i krotochwilny, ale przecie nawet nam się z imienia żaden nie opowiedział. Nas też o godność nie wypytywali, jako ludzie pospolicie na gościńcu czynią.

- Co mieli rzec, to rzekli - mruknął Koźlarz. - Jeśli tu Servenedyjki pokoju pilnują, każdy się dwa razy namyśli, nim burdę zaczniesz.

- Servenedyjki nie Servenedyjki, za jedno - zdecydował Przemęka. - Trzeba się będzie w przystani o krypę rozpytać.

- Ale prędzej alchemika odwiedzić - Koźlarz pospiesznie odsunął się na środek ulicy, bo w płocie otwarła się kłapa i obficie bluznęła cuchnącą, niebieskawą strugą.

- Wiecznemu zapędowi się przypatrzeć? - uśmiechnął się Przemęka.

- List wysłać.

Przemęka przyglądał się gromadzie niewiast, które niosły na głowach kosze pełne świeżo bielonego płótna. A potem z rozmysłem wjechał w kałużę gnojówki, ochlapując im spódnicę.

- Czas najwyższy przecież - obronnym tonem powiedział Koźlarz.

- Jak sobie chcesz.

Wkrótce przekonali się, że pozornie proste ulice Księżowskich Wiergów załamują się dziwnie i ni z tego, ni z owego kończą zaryglowanymi bramami. Zwiedzili kilka ślepych zaułków, zyskując pewność, że miejscowe rynsztoki są niezwykle głębokie i wypełnione mieszaniną ingrediencji o najrozmaitszej barwie, zapachu i konsystencji. A przed samym domostwem alchemika koń Przemęki zapadł się po pęciny w coś, co przypominało mocno sfermentowany zacier.

Alchemik siedział na niziutkim karle i gapił się w okno. Na dźwięk otwieranych drzwi podskoczył z przestachu. Był niskim zażywnym człowieczkiem o podejrzenie zaczerwienionym obliczu. Zamiast dziwacznych szat, jakie chętnie przywdziewają magicy, alchemik nosił zwyczajny, niebieski fartuch i juchtowe buty. Łeb miał prawie doszczętnie wyłysiały: tylko na skroniach ostały się dwa wątle, acz długie kosmyki ryzawych włosów, które pieczołowicie zaczesywał na środek łysiny. Był to, jak z dawna spostrzegł Przemęka, zwyczaj w cywilizowanych krainach pospolity, choć wielce dziwny.

- Wpuściła was? - zamrugął ze zdziwieniem oczami.

- Drzwi były zaparte - wyjaśnił Koźlarz. - Ale na sam skobel, a z komina mocno dymiło...

- Więc postanowiliście alchemikowi nos w garnki wsadzić - pokręcił głową gospodarz. - A jak się trafi, to i jaki mocniejszy trunek uszabrować. Nie wstyd tak? Ale żeście się zbłąźnili, bo mnie samego już trzeci dzień suszy. Moja pani duszka zacier do rynsztoka wylała, a gorzelnikom rzekła, że

jakbym na borg chciał brać, to ona ni grosza nie zapłaci. Ot, nieszczęście... - potarł się wierzchem dłoni po nosie, czerwonym i opuchniętym jak purchawka.

Przemęka bez słowa sięgnął po bukłaczek.

- Uuuuch - alchemik pociągnął tęgiego łyka. - Krzepka, jucha. Ale zgaduję, żeście nie przyszli spragnionego napoić.

- Sława wasza nas ściągnęła, mistrzu - Koźlarz uśmiechnął się, patrząc, jak gospodarz łapczywie żłopie gorzałkę.

- Akurat - alchemik wysączył ostatnie krople i nieprzychylnie popatrzał na opróżnione naczynie. - Sławny to ja byłem dobrych parę lat temu, ale wyście wtedy jeszcze koszulinę w zębach nosili, a i mnie inaczej wołali. Jak czego ode mnie chcecie, to gadajcie bez ceremonii, bo rychło baba wróci z targu, a ona bardzo prędką niewiasta. Widzicie kartelusze? - wcelował palcem w przybity do ściany kawał pergaminu. Pokrywały go rzędy koślawych cyfr oraz liczne czerwone i niebieskie znaki.

- Ano, widzę - przytaknął Koźlarz.

- Kalendarz - wyjaśnił alchemik. - Wy się na tym nie wyznajecie, ale tu każdy dzionek, ot, jeden taki czarny znaczek. Cyferka. Albo dwie cyferki, jak podejdzie. Nieważne. A te czerwone mazaje widzicie?

- Widzę.

- A to są te wszystkie dzionki, jak mnie baba na pijaństwie przyłapała i mordę mi obiała! - dobitnie rzekł alchemik. - Wszystkie sobie dla pamięci odznacza, cholera. Kalendarz do ściany przypięła, ku przestrodze, gada, żeby mnie nie kusiło. I gościom to ona też bardzo niechętna. Ubrdała sobie, że mnie kompania do opilstwa zachęca. Tedy, gadajcie, czego chcecie, i idźcie sobie.

- Chcemy, żebyście dla nas list napisali.

- List niech wam na przystani rachmistrz napisze - poradził. - Bezpieczniej. Bo jak się baba zeźli, to jeszcze was o wykradanie tajemnic cechowych oskarży.

- Nam specjalnego listu trzeba - wyjaśnił Koźlarz. - Takiego, żeby tam na wierzchu jedna rzecz stała, dla niewprawnych oczu, a pod nią inna zgoła.

- Spisek? - przekrwione oczka alchemika zabłyśły. - Spisek, waszmościowie?

- Przysługa - Koźlarz wyciągnął spod płaszcza mieszek i potrząsnął nim zachęcająco. - Zgódźcie się, a do samiuśkiej zimy wszystkie cyferki w kalendarzu będzie wam kobieta zakreślać na czerwono.

- Na niebiesko - alchemik chciwie pochwycił sakiewkę. - Na czerwono to jak mnie na początku pijaństwa przyłapie. Bo niech się tylko napiję należycie, a taki we mnie duch wstępuje, że nie ona,

ale ja ją grzmocę. Wtedy dzień zaznaczamy na niebiesko.

Ale tamtego dnia nie zaznaczyli ani na niebiesko, ani na czerwono. Bo kiedy żona mistrza Kośmidra wróciła wreszcie od sąsiadki, wiergowski alchemik siedział potulnie i cichutko na posadzce, wsparty o nogę stołową. Oczy miał wytrzeszczone, w garści ścisnął gęsie pióro, a sprowadzony pospiesznie medyk oznajmił, że umorzono go jakowąś rzadką trucizną. Jeśli cokolwiek przed śmiercią napisał na kawałku pergaminu, który znalaziono na jego kolanach, nikt nigdy nie zdołał tego odczytać.

* * *

Po zmierzchu dwóch ludzi odpłynęło barką z Książęcych Wiergów. Starszy zajadłe ostrzył topór. Młodszy patrzył, jak strażnicy wygaszali światła na nabrzeżu: widać bardzo lękano się, by kto nieostrożny nie zaproszył ognia.

- Pamiętani drobną, brązowooką dziewczuszkę - powiedział wreszcie młodszy. - Z włosami uczesanyimi w kilka zbyt grubych warkoczyków, które krnąbrnie sterczały na wszystkie strony. Jej matka była niezwykłą niewiastą, sprawiła, że życie w Rdestniku stało się nieco bardziej znośne. Ale nie wiem, kim stała się moja siostra. Nie wiem, dlaczego Zird Zekrun pozwolił jej przeżyć. Nie wiem, w co zmieniły ją te wszystkie lata na dworze Wężymorda. Nie wiem, w jaki sposób mi zaszkodzi. Nic nie wiem.

- Ten list... - zaczął z namysłem starszy.

- Na czas dotrze do Uścieży. Tam, gdzie powinien.

- Jeśli jest prawdą, co gadają, także tam, gdzie nie powinien - zauważył sucho Przemęka. Koźlarz wzruszył ramionami.

- Wiecie, co mi tamta ryżowłosa obok Skalnego powiedziała? Mówiła o książęcej powinności. O posyłaniu ludzi na śmierć. Jak wy. Pamiętacie? Pamiętacie, jak patrzyliśmy na Czerwienieckie Grody? Więc wtedy, na przełęczu Skalniaka... jakby mi upiór w ślepią zaświecił...

Przemęka przesunął osełką po ostrzu topora.

- Tyle że ja się moich powinności dobrze wyuczyłem - podjął Koźlarz. - Samiście mnie wyuczyli.

- Wężymord dowie się o liście. A pewnie i Zird Zekrun też.

- Zapewne - zgodził się sucho. - Ale i tak dość sekretów. Słyszeliście, co gadają o mojej siostrze. Że okulała po tym, jak Zird Zekrun położył na niej rękę. Że jest połączona z Wężymordem w sposób, którego śmiertelni nie potrafią pojąć. Nazywają ją plugastwem, jak wiedźmę. I mówią, że to może być druga Thornveiin. Thornveiin, za przyczyną której Krainy Wewnętrznego Morza zajęły się

pożogą jak suche rżysko. Zbyt wiele rzeczy ma się rozstrzygnąć w Spichrzy podczas Żarów, by nie próbować sprawdzić, czy mam w siostrze sprzymierzeńca, czy wroga.

- A co z ryżą dziewczyną?

- Nie wiem. Raz ją wcześniej widziałem. W ogrodach Fei Flisyon - Koźlarz uśmiechnął się mimowolnie. - Wziąłem ją za ladacnicę.

- Dorodna dziewczka - przyznał z rozbawieniem Prze - męka. - Harda trochę i wyszczekana, ale bezsprzecznie urodziwa. Więc wzięłeś ją za ladacnicę... Nader nieroztropnie.

- Nie wydawała się urażona. Z początku.

- I?

- I nic. Od razu mi jadziołek do oczu przyskoczył. Zupełnie nic.

- Mnie też się zdarzyło obwołać dziewczynę ladacnicą - otwarcie zarechotał Przemęka - ale żadna nie wlokła się za mną przez Góry Żmijowe. Nie śpiewała przed Sandalą i nie dała się na kawałki porąbać. Tyś ją wedle Skalniaka - dodał, poważniejąc - prawie na pół przeciął. Ale jeśli miałyby przeżyć, bo jeszcze dychała, jakeśmy ciebie z przełęczą zabrali, wolałbym wiedzieć, czemu się za nami wlecze.

* * *

Po owej dziwnej nocy, gdy objawił się im Cion Ceren Od Kostura, Szarka zaczęła szybko zdrowieć. Niewiele mówiła, tylko wybadała Twardokęska, jakim sposobem się do nich wiedźma przywlokła i co w klasztorze nabajał. Kiedy zaś jej wyłożył całą rzecz o napadzie zbójców, co ją niby mieli poturbować, uśmiechnęła się krzywo, ale nic nie rzekła. Od mnichów stroniła, ale gdy ją już zaczęli ukradkiem podpytywać, nader zgrabnie zełgała o grasantach, którzy ją na trakcie okrutnie ukrzywdzili, i o krewniakach w Spichrzy. Aż się Twardokęsek dziwował.

O walce przy Skalniaku i żalnickim księciu nie napomknęła ni słowem.

Wiedźma aliści pytlowała nieustannie. Łaziła za Szarką krok w krok, wciąż jej zmieniała okłady, wieczorami zioła w popielniku prażyła i wywary gotowała, aż po izbie od tego wiedźmiństwa w nosie kręciło. Okazało się też, że wiedźma jest uczona, pisanie zna. Cięgiem do skryptorium po księgi dla Szarki ganiała i ku skrywanej zazdrości Twardokęska, głośno je czytała. Słowem, przypadły sobie do gustu, co wielce zbójcę niepokoiło.

Co prawda zapamiętał słowa Cion Cerena, który nazwał go powiernikiem rannej kobiety, ale nie pogodził się z tym, co to, to nie. Nie przestał też wymykać się z opactwa. Niestety, jadziołek miał na niego oko i za każdym razem zapędzał go z powrotem, tak że nawet podczas najdłuższej z wycieczek nie dotarł dalej niż do pobliskiej kotlinki, gdzie wypasano klasztorne owce. Raz

przyuważyła ów niesławny odwrót Szarka: jasiołek pędził przed sobą złachanego, zabłoconego zbójcę, a jak tylko Twardokęsek zwalniał, złe, sycząc, przyskakiwało mu prosto do oczu i zbójca rad nierad przyspieszał.

- I co, Twardokęsek, teraz już wiesz, jak to jest z jasiołkiem? - zaśmiała się, ale bez radości. - Jak się w łeb wwierci, każdą myśl na wylot prześlepi? Nie trwóż się, ani on o ciebie dba, jakbym miała niesfornego muła, też by go do mnie zaganiał. Niechby cię w nocy przydybał, Twardokęsek, we śnie... - poruszyła się niespokojnie w fotelu, zakasłała. - At, szkoda gadać - rozkaszała się na dobre.

- A na rosie siedzieć nie szkoda? - gderliwie spytała wiedźma. - Zdrowie szwankujące do reszty psuć?

Szarka posłusznie okręciła się wełnianą kraciatą chustą. W opactwie nosiła się prosto, w samodziałowych sukniach, które wygrzebano dla niej w kufrach po kucharce. Nabijaną ćwiekami kurtę norhemnów wiedźma połatała, ale ją wraz z szarszunami głęboko w jukach schowaną trzymali. A Szarka widać się od wiedźmy nieco o przystojnych obyczajach niewieścich wywiedziała, bo oczy trzymała nisko i niewiele mówiła. Tyle że włosy nosiła rozpuszczone, a pas zbierała pojedynczym, płaskim węzłem, jak czynią zamężne baby. Aż mnisi poczęli gadać, że nie tylko poraniono ją mieczem, ale i jeszcze gorzej zhańbiono.

Gdy owa pogłoska do Szarki doszła, tylko ramionami wzruszyła. Słaba jeszcze była, wynędzniała po chorobie, a przecie Twardokęsek widział, że jej spieszo w drogę. O trakty mnichów rozpytywała, choć ją i wiedźma, i stareńki mnich hamowali. A Twardokęskowi, który dobrze wyrozumiewał, że za żalnickim księciem przyjdzie im się powlec, wcale się owa droga samotrzeć nie widziała. Czas niespokojny, myślał, jak nas nawet kmiecie gdzie w przysiółku z wiedźmą pospołu nie uwędzą, to niezawodnie w karczmie do gołego grzbietu obłupią albo i śpiących nikczemnie zaszlachtują. Toż tu co drugi oberżysta ze zbójcami zmówion.

Na koniec, zgnębiony, podreptał do starego mnicha i rzecz mu całą wyłożył. Braciszek zafrasował się zrazu srodze, bowiem zamierzał całą ich gromadkę w opactwie zatrzymać, a Szarkę wyswatać jednemu z licznych krewnych księcia Piorunka, choć mu to co rozsądniejsi mnisi odradzali, wykładając, że księżę nie tylko przybłądy do krewniactwa nie dopuści, ale jeszcze psami poszczuć każe. Debatowali więc z Twardokęskiem długo i mozolnie, wieczorami zaś zmartwienie gęsto zapijali w refektarzu miodem, co go mnisi sycili.

Na koniec rozradowany mnich przywołał zbójcę i oznajmił:

- Skoro nie mogę was odwieść od wyjazdu, jest sposobność, byście dołączyli do grupy poczciwych wolarzy, co do Spichrzy stado pędzą. Jeśli się do zajęcia przy wołach zgodzicie, dadzą dziewczkom wikt na drogę - i nim zbójca zdołał rzec choćby słowo, braciszek zawlókł go do rozmównicy przy bramie.

Zwierzchnikiem poganiaczy okazał się krępy ciemnowłosy mężczyzna o imieniu Kuna. Mnich, widać dobrze znający gościnność i obyczajność, miodu im w cynowe kubki nalał, pogwarzył z Kuną chwilę o drodze przez równiny Turzniei. Potem samych ich zostawił.

- Czy wyście kiedy przy wołach robili? - poganiacz przyglądał się Twardokęskowi bacznie, szacując jego ciężką, przygarbioną sylwetkę.

Nabajać trzeba sprytnie, pomyślał Twardokęsek. Że zaś wcale często spotykał po karczmach wolarzy, dobrze wiedział, jak sobie z Kuną poradzić.

- Ojciec ich zawsze z tuzin w obejściu trzymali, tedy się na bydłęciu wyznaję - rzekł we wschodnim chłopskim narzeczu. - Tyle jeno, że nie samojeden ciągnę. Bękartkę ojcową do Spichrzy wiozę, na zrękowiny z pasztetnikiem jednym. Ale ją po drodze zbójcy nadpsowali i jeszcze do siebie nie doszła. Dziewka jedna przy niej.

- Mogą jechać wozem - Kuna wychylił kubek miodu i zaraz z zadziwieniem głową pokręcił, bo napój był wyborny, gorącością aż w gardle palił - abo i powozić. Byle nas nie spowolniały, bo rychło kupcy do Spichrzy zjadą na Żary. Nie zdążym na czas, przyjdzie potem bydło za nic oddać. A skądęsta są?

- Z Turznii - postanowił szybko zbójca - Derkacz mnie wołają, a ona Szarka. Popod Krupą po ojcu szmat ziemi wzięłem, ale wcześniej dziewczkę mi trzeba spłacić i do męża odwieźć, jako ojciec uładzili. Służkę niewolną jej przydałem, żeby nie krzywdowała. Głupawa dziewczka i do roboty w polu niezdatna, ale w mieście posługę niezawodnie dla niej jakowąż zgodzą.

- Łaskawiście - błysnął zębami wolarz - inny gościńcem by pognał.

- Razem nas ojciec chowali - odparł - w jednej izbie, Szarka mi zawdy za rodzoną była. Jeno nie chcę, aby ją kto z sąsiadów zbałamucił i nadziału w ziemi pytał. Ludzie wielce są niegodziwe.

- To może ona i nie ze wszystkim bękartka - zaśmiał się Kuna - jak z wami chowana i o gruncie mowa.

- Dla mnie bękartka - uciął Twardokęsek - a wam nic do tego.

- A nic - zgodził się obojętnie poganiacz. - Niech tylko do chłopów nie lezie, bo nam trza spieszyć, nie po krzakach legać i po mordzie się potem prac.

- Nie będzie zawadzać - oświadczył zbójca z pewnością, której bynajmniej nie czuł - spokojna jest i rzemieniem posłuszeństwa uczona. A z zapłatą za moją pracę też się pewnie uładzim...

Kuna wysączył resztki miodu z kubka i uśmiechnął się przebiegle.

* * *

Szarka i wiedźma siedziały w ogrodzie. Gwarzyły leniwie, pogryzały miodowe ciasteczka i układały bukiety z pachnących traw, których zapach jakoby uśmierzał ból w kościach i nocne duszności. Nie podobało się zbójcy ni owo zajęcie, ni jawne spoufalenie niewiast. Że wiedźma znała

się na zielsku, to rozumiał, taka to już jej wiedźmia powinność. Ale upodobania Szarki trwożyły go nie na żarty.

- Toż obyczajnej kobiecie niepodobna wiedźmim, nie - przystojnym rzemiosłem się parać - rzekł wreszcie z wyrzutem, bo mnisi miód rozebrał go cokolwiek i do pogawędki natchnął. - Kto was ku temu przysposobił?

- Jill Thuer - Szarka oplatała witką wiecheć sinego kwiecica. - Pięć lat w jej wieży przemieszkałam. Dwa razy uciekłam, ale Dumenerg odesłał mnie z powrotem. Mokradła i grząskie piaski były wkoło... a dalej szelina i zielsko, kędy okiem sięgnąć, szelina, zielsko i drobne niebieskie kwiatki... - w zadumie popatrzyła na wiązkę. - Nigdzie ich potem nie widziałam... póki ich mi na gody nie przysłała, przeklętница...

- Wyście zaślubieni? - wyrwało się zdumionemu Twardokęskowi.

- Cóż... - odparła z roztargnieniem - wziął zamek... mój małżonek... i zatknął głowę Dumenerga na palisadzie - przygryzła wargę. - Wesele było... dość pospieszne...

Włoski na karku Twardokęska zjeżyły się niespokojnie. Porzuceni małżonkowie bywają porywczy i gwałtowni, wiedział o tym Twardokęsek dobrze, bo raz mu taki rohatynę w żywot chciał wrazić. Nie żeby zbójca przed byle kim tchórzył, ale mu się coraz bardziej widziało, że to jest dziewczka wysokiego rodu, z żalnickim wywołańcem skumana, a i z bogami gadać skwapliwa. I nie cieszyło to Twardokęska, wcale nie.

- A wasz małżonek? - spytał. - Gdzież on teraz? Za nim do Spichrzy wędrujecie?

- Zgonić nas nie zgoni, nie ma strachu. Nie ciągnij mnie za język, Twardokęsek - ucięła zgryźliwie. - Dość, że nas mnisi ze wszech stron podpytują. Onegdaj medyka tu ściągnęli, żeby mi żebra obejrzał, czy się aby dobrze zrastają. Żebra jak żebra, bo mnie ten konsyliarz zapowietrzony do cna z przyrodziewku obłupił i cały sobie kościec obejrzał. Dokumentnie i detalicznie. Ja mnichów urazić nie chcę, ale niech tu jeszcze jakiego medyka zobaczę, to mu szafelin w rzyć wrażę. Kościec przy tym srogo nadwerężając! A dowierzacie, co on mi najbardziej obmacywał?

- rzuciła głową, aż się jej kraciasty koc z ramion zsunął.

- Przestań rzeć, Twardokęsek! To też, ale z początku, póki nie objaśniłam, że mu paluchy sztyletem przyciąć zamierzam. Czoło mi ceglastym proszkiem posypał i przez szkiełko nad nim ślepił. Wykładasz sobie, Twardokęsek? - w jej głosie pobrzmiwała źle skrywana uraza.

Ot, babom nie dogodzisz, zdusił śmiech zbójca. Pocziesz się na kiep i cycki gapić, to cię capem sprośnym obwołają i gębę obiją. A gapić się nie będziesz, to jeszcze bardziej się zeżłą i zawezmą. Iście babski pomyślunek.

- Zird Zekruna się mnisi boją - wyjaśnił. - Medyk szukał u was znamienia robaków skalnych. I nie dziw. Przecie pomorcki pan samego opata starego, Ciecierkę, przymamił. Widno całe to ichnie kapłaństwo jeno plewy na wietrze. Kędy srożej dmuchnie, tam lecą. Cała ta służba gamracka, co się

jej niby jeno z żywotem zbyć można, jedno to bałamutwo i psiną ócz zatykanie. Dość raz, jeden raz, gadają, z intencją szczerą ślub uczynić i imię boskie wypowiedzieć, z woli dobrej, nieskrępowanej, by się niby dusienicą zapętlić, w służbę wieczną oddać. Więzy zadzierzgnąć, co je aby z żywotem pospołu poszarpać można. Jakie więzy?! Toż opata Cion Ceren niby psa popędził!

- Może Ciecierka intencji szczerzej nie miał? - uśmiechnęła się Szarka.

- On szczerą intencję nazreć się miał! - wrzasnął Twardokęsek. - Patrzcie, ile on tu dobra nagromadził! Jakie tu konie sielne we stajni, stada bydła, komnaty, jakie postroił, podjadek niewstydlivy! A przecie się z Zird Zekrunem pobratał. Jak on potem po klasztorным dziedzińcu wył i owo skalnych robaków znamię pazurami darł, strach brał patrzeć - pokręcił głową Twardokęsek. - Powiadają ludzie, że się w tych piętnach moc Zird Zekruna kryje, ale wedle mojego rozeznania żadna to moc, jeno przekleństwo przyczajone. Bo, widzicie, i wiedźmy siła złego mogą uczynić, gdy je szal ogarnie. Dlatego prawo im czynimy i w ogień je wrzucamy. A przecie one głupie są, nie rozumiejące, że je przyrodzenie ku złemu nagina.

- Sameś głupi! - zeżłona wiedźma syknęła niby z cicha, ale tak, żeby dobrze zbójca dosłyszał. - A o twoim przyrodzeniu niesporo na głos rozprawiać.

- Ale Pomorcy - Twardokęsek, z lekka tylko na gębie pokraśniawszy, puścił obelgi mimo uszu - większe jeszcze zniszczenie sprawiają. Że frejbiterowie ludzi uprowadzają i na targowiskach popod Hałuńską Górą nimi kupczą, temu ja się nie dziwuję, bo w tym ich prawo, zawdy z rabunku żyli. Aliści że oni, kurwi synowie, jeńców Zird Zekrunowi na żertwę prowadzają i patrzą, jak on im rozum wydziera, to już ani poczciwa grabież, ni piractwo zacne. I niech mnie kiedy Pomorcy pochwyć, sam się sztyletem pod żebro zmacam albo i łeb o mur rozbiję. A co? - warknął ze złością do wiedźmy, która wpatrywała się w niego niezabudkowymi, wytrzeszczonymi oczyma. - Toż lepiej od żelaza czystego szecznać, niżby miał na mnie popod Hałuńską Górą Zird Zekrun łapę sześciopalczałą kłaść!

- Wybaczże, Twardokęsek - Szarka usiadła wygodniej w wyplatany krześle, poprawiła pled; ryży kociak wiedźmy przeciągnął się leniwie, otarł łeb o jej palce. - Tyle tylko rozumiem, że bluźnisz. Bluźnisz, aż po gościńcu fur - kocze.

- Toż ani on sam rozumie! - prychnęła wiedźma. - Okowity się napił, tedy gada, dowcip i baczenie do reszty potraciwszy.

- A co tu rozumieć? - chwycił się za brodę Twardokęsek. - Toż jedno plugastwo i sromota! Wciąż tam jeszcze u nas po wioskach powrotu Kii Krindara wypatrują. A ja wam powiadam, niechaj on się nigdy nie wróci! Niechaj nas raczej w osobności zostawi! - ciągnął z rosnącym zaciętrzewieniem. - Ja żem widział zbiegów z tragańskich galer, z grzbietami korbaczami znaczonymi, i takich, którym za łupiestwo członki mistrz odejmował i oczy żelazem kłuł. Ale to prawie miłosierdzie wedle tego, w co Zird Zekrun ludzi obraca. Nie po temu, że jako owo kapłaństwo zapowietrzone prawi, on ich z duszy łupi i odziera. Mnie dusza za jaje stoi! Ani jej nie przedam, aby brzuszysko napelnić, ani mnie przed katowskim żelazem ochroni. Ale dla tych, co na nich pod Hałuńską Górą Zird Zekrun rękę położył, już albo śmierć plugawa od skalnych robaków, albo żywot niewolniczy, bezrozumny, prawie nieczłowieczy!

- Ano - mruknęła pod nosem wiedźma. - I okowity pod Hałuńską Górą nie masz, by człek ten rozum, co go nad inne bestie wynosi, do reszty mógł zamroczyć. Idź ty lepiej pijaństwo odsypiać, Twardokęsek, miast gębą po próznicy kręcić.

O zmierzchu, gdy dzwony zaczęły bić, mnisi zebrali się na dziedzińcu na wieczorną modlitwę i długo śpiewali pod ciemniejącym niebem o bezkresnej wędrowce Cion Cerena. Potem rozdzielano wieczerzę, której wyczekiwała niecierpliwie zgromadzona pod klasztorną bramą biedota, coraz głośniej złorzecząc mnichom i ich pieśniom. Kiedy otwarto wierzeje, ciżba wdarła się do środka, mało co nie stratowawszy furtiana i popędziła ku kuchniom. Twardokęsek dostrzegł, jak stareńki kuternoga gna przez zagon kapusty, tłukąc sękatym kosturkiem rywali do darmowej miski. Pokręcił z zadziwieniem głową.

Znajomy mnich przydreptał do nich, pogawędził chwilę.

- Mój pan, Cion Ceren, prosił, bym z wami mówił, gdy do zdrowia dojdziecie - rzekł na koniec ku Szarce. - Z wami jeno samymi - niepewnie spojrział na wiedźmę i Twardokęska.

- Chodźmy - Szarka podniosła się i wygładziła fałdy długiej sukni.

Przewiesiła przez ramię związane razem sandały. Gdy przechodziła obok dwóch młodych mnichów, obaj pokraśniali i gwałtownie odwrócili wzrok - szlachetnie urodzone niewiasty Krain Wewnętrzznego Morza nie chadzały boso. Twardokęsek patrzył, jak zwinnie wspina się pomiędzy białymi wapiennymi skałkami i przyszył mu na myśl jej słowa: "Pasałam kozy". Barbarzynka, pomyślał, dzika jak servededyjskie wojowniczkę, czego ona może szukać w Krainach Wewnętrzznego Morza?

Jednak przed oczyma miał rozległą salę o niskim sklepieniu i pomalowanych czerwoną ochrą ścianach, które połyskiwały niepokojąco od zatkniętych w żelaznych pierścieniach pochodni. Naręcza bladoniebieskich, na wpół rozchylonych kwiatów, wrzaski ludzi dorzynanych na posadzce. I dziewczka w jasnym, poszarpanym giele na szczycie schodów. Nie dojrzał jej lica, ale cienka była i chuda jak brzozowa witka, młodziuchna.

Jej krzyk smagnął go jak pejcz.

Nie wiedział, skąd mu się wziął ten obraz. Od owej nocy przy Skalniaku nawiedzały go dziwaczne widziadła, ni to sny, ni zwiady jakoweś, i lękał się ich niemało.

- Czemu ona mnie za sobą wlecze? - burknął, odwracając się ku wiedźmie. - Ja jestem człek prosty. Ja się na bogach, wiedźmach i książećtach nie wyznaję.

- Nie spodoba się jej, jak ci powiem - odparła, wybierając rzepy z ogona rudego kociaka.

Twardokęsek zasepił się nieco, gdyż nie bardzo wiedział, jak wiedźmę nakłonić do gadania. Na Przełęczu Zdechłej Krowy zazwyczaj miał do czynienia z Servededyjkami, niewiastami prostymi i w obejściu łatwymi, które uszczęśliwiał godziwie naostrzony sztylet i jeniec, na którym sztylet ów mogłyby wypróbować. Ale nie sądził, by wiedźma dała się skusić.

- Po co jej mówić? Ledwo co wydobrzała, a jak zacznie wrzeszczeć i wygrażać, jeszcze się jej rany na nowo otworzą - zaczął z namysłem. - A pomnisz, co Cion Ceren rzekł? Żem jej na strażnika przydany? A jakże mnie jej strażyc, jak nic nie wiem?

- No... - zawahała się wiedźma. - Jej imię. To, którym ją nazwałeś.

- Szarka? - zdumiał się Twardokęsek. - Niepodobna.

- A właśnie, że tak! - zaperzyła się wiedźma. - Szarka, jej pierwsze imię, matczyne... - urwała, pomyślała chwilkę. - Złe imię... i potem inaczej ją wołali, Dumenerg i ci... inni. Więc, jakżeś ją i tu nim obwołał, tedy pomyślała, że znak jest, i przy sobie cię trzyma. Zresztą tyś, Twardokęsek, bardzo do kogoś podobny. Kogoś, kogo znała. Wcześniej.

- I dlatego mnie plugastwo pilnuje? - oburzył się Twardokęsek. - Dla przesądu, zabobonu durnego? A ty czymże się zasłużyłaś? Z gęby w babkę nieboszczkę się wrodziłaś?

- Ja jestem użyteczna - z godnością - wyjaśniła wiedźma. Zbójca potrząsnął tylko głową i mamrocząc coś pod nosem, poszedł do klasztoru.

* * *

Powoli wspinali się po zboczach. Szarka była o wiele wyższa, mnich sięgał jej zaledwie do barków i mniej więcej w połowie drogi spostrzegł, że opiera się o nią coraz ciężiej. Ramię, które go podtrzymywało, było chłodne i silne, lecz pamiętał jeszcze obraz rany na jej boku. Któż mógłby być tak okrutny, by uczynić coś równie potwornego temu dziecku? - pomyślał.

- Wystarczy - zdecydował, przysiadając na płaskim, nagrzanym słońcem kamieniu.

Bez sprzeciwu opadła na ziemię. Od nocy, gdy przybyła do opactwa, nie padał deszcz i trawa zdążyła już zżółknąć i zmarnieć. Dziewczyna z namysłem obracała w palcach długie, wyschnięte źdźbło i milczała. Mnich również nic nie mówił. Lubił patrzeć, jak o zmroku jej twarz wygładza się i łagodnieje.

Niebo ciemniało coraz bardziej.

Drgnęła, gdy świerszcz zaświergotał w trawie u ich stóp.

- Chciałeś ze mną mówić, ojciec - przypomniała.

Braciszek rzucił jej smętne spojrzenie. Nie ośmielał się wątpić w wyroki boga ani też rozumieć istoty sporów, które miały targnąć trzewiami Krain Wewnętrzznego Morza. Lecz ze wszystkich sił współczuł temu dziecku.

Siedziała z brodą wspartą na dłoni. Jej oczy błędziły po ściemniałym od zmierzchu, przeciwnym krańcu kamieniołomu. Wyschnięta trawa pachniała mocno, języki z krzykiem zlatywały

się do gniazd. Za ich plecami, w ogrodzie opactwa, rozpalono już latarnie.

- Mój pan, Cion Ceren - zaczął z wysiłkiem - rzekł, że są rzeczy, które wiedzieć winniście. Przez wzgląd na to, co się zdarzy, l byście nie szli dalej spichrzańskim szlakiem. Bo ninie jeszcze zawrócić możecie.

- Dlaczego? - spytała, posyłając mu spojrzenie przejrzystych zielonych źrenic, których smutek zawsze napełniał go niepokojem. - Dlaczego?

- Mój pan... nie przybył tu, by ocalić ci życie, dziecko, czy uzdrowić... - ciągnął coraz cichszym głosem. - Trwoży go ta, której służyysz, i to, co przynosisz. On... przyszedł, by cię uśmiercić... i odszedł z rozdwojonym sercem, a nas w lęku zostawił. Może nie ma w tym twojej winy. Ale mój pan powiedział, że Annyonne także nie znała swego przeznaczenia... a strzała jest strzałą i ważne jedynie, by sięgnęła celu.

Były to okrutne, posępne słowa - nie bez przyczyny imię Annyonne stało się przekleństwem - lecz nie umiał ich przemilczeć. Nie po tym, jak Cion Ceren ukazał mu Annyonne. Taką, jaka była na samym początku. Skrzydlatą, świetlistą i równie młodzieńczą jak owo dziecko, które siedziało teraz u jego stóp. Ale potem, gdy okaleczono ją i strącono z najwyższego z miejsc, i jeszcze później, gdy brocząc z pustych oczodołów strumieniami czarnej krwi, która zatrula ziemię, Annyonne czołgała się na miejsce swego przeznaczenia, wówczas nie pozostało nic prócz śmierci, która podążała za nią i poprzez nią.

Pobladła. Mimo półmroku widział, że nawet jej wargi stały się białe. Ale nim jeszcze zdążył jej dotknąć, znów zaśmiała się tym samym przyciszonym, złym śmiechem.

- Dary bogów... Przeklęte dary bogów.

Podniosła się - dostrzegł nie więcej niż czerwonawy wieczorny połysk na powierzchni szaty i długie włosy. Szła ku zboczowi poprzez kępy kolczastych krzaków, które sięgały jej zaledwie do kolan, powoli, obok skręconego pnia strzaskanej piorunem sosny, bezszelestnie, z namysłem, jakby nie istniała krawędź i urwisko - i bał się, że skoczy w dół.

Cienie falowały na trawie, a on zaczął się modlić: "Przystać, nim przekroczysz poszarpany cień pnia, nim wejdiesz w zarys gałęzi".

Zatrzymała się dopiero nad krawędzią kamieniołomu, poza pasmem cieni.

- Myliłeś się co do mnie w wielu rzeczach, ojciec - oznajmiła przez ramię.

Pochyliła się, rwąc spódnicę na wąskie pasma, by nie krępowała ruchów. To, co nastąpiło potem, przypominało taniec, lecz nim nie było. Jej ruchy były nieskończenie powolne, niczym zawieszony w powietrzu.

Zamrugnął, czując pod powiekami palące łzy, które nie chciały wypłynąć.

Pochodził z wioski nieopodal i nigdy nie czuł zamiłowania do sztuk, którymi od wieków

szczyliło się opactwo. Nie poządał wielkich tajemnic. Dlaczego ja, pomyślał z żalem, dlaczego właśnie ja?

Niebo było bezchmurne. Wąski ułamek księżycy wisił wysoko, a dziewczyna na skraju urwiska zdawała się płynąć w powietrzu. Przypomniawszy sobie jezioro, gdzie niegdyś podbierał z braćmi jaja dzikich kaczek, i lecące nad wodą żurawie, jak stawały się czarne na falującej tarczy słońca, i głosy, którymi krzyczały o zmierzchu.

A potem skończyła i przypadła do ziemi gwałtownie, jak strącona kamieniem kaczka.

- Więc także i w tym pomyliłeś się, ojcze - powiedziała, nim zdążył krzyknąć, przestraszony, że zrobiła sobie krzywdę. - Miałam cztery lata, kiedy pokazano mi kroki. Minęło dalszych osiem, nim zdołałam je powtórzyć bez błędów, ale kochałam mojego nauczyciela i byłam uparta - uśmiechnęła się nieznacznie. - Tam, skąd pochodzę, nazywają to tańcem Annyonne. Czy wierzysz w przepowiednie, ojcze?

Słabo potrząsnął głową. Łzy, piekące, nie przepłakane łzy napłynęły mu pod powieki.

- Powiem to tobie, ale możesz powtórzyć każdemu - rzekła. - Przeszłam daleką ścieżkę, najdalszą. Poprzez ciemność, bo wszystkie gwiazdy pospadały, jedna po drugiej, i nie zastraszy mnie stara baśń. Jest taki dług, ojcze - jej oczy znów wydały mu się smutne, najsmutniejsze - który wypalił mnie bez reszty. Którego nigdy nie wypłacę. Więc jest taki dług i nie nagnę się do niczyjej woli.

I wtedy przypomniała mu się piosenka, którą śpiewali nad jeziorem, senni od podebranemu ojcu piwa, z brzuchami do przesytu napchanymi pieczonym sumem, rozleniwieni.

Hej, lekko po niebie leci ptak, Lecz nie doleci.

* * *

Zarzyczka, córka Smardza, pana na Żarnikach, z niesmakiem przyglądała się swym dłoniom, pokrytym trwałymi plamami cynobru i ochry, z ciemnymi obwódkami za paznokciami i świeżą blizną nad prawym kciukiem. Kolejny raz wytarła je o skórzany fartuch, pełen wytrawionych kwasem dziur i plam, i na koniec, dla pewności, schowała w kieszeniach. Przez okno pracowni widziała gałęzie śliw, okryte kiściami bladych kwiatów. Rozmyślała chwilę bez pośpiechu, gdyż nie lubiła się spieszyć. Na koniec zatkała retortę i odstawiła do szafy, choć żółta zawartość bulgotała z wyrzutem.

W dole służebne minęły Bramę Lwów o gładkim sklepieniu i fryzie bogato inkrustowanym lapislazuli. Schodziły wzdłuż muru cytadeli, północną ścieżką ku strumieniowi. Księżniczka widziała tylko ich jasne suknie i kosze pełne bielizny.

Na bocznym stoliczku parzył się jej ulubiony brunatny krwawiennik. Księżniczka objęła kruchą czarzkę. Napój był gorący, parzył palce. Przy dzbanku leżał rozpieczętowany list od mistrza Kośmidra i Zarzyczka wiedziała, że wkrótce ktoś przyjdzie do pracowni - służebna, kapłan, a może nawet sam

Wężymord - a wówczas ona przestraszy się na dźwięk kroków za plecami i gwałtownie upuści filiżankę, zalewając pismo krwawiennikiem.

Twój brat wypłynął z Wysp Szylkretowych, głosił list mistrza Kośmidra, i na Żary zawita do Spichrzy.

Niewiele umiała sobie przypomnieć z czasów przed masakrą i kiedy pierwszy raz opowiedziano jej historię kniazia Żalników i jego małżonki, ludzie owi wydali się jej odlegli i obcy. Najlepiej pamiętała południowy skraj ogrodów, dokąd uciekała z bratem w owe dni, gdy jej ojciec biegał z krzykiem po komnatach cytadeli. Pamiętała też, jak umazani błotem leżeli w kryjówce pod liśćmi łośnianu, a on snuł opowieści o zwierzętach nocy, o białej myszy, która mieszka w korzeniach jaśminu, o żabie, która pewnego wieczoru stała się niebieska, o nietoperzu, który pomylił księżyc ze słońcem i uwierzył, że jest ptakiem. Śmialiśmy się z tych opowieści, pomyślała.

Jednak w cytadeli było coraz więcej biegania po korytarzach, coraz częściej Smardz zabraniał żonie wychodzić z pracowni. Przyczajona z bratem za gobelinem o brzegach obrębionych purpurowymi frędzlami, Zarzyczka przysłuchiwała się służebnym. Przepowiadały, że wkrótce książę odeśle alchemiczkę razem z jej miotem do ojca, do wietrznej Uścieży. Nie zrozumiała tego, ale brat chwycił ją za rękę, mocno, aż chciała krzyczeć.

Jeszcze tej samej zimy przybyli ludzie Wężymorda.

Długo chorowała po tym, jak dotknął jej Zird Zekrun Od Skały. Leżała w półmroku, krople zegara wodnego przetaczały się powoli i w gorączce widziała, jak zwierzęta nocy z opowieści brata przysiadają na skraju jej koca: nietoperz mrużył ślepią i ziewał przeciągle, drobne kłębki kurzu drżały na wąsach białej myszy. Kiedy wstała z łóżka, jej nogi były słabe, pełne bólu.

Dwór przeniesiono do Uścieży, nad Cieśniny Wieprzy. Komnata księżniczki przylegała do muru cytadeli, a jedyne okno wychodziło na nadbrzeżne skały i rzeczkę. Jedna ze skał przypominała zakapturzonego starca i gnieździły się na niej czarne ptaki, które daremnie usiłowała przywabić okruchami chleba. Całymi dniami przyglądała się piorącym niewolnicom, bydłu u wodopoju, przepływającym łodziom i wypatrywała na ich pokładzie brata. Nie nadpłynął, lecz nadal lubiła patrzeć na rzekę i ptaki; ich krzyki o zmierzchu były znakiem, że czas kłaść się do snu.

Piła powoli, napój rozgrzewał ją, lecz nie mógł wypędzić mrocznych myśli ani uśmierzyć bólu w prawym kolanie. Bolało zawsze, gdy znad Cieśnin Wieprzy wiał ostry, wilgotny wiatr. Kapłani Zird Zekruna utrzymywali, że mogą uleczyć jej kalectwo, lecz obawiała się im zaufać. Żaden z bogów nie czyni nic bez przyczyny. Nie sądziła, aby pan Pomortu kierował się jedynie miłosierdziem.

Już raz jej dotknął i okulała. Piętno za winy ojca i bunt przeciwko woli boga, jak mawiali kapłani Zird Zekruna.

Drzwi uchylły się ze skrzypieniem, a filiżanka wypadła z dłoni Zarzyczki, zalewając pismo mistrza Kośmidra czerwoną strugą. Odwróciła się z lekkim westchnieniem.

- Przestraszyłem cię - w drzwiach stał Wężymord. - Wybacz.

Był wysokim, silnym mężczyzną o ciemnych włosach nieznacznie przyprószonych siwizną. Jak co dzień nosił brąz, barwę swego pana, nie zmaconą żadną zbyteczną ozdobą lub symbolem władzy. Za sprawą Zird Zekruna od najazdu na Żalniki nie postarzał się ni o jeden dzień. Przeważnie wzbudzał w ludziach przerażenie. Z powodu swoich czynów i dlatego, że rozmawiał z bogiem.

Nie we mnie, pomyślała z nagłym zdziwieniem. Nigdy we mnie.

Uczyniła dłonią nieznaczny ruch. Cytadela należała do Wężymorda i nie potrzebował jej pozwolenia, by chodzić, gdzie miał ochotę. Krople krwawiennika powoli kapały na posadzkę. Strząsnęła z palców resztki napoju, a on nie spytał o list. Zastanawiała się, jak daleko sięga jego władza. Kiedyś był człowiekiem, ale to było dawno, dawno temu, zbyt dawno, by rozstrzygać, ile w nim jeszcze pozostało ze śmiertelnika. Za każdym razem, gdy płynął na Pomort, oddalał się i zmieniał. Zgadywała, że istnieje jakaś przyczyna owych zmian, lecz nie umiała jej odgadnąć.

Okręciła się płaszczem. Schody wieży były kręte i śliskie. Niemal zsunęła się z wilgotnej krawędzi stopnia. Jak zwykle niezdarna i rozdygotana, jak zawsze, kiedy on jest obok, pomyślała. Mruknął coś pod nosem w mowie Pomortu. Zbyt cicho, by zrozumiała.

Wiatr był jeszcze chłodniejszy niż przypuszczała, pod śliwami zalegała gruba warstwa płatków. Była szczęśliwa, że skończyły się przymrozki, zimą niemal nie wychodziła spod dachu. Ciaśniej zebrała pod szyją połę płaszcza. Sięgała Wężymordowi ledwie do połowy ramienia, drobna i skurczona w ostrym wietrze.

Ludzie powiadali, że jest mądra jak Thornveiin, osławiona księżniczka z rodu żalnickich kniazów, przyczyna wojny, która spustoszyła Krainy Wewnętrznego Morza. Zarzyczka uśmiechnęła się krzywo. Obawiała się, że jej przyszłość może okazać się jeszcze bardziej gorzka niż przeznaczenie Thornveiin, wygnanej na Krzywokole i okrytej niesławą. Gdyby mogła, oddałaby całą swą mądrość za swobodny, gibki krok niewolnicy, która oddalała się szybko przez dziedziniec, odziana jedynie w samodziałową rańtuszkę, z nagimi ramionami i włosami wilgotnymi od morskiego wichru.

Wężymord również patrzył w morze. Nawet najgorszym spośród ludzi zdarza się ulegać słabości, pomyślała, i to jest właśnie jedna z takich chwil.

W jego twarzy było znużenie, a źrenice błyszcząły czystym błękitem.

Kiedyś wyglądało to inaczej. Pamiętała jego radość, gdy wyruszał przeciw Zwajcom. Nienasyconą posępną furię, z jaką ozdabiał ściętymi głowami mury miast. Jednakże z każdym powrotem z Pomortu, a Zird Zekrun przyzywał go co zimę, pierwotne barbarzyńskie okrucieństwo Wężymorda zmieniało się. Zmieniało się w coś nieskończenie bardziej wyrafinowanego, co mogło mieć pozory łagodności, lecz nią nie było. Nie u niego.

Ogarnął ją strach, że pewnego dnia zrozumie tę przemianę zbyt dobrze, by nadal czuć nienawiść.

Wiatr szarpał jej płaszcz.

Bezskutecznie usiłowała odepchnąć natrętne myśli o bracie. Dlaczego, pytała samą siebie, dlaczego przesłał mi ten list, skoro wie, że Wężymord bez wysiłku odczyta go w moim umyśle? Dlaczego właśnie teraz? Miejsce i czas spotkania - ze mną czy z Wężymordem?

Zbyt długo stała na wietrze i przenikliwy ból rozszerzał się coraz bardziej.

Gwiazdy będą dzisiaj wyraźne, pomyślała. Nie takie, jak podczas letnich czerwonych nocy, ale wystarczająco jasne. Na szczycie wieży tkwiła stara luneta, a niebo pociągało Zarzyczkę znacznie bardziej niż tajemnica fałszywego złota. Nie usiłowała przeniknąć przyszłości. Zajmowały ją rzeczy zasadnicze. Liczby gwiazd. Tory planet. Ogień słońca. Zmijowie.

Kiedy patrzyła na gwiazdy, zdawało jej się, że magia - nie tajemnice fałszywego złota czy kapryśne sztuki wiedźm, ale prawdziwa magia - stała i niezmienna, jest liczbą zapisaną na niebie i kiedy zdoła ją znaleźć, zrozumie całą resztę. Na razie jednak wiedziała jedynie tyle, że jej smutek minie. Zanim zgubi się w magicznej chmurze gwiazd, z których każda jest małą ciemną grudką strachu, obłym kamyczkiem, którego nie można skruszyć. Nie starty żelazem, ni ogniem, zawsze ten sam. Dewiza jej ojca, dewiza jej brata.

Wężymord spytał ją o postępy w pracy.

- Ruda, którą przywieźli twoi ludzie - odparła - jest zbyt uboga, bym miała z niej jakikolwiek pożytek. Powinam sama pojechać do kopalń.

- Nie teraz. Ale, jeśli ma to pomóc, pojedziesz do kopalń - zgodził się nieoczekiwanie. - Latem.

Słuchała z zamętem w głowie. Żary. Spichrza. I Thornveiin, w tym samym miejscu, wiek wcześniej.

Czy to los powraca starym korytem, pomyślała, czy Wężymord zna mnie lepiej, niż przypuszczam?

Przy drzwiach przystanął, przepuszczając ją przodem, jak każe obyczaj. I kiedy przesuwała się obok niego ze wzrokiem wbitym w kamienną posadzkę, pochylił się i wspierając ją przy przekraczaniu wysokiego progu, powiedział tak cicho, że ledwie odróżniła słowa:

- Bądź ostrożna, Zarzyczko.

Nie zatrzymała się, nie zachwiała nawet. Nie poszła wieczorem patrzeć w gwiazdy. Leżała w łóżku, szczelnie okryta kołdrą, zwinięta w kłębek.

Wiatr wzmagął się.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Nie spieszyła się koza do wożą - Kapłan Zird Zekruna przypatrywał się opatowi Ciecierce z jawnym rozbawieniem. - Jużemy po was posyłać mieli.

Utrudzony opat chciwie sięgnął po kolejną pajdę razowca. Był wygłodzony i umorusany ponad wszelką miarę, gdyż od ładnych paru tygodni obracał się po gościńcu, wpytując o wiedźmę. Piętno skalnych robaków na jego czole ściemniało i rozrosło się tak dalece, że musiał obwiązywać łeb szmatami. Głos boga jednakże umilkł i Ciecierka skwapliwie poświęcił się własnym sprawom. Polowaniu na wiedźmę.

- Mieliście na żalnickiego wywołańca baczyć - ciągnął z przekąsem kapłan. - A wy co? Myśleliście, że jak wam pan postronków poluzował, to w pole go wywieziecie? Toście chyba taką naukę wzięli, że nieprędko się znów znarowicie.

Ciecierka aż się wzdrygnął. Z początku wszystko szło gładko. Choć niemłody, opat był krzepki i tak zajadły, że bez trudu przepędził żebraczkę sprzed zajazdu w rozwidleniu traktu. Obłupił babinę doszczętnie. Nawet kapotę jej z grzbietu zdarł i zabrał kostur z żebraczymi dzwoneczkami, po czym sam rozsiadł się przed wrotami gospody. Miejsce było bardzo sposobne, bo mógł przepatrywać zarówno tych, którzy zmierzali pociągnąć przez Góry Sowie ku Spichrzy, jak i tych, którzy wędrowali zachodnim gościńcem wprost do Żalników. Żebracza profesja nie podobała mu się zanadto, ale wędrowcy byli wcale hojni, zaś psy - może wyczuwając zamię skalnych robaków - omijały go szerokim łukiem.

Wiedźmy jednak nie znalazł.

Zaczynał się już na dobre zadomawiać, kiedy ni z tego, ni z owego Zird Zekrun przypomniał sobie o niesfornym słudze. Pośrodku nocy Ciecierka poderwał się z barłogu i donośnie zawodząc uciekł z obejścia.

Stara babina, która ukradkiem zadała mu muchomorów w jaglanej polewce, z godnością owinęła się porzuconą przez Ciecierkę kapotą i powróciła na posterunek u wrót gospody. Przypuszczała co prawda, że trutka umorzy uzurpatora, ale i tak była zadowolona. Nie można mieć wszystkiego, pomyślała, wybierając z miseczki porzucone przez Ciecierkę miedziaki.

Ciecierka tymczasem ani zważał na truciznę. Brzuch go trochę bolał, ale cała reszta bolała jeszcze bardziej: każde włókienko, każda kosteczka wibrowały od głosu rozwścieczonego Zird Zekruna. Tym razem bóg nie tracił czasu na pogawędki. Bez ceremonii zapędził go do niewielkiej kapliczki na obrzeżach posiadłości księcia Piorunka, gdzie rezydowała gromadka pomorckich kapłanów. Widok Ciecierki bardzo ich rozbawił.

- Coś nie zanadto upaśliście się na swawoli - sługa Zird Zekruna z pogardą omiółł wzrokiem przyodziewek opata. - Trza was będzie na dalszą drogę wywianować, bo ninie hańbę jeno naszej profesji przynosicie.

- Drogę dokąd?

- Na nic się nasze stróżowanie zdało, bo żalnicki wywołańiec już daleko - wzruszył ramionami kapłan. - Z dawna my go tu wedle traktów wyglądamy, a przecie nam uszedł. Pokumał się z owymi bluźniercami, czcicielami ziemienników. Lasami go z saku wywiedli, nie wiedzieć dokąd.

- A czemuż to?

- Ciekawiście może aż nadto - skrzywił się kapłan. - Jednak jakieś rozeznanie wam się należy. Jako i nasz pan, sługi ziemienników moc z ziemi czerpią, jeno i sposoby ich, i moc zgoła odmienna od naszej. Stąd nienawiść zapiekła poszła i owo z synem Smardza pobratanie. Ślady za sobą dobrze zatarli, darmo teraz po przysiółkach węszyć. Ale inny się sposób znajdzie. Pomnicie one wiedźmę, co w waszym opactwie stała?

Ciecierka tylko oczy przymrużył.

- Trafnie gadają, że z niewolnika nie ma dobrego robotnika - zaśmiał się kapłan - bo dość tę przeklętnicę wspomnieć, a jaka was ochota do służby nachodzi. Pomnicie drugą niewiastę?

- Poranioną ją przynieśli, tedy jej oblicza nie widziałem.

- Dość że się wam wiedźmia gęba dobrze w pamięć wryła. Pojedziecie za nimi przez Góry Żmijowe...

- A jakby się jaka sposobność trafiła? - przerwał Ciecierka. - Jakby mi gdzie wiedźma w ręce wlaźła?

- Próbujcie - zgodził się pobłażliwie kapłan Zird Zekruna. - Próbujcie do woli. Tyle że jeśli nie mylimy się co do owej drugiej niewiasty, to nijak nie dopniecie swego.

- A kto ona?

- Tego nie wiemy. Ale wiemy, co na czole nosi. Obręcz dri deonema.

- Co?! - opat poderwał się, mało nie przewróciwszy całej ławy.

- Ano właśnie tak. Zaraźnica wyprawiała ją z Traganki. I to na jednym statku z owym żalnickim wywołańcem.

- Jak Fea Flisyon mogła obręcz z wyspy wypuścić? - pokręcił głową Ciecierka. - Toż to jest wszelkich praw pogwałcenie. Niegodziwość.

- Nie wasza głowa boginię karać, tedy sobie Zaraźnica głowy nie zaprzatajcie - upomniał go sucho kapłan Zird Zekruna. - Choć z nią zawsze tylko zgryzota i frasunek były. Od samego początku. Odkąd wzięła sobie za gacha owego świniarka. Bo ukochany Fei Flisyon, ów pierwszy Dri Deoneme - wyjaśnił zdziwionemu Ciecierce - za młodu świnie śrutem karmił. A potem, jak lepiej wyrósł, kupców na gościńcu łupić począł. Ale że mu mało było, tedy popłynął na Tragankę. Krążyły wieści, że tam w grotach skarby wielkie pochowane. Tak długo się po owych jaskiniach pałętał, póki - na nasze nieszczęście - nie odnalazł sarkofagu, w którym spała Zaraźnica. Na Tragance powiedzą wam,

że okrutnie się rozmiłował w jej piękności i pocałunkiem ze snu przywołał - wykrzywił się szyderczo. - Ale po prawdzie, to począł ją z klejnotów obdzierać. Wnet miało się okazać, że od tego nagłego rozbudzenia bogini ze szczeniem ogłupia. Że się z nim pokładała, jedna jest rzecz, inna zgoła, że mu tajniki bogów wyjawiała. Uradzono na koniec świniarka zaszlachtować. Jak uradzono, tak uczyniono, ale straszliwie się o ów mord Fea Flisyon na rodzeństwo zawzięła. Były jeszcze inne spory między nią a Zird Zekrunem, choć ani mnie rozprawiać, ani wam pytać się nie godzi. Trzeba, żebyście szparko ruszyli za ową ryżą dziewczką. Bo ona niezawodnie doprowadzi was do żalnickiego zaprzańca.

- Samojeden? - zaniepokoił się Ciecierka. - Samojeden człek niewiele przeciwko niemu dopnie.

- Będzie wam pomoc przydana. Fea Flisyon pierwsza prawo podeptała, więc i my możemy - uśmiechnął się zimno. - Pojedziecie ku siedzibom szczuraków, już was tam wyglądają. Zaś ostatnimi czasy w Górach Żmijowych zdarzyło się kilka wielce obiecujących opętań. I będą następne.

* * *

Kartoflanka była przypalona i załatywała stęchlizną, co, jak zauważył Twardokęsek, zdarzało się za każdym razem, gdy Szarka brała się pospołu z wiedźmą do warzenia strawy. Wolarze posępnie siorbali zupę, rozumiejąc, że skoro Morwa poszła tego wieczoru do karczmy, przyjdzie im poprzestać na cienkiej polewce. Twardokęsek zamieszał łyżką w kociołku, nie wyłowił jednak nic prócz żalosej, rozgotowanej zieleniny i paru ziaren fasoli. Popatrzył na nie, potrząsnął głową i nic nie powiedział; zresztą, co można było powiedzieć?

Odkąd wyruszyli z klasztoru Cion Cerena, susza nie ustawała. Potoki powysychały, tylko czasami na dnie sączyła się wąska strużka wody. Zboże żółkło na polach, spękana ziemia prawie w głos skwirczała deszczu, a woły czyniły na wyschniętym gościńcu taką kurzawę, że ledwo człek dychał. Szczęściem kompania Kuny знаła szlak i nawet w czas owej upalnej wiosny potrafiliby znaleźć wodę. Obozowali jednak przeważnie pod gołym niebem, gdyż żaden oberżysta nie wpuściłby za próg wolarzy, ludzi gwałtownych, słynących z grubiaństwa i zamiłowania do bitki, przy tym golców i rozpustników. Kuna zapewniał Twardokęska, że to się zmieni w czas powrotu ze Spichrzy, kiedy już każdy z nich będzie miał przy pasie wypchaną sakiewkę. Ale na razie siedzieli na klepisku, a okna oberży po drugiej stronie zagonu koniczyny połyskiwały przytulnym ciepłym światłem.

Wędrowali od trzech tygodni, pędząc stado coraz wyżej przez Góry Żmijowe, bez pośpiechu, aby woły nie wychudły i nie zmarniały przed czasem. Kuna co roku prowadził bydło na letnie targi w Spichrzy, tym razem jednak prześladował go pech. Na równinach Turzniei, za południowym zboczem Gór Żmijowych, zaraza przetrzebiła stada i z trudem tylko zdołał wynająć się do pędzenia bydła. Potem zbójcy ubili czterech ludzi z jego kompanii. Gdy wreszcie, poharatani i wyczerpani, dowlekli się pod klasztor Cion Cerena, zostało ich tylko ośmiu, zaś liczba owa, jak powszechnie wiadomo, nie sprzyja wędrowcom. Nawet wraz z Twardokęskim, Szarką i wiedźmą, było ich wciąż jedenaścioro i Kuna nie mógł wybrzydząć, kiedy pojawiła się Morwa. W miłej bogom dwunastoosobowej

kompanii ruszyli wreszcie w drogę.

Morwa śmiała się w uchylonych drzwiach oberży schrypniętym, niskim śmiechem kobiety, która umiała wypić równie dużo jak Twardokęsek i często po pijanemu, okrakiem na dyszlu, wyśpiewywała najbardziej sprośne piosenki, jakie słyszał - co świadczyło o znacznym obyciu, bo zbójca słyszał niejedno. Zdzira, pomyślał z zawiścią, bo otwarte drzwi wypuszczały z gospody falę wrzasków i zapach wędzonki, od którego Twardokęskowi donośnie za - burczało w brzuchu. Kobieta w drzwiach zachwiała się, odpychając wczepionego w nią powroźnika, i sztywnym krokiem podążyła ku krytemu płótnem furgonowi, ochrzczonego przez wolarzy babiniecem. W połowie zagonu koniczyny przewróciła się i z wymiotowała.

Wolarze zaśmiali się zgodnie, bez złości.

Dwunastka, nie dwunastka, pomyślał Twardokęsek, z niepokojem przyglądając się powroźnikowi, jeszcze na nas baba nieszczęście sprowadzi. Zważywszy, że powroźnik, jak i wszyscy jego konfratry, żył z tropienia złego, a na wozie spała wiedźma, zbójca miał się czym trwożyć.

Co prawda, pomyślał, jeśli nawet Morwa zdążyła się czegoś dopatrzeć - a dałby sobie rękę uciąć, że tak było - to na razie nie zdradziła się ni słowem, a wiedźmie i Szarce nie czyniła żadnych wstrętów. Jęzor miała popędliwy, ale ujadała przeważnie na poganiaczy. W furgonie natomiast panowały spokój i harmonia, o czym wkrótce przekonał się wolarz, którzy nieopatrnie klepnął zbierającą chrust wiedźmę po zadku. Baby się nań zgodnie rzuciły i gałęziami grzbiet mu otłukły.

Wolarze z wolna kładli się w kotarhach, ale Twardokęska czemuś sen nie morzył. Był to ostatni postój przed pasmem Gór Sowich, legowiskiem zwierzołaków, i Twardokęsek znał te strony lepiej, niż był skłonny przyznać. Kiedy patrzył na zachód, rozpoznawał odległe szczyty, Maczugę, Pal i ten, który zwali Mnichem. Za nimi rozpościerała się Przełęcz Zdechłej Krowy, pół dzionka górską ścieżką pomiędzy szczytami i byłby w obozowisku. Jeśli zostało choć kilku ze starej kompanii, pomyślał, rozszarpaliby mnie za ten skradziony skarbczyk, rozdarli na strzępy.

Nacierał łojem wysokie buty z żółtej licowanej skóry, kiedy z nienacka zaszła go Szarka, przysiadła obok na derce. Na samodziałową koszulę miała wyrzucony skórzany serdak bez rękawów, z przodu sznurowany aż pod szyję, w talii ściągnięty szerokim pasem. Nosiły się z wiedźmą wcale zasobnie, bo w opactwie hojnie ich wywianowano przyodziewkiem i jadłem. Twardokęskowi mnisi przydali nawet sielną kobyłkę, przyciężkawą nieco, lecz spokojną i nawykłą do górskich ścieżek. Bardzo sobie mnisią poczciwość Twardokęsek chwalił.

Dotychczas wędrowało im się zadziwiająco spokojnie. Twardokęsek przykazał wolarzom zwać się Derkaczem i ani im we łbie świtało, kogo do kompanii przyjęli. Zaś co do niewiast, wieść o napadzie i zbójckiej swawoli rozniosła się, ale wolarze Szarce ni wiedźmie nie przymawiali, a że czasem je kto w tyłek klepnął, gniewać się Twardo - kęskowi było niesporo. Jadziołek nie kręcił się wedle furgonu, wiedźma nie wiedźmiła. Szarka zaś wielce składnie włościankę udawała: jak jej który wolarz co grubego rzekł, płonila się i uciekała. Choć ślepa jej przy tym bardzo nieprzyjemnie łyskały.

- Lękam się, Twardokęsek - dziewczyna poprawiała sute fałdy spódnicy. - Im głębiej w te góry, tym bardziej jadziołek ześlony, niespokojny.

Ot, dziwowisko, pomyślał zbójca. Prędzej nadałaby się wiedźmie jakowaś potwora, a tu wiedźma jeno z kocięciem wędruje, a Szarce, dziewce wcale nie wiedźmińskiej, rozumnej, uczzonej, jadziołek we łbie bełta, złe wieszczy.

- Trza się nam było w opactwie przyczaić - mruknął niechętnie - nie do Spichrzy smyrgać. Tu okolica dzika, ludziom nieprzyjazna, iście trafunek, przejdziem li nie.

Dziewczyna gniewliwie targała kosmyk włosów.

- To ci jedno, Twardokęsek, rzeknę - odezwała się - że to ani moja, ani twoja wola. Co się zaś tyczy jadziołka, jak się w łeb wwiercić potrafi, sam wiesz, objaśniać cię nie będę. A teraz z nagła znów wróżyć począł, jak zeszej wiosny w Łysogórach, kiedy tak długo mnie dręczył, póki nie ruszyłam na Tragankę. Tyle że licha z niego przepowiednia, zwichrowana.

- Jako i wróżba wszelaka - przytaknął posepnie zbójca.

- Prawda. Powiedziała mi na Tragance Zaraźnica, że jadziołek się marą senną żywi i majakiem, a raz człkiem owładnąwszy, z wolna go o szaleństwo przyprawi.

- I nie dziw - wzruszył ramionami zbójca. - Wielu żem takich oglądał, co przyszłość przepowiadają, a co do jednego rozum mieli zmacony. Toż na wiedźmę naszą patrzajcie... - urwał, bo dziewczyna istotnie spojrziała.

W głębi namiotu, w gieżle prawie pod szyję zadartym, wiedźma pochrapywała melodyjnie, gębę miała zaróżowioną od snu i gorąca. Przy niej drzemał ryży kociak, dla odmiany wyciągnięty na grzbiecie, z łapami rozwalonymi na wszystkie strony, i zębami przez sen szczękał.

- No, co żeś się tak, Twardokęsek, spłonił? - Szarka uśmiechnęła się półgębkiem. - Nie udaję, że rozumiem, ale ani wam mać jestem, ani gamratka. Co mi rzec chciałeś? Że głupia wiedźma jest? Że rozumem za wiedźmienię płaci? Że ją na koniec w ogień wrzucą albo gdzieś popod płótem ukamienują?

- Widzisz, Twardokęsek - podjęła po chwili - mnie nigdy nie ciągnęło ni do wysokich sztuk, ni do przepowiedni. Niech już sobie ta przyszłość spokojnie pod kamieniem leży, myślałam. Po co lichy budzić?

- Tyle że się do was iście plugastwo samo garnie - zbójca przeczesał palcami brodę. - Ile ludzi na gościńcu w błocie zdechło, a was wedle Skalniaka wiedźma w mig wyłuskała. A przecie i jadziołek... Bo, widzicie, gadają ludzie, że u norhemnów wiedźmy same w Łysogóry leżą i jadziołki juchą przywabiają, by bardziej jeszcze przeciwko człowiczemu plemieniu czarzyć. I kiedy przełęczami ku nam zagon norhemnów idzie, to owe wiedźmy z jadziołkami na samym przodku. Bo plugastwo im wszelkie rzeczy zakryte wyklada dobitnie, gdzie zbrojni, a gdzie osady i dobytek bez obrony pozostawione...

- Nedorzeczność - wzruszyła ramionami. - I to taka, co książąt waszych głupotę i niezdarność ma tłumaczyć, bo sam gadałeś, że szlaków nikt nie broni. A z jadziołkiem też rzecz się ma inaczej. Wieszczyć to on mi wieszczy, ale we śnie. Obudzona strzępy tylko z maligny pomnę. Tak, Twardokęsek, jakbyś brzeszczot widział, co cię ma utrupić, jeno ni ręki, ni godziny rozpoznać nie zdołasz. Póki co jednak - wstała, otrzepała spódnicę - od tego, co pokazuje, spać mi się zgoła odechciewa. A ty jutro bacz wkoło, Twardokęsek, i na wiedźmę miej uważanie.

Posiedział jeszcze, buty wypolerował, aż się błyszczyć zaczęły, a potem cichutko wsunął się na posłanie. Wiedźma jak zwykle wargi miała miękkie, przychyłne. Co z tobą począć, niedojdo, pomyślał, kiedy przywarła do jego boku, wszystkich nas przez ciebie na pale naniżą. Ale potem zaczął jej szeptać o miejscu, do którego zmierzają, gdzie nie ma powroźników i stosów. Dopiero, kiedy był w niej i kołysał ją powolnym, łagodnym rytmem, pojął, że takiego miejsca nie ma w Krainach Wewnętrznych Morza.

Patrzył, jak śpi z twarzą ukrytą w dłoni, mruczając do siebie z cicha. Poili jaz Szarką odwarem z maku, bielunki i szaleju, po którym całymi dniami chodziła otępiała i senna, lecz Twardokęsek obawiał się, że gdy nadejdzie czas, żadne zioła nie zdołają powstrzymać wiedźmiego szału. Przypominał sobie gadki o ludziach rozszarpanych we śnie, w posłaniu. Wyratowała Szarkę, pomyślał ze złością, to i wyratowała, ale potem trzeba się było jej pozbyć, plugastwo jest, jak wszystkie inne. Po co to ze sobą włóczyć? Toż złe się od złego lęgnie jako żaby z błota.

I usnął. We śnie złe zarzuciło mu nogę na biodro.

* * *

Sowa przeleciała nad gościńcem, niziuchno, prawie zawadziwszy skrzydłem o czuprynę pana Krzeszcza, aż od nagłego przestachu potknął się o wystający korzeń. Nie odszedł daleko od włości Piorunka, bo zesłabł bardzo po tym, jak go u prąga oćwiczono. Dowłókł się nad strumień i w wysokich trawach kilka dni niemal bez życia przeleżał, tyle tylko przytomności mając, by się z rzadka wody napić. Ale miało mu to niedomaganie wyjść na dobre, bowiem okoliczne chłopstwo było srodze rozjuszone śmiercią Działońca i gdy rozniosła się wieść o ucieczce pana Krzeszcza, poczęli go bardzo pilnie szukać.

Pan Krzeszcz domyślał się po trochu tego polowania. Wystrugał sobie laskę - bo miecz gdzieś w opresji na książęcym dworze stracił - i brnął, nieboraczek, na przełaj przez lasy. Szedł ku północy, pomny, co mu pod pręgierzem rzekł sługa Zird Zekruna.

Starął się prędko iść, ale mu nogi, nienawykłe do długich marszów, straszliwie popuchły, a rany na obdartym do żywego mięsa grzbiecie jątrzyły się, zwabiając całe chmary much i innego żarłocznego plugastwa. Wędrował więc pan Krzeszcz przeważnie nocami, bo chłód łagodził nieco jego cierpienia i robactwo było mniej dokuczliwie.

Dnie przesypiał w co suchszych wykrotach. Wpełzał głęboko pod paprocie, okręcał się resztkami opończy: drzemał czujnie niby suseł, bo się bał bobaków i innych leśnych potworków. Z

głodu i wyczerpania pan Krzeszcz poczynął słyszeć rozmaite głosy i wydawało mu się, że przy jego boku kroczy jakaś postać wielka a złowieszcza. Zżył się z owymi majakami i wierzył, że czuwa nad nim moc boska i nie da mu marnie szczeznąć. One też niechybnie musiały go przeprowadzić przez ziemie księcia Piorunka, bowiem pewnego wieczoru pana Krzeszcza obudziło wielkie bicie dzwonów.

Oprzytomniawszy cokolwiek, ośmielił się wychynąć z lasu i ujrzał w oddali potężne mury opactwa Cion Cerena. No, jest jeszcze w świecie sprawiedliwość, pomyślał, ściskając w garści podróżny kostur. Są sądy, co się za moją krzywdą ujmą, przyjdzie jeszcze kara na księcia pana za bezbożność i okrucieństwo. Chętnie mi opat Ciecierka ucha przychyli, myślał, toż on tylko czeka pozoru, żeby księcia pognębić.

Pokrzepiony, ruszył ku biciu dzwonów i z każdym krokiem lżej mu było na duszy.

Ale kiedy się u bramy o opata dopytywał, furtian zaśmiał się tylko sucho.

- Gdzie tobie, dziadu, do opata! Wedle kolei przy kuchniach stań, może się jeszcze dla ciebie jadło znajdzie.

- Nie po jałmużnę, ale z wiadomością do świątobliwego Ciecierki przychodzę - zachnął się pan Krzeszcz.

- Ot, trafił mu się posłaniec! - zaszydził braciszek. - Ale na nieszczęście, nie czekał na cię opat, precz poszedł, nie wiedzieć kędy. I więcej się, dziadu, nie dopytuj, byś sobie jakiej biedy nie napytał.

- Jam jest pan Krzeszcz z Krzeszczowego Jaru! - rozgniewał się szlachcic. - Wy tu czas mitrężycie, a po okolicy wałęsa się Smardzów syn. Ścigać go trza! Chwytać! Idź straży wołać, klecho, a pędem. Bo ja lepszych od ciebie batogami smagać kazałem...

- A ja - furtian widywał w opactwie wielu ludzi o pomieszanym rozumie, ale nie miał do nich cierpliwości - każe cię w klatce zamknąć i nad bramą ludziom ku uciesze zawieszę. Powiadam, dziadu, poszedł precz!

* * *

Jeszcze nie rozeszła się ćma, a już Kuna wypędził wolarzy z postąń.

- Trza nam się we dwa dzionki uwinąć - podsunął Twardokęskowi miskę soczewicy. - Popędzim stado aż do wodopaju na Trwodze, a potem dalej, póki woły nie ustaną.

- Furgon nie nadaży - zauważył zbój z niepokojem - a na trakcie przygoda łącno się może trafić.

- Dogna nas u Trwogi - wzruszył ramionami poganiacz - albo i jeszcze później. Jak o dziewczkę

się strachasz, a ona na zwierzu jeździć przywykła - kiwnął głową na skrzydłonia - niech ze stadem idzie. Ale widzi mi się, że jeszcze ona mdła. Lepiej na wozie ostawić, niż by ją bydłęta stratowała.

- Zbóje pono tu siedzą - mruknął. - Jakże to baby samopas puścić?

- Toż ty już raz pilnował - zarechotał dziobaty Morda, patrząc, jak Szarka poi z kubła skrzydłonia. - Pilnował, a nie upilnował. I nie dziwota, bo dziewczka urodna.

- Ot, stuliłbyś lepiej pysk - warknął Twardokęsek - nim ci go przetrąca. Szarka! - krzyknął. - Pójdź no tu, Szarka!

Szła przez pole koniczyny z oczami spuszczone na ziemię, w serdaczku od haftu szafranowym, z pasem zebrany na przedzie pojedynczym węzłem i włosami splecionymi na karku w ciężki supeł - ni panna, ni mężatka. Skrzydłoń z początku skradał się za nią, jednak kilka kroków przed paleniskiem zawrócił, uciekając wielkimi susami ku wiedźmie.

- Umna gadzina - zauważył Kuna - nikomu tykać się nie pozwoli, jeno dziewczkom.

- Od małego przy Szarce - wyjaśnił Twardokęsek. - Ojciec z księżęciami chadzali na południe bijać norhemnów i razu jednego znaleźli to to przy ściervie, nie większe niż łokieć było. Szarka wtenczas jeszcze mało co od ziemi odrosła, ale karmiła je szmatką nurzaną w krowim mleku. Z ręki jej jadło, a dosiąść też nikomu innemu się nie dało, to ojciec postanowili, że w wiano się dziewczce należy. Skrzydliszcze mu jeno przycięlim, aby zanadto nie zbytkowało.

- Rozumnie - pochwalił Kuna. - Nawet, jak jej już kto podołka przysiadł, zwierza w Spichrzy na jarmarku przedasz, zapłatę niemałą weźmiesz, dziewczkę odziejesz w bławaty i nikt o zapaskę pytać nie będzie.

- Byle dowieźć - zgodził się Twardokęsek - to i spokojniejszy ostanę. Źle jej nie będzie, pasztetnik zasobny, kamieniczkę ma przeciw szpitalowi i dom z ogrodem. Wdowiec jest, stateczny, z trzema chłopaszkami osierocony, a ona przy dzieciach zawsze robić lubiła. O tobie, Szarka, rozprawiamy - przywitał ją. - Bydłęta chyżo dziś popędzim i wóz w tyle pojedzie. Jak ci się widzi, w furgonie wolisz czy z nami na zwierzęciu pojedziesz?

- Z wami.

- Abyś tylko potem, panno, między woły nie laźła - ostrzegł Kuna - bo one, nie patrzawszy, stratują, chłop czy białogłowa. Morwie szlak pójdę objaśnić. Powozić przywykła i zmyślna jest, dopędzi nas u Trwogi. A ty zwierza prędko siodłaj, dziewczyno.

Dziwka przyprzęgała do wozu, umalowana, odziana w lawendowy kubraczek, takąż spódnicę i wciętą, sownie przymarszczaną koszulę. Grzywy klaczy przeplotła szkarłatnymi wstążkami, jak na święto, ale u pasa miała zawieszony szeroki nóż i biczysko okręcone wokół ramienia. Niegłupia, pomyślał Twardokęsek. Wie, że jak stado pójdzie, to nikt się nie będzie oglądał, choćby ją zarzynali.

- Na nic mi się tutaj nie zdasz - Morwa spędziła wiedźmę z kozła. - Właż na wóz, kapotą się okręć i lepiej śpij, niżbyś miała zawadzać. No, co się gapi? - ofuknęła zbójcę. - Nie pierwszyna mi

przez dziedziny szczuraków jechać. Byle zbójcy nie opadli, pod wieczór was dopędzimy. A ty dziewczyny lepiej pilnuj, by nie zmarniała w drodze.

Spędzili woły w gęstą gromadę na brzegu gościńca, Kuna stał na przedzie, a inni wedle porządku po obu stronach, Szarka blisko Twardokęska. Z początku zwierzęta truchtały powoli, niewiele sobie robiąc z wysiłków poganiaczy. Ale gdy gościniec zaczął nieco opadać, a wolarze nie ustawiali we wrzaskach i strzelaniu batogami, pognały prędzej. Twardokęsek jechał w gęstej kurzawie, rycząc na całe gardło i zachęcając bizunem odporne sztuki. Czasami słyszał poprzez tętent kopyt głosy innych, ale nie miał czasu patrzeć na boki. Gdyby kto był teraz na trakcie, pomyślał, a nie zdążył w bok uskoczyć, to w jednej chwili stratują. Nie dziwne, że wolarzy za nic mają po karczmach.

Siwe grzbiety wołów wynurzały się przed nim z tumanu i, smagnięte, znikwały ponownie w kurzawie. Raz po raz też migał mu przed oczyma błękitny skrzydłoń, ciemna chustka na twarzy Szarki. Przystanął, łyknął wody z bukłaka. Przed nim zwierzęta parły zbitą, gęstą masą.

Słońce stało już wysoko, gdy dotarli do brodu. Trwoga sączyła się płytkim, kamienistym korytem, woda nie sięgała zwierzętom wyżej niż do kolan. Kuna objechał stado, zagnał do środka co krnąbrniejsze sztuki.

- Jakże tam? - krzyknął do Twardokęska.

- Spokojnie - odparł zbójca. - Jeno furgonu ni śladu.

- Widać nie zmożła - poganiacz obojętnie zakasał koszulę, obmył spocone ramiona i kark. - Tedy koło wieczery trza jej wyglądać, a nam czas ruszać. Na drugim brzegu już ze wszystkim ziemia szczuraków, na dziewczkę miej baczenie.

- Przecież na gościniec jeszcze nie leżą?

- Niby nie - skrzywił się wolarz. - Ale strzec się trza. Oni od zbójów gorsi.

Twardokęsek omiół przeciągłym spojrzeniem skały po drugiej stronie Trwogi, z rzadka jedynie porośnięte drobnymi kolczastymi krzakami. Powiadano, że ostatnio szczuracy coraz śmieiej wyłazili z jaskiń pod Górami Sowimi i nawet za dnia pokazywali się na pograniczu. Zmeł pod nosem przekleństwo.

Szczuracy zawsze gnieździli się pod Górami Sowimi, choć sów tam nie widywano, bo je dawno ze szczętem zeżarli. Było to plemię zwierzołaków, skryte, plugawe i stroniące od ludzi, ale i tak kmiotkowie gadali, że w jasne noce zakradają się do domostw i porywają dziewczki. Nadto szczuraków ubić było nader trudno. Nawet dobrze poranieni przyjmowali na powrót zwierzęce kształty i chronili się pod ziemią. Wysoko w górach nikt spać się nie położył, nie omotawszy belki nad drzwiami czerwoną nicią, poświęconą w kapliczce Kii Krindara.

Kiedy stała jeszcze Stopnica o rdzawych murach, stolica Kopiennickich, ludzie byli mniej strachliwi, ale i tam podejrzliwie patrzono na niskich, myszatyh nieznajomych i po zmierzchu żaden

karczmarz nie wpuszczał ich za próg. Pogłoska niosła, że skoro zajdzie słońko, szczuracy przemieniają się i przyjmują ludzką postać. Powiadano też, że są pokraczni i drobni, nie więcej niż do ramienia słusznemu chłopu, o nastroszonych wąsiskach i głęboko wpadniętych ciemnych oczach, cętkowani i chudzi na gębie. I że niegdyś całymi Górami Żmijowymi władali.

Jednak póki Kopiennicy byli silni, szczuracy po cichu siedzieli w Górach Sowich. Dopiero potem, kiedy władztwo Vadiioneda rozpadło się na drobne księstwa, a norhemni przedarli się przez szczyty, zaczęli sobie śmieiej poczynać. Widywano ich za dnia, jak odganiaли od stad bydła co okazalsze sztuki. Ze spichrzy ginęło ziarno, płótno po komorach znajdowano doszczętnie pocięte i zmarnowane, a podobno i dzieciaka nieraz w chlewiku czy oborze zadusili. Strach padł na ludzi. Osady wokół Gór Sowich pustoszały powoli, lecz dalsze okolice trzymały się jeszcze dzielnie. Aż na koniec zwierzołacy przynieśli morową zarazę.

Ukradkiem szli od wioski do wioski i zatrawali studnie. Kiedy pomór rozlał się szeroko i przetrzebił Kopiennickich, wyroili się i szczuracy. Wyłazili spod ziemi tam, gdzie nie został nikt zdalny do obrony, dobijali dogorywających i podpalali domostwa. Działo się tak wszędzie na prawym brzegu Trwogi, toteż ci, którzy przeżyli zarazę i ocaleli z pogromu, ładowali dobytek na wozy i pospiesznie uciekali na południe. Gdzie bynajmniej nie witano ich gościnnie, gdyż lud Przerwanki również obawiał się zarazy. Na granicy uchodźcom zastąpiły drogę wojska książąt, zaś z drugiej strony byli szczuracy i Kopiennicy nie mieli dokąd się cofnąć. Nieliczni ocalali przedarli się do Żarników lub Spichrzy, inni rozproszyli po górach. Z tych ostatnich wywodziła się matka Twardokęska i w jej rodzie, doszczętnie już schłopiałym i zubożonym, nadal przechowywano wspomnienia dawnych dni.

Sam Twardokęsek nie miewał ze szczurakami żadnych sporów. Zbójce siedzieli na Przełęczy Zdechłej Krowy od niepamiętnych czasów i przezornie unikali zatargów z mieszkańcami Gór Sowich. Gościniec rozdzielono sprawiedliwie. Co na lewym brzegu Trwogi, to zbójcekie, co na prawym - szczuraków, a pośrodku, na strudze, tego, kto pierwszy uderzy. Czasami Twardokęskowi zdawało się, że widzi o zmroku po drugiej stronie przygięte nad ziemią, nie całkiem ludzkie kształty, ale nie przekraczał Trwogi i nie wchodził sobie ze szczurakami w drogę.

Białe wapienne skałki za rzeką były bezludne i milczące.

Z tyłu, na trakcie słabo zaterkotał furgon.

- Ot, Morwę znać - z ulgą powiedział Kuna. - Wytchnęlim, czas dalej podpędzić. Jeno powoli, spokojnie, bo tu na rzece doły głębokie. Jak noga bydlęciu utknie, tak inne jeszcze stratują. A i sami się strzeżcie. Konie szczuraków czują, niespokojne.

Twardokęsek wyraźnie już odróżniał ryże klacze i lawendowy kubrak dziwki. Jechała chwacko, rozparta pośrodku kozła, raz po raz strzelając biczyskiem nad końskimi grzbietami. Wóz kolebał się na wybojach i podskakiwał.

- Nu...! - krzyknął Kuna. - Poszli!

Twardokęsek okręcił gębę płatem sukna, trzasnął bizunem po grzbiecie wielkiego wołu, który

zaparł się na skraju Trwogi, i zaczął spędzać w wodę przestraszone cielaki. Uwijał się, klnąc i nie patrząc po bokach, póki ostatnie bydło nie weszło do wody. Na koniec spiął krępą kasztanę, podarunek mnicha z opactwa Cion Cerena, i przejechał na ziemię szczuraków.

Czy dostrzegł coś kątem oka, czy też przypomniał sobie, jak niegdyś czatował u tego samego brodu, dość że obejrzał się do tyłu. Morwa dojeżdżała do rzeczki, a za nią, w wąskim żlebie, krzaki tarniny trzęsły się i chygotały coraz niżej.

- Kuna! - wrzasnął Twardokęsek. - Bywaj tu, Kuna!

Pierwsi zbójcy wpadali do kotlinki. Twardokęsek zmrużył zażawione od pyłu oczy. Na przedzie gnał Mrówka, w kołpaczku suto rysiem obszytym, w nabijanym ćwiekami półkożuszku, z dała maczugą nad łbem wywijał, a obok Mroczek, niegdyś kupiec bławatny, z rohatyną. Za nimi Olsza z pałąką, zbiegły niewolnik, który pół życia strawił na kupieckich galerach, postarzały już, z bielmem na lewym oku, lecz wciąż krzepki. Dwóch następnych Twardo - kęsek nie rozpoznawał, musieli dopiero co dołączyć do kompanii. Ale zaraz mignęła mu znajoma, od stóp do głów odziana w błękit sylwetka - to z taneczną gracją schodziła w dół Vii, Yisenka, jak ją czasami Twardokęsek zwał, smągłokóra Servenedyjka; zgrabna, zakrzywiona szabelka połyskiwała u jej boku w srebrzystej pochwie. Dalej leciał Strzałka, potężny głupawy pachol z pobliskiego sioła, w ręku miał sznur do łapania koni.

W tarninie błysnęło żelazem kolczugi i Twardokęsek drapieźnie wyszczerzył zęby na widok Uchacza. Uchacz znienacka pojawił się na Przełęczy Zdechłej Krowy trzy lata temu. Przyprowadził trzech pacholków i od początku wadził się z Twardokęskim. Jego człek wygadał się, że Uchacz wiodł się z bogatej, herbowej szlachty, ale od małego ciągnęło go do wina, kości i dziewczek, aż, popadłszy w długie, kupców na gościńcu pomordował i ojciec kazał mu iść precz. Panek ów był na gębie dziwnie gładki, w mieczu dobrze wyćwiczony i bardzo obrotny, ale, widocznie sam chcąc kompanii przewodzić, Twardokęska ledwo cierpiał.

Morwa poganiała rozpaczliwie, ale było widać, że nie dobieży do strugi.

Tymczasem nawet stary Kulawiec dokuśtykał na dół zbocza. Nie przystając w biegu, Vii przyłożyła do warg kościaną piszczałkę i rozległ się potworny wizg. Spłoszone ryże kobyły Morwy stanęły dęba. Servenedyjka odrzuciła głowę, wybuchła śmiechem.

- Na nic już furgon, nijak Morwa nie zmoże - osądził Kuna. - Dobrze, że choć my bezpieczni.

Dziwka też zrozumiała, że niczego nie dopnie. Zeskoczyła z kozła i zadzierając spódnicę, pognęła co sił w nogach ku Trwodze. Olsza zabiegł jej drogę, pałąką po łbie zdzielił. Morwa ani pisnęła, zwała się na ziemię jak gałgan.

Mrówka rozciął płótno z tyłu furgonu, wskoczył do środka, Mroczek za nim.

Wiedźma rozdarła się przeraźliwie, kiedy ją wywlekli i zarzucili spódnicę na łeb.

- A może tak skoczylibym, Kuna? - zbójca głośno przełknął ślinę. - Dwunastu ich i nas

dwunastu, jeno my w siodle. Zmożem.

- Głupiś! - rzucił ze złością poganiacz. - U nas trzy baby, a oni zbóje są, z rabunku żyją. Furda furgon! Nic tam w worach nie znajdą prócz fasoli.

- Sprytniście - potrząsnął głową Twardokęsek. - Ani chybi, od początku ukartowane było, że wóz tyłem pójdzie, zbójom na przynętę.

- Dziewka wasza cała - zaczepnie odparł Kuna - tedy nie krzywdujcie, bo widzi mi się, że ta służka nie ze wszystkim jak należy była. Dalej jechać trza, nim się szczuracy zlecą. A jak komu nie w smak, niech się ostaje, ja go nie zatrzymuję.

Nieco z przodu, nad samym brzegiem, skrzydłoń niecierpliwie drobił w miejscu. Szarka przyglądała się rabusiom. Tej też nie wiadomo, co do łba strzeli, pomyślał z niepokojem Twardokęsek.

- Tedy jedźmy - zgodził się pośpiesznie.

- Teraz do rzeczy mówicie - błysnął zębami poganiacz. - A panna - upomniał Szarkę - niech się tak nie przypatruje, bo jeszcze się co złego przytrafi.

Odwróciła się nieznacznie.

- Tam - powiedziała, wskazując nad głowy rabusi.

Od zachodu, znad szczytów, rozległ się świst polującego jasiołka. Spadł na zbójów. Pierwsze pióro dosięgło Uchacza, prosto w twarz. Nim jeszcze inni zrozumieli, co się dzieje, złe zanurkowało niżej, wczepiło się w oczy Strzałki. Oszalałe ze strachu konie zakwiczały cienko, wyrwały mu z ręki sznur i runęły naprzód. Vii uniosła krótko ostrzyżoną, ciemną główkę, popatrzyła w niebo i pędem pomknęła z powrotem ku żlebowi.

Woły, widocznie zwietrzywszy niebezpieczeństwo, zaczęły ryczeć donośniej, ze strachem.

- Na żmijów! - wrzasnął Kuna. - Znarowiły się! Na przeciwnym brzegu trwała rzeź. Mrówka nie zdążył się nawet wyplątać ze spódnicy wiedźmy, zdechł z opuszczonymi portkami. Uchaczowi ciemna piana wystąpiła na gębę, rzucił się na Kulawca. Stary próbował uciekać, ale Uchacz zadusił go w szale i sam zmożony jadem, zwałił się na ścierwo kamrata.

- Ruszać się - wrzeszczał Kuna. - Ruszać się, skurwysyny, nie gapić!

Trzy setki oszalałych ze strachu zwierząt jednocześnie zerwało się do biegu na oślep, pociągając za sobą równie przerażonych wolarzy. Twardokęsek zdążył jeszcze dojrzeć, jak smągłokóra Vii okręca się na krawędzi żlebu i z rozpostartymi ramionami wali się w dół.

Dopiero pod wieczór poskromili stado.

Przyczaili się w niewielkiej kotlinie. Bez ognia, by nie ściągnąć szczuraków, choć wedle

Twardokęska woły podniosły nad Trwogą taki rejwach, że słyszano je aż w Żalnikach. Poganiacze nie rozdziewając się, legli w kupie na ziemi, inni podrzemywali w kulbakach. Na Twardokęska wypadła kolejka, by czuwać. Siedzenie miał obtłuczone od jazdy po wertepach i kłuło go w krzyżu, a po prawdzie to i nieswojo mu nieco było. At, za jedno, pomyślał, wiedźma już teraz pewnikiem od jadu posiniała, a czy jej kto wcześniej wygodził, czy nie, też za jedno.

Szarka spała nieopodal, pod karłowatą jarzębiną, z dala od innych. Od Trwogi nie odezwała się ni słowem.

Przywołała go, pomyślał, dziwka nieczysta, przeklęta. Gorzej jeszcze niżli wiedźma, bo wiedźmę szal po świecie pędzi i krew czarna, zepsuta. A ta sama, sama z siebie jadžiołka przywołała i może znów przywołać, kiedy bę - dziem spali. Albo zielem jakowymś nas napasie i jak wszy umorzy. No, raz kozie śmierć. Pewnikiem jadžiołek jeszcze u Trwogi ścierwo zre, wiedźma na dobre przepadła, a i dziewczka widać zmordowana, umęczona. Czas się zbierać, szyję unosić.

Noc była ciemna, że choć oko wykol, a jego buty ze świńskiej skóry ani skrzypnęły w trawie.

Złapała go za nadgarstek. Wykręciła, aż kwiknął, i przytrzymała przy ziemi, póki nie przestał się szamotać.

- Jakbym była dobrą, prostoduszną niewiastą - syknęła mu prosto w ucho, a ślepia jej się od wściekłości skrzyły jako żmijce - zaszlachtowałabym cię niczym wieprza. Tylko nie przeciągaj struny, Twardokęsek, bo nie zdzierzę.

- Puszczaj - sapnął zduszonym głosem.

- Po co? - warknęła mocniej jeszcze rękę przykręcając.

- Żebyś dokończył, w czym się kompanom nad Trwogą nie poszczęściło? Żeby do reszty wszystko zepsuć? Przykazałam ci strzec wiedźmy, zaufałam, kurwi synu, ale ty nogi za pas wzięłeś, tylko smród został! - aż zachłystywała się złością. - A ja przez ciebie plugastwo szcuć musiałam. Niech on się teraz rozhuca, rozswawoli, ni jeden żyw głowy stąd nie uniesie, pojmujesz? Znadto ci, gównojadzie, pobłażałam. Bo mi się zdawało, że lepiej cichaczem się przekraść. Bo mnie bawiło byle pankowi czapkowanie i po chaszczach obozowiska, i chuda polewka, nawet jak mnie te kmioty po tyłku klepały, też mnie bawiło. Ale dosyć, Twardokęsek, skończyło się. Jak zdrów chcesz do Spichrzy dojechać, bacz lepiej, by wiedźmie więcej włos ze łba nie spadł. Nie moja sprawa, że się z nią po nocach pokładasz, tedy nie z sentymentu jej pilnuj, ale dlatego, że ja z ciebie pasy drzeć będę, jak jej się co złego przytrafi - odepchnęła go i zanurkowała w szelinie.

Dwie pary miodowych ślepi świeciły na brzozowej gałęzi, nisko nad ścieżką. Oliwkowe pióra wciąż połyskiwały od jadu. Odeгнаła go. Pobiegła dalej, aż odnalazła bajoro. Grząskie, cuchnące zgniłymi roślinami. Zanurkowała, odgarniając śliskie, splątane liście. Głęboko, aż na samo dno. Nim jeszcze napłynęły łzy.

Brązowa suka z rozszarpanym brzuchem, skowycząc, zdychała u moich stóp. Ostatnie, co zobaczyłam. Na mokrej posadzce, twarzą w dół, w kałuży wina i psiej posoki.

Za piecami był ogień - pamiętasz? - a ja miałam nie żyć. Noc, letni deszcz, krew, której nie umiałeś zatamować. Krzyczałeś, ty, nie ja, kiedy płynęła ci przez palce - jasna, spieniona.

Mokerna pobladła jak chusta, gdy wniosłeś mnie w próg.

Miałeś tego później żałować - pamiętasz?

Twój brat plunął mi w twarz i nie powiedział ani słowa. Jego oczy, szare, nade mną, obok mnie, szare. Na polu, na wysokim, gdzie krakały kruki. Patrzyłeś, ramię przy ramieniu, jego głowa na ostrzu piki.

Zabiję cię, jeśli kłamałaś. Tyle tylko rzekłeś.

Ale ja milczałam, a on też nie powiedział ni słowa.

Letni, letni deszcz. Spadający topór.

Pamiętasz?

Pojawiły się przed brzaskiem, oklepem na ryżej kobyle. Morwa w podartej spódnicy i zmarnowanym kubraku. Wiedźma poobijana i sina na gębie od zbójceckich zalotów, przytulona do pleców dziwki, rozmazana.

- Skurwysyny! - wrzasnęła z daleka dziwka. - Pomór na was i trąd, świńskie nasienie! Pieniędzy brać nie trza było, zapowietrzeńcy, jakeście zza strugi na zbójów spojrzeć zamysłali! Żebyście za moją krzywdę marną śmiercią zdechli!

Jaśminowa wiedźma zsunęła się z końskiego grzbietu. Na brodzie i dalej, na szyi, aż po kraj giezła miała ciemną strużkę zaschniętej krwi. Popatrzyła wkoło po gębach wolarzy. Na Twardokęska ani spojrziała, ale aż nim szarpnęło od jej oczu, wielkich, rozdętych, jak tamtej nocy, gdy znienacka pojawiła się obok Skalniaka, nad dogorywającą Szarką. Wiedźma chwilę jeszcze stała jak wrośnięta przy kobyle, a potem z bekiem runęła ku dziewczynie.

Morwa wyrwała najbliższemu poganiaczowi nadgryzioną pajdę razowca i zaczęła chciwie żreć. Twarz miała zaciętą, wrogą.

- Co ślipisz? - warknęła do Twardokęska. - Cyków babskich nie widziałeś, czy co? Koszulinę na mnie poszarpali, a jakem się ocknęła, złe tam takowe było, że o przyodziewku ze wszystkim zapomniałam. - Ze złością zebrała poły lawendowego kubraczka, pospiesznie, ale nie dość szybko, by Twardokęsek nie zobaczył błysku łańcucha.

Znał ten łańcuch, grubo kuty w czerwonym złocie, spięty z tyłu klamrą na kształt łba zmii o oczach z granatu. Nigdy go Vii nie zdejmowała, nawet wówczas, gdy przychodziła pośrodku nocy do jego posłania, smągłoscóra, milcząca, zwinna jak jaszczurka zarówno w miłości, jak i w zabijaniu na gościńcu. Coś zakłuło go głęboko w trzewiach. Dzwonka trupy obdarła, pomyślał, tedy z kompanii nikt nie ostał.

- Nie będziem popasać aż za Modrą - Morda rzucił jej bukłaczek z podpalanką. - Zmożesz w siodle, Morwa?

- Cobym miała nie zmóc? - otarła wargi wierzchem dłoni. - Jeno ona - wskazała pochlipującą na piersi Szarki wiedźmę - ze szczętem osłabła.

- Nie czas mdleć i babskie żale piastować - ofuknął ją Kuna - kiedy szczuracy za plecami. Jechać trza co rychlej. Ludzie przy bydle potrzebni, ni na jednym nie zbywa. Chcesz, panna - odwrócił się do Szarki - to służkę na zwierza sadzaj, ale opóźnić nas wara, bo obu poniechamy.

- Twardy z ciebie człek, Kuna - odezwał się Twardokęsek.

- A twardy - bystro popatrzył mu w twarz poganiacz - ale w swoim prawie. Pomnij, jakeśmy się w opactwie uładzili. Ja się dla was na niańkę nie najmował, tedy teraz nie płaczcie.

- Nie twardy on, znaczy się - zakończyła złośliwie dziwka - ale skurwysyn nieużyty.

Wysoko, po szczytach rozjaśniało się nieznacznie, lecz w kotlinie było mroczno i cicho, ani ptak nie zaćwierkał w krzakach, ani zwierz zaszurał po trawie. Gdy Twardo - kęsek zaciągał popręg, łagodna, kasztanowa klacz zarżała i trąciła go w rękę. Chrapy miała miękkie, aksamitne. Rozejrzał się wkoło, niespokojnie wyglądając szczuraków, ale zarośla przy trakcie były nieruchome, ciemne.

Czubkiem języka oblizwał spierzchnięte wargi i niespokojnie namacał u boku miecz, co prawda nie oburęczny kopiennicki szarszun, do którego przywykł, ale też dobre, szerokie ostrze, wyszukane na rozkaz Szarki w zbrojowniach Traganki. Jak wcześniej, Kuna posłał Twardokęska na tył stada, do zaganiania opornych sztuk i zbójca podejrzewał, że nie bez przyczyny. Nie tylko robota była żmudna, ale i szczurakom łatwiej z tyłu urwać w pochodzie pojedynczego człowieka, niż zachodzić stado od czoła.

Poganiacze spędzali woły na gościniec i w kotlinie został jedynie Buk, kaprawy kuzyn Kuny, który flegmatycznie zasikiwał popioły ogniska. Zbójcy na ten widok flaki wywróciły się do góry nogami, choć bowiem nie modlił się zbyt gorliwie do Kii Krindara, wszakże kopiennickim zwyczajem ogień miał w wielkim poważaniu. Żeby ci się w supeł związał, zażyczył mściwie, kiedy Buk w spokoju ducha poprawiał portki.

Klacz znów tupnęła, stuliła uszy. Obejrzał się. Nic, zbite, ciemne krzaki. Uspokojony, miał wjechać na trakt, kiedy z najdalszej kępy tarniny dobiegł go zdumiony szept:

- Twardokęsek? Tyżeś to, Twardokęsek?

Drgnął i obejrzał się powoli, ze sztyletem w ręce, bo chociaż nie przypuszczał, aby szczuracy znali go z imienia, człek nigdy nie może być zbyt ostrożny. Jednak dwoje oczu, które otworzyły się w tarninie, nie mogło należeć do zwierzołaka. Mrugając, gapiły się na niego z wysokości rosnącego chłopca, niebieskie i wytrzeszczone. Przypomniał sobie.

- Coś tak w ziemię wrósł, Derkacz? - upomniał go poganiacz. - Zimować zamierzasz?

Twardokęsek spojrział szybko na oczy w tarnini i zdecydował się.

- Nie, jeno tej kartoflanki wczorajszej strzymać nie mogę.

- Jednych pędzi od kartoflanki, a drugich ze strachu - zarechotał Buk. - Pilnuj się tylko, by ci szczuracy czego w krzakach nie odgryźli.

Gdy poganiacz zjechał w dół gościńca, w chaszczach zatrzeszczało gwałtownie. Zbójca z namysłem przełożył sztylet do prawicy, wprawnie zmierzył odległość, ale rękę trzymał opuszczoną, ukrytą za łękiem.

- Wyłaż, Mroczek - syknął przez zaciśnięte zęby. - Wyłaż i gadaj, czego chcesz.

Dawny kupiec bławatny chyłkiem wysunął się z krzaków. Ubranie miał potargane, gębę zmiętą i nieszczęśliwą. Rohatynę zgubił albo w chaszczach zostawił, ale oczy błyszcząły mu po dawnemu. Małe chytre oczka kramarza. Przebiegł nimi od góry do dołu przyodziewek Twardokęska, nie ominąwszy końskiego rzędu, oszacował jeźdźca wraz z kobyłą i spytał ze zdumieniem:

- Cóżes to, Twardokęsek, do wolarzy przystał?

- A choćby, to tobie co do tego, Mroczek?

- Niby nic - przyznał Mroczek. - Może tyle, że jakbym ja czmychnął ze skarbczykiem, to bym po gościńcu bydła nie pędzał. Ech, jakby to Uchacz zobaczył...

- No, ale Uchacz sztywny jako kłoda - splunął mu pod nogi Twardokęsek - a i tobie na to samo rychło przyjść może. Czemu za mną się wleciesz?

- Nawet zem o tobie nie wiedział - zachnął się kupiec.

- Jak się te jatki u Trwogi zaczęły, to nie czekając, w wodę wskoczyłem, bo powiadają, że plugastwo wody się lęka. Takiegoć, lęka się! - parsknął. - Mało się nie udusiłem, a tu ledwo gębę na wierzech wystawiam, ono oczami świeci i, skurwysyństwo, piórem prawie po gębie wali. Tedy ja znów pod wodę i, widać, przetrzymałem. Jakem na drugi brzeg wylazł, już ściervo żarło. Nic, podumałem i wyszło mi, że lepiej przez ziemię szczuraków iść, niż mu drogę zachodzić. Kobyłę ryżą znalazłem, wasza być musi, i na gościńcu nockę strawiłem. Potem mnie te niewiastki do - gnały. Pewnikiem plugastwo nażarłszy się, żywymi je ostawiło. Jenom tego nie wiedział, żeś do wolarzy na koniec przystał.

- Ano, zdarzyła się przygoda - mruknął Twardokęsek.

- A tobie, Mroczek, jeszcze gorsza się przytrafi. Widać, co komu pisane, to go nie minie. Plugastwo odpuściło, szczuracy przejście dali, aby na koniec, traf zły, znajomek się napatoczył. Trzeba było raczej w krzakach siedzieć.

- Jakbym cię chciał bydłęcym wydać - syknął Mroczek

- tedy otwarcie na gościniec bym wyszedł i do tej chwili należycie byś wisiał. Nie bądź głupi, Twardokęsek. Tu zwierzołaków ziemia, ludziom trza się pospołu trzymać. Posłuchaj, mam pod Spichrza folwarczek. Niby nic wielkiego, ale tam w obejściu srebro całe zakopane. Wszystko, com na Przełęczu zebrał. Pojedziem, srebro wybierzemy. Połowa twoja, Twardokęsek - dodał przymilnie.

- Cóżes taki hojny? - skrzywił się zbójca, który bynajmniej kamratowi nie dowierzał. Sztylet w garści ścisnął i rychło nim Mrocza zaszlachtować zamierzał, tyle że prędzej o szczuraków rozpytawszy. - Noc całą sam bieżałeś i żywyś, tedy skąd ta bojaźń nagła?

- Nockę całą ślepią przy sobie widziałem - schrypniętym głosem odparł Mrocza. - Wszędzie po krzakach ślepią. To pyrgały przy ziemi, to znów się na mnie gapiły, żółte, świecące. Idą zwierzołaki za mną, idą bez ochyby, nie sztuka im samotnego człeka na gościńcu przydybać i sprawić. Ale z wami, w kompanii, inna będzie sprawa.

- Ano, bo do ostatniego nas utrupią - sarkastycznie odparł Twardokęsek.

- Gdzież tam, gromada was - skrzywił się Mrocza. - A my dwa zważać będziemy, po krzakach na darmo się nie ostawać, nie mitrzyć z dala od innych. Jako teraz czynimy - dodał, nerwowo rozglądając się po tarninie. - Na co nam tyle po próznicy gadać? Wydać cię nie wydam, na jednym haku by nas obwiesili. Jeszcze srebrem opłacę, bylebyś nic nie gadał.

- A niewiastka cię nie rozpozna? - upewnił się jeszcze Twardokęsek.

- Mrówka, świętej pamięci, pierwszy ją przydusił - dawny kupiec bławatny odłonił w uśmiechu drobne, spróchniałe zęby - i spódnice na łeb zadarł, coby się nie szarpała. Nie, widzieć to ona za bardzo nic nie widziała.

- Abyś się z czym nie wygadał - ostrzegł. - Bo ja tu za pachola robię i zwań mnie Derkacz. A od dziewczek trzymaj się w daleka, od tej ryżej najdalej.

- Nawet jakby sama chciała? - zarechotał Mrocza. - Grzech nie brać, jak dziewczka prosi.

- Ta chcieć nie będzie - zbójca aż posiniał na wspomnienie, co mu onegdaj Szarka zapowiadała.

Coś w jego głosie widać ostrzegło Mrocza. W tejże samej chwili cofnął się głębiej w krzaki. Nie dość szybko. Coś tam chrupnęło, potoczyły się kamienie. Twardokęsek zawahał się. Nie kwapił się w krzaki leżeć, kamrata dobijać. At, niech tam, pomyślał, albo go szczuracy dorzną, albo sam z siebie skapieje. Popędził kobyłkę.

* * *

- Piękną łaźnię nam zgotowaliście - potrząsnął głową Mrocza. - Uchacz, Mrówka, Olsza, Kulawiec, VII, wszyscy pomordowani. Całą sławetną kompanię z Przełęczu Zdechłej Krowy

jadziołek wydusił niczym pchły w kapocie... Jak ja cię wtedy w Górach Sowich między wolarza - mi dojrzałem, Twardokęsek, to pomyślałem sobie, pal licha ten zagrabiony skarbczyk, niechże ci na zdrowie idzie. Grunt, byśmy pospołu głowy bezpiecznie unieśli. Ale tobie mało było tych, co nad Trwogą od jadu legli. Tyś mnie podstępnie sztyletem po żebrach zmacał...

Ze słabości ledwie co widział - przypominał sobie Mroczek - a rozum rwał mi się, mętniał powoli. Kobyłka, co ją miałem we krzaczach uwiązana, zerwała się i uciekła, ale ocuciło mnie parskanie. Rażne, końskie parskanie. Wielgachny kary ogier stał nade mną, przytupując w błocku, rdzawym, ceglastym od posoki, co ze mnie wyciekła. Chłop na nim siedział i choć opończę miał przyszarzałą, przecie rozpoznałem świątynną kapicę. Brunatną, jaką same tylko sługi Zird Zekruna noszą. Ale o tym ci mówić nie będę, Twardokęsek. Ni o tym, jaka mnie groza zdjęła, kiedym mu w gębę zajrzał. Od tego, co mu w ślepiach świeciło. I znamienia. Znamienia skalnych robaków na czole.

Nawet mi rany nie przewiązał, tylko na siodło za sobą wsadził. Nie śmiałem pytać, czemu. Rychło zjechaliśmy z traktu. Ostro popędzał. Coś tam krzyczał, to się ze sobą wadził, to znów skamlał bezrozumnie. I coraz głębiej w góry wjeżdżał, coraz dalej od szlaku. Aż tam, gdzie się żleb otwiera, co do jaskiń pod Górami Sowimi wiedzie. Szczęście, że się w krze zsunął, w szelinę miękką, miłosierną.

Wysoko już stał miesiączek, kiedym się wreszcie obudził. Ciężko mi na piersi było, jakoby mnie jaka zmora we śnie gnioła. Ale nie zmora to była, jeno szczurzyśko wielkie, wypasione. Sierść miała lśniącą, tłustą, jak bobry w książących żeremiach. Z grozy dech mnie odszedł, a ono jeno zapiszczało, prawie że ludzkim śmiechem i w szczelinę smyrnęło. Ale o tym też ci nie opowiem, Twardokęsek. Ani o dwóch dziewczuszkach, które potem ze krzów wychynęły. Za ręce się trzymały, a żadna nie była większa niż na łokieć, tylko głowy miały ogromne jak dynie. I kiedy tak nade mną wydziwiałały, to im się te łby w przód i w tył kołysały, jakby zaraz z karków spaść miały. A potem, Twardokęsek, zdarły ze mnie koszulę. Jedna poczęła mi ranę lizać, a druga...

* * *

Zbójca jechał posepnie, bez zapału. Z początku poranek był rześki, chłodny, jak to w górach. Potem jednak skwar nastął okrutny, a stado nie zwalniając, parło naprzód. Wreszcie, zmordowany, zrzucił koszulę i w samej tylko skórzanej kamizeli, z gębą obwiązaną grubą siną chustą, popuścił wodze i zdał się na rozsądek kasztanki.

Gdzieś w tumanie ciężkim od smrodu bydła i czerwonego suchego pyłu mignęła zbójcy skurczona twarz wiedźmy. Ogromne nabrzmiące ślepia nad grzbietami wołów.

Pod wieczór zwierzęta poczęły przyspieszać. Wodę bydła czują, zgadł Twardokęsek, tedy Modra blisko. Aby się tylko na koniec szczuracy nie wyroili.

Lecz - przynajmniej tym razem - złe miało go oszczędzić i nie naruszony dotarł do granicznej rzeczki; woda lśniła purpurowo od dopalającego się słońca.

- Ech, przejechalim! - wrzasnął Buk. - Przejechalim!

- W karczmie gardło zdałoby się przepłukać! - odkrzyknął Twardokęsek.

- Nie bójże się, jest i gospoda! - zaśmiał się poganiacz. - Popod Szczurakiem ją zowią, bo karczmarka podobno i zwierzołaków nie odpędza, jak zimową porą w okienko zastukają. Niech no latarnię nad bramą dziewczka zapali, i stąd ją uwidzisz. A podpalanka tam - dodał z rozmarzeniem - że lepszej w Górach Żmijowych nie znajdziesz.

Kiedy podjechali bliżej, rozpalono nie jedną, ale trzy latarnie - nad dźwierzami i na rogach dachu, przy maszkarach wyrzeźbionych w cisowym drzewie, które ani chybi miały szczuraków wyobrażać. Gospodyni wybiegła im na spotkanie aż na skraj traktu, w obsadzoną wiśniami aleję.

- Bydlęta na pastewnik popędźcie - zarządziła - mocna jest zagroda. Sami do środka chodźcie co żywo. Balie dziewczkom nagotowałam, wyparzycie się we wrzątku. Jeno chyżo, bo prosiak skwierczy na rożnie, należycie już przypieczony.

- Tedy i prosiak czeka? - zaśmiał się Kuna. - Nie znałbym cię, Goworka, pomyślałbym, ani chybi ze szczurakami się zmawiasz, coby wiedzieć, kogo gościńcem przepuszczą.

- At, głupio gadasz, że strach - karczmarka z udaną złością klepnęła zad jego ogiera. - Toż od południa kurz na gościńcu widać. Oj, ogromnąście mnogość bydląt spędzili tego roku. Aby mi w żyto nie lażyły! A tu powiadają, wojna będzie w Żalnikach. Podatkami nas takowymi gniołają, że jeno gardło sobie własnymi rękoma poderżnąć, bo żyć zaiste nie idzie. Niby żalnicki pan na Zwajców ruszyć zamierza, ale coś mi się to wcale nie widzi... A poszło nazad! - trzepnęła patykiem niesforne kurczę, które korzystając z uchylonych wrót, usiłowało przemknąć na gościńiec. - Boć wiadomo, że rok w rok Wężymord ze Zwajcami wojuje, toż nie będzie jeszcze dwóch lat, jako im okręty popalił. No, ale niechby i na Zwajeckie Wyspy szedł, ja nijak pojąć nie mogę, czemu mnie podatkami dręczyc mają. Gdzie my, gdzie Zwajcy! Mnie się zaś zdaje - zachichotała - że nie tyle o wojnę idzie, jeno książe pan dziewczkę za mąż dawać będą. A że pokraczna i w komorze próbowana już nielekką, powiadają, posag przyjdzie dać niezgorszy. Tak i na koniec my za te jaśniepańskie konkury zapłacim. Ale ty, Kuna, po staremu u mnie bydlątko albo i dwa ostawcie, a o zapłacie gadać nie będziem. Pod - palanki też na drogę nie poskapię.

Oszołomiony z lekka Twardokęsek przysłuchiwał się niezmożonemu potokowi wypływającemu zza lekko wystających zębów karczmarki. Goworka nosiła się dostojnie, w białej, sztywno wykrochmalonej koszuli, rdzawej sukiennej spódnicy, z grubymi splotami warkoczy upiętymi wysoko nad czołem. Była okazałą kobietą, która pogodnie dobiegała końca trzeciego tuzinu lat.

Dwie bosonogie rumiane dziewczki, przekomarzając się, powiodły ich do łaźni. Z westchnieniem ulgi zbójca zanurzył się w parującą kadź. Nieopodal trzech poganiaczy okładało się po grzbietach winnikami, inni polewali wodą rozgrzane kamienie. Twardokęsek czuł, jak zmęczenie ostatnich dni rozpełza się powoli po całym ciele.

- No, Derkacz - wychylił się z sąsiedniej balii Kuna - tera to my prawie w Spichrzy. Jeszcze jeno dwa miasteczka miniem, ale tam ludzie spokojne, a kraj dostatni. Byleby się paskudztwo

jakoweś na trakcie nie trafiło. Powoli teraz pociąganiem. Bydłu zda się odpocząć, a i ludziom wytchnienie potrzebne.

- Goworka zadba, abyś jutro bardziej jeszcze wytchnienia wołał! - zaśmiał się Buk. - Tako się jej ślepia do ciebie świeciły, jako kocisku do sperki!

- A niechaj ją Kuna zdrową bierze - odezwał się inny. - Jeno nie przed wieczerzą, bośmy głodne okrutnie. Potem zasię, kiedy świniaka obierzem, za jedno czy karcz - marka w izbie, czy w komorze.

- Byle klucze do piwniczki ostały! - krzyknął ktoś prześmiewcze.

- Ostaną, ostaną - uspokajał Morda. - Goworka po staremu do zbytków skora, ale o gości dba, nic rzec nie można.

- Tedy zdaje się, często u niej popasacie - wtrącił Twardokęsek. - Jedno tylko, że nietania ta gospoda, jeśli wołu a bo i dwa ostawić za nockę przyjdzie.

- I trzy ostawim, jak się będzie napierać - flegmatycznie odparł Kuna. - Do Goworki nie na spoczynek ludziska ściągają, nawet nie podpalanki zakosztować, a przednia ona, jeno aby wieści słuchać, bo nic się w Górach Żmijowych albo w księstwach Przerwanki przed nią nie ukryje. Już tam pewnie siesterkę twą tak przydusiła, że każdy zagon owsa u was za stodołą zna jako własny.

- Wścibska jest niewiastka jako sroka i uparta. Kiedy zeszłego roku Kunę dopadła, tak już myślałem, do dom nie wrócim. Że za chłopą u karczmarki ostanie - dodał z drwiną Morda.

- Bo z babińcem zawsze kłopot - westchnął zbójca.

- No, ale się niedługo swego kłopotu zbędiesz - pocieszył go Buk. - Rychło w Spichrzy staniem. Jarmark wielki tam będzie, Kuna bydło przędą i pohulamy ździebko.

Jak przewidywał Kuna, znaleźli wiedźmę i Szarkę w kącie izby, przy palenisku. Na widok poganiaczy Goworka podniosła się i wkrótce z kuchni rozległo się donośne jazgotanie - że chleb jeszcze nie wniesiony, że wieprzka nie ma kto obracać, że zdałoby się marynaty z piwniczki wydobyć.

Wśród hałaśliwych przekomarzań dziewczyny kroili wieprzka. Mięsiwo przyprawiono ziołami, których Twardokęsek nie potrafił rozpoznać, lecz pierwszy kęs gorącej, tłustej świniны rozpogodził go na dobre. Goworka zaś wciąż narzekała na podatki, zeszłoroczne nędzne zbiory, pustki na gościńcu.

- Od tygodniaście pierwsi - skarżyła się. - Ni pies z kulawą nogą tędy nie przejeżdża. Przyjdzie gospodę zamknąć i o kiju na żebry iść. Inaczej kiedyś bywało. Przed jarmarkiem sznury wozów gościńcem ciągnęły, z daleka kupce jechali, zza morza nawet. Ot, nic już po tym, prócz opony, co mi jeden w darze zostawił - wskazała spłowiwały kawałek materii, nadpalony po brzegach od żaru paleniska. Obraz, który niegdyś go zdobił, wytarł się z wiekiem, zmieniając w niekształtną plamę, zwieńczoną u góry krzywymi wieżyczkami.

Twardokęsek rozparł się wygodniej na ławie, przeciągnął. Przestronna izba, jasno oświetlona polanami w żelaznych pierścieniach na ścianach, z podłogą z solidnych dębowych desek, które, jak wnioskował z ulotnego zapachu łągu, nie dawniej jak wczoraj szorowano starannie, łatwo mogła pomieścić trzy albo i cztery tuziny chłopa, a palenisko było obliczone nie na jednego świniaka, ale co najmniej wołu. Coś go jednak niepokoiło, choć nie potrafił zrozumieć, co.

Jak przystoi niewiastom, Szarka i wiedźma jadły przy osobnym stoliku. Morwa zaś wcale nie jadła, tylko z zaciśniętymi ustami przypatrywała się rozprawiającej z wolarzami karczmarce. Teraz wśród innych niewiast, w świetle pochodni Morwa wydawała się dokładnie tym, kim była: postarzałą, steraną dziwką w porwanym i splamionym błotem lawendowym kubraku. Jej jednej Goworka nie pozdrowiła u progu, nie zaprowadziła wraz z Szarką i wiedźmą do komory, gdzie naszykowano niewiastom kąpiel. Dziwka była tak wściekła, że mimo głodu nie mogła nic przełknąć. Mamrotała tylko pod nosem przekleństwa.

Tym bardziej wyszukane, im śmielszy obrót przybierała rozmowa przy wielkim stole.

Tam tymczasem podpalanka zaczynała uderzać do głów. Goworka zdjęła fartuch, rozwiązała górne troki koszuli i oparta na ramieniu Kuny, wachlowała się chustką, gdyż mimo upału w izbie okiennice pozostawiono szczelnie zatrzaśnięte. Śladem gospodyni, dziewczki wmieszały się pomiędzy gości, pozwalając się pod blatem nieznacznie obmacywać.

- A to jeszcze powiadają - paplała niestrudzenie karczmarca - że ów przeklętnik, Smardzowy syn, na północ ciągnie, że z kapłanami Bad Bidmone spiskować idzie, przecie dużo ich jeszcze po lasach siedzi. Zmawiać się podobno przeciwko Wężymordowi zamierzają, że Zwajcami kumać. I po co to wszystko? - spytała z goryczą. - Toż drugiego takiego tyrana, jako ów Smardz, święta ziemia wcześniej nie widziała. A za Wężymorda dostatek jaki nastął, spokój a porządek. Powiadam, żeby już raz tego zaprzańca złapali i prawo mu uczynili! Żeby się szwendać przestał, ludziom w głowach mącić! Nic z tego dobrego nie przyjdzie, jeno bluźnierstwo, nieszczęście i zamęt! Jak się ta wojna zacznie, kupce ze szczętem jeździć przestaną, nie wiem, co samotnej kobiecie począć przyjdzie - żaliła się. - Grasanty włóczyć się będą i palić, rabować, mordować.

- Chłopa wziąć trzeba - poradził jej Morda - żeby i gospody, i gospodyni bronił. Nie wędrownego parobka, a prawdziwego chłopa. Ot, choćby jak nasz Kuna - zarechotał. - Możeć niepiękny on z gęby, ale człek spokojny, stateczny. A że wiekiem starszy, to i dobrze. Jako powiadają, im kot starszy, ogon jego twardszy.

Wśród głośnego śmiechu gospodyni pokraśniała i zagroziła, że jeśli nie zaprzestanie drwin, z wołami będzie się tej nocy kładł na pastewniku.

- Popatrzcie, jak się to próchno mizdrzy - syknęła Morwa - jeno aby kiecki przed nim w izbie nie zadarła, dzira stara, grób pobielany. Nie darmo, widzę, gospodę Popod Szczurakiem wołają, bo pani gospodyni i pod zwierzołakiem by legła, kiedy mus taki.

Szarka posłała jej jedynie krótkie spojrzenie spod opuszczonych rzęs, a wiedźma wychyliła do dna kolejny kubek podpalanki. Tego wieczoru wiedźma zdrowo pociągała. Najpierw nieledwie że

sama osuszyła całą flaszę. Potem bez pytania przeszła do drugiego stołu i zabrała z brzegu dopiero co napoczętą karafkę, aż się zbójca zląkł, że do reszty się spije. Chciał wiedźmie naczynie zabrać, ale nieoczekiwanie Kuna się za nią ujął.

- Sam pijesz, tedy i dziewce nie broń - położył mu ciężką łapę na ramieniu. - Ty, Derkacz, myślisz, że ja skurwysyn ostatni, jakem wczoraj pozwolił, by je nad Trwogą zbóje pomacali - dodał, bystro spoglądając Twardokęskowi w gębę. - Ale ja ci powiem, że i tak nic byśmy przeciwko kompanii z Przełęczu Zdechłej Krowy nie dokazali, najbardziej to na trakcie szajka zajadła. Jako rzekłeś, twardy jestem, bo na gościńcu mus twardym być, inaczej gardło dać przyjdzie niezawodnie. Ale dziewce pić nie broń, bo teraz dla niej podpalanka najlepsze lekarstwo. Zamroczy się, to i zapomni.

* * *

W tym samym czasie daleko za Górami Sowimi, w opactwie Cion Cerena, stary mnich ocknął się nagle w wilgotnym od potu pośłaniu. Coś potężnego skradało się w dusznym majaku, coś złego świeciło w ćmie żółtymi ślepiami, coraz bliżej, coraz mocniej. Trzęsącymi się rękoma zmacał dzbanek, wychylił resztki wody, ale gardło miał wciąż wyschnięte, piekące. Zwlókł się z łóżka. Noc była jasna, wygwieżdżona - na dobry urodzaj, na dostatek, pomyślał. Wzuł stare, zdeptane trzewiki i powoli poczłapał do kaplicy.

Opactwo było ciche i ciemne, tylko w sieni coś zaszurało koło progu. Pan Krzeszcz skulił się we wnęce pod ławeczką. Chociaż bardzo pilnowano, by nikt obcy nie został na noc w pobliżu mnisiego dormitorium, pan Krzeszcz przytulił się tak staranie, że nie odnalazł go żaden ze strażników. Zaprzestał już poszukiwań Ciecierki. Jednonoga babina wyjaśniła mu, że sam Cion Ceren popędził dawnego opata precz: była to posepna, pełna grozy opowieść o karzącej mocy boga, o ogniu i gradobiciu, które zwiastowały jego nadejście, i o hordach potępionych dusz, które wypełzły z mogił tamtej nocy. Pan Krzeszcz z obrzydzeniem odpędził starowinę i bynajmniej nie dowierzał jej rewelacjom. Nic go nie obchodził Cion Ceren. Był zły i rozgoryczony. Najwyraźniej Ciecierkę nosiło gdzieś po świecie, podczas gdy sprawy w opactwie szły zupełnie na opak, zaś podłość księcia Piorunka nikogo nie obchodziła.

Nie tak powinno być, powtarzał sobie w myślach, człapiąc za starym mnichem, zupełnie nie tak. Toż księżę Piorunek dozwolił bluźniercy ze swoich ziem umknąć, czemu nikt go ścigać nie zamyśla? Czemu go mnisi klątwą nie obłożyli?

Co komu po opactwie, skoro w nim ani sprawiedliwości, ani boskiego prawa nie przestrzegają?

Braciszek zaś w pobielającym od miesięcznego światła sadzie przypomniał sobie wreszcie sen, który tak go przeraził. Bosa, w samej koszuli biegła w nocy przez las, po wilgotnej trawie, a za nią szedł ogień, czarne konie pomiędzy sinymi pniami drzew, odległe granie rogów i rozdygotane pochodnie. Przypomniał sobie jej twarz, pobladłą, skurczoną i zakłuło go, zabolalo w piersiach, aż musiał przystanąć i chwycić się pnia. Na śmierć posłaliśmy to dziecko, zapłakał z twarzą na

szorstkiej korze wiśni. Na zatracenie.

Po ciemnej trawie przybiegł do niego Ukropek, głupi stajenny pacholek niemowa, mocno opasał ramionami. Staruszek pohamował płacz, ale ciężko mu było na sercu. Czemu nie, pomyślał, czemu nie zwierzyć się temu stworzeniu, które i tak nie zrozumie, ale może ulży w zgryzocie? Przysiadł więc pod wiśniami, okręcił Ukropka opończą i powolutku, zbolałym szeptem, opowiedział mu wszystko o Szarce, o tym, co kazał jej powtórzyć Cion Ceren - i powtórzył też jej słowa, o ścieżce, o spadających gwiazdach. Długo gadał, o bogach, o Annyonne. A Ukropek słuchał, jak to Ukropek, mruczając i śmiejąc się do siebie, i podreptał za mnichem do kaplicy.

Żaden z nich nie spostrzegł pana Krzeszcza. Nie spostrzegli też, kiedy do przedsionka wpełzły pierwsze płomyki ognia.

* * *

Wiedźma zaskomliła rozpaczliwie. Zatoczyła się, ledwo dobrnęła do stołu. Lica miała rozognione, czy to od pod - palanki, czy od żaru, a oczy niebiesciuchne i rozdęte. Kiedy popatrzyła na Twardokęska, wydało mu się, że zaraz ogłosi poganiaczom, kto przewodził bandytom z Przełęczą Zdechłej Krowy i że przed świtaniem zawisnie na starym jaworze koło studni. Jednak wiedźma tylko łyknęła kubek podpalanki, zlizwała z krawędzi zagubioną kropelkę i mocno przywarła do boku Szarki.

- Wody z solą trzeba będzie dziewce dać - Morwa wprawnie oceniła rozmiary pijaństwa wiedźmy - bo inaczej jutro z barłogu jej nie podniesieni.

- Zła woda tutaj - chrapliwym szeptem odpowiedziała wiedźma. - Krzyczy woda, ściany krzyczą, czerwone ściany, a woda mętna.

- Co tak szepczesz? - dziwka przysunęła się bliżej.

- Kości w wodzie, w studni na dnie chroboczą - odparła wiedźma. - A ściany na ludzi patrzą i płaczą.

Szarka uczyniła ruch dłonią, jakby chciała przerwać, lecz dziwka przykazała jej milczeć.

- Czemu ściany płaczą? - spytała łagodnie. - Od noża płaczą, od złego, od żelaza sinego?

- Od krwi rdzawej, od czarnawej - odpowiedziała wiedźma i poczęła mówić coraz prędzej, bez tchu. - Spod ziemi przyjdą, w gardła się wczepią, mięso żreć będą, kości w dół wrzucą, ślad piasek zatrze, nic nie ostanie - zachłysnęła się. - Aby ten ogień za nami czerwony.

- Zwidziało ci się - Morwa otarła wiedźmie czoło, ale ręka jej dygotała. - Zwyczajne to, że z gorzałki złe zwidy przychodzą. Zabierz ją - nakazała z cicha Szarce. - Pijana jest i zmordowana, nikt się nie zdziwi, że uchodzicie. Aby pilnuj, niech gębę zawartą trzyma. W ubraniu spać się układajcie, drzwi drągiem jakowymś zaprzyjcie i nie otwierajcie, chyba że mnie. Przyjdę po was przed

brzaskiem.

- A tamci? - Szarka kiwnęła na rozswawolonych wolarzy.

- W portkach im się teraz pali - zimno uśmiechnęła się dziwka. - Kto wie, czy czego do trunku nie domieszały, bo ani który spostrzegł, że nic tu złemu przystępu nie broni. Chcesz, tedy bratu twemu rzeknę, co trza. Choć nie wiem, czy słuchać będzie, spił się jako drudzy, dzbaniarze zatracone. A sama nie śpij, bo gdy się wszyscy pokładą, uciekać nam stąd trzeba będzie, życie unosić. No, zmykajcie - popchnęła Szarkę.

Służebna poprowadziła je ciemnymi schodami na poddasze, do małej, narożnej izdebki, widocznie rzadko używanej, bo mocno załatywała wilgocią i pleśnią. Dziewka rozpałała przytwierdzony do stołu ogarek świeczki, obojętnie poprawiła zwał puchowej pierzyny na łóżku i ponieważ była już nieźle pijana, ostrzegła je z chichotem:

- No, śpijcie, a mocno, bo dziś w nocy niejeden załomocze, gdzie niewiasty uśpione.

Ledwo poszła, Szarka szeroko otworzyła okiennice. Powietrze było przesycone zapachem macierzanki. Zaraz też, połyskując oliwkowo i świszcząc z ukontentowania, wpadł do środka jadziołek. Pokręcił się w obłąkanym, pijanym tańcu po izbie, aż wreszcie opadł na gałkę baldachimu nad łóżem. Wiedźma wyjęła zza pazuchy flaszeczkę, którą niepostrzeżenie zdołała wynieść z izby na dole, pociągnęła.

- Ot, rozbuchało się złe - zachichotała. - Rozdokazywało, aż wątpiami targa.

- Starczy już - Szarka wyjęła jej naczynie z rąk, głos miała znużony, lecz miękki.

- Czemu ściany o krwi tak krzyczą? - wiedźma oklapła nagle, wsuwając się w zimną, wilgotną pościel. - A świeczka o ogniu syczy. Pamiętasz? O ogniu, co za plecami.

Szarka odwróciła się ku ciemnemu zarysowi gór w oknie. W łóżku głośno i na dobre rozszłochała się wiedźma. Od jawora przy studni głupawo gruchały gołębie.

Ogarek wypalił się, rozlał po stole w bladej łojowej plamie. Wiedźma usłyszała, jak Szarka wyjmując z tobołka dwa miecze. Siermiężną suknię zmieniła na sinozieloną koszulę i nogawice, rzuciła przy łożu nabijany żelazem kaftan norhemnów i ułożyła się do snu. Wiedźma przywarła do jej pleców i przez chwilę słyszała łopot płomieni w snach Szarki. A potem ściągnęła je ku sobie, łagodnie i cicho - ponieważ pamiętała, że Cion Ceren nazwał ją towarzyszką tej kobiety, a także z powodu ciemnej, krwawej magii, która rozgorzała tej nocy w jej trzewiach.

W glinianym dzbanie obok łóżka gruba niebieska mucha brzęcząc, dogorywała w znieruchomiałej ławicy swych sióstr.

Szarka niespokojnie przyzywała kogoś z głębi letniego wilgotnego snu.

- Otwórzcie - zza drzwi dobiegł zduszony szept Morwy. - Czas się zbierać.

Budząc się, wiedźma dojrzała, jak jasiołek bezszelestnie wypadł przez uchyloną okiennicę. Szarka odsunęła skobel. Dziwka z ulgą wemknęła się do środka. Mocno zalatywała gorzałką, a gębę miała spuchniętą i czerwoną.

- Tam na dole wszyscy ze szczętem poszaleli - powiedziała. - Nijak między nimi nie przejdziem. Niby dziewczki rajcują z Runowymi, ale co który za potrzebą wyjdzie, to im się oczy aż świecą, czy aby za długo nie mitręży. Nie, tu nie gospoda ludziom przyjazna, jeno dół palami najeżony i murawą dla niepoznaki przykryty. Ale brata twego ostrzegłam, ledwo co gospodyni z niego nie ściągnąwszy, bo Goworka wczepiła się weń jako pijawka - dodała. - Do wychodka ninie iść ma, konie wyprowadzi. A nam po dachu stąd uciec trza, chyżo i po cichońku. Czy ona zmoże? - wskazała na wiedźmę, która przyglądała im się spod pierzyny błędnymi oczyma.

- Zmoże - Szarka wywlokła pijaną na posadzkę.

Wiedźma pozwoliła postawić się pod ścianą, chwiała się i chichotała przy tym rozbrajająco. Płócienna koszula wysunęła się jej spod spódnicy i opadła aż do kolan, dekolt przekreślił się w bok, odsłaniając ramię tak chude, że litość brała patrzeć. Morwa bezdusznie chlusnęła jej w twarz brudną wodą z glinianego dzbanka. Jaśminowa wiedźma prychnęła, ale zaraz przytomniej zaczęła wybierać muchy z włosów.

Co prawda, mimo wszelkich cucących zabiegów, chichotała nieustannie, lecz szczęśliwie zdołały zejść na ziemię. Po wielkiej części była to zasługa budowniczych gospody, którzy upstrzyli ją po bokach szeregiem coraz niższych przybudówek o łagodnie opadających dachach. Ledwo stanęły na dole, wiedźma wzdrygnęła się gwałtownie i dziwka na wszelki wypadek zatkała jej gębę. Przemykały się przez dziedziniec w cieniu, pod płotem, wlokąc pomiędzy sobą otepiałą wiedźmę.

Na podwórzu było cicho, tylko wiśnie kołysały się lekko, rzucając zmienne cienie w kępy hortensji i porzeczek, nasadzonych gęsto pod ścianami gospody.

Tymczasem Twardokęsek zamierzał zbrojeckim obyczajem odeprzeć wrota i wyprowadzić wierzchowce ze stajni. Choć podpalanka w karczmie była przednia, a dziewczki bardziej niżli przylepne, nie podobała mu się Goworka, nie podobało mu się, że w izbie nie widać ani najnędniejszej gałązki wilczomleczka, że belka nad drzwiami nitką czerwoną nieomotana, że okna głucho zabite. Na Przełęczu Zdechłej Krowy nauczył się wyczuwać niebezpieczeństwo jak ranny jeleń posokowce i aż go świerzbiło, żeby jak najszybciej zbierać się z gospody. Kiedy Morwa wydyszała mu w ucho majaczenia wiedźmy, zebrał się w sobie i nie zdejmując łap z cycków karczmarki, począł przemyśliwać o ucieczce.

Po prawdzie to miał przemożną ochotę czmychnąć samotnie, ale wyszedłszy na podwórko, dojrzał na jaworze przy studni wpatrującego się weń jasiołka.

- Nie tędy. - Wiedźma wparła się piętami w ziemię i w żaden sposób nie mogli jej ruszyć z miejsca. - Nie bramą, tam pacholek stoi.

Twardokęsek rzucił jej jedno krótkie spojrzenie i pospiesznie odstąpił od skobla.

- Kuna woły chodził opatrzyć furtką koło wychodka - przypomniał sobie. - Tam popróbujmy, ale krzaki za wygodką okrutne, kolczaste. Widzi mi się, że nie tylko koni nie przeprowadzimy, ale sami ucierpimy niezgorzej - zawahał się.

- Bez koni daleko nie odbieży - jęknęła Morwa. Wiedźma jednak skwapliwie skinęła rozczochraną głową.

- Tamtędy! - pokazała ledwo widoczną zza węgła wygodkę. - Chyżo!

Próbowali się więc spieszyć, lecz, jak zapowiadał Twardokęsek, rozciągały się tam nad wyraz wybujałe, zdziczałe maliny. Zbójca szedł pierwszy, zajadle walcząc z kolczastymi pnączami, które jakby się zmówiły, by opóźnić ucieczkę. Wczepiały się w odzienie i aby przejść kilka kroków, musiał łamać i wrywać całe kępy. Spocony, zadyszany, usłyszał przeraźliwy dźwięk, który nie był niczym innym, jak zachrypniętym jękiem nie oliwionego żelaza.

- Nie odwracaj się - syknęła ostro zamykająca pochód Szarka. Ale i bez tego wiedział, że za ich plecami otwarto bramę.

Byli już jednak na tyłach gospody, blisko ścieżki na pastwisko.

Wtedy właśnie zbójcę dobiegło jeszcze coś. Nieznaczny odgłos, znad samej ziemi, spomiędzy malinowych kłaczy. W panice odwrócił się, usiłując zmacać mieczem ten szelest. W malinach trzasnęło, coś dało gwałtownego susa w bok i zobaczył kilka par wściekłych świecących oczu, które zaraz zniknęły, by nieoczekiwanie pojawić się w zupełnie innym miejscu.

Dziwka wrzasnęła i oburącz wczepiła się w jego plecy. Odepchnął ją z przekleństwem. Zgoła już nie dbając o hałas i orające ciało kolce, rzucił się do przodu. Na przełaj, byle jak najszybciej do ścieżki. We wrogiej malinowej chrzęśli rozległy się przyciszone szydercze piski, ale Twardokęsek gnał naprzód ile sił w nogach, siekł szarszunem po zbitych pnączach, deptał je i tratował w rozpaczliwym pragnieniu, by wydostać się wreszcie na wolną przestrzeń.

W gospodzie ktoś krzyknął przeciągle - urwany, charczący okrzyk mordowanego człowieka - i w tej samej chwili pierwszy zwierzołak wbił zęby w nogę Twardokęska. Był drobny, szarawy i ze wszystkim podobny do szczura, choć sięgał człowiekowi wyżej kolan. Zbójca skręcił mu kark, nim plugawiec zdołał przegryźć wysoką cholewę buta z żółtej świńskiej skóry. Jak zwierzyne nas osaczyli, pomyślał z rozpaczą.

Wypadł na ścieżkę, ledwo że nie krzycząc z radości i zaraz przystanął, bo po obu stronach, nisko przy ziemi, niziuchno, świeciły się dziesiątki wąskich żółtych oczu.

- W czymieśmy wam zawinili? - zaskowytała Morwa.

Odpowiedzią był pojedynczy i niemal ludzki śmiech. Podobnie śmiała się Vii, która zwyczajem Servenedyjek lubiła patrzeć, jak ofiara szamocze się przed śmiercią i błaga o litość.

Od furtki dzieliło ich nie więcej niż dwadzieścia kroków, ale zbójca wiedział, że nie dobieży, bo zwierzołaki opadną ich całą kupą i żywych rozedrą na strzępy. Głośno przełknął ślinę i nie prosił

nawet, by Szarka przywołała jadziołka. W malinach bowiem aż jasno było od ślepi i zdawało mu się, że tej nocy całe Góry Sowie wyroiły się w gospodzie.

Trwali przyczajeni - szczuracy i ludzie - czekając, kto uczyni pierwszy krok ku furtce. Z nagłą wiedźma wywinęła się ku krzakom i bluznęła w nie strugą rzygowin. Lecz nie była to osławiona podpalanka Goworki, tylko żywy ogień, wysnuty z dzikiej wiedźmiej magii i przelanej krwi.

Morwa zawyła z przerażenia. Jej palce jak kleszcze zacisnęły się wokół ramienia zbójcy.

Strugi płomieni pomknęły chyżo przez gęstwę malin, ku przyczajonym przy ziemi zwierzołakom, i dalej jeszcze, do chaty, skacząc po dachach przybudówek coraz wyżej, coraz jaśniej, pożerając po drodze stary jawor i cembrowinę studni, spopielając łapczywie wygodkę, drewnię i podparty kolumnienkami ganek. W jednej chwili zajęły się stare drzewa. Ogień poszedł koronami i zagarnawszy po drodze palisadę, przeskoczył na skraj gościńca. Drzwi karczmy otworzyły się. Jakiś, człowiek, nie widzieli kto, wybiegł na oświetlone pochodniami wiśni podwórze. Płomienie liznęły go po plecach, rzuciły w płonące porzeczeki.

Oszalałe ze strachu konie zdołały się jakoś uwolnić. Wypadły na dziedziniec i skacząc pomiędzy płonącymi balami palisady, usiłowały wydostać się na trakt. Twardokęsek odwrócił oczy, by nie patrzeć, jak siwy ogier Kuny wali się ze złamaną nogą.

Szczuracy miotali się rozpaczliwie, bo ogień zaczął opalać im sierść. Lecz gdziekolwiek się zwrócili, pożar był przed nimi i wokół nich. Morwa, skowycząc jak lis z przetrąconym grzbietem, gapiała się, jak zdychali w obłąkańczym kłębowisku ludzkich i zwierzęcych kształtów.

Od wiedźmy i jej towarzyszy ogień trzymał się z daleka, jakby na razie nie miał zamiaru zwrócić się przeciwko magii, która go zrodziła. Był to przedziwny pożar, który nie oszczędzał nawet gołej ziemi, mlecznobiały i rozumny, bo upatrzawszy ofiarę, ściągał ją ku sobie z daleka, sięgając aż na gościniec długimi mackami płomieni. Twardokęsek nie umiał oprzeć się podejrzeniu, że pożoga przygląda im się uważnie, dumając, co uczynić. A pochylona nad ogniskiem malin jaśminowa wiedźma rzygała i rzygała bez końca.

Szarka ocknęła się pierwsza. Nie bacząc na ogniste strugi płynące z ust wiedźmy, chwyciła ją mocno, poderwała za włosy ku górze i coś krzyknęła do Twardokęska. Pożar huczał coraz głośniejszy i jedynie z ruchu warg odgadł, że ma biec pomiędzy płonącymi kłęczkami ku zbawiennej furtce. Zza zagrody dobiegało ryczenie przerażonych bydła, które daremnie próbowały wyrwać się z matni. Pobiegł ku temu ryczeniu z Morwą uczeponą ramienia, ciągnąc ją po ziemi jak szmatę. Płomienie utworzyły wokół ścieżki falujący szpaler i w głębi widział ciemne kształty zwierzołaków. Kiedyś, gdy był jeszcze zasmarkanym dzieciakiem, chadzali ze stryjem topić szczury, jeśli się zanadto w matczynej piwnicy rozpleniły i wówczas wyglądało to podobnie. Oszalałe ze strachu rzucały się na ściany i na siebie nawzajem.

Ognisty jęzor liznął jego brodę, wspaniałą czarną brodę, o którą nie przestał dbać nawet w lochach Traganki, i spopielił w tej samej chwili, gdy kopnięciem otwierał furtkę. Ale magia wiedźmy sięgnęła już na pastwisko. Pożar osaczył woły, zbił je w gromadę i nie zatrzymał go krąg nagiej, zrytej kopytami ziemi. Dopadł pierwszego szeregu bydła, wczepił się w nie, zakorzenił na dobre i

poszedł dalej, pozostawiając spalone, cuchnące kawały mięsa, które wszakże ryczały rozpaczliwie, póki nie zdechły w męczarniach.

Twardokęsek jednak nie przejmował się stadem, przekonany, że tak czy inaczej nikt nie zdoła ich wyrwać rozpętanemu przez wiedźmę żywiołowi.

Z jej spódnicy pozostały jedynie osmalone strzępy, przyszło im bowiem z Szarką biec za Twardokęskim, ale patrzyła przytomniej i jakby trochę otrzeźwiała. Ale szal jeszcze nie minął, w oczach jaśminowej wiedźmy dalej buzowała ciemna, dzika magia.

- Przeprowadzę go! - oznajmiła, chwiejnie przytrzymując się zbójcy. - Jest źródło wedle Spichrzy, przy północnej bramie, tam go zaprowadzę.

Szarką nie zwlekała. Wyjęła drobną kościaną świstawkę. Zbójca zrozumiał po co, gdy ujrzął skrzydłonia, jak nadlatuje z góry, z kłębow dymu i szybkimi skrętami smukłego ciała wymyka się płomieniom. Niemal otarł się o twarz Szarki i powrócił wyżej, tam, gdzie nie sięgał żar. Usłyszeli jedynie jego dziki wizg. Płomienie zacieśniały się wokół nich coraz mocniej.

Skrzydłoń ponownie uczynił rozpaczliwy wysiłek i gdy opadł w dół, Szarką zdołała uchwycić się grzywy. Pociągając za sobą Morwę, wdrapała się na jego grzbiet.

Błękitnoskrzydły wierzchowiec był równie zwinny i szybki wśród płomieni, jak skrzydłonie, które Twardokęsek zapamiętał z tamtego dnia, kiedy norhemni krążyli nad pogorzelskim jego wioski, a matka niosła go na plecach stromą ścieżką ku pokrytym śniegiem wierchom.

Później dobiegł go tylko rozpaczliwy wrzask Morwy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Niebo było letnie, fiołkowe, a gościńcem nadciągali wciąż nowi wędrowcy, gromadami i samotrzeć, pieszo, w powozach i konno, bez końca - ku miastu. Wyniosła, najeżona wieżami cytadela księcia Evorintha ciemniała na szczycie Jaskółczej Skały, a poniżej, pomiędzy pięcioma pagórkami rozciągała się Spichrza. Opasane pierścieniem wysokich białych murów, naznaczone strzelistą wieżą świątyni, najpiękniejsze miasto Krain Wewnętrzznego Morza. To, które było, jest i będzie. Miasto nieśmiertelne.

Rozległe błonia wokół Spichrzy migotały od ognisk pątników przybyłych ze wszystkich stron na Żary, a że do święta zostały tylko dwie nocki, obozowali radośnie, z winem i głośnym wydzieraniem się pod murami.

Twardokęsek smętnie tarł resztki opalonej brody. Nie chciał spać. Przed oczami miał wciąż wiedźmią pożogę, płomienie zataczające kręgi po wypalanej ziemi, coraz bliżej i coraz szybciej. I pamiętał, jak na koniec wychyla się z nich rozmazana w gorącym powietrzu smuga, która zbójcy

wydała się zrodzona z samego ognia.

Jakiś stwór przypadł do wiedźmy i w jednej chwili zbójca też był na jego grzbiecie. Wbiegli pomiędzy ogień, pomiędzy zwęglone trupy wołów. Wiedźma krzyczała w szale, zbójca ze strachu. Zawył z bólu, gdy zatliło się na nim ubranie. A wiedźma śmiała się, śmiała jak szalona, jej włosy płonęły. Z gardła pręgowanego zwierza wyrwało się głębokie ponure warczenie. Potrząsnął grzywą i odwrócił się ku wiedźmie.

- Zwierzolak! - wrzasnął Twardokęsek.

Dosiadali zwierzołaka. Nie z rodzaju tych, którzy siedzą w Górach Sowich, ale potężnego pasiastego potwora podobnego drapieżnym kotom z południowych gór. I zaraz też zbójca zrozumiał, że musi się weń odmieniać właśnie ów kociak, którego wiedźma ze sobą włóczy. Nie dziwota, że się zrazu z jądziółkiem pokumali, pomyślał. Złe zawdy złe rozpozna.

Niebieskooka niewiastka zaśmiała się tylko, targając szorstkie, czarne kłaki na karku zwierzołaka, a ten wlepił w zbójcę oczy, miodowe i tak głębokie, że Twardokęsek mało z rozumu nie zszedł pod tym spojrzeniem.

A i to jeszcze prawda, pomyślał, że on ślepiami człeka zauroczyć może. Wszyscyśmy oczarowani, omamieni byli, jakeśmy go, ani stęknąwszy, razem z wiedźmą przyhołubili. Przekleństwo wszystka magia, czyste przekleństwo. Może praw był Ciecierka, kiedy wiedźmę w ogień chciał wrzucić, bo nie litować się trza, jeno palić, póki nas ze szczętem złe nie wygubi.

- Patrz! - jaśminowa wiedźma podniosła chude, osmalone ramię i pokazała na trakt.

Resztki włosów zjeżyły mu się ze zgrozą. Gościniec falował, lśnił od szarych futer szczuraków.

I tak tamtej nocy, kiedy płonęła gospoda Goworki, Twardokęska ocaliła jedynie ciemna, mroczna magia wiedźmy. Gnali po gościńcu. Wiedźma wbijała pięty w zebra zwierza, tę bosą, bo but zgubiła, i tę w trzewiku z urwanym obcasem. Pęd rozwiewał kosmyki jej włosów, zwierzołak ryczał wściekle, a szczuracy w popłochu pierzchali mu z drogi. Wielka, wielka magia, wysnuta z ognia i krwi, wciąż gorzała w niebiesciuchnych, wytrzeszczonych oczach wiedźmy.

Była to noc grozy i rzezi. Hordy szczuraków zeszły z Gór Sowich i ruszyły na wschód, ku Spichrzy. Zbójcy zdawało się, że mrowie potworków nie ma końca, a chłopskie domostwa po obu stronach gościńca były ciche i ciemne, jakby nie został tam ni jeden żywy człowiek.

Zwierzołak biegł chyżo. Na przedmieściach miasteczka doścignęli pierwsze szeregi złego. Tego, co nastąpiło w miasteczku, zbójca również nie chciał pamiętać. Widział, jak szczuracy przekopali jamy pod bramą, jak dźwierza uchylili się w ciszy, by odsłonić trzech nocnych drabów, których rozpoznał już tylko po halabardach, bo na ich trupach kłębiła się popiskująca szara gromada. W szlafmycach, w rozchełstanych koszulach mieszczanie wybiegali na ulice, daremnie krzycząc zmiłowania. Gromady szczuraków ścigały ich zajadle niby zwierzynę i walczyły nad drgającymi jeszcze ścierwami o kawały mięsa. Jakaś kobieta z dzieckiem w ramionach wołała do nich z okna, ale zwierzołak nie zatrzymał się i krzyki wkrótce umilkły. Nie zwalniając, niby widziadło,

przemknęli przez miasteczko - na oklep na zwierzołaku, roześmiana dziewczka z rozwianymi kosmykami opalonych włosów i zbójca w skórzanej kamizeli, z jadziołkiem kołującym nad głową - i wyjechali za mury, traktem koło szubienicy, na której kołysało się smętnie dwóch nieświeżych wisielców.

W rowach przy trakcie szumiały białe od kwiecica zarośla.

Przed świtem zwierzołak bez ostrzeżenia zrzucił ich z grzbietu. Na łeb, na szyję polecieeli w kolczastą chachmeć. Wiedźma zaskowytała z cicha. Szał minął i trzęsa się teraz jak w gorętwie. Z warg i nosa sączyły się drobne kropelki krwi. Powoli, popiskując jak zwierzę, dowlokła się do jaru i zaczęła chleptać wodę prosto z kałuży.

Coś gorzkiego wezbrało w gardle zbójcy, napłynęło do ust.

Cień przesunął się pomiędzy nimi na trawie i Twardo - kęsek nie sięgał nawet po sztylet, ale splunął ciężko w rów, w wodę, co ją piła. A ona tylko odwróciła się i popatrzyła tymi swoimi niebieściuchnymi oczami.

Nie wiedział, jak to się stało, że nagle płakała na jego ramieniu.

Urok, ani chybi urok, pomyślał Twardokęsek.

Oporządzili się trochę, zmyli z twarzy sadzę. Twardokęsek przystrzygł obojgu opalone włosy i powlekli się gościńcem ku bielejącym w dali murom Spichrzy. Wiedźma zgubiła drugi trzewik i pochlipywała, że ciężko iść po kamieniach, póki zbójca nie wiał jej na plecy. Szczęśliwie była chuda i drobna. Gdy wreszcie się zmordował, traktem nadciągnęli żacy z przystrojonym żółtymi wstążka - mi, drabiniastym wozem, który zwędzili gdzieś chłopu na jutrzejszą paradę.

Szkolarzy było pięciu. Czterech przyprzęgło się do dyszla, jeden powoził, a że wszyscy byli mocno chmielem zaprawieni, więc i za bardzo się nie wyklócali, gdy im Twardokęsek wiedźmę na siano zrzucił. Krzyczeli tylko, żeby wóz pod górkę pchać pomagał. I tak się powolutku doturlali do miasta. Jeszcze ich żacy do Kolegium Sztuk zapraszali, które dziad księcia wybudował u stóp świątyni. Zbójca nawet z początku przychyłał ucha namowom, bo z ich pijackiego klekotania wnosił, że ci adeptci sztuk to niegorsi szubrawcy: nie tylko wiedzieli, jak na jarmarku sakiewki kupcom odcinać, ale i sztyletami, co je mieli popod kubrakami pochowane, nieźle potrafili robić. Jak na złość, wiedźma obudziła się zniecka i burknęła, że na znajomków muszą przy bramie czekać. Żacy pożegnali się grzecznie, podciągnęli wóz pod same wrota Spichrzy i zaczęli hałas wielki czynić, aby bramę przed świtem otwarto, a nie ucichli, póki im drabowie książe nie zagrozili więżą.

Wiedźma przepędziła Twardokęska niemalże po całym błoniu: tu jej się nie podobało i tam źle było, stąd za daleko od skały, stamtąd gościńca nie widać. Na koniec przyłgnęli w porośniętej krzami wyrwie. A kiedy sypał na wrzątek krwawiennik, dojrzał, jak wiedźmie zza pazuchy wylazi pręgowaty rudy kociak. Nic nie rzekł, uszy położył po sobie, bo choćby książe pachółkowie nawet zdołali ubić zwierzołaka, nijak mu się było przyznać, z kim do miasta ściągnał. Ani chybi, pomyślał, kleszczami by mnie szarpali, jako zwykle ze współnikami złego czynią. A jak się jeszcze wieści o najeździe szcuraków rozejdą, nikomu małodobrzy nie przepuszczą. Nic, trzeba teraz głębię trzymać

zawartą i modlić się, aby nie wyszło na jaw, gdzieśmy tej nocy bywali.

Gdy zobaczył skrzydłonia na brzegu jaru, nie zastanawiał się nawet, jak ich Szarka z Morwą odnalazły. Odkąd odbili z Traganki, Twardokęsek widział dość, by ani nie pytać, ani nie myśleć zbyt wiele. Szarka powitała go obojętnym kiwnięciem głowy i naląła sobie krwawiennika. Napój był cierpki i gorzkawy. Dziewczyna wyjęła z tobołka bochenek chleba, kilka drobnych czerwonych cebulek, napoczęty małdrzyk i podzieliła wszystko starannie na cztery części.

- Trzeba się posilić tym, co jest - mruknęła. - Sakwa mi w zamieszaniu przepadła.

- Co z was za ludzie? - Morwa podniosła głowę. Skołtunione włosy opadły do tyłu, odsłaniając jej postarzałą nagle, porytą zmarszczkami twarz. - Co z was za ludzie? - powtórzyła, wpatrując się w Twardokęską. - Jak nam człek drogę zastąpił, to go na pół rozszczerpiła, ani pytała, jeszcze kubrak przetrząsnęła.

- Golec był - wtrąciła Szarka - bez sakiewki nawet. Ale hybercuch z niego zdarłam, bo nasze okopcone, a obwieś wydał mi się twego wzrostu, Twardokęsek. I nie myśl - rzuciła oschle dziwce - że się przed tobą opowiadam, jednak i to rozważ, że on nie bez przyczyny dwie samotne niewiasty w krzakach zachodził.

- Tyle jeno, że pożoga za wami i śmierć, nic więcej - zaskowyczała Morwa. - Ja żem myślała, że ona - pokiwała ubabranym sadzami paluchem ku wiedźmie - jeno na umyśle słabuje, że kołowata. A to jest wiedźma, plugastwo ludziom i bogom obmierzłe! Pewnikiem ona szczuraków na nas sprowadziła!

Twarz Szarki stwardniała gwałtownie.

- Ucisze ją, Twardokęsek - rozkazała. - Dłużej tego skomlenia nie zniosę. Ot, trzeba było niedojdę zostawić, niechby ją szczuracy zeżarli, to o ogniu i śmierci by nie krakała. Spać się lepiej kładźcie - rzuciła skulonym po przeciwnych stronach ogniska niewiastkom. - Niedaleko do świtu.

Morwa posłusznie wpełzła głębiej w krzaki, z dala od wiedźmy, i okręciła się resztkami lawendowego kasaczka. Dygotała. Z opuchniętych warg ściekała jej strużka śliny.

- Za dużo ona wie - mruknął Twardokęsek. - Jak się jutro wieść o szczurakach rozniesie, to tutaj na każdym rogu powroźnik będzie czyhał i wiedźm wypatrywał. A niech ludzie dojdą, żeśmy przez Góry Sowie dopiero co przejechali, pasy z nas drzeć będą bez ochyby. Prawo tutaj twarde.

- Prawda - Szarka przysunęła się do ognia i objęła ramionami kolana - ale była nam życzliwa. Jeśli nawet po pijanemu coś wygada, to miasto ogromne, kto nas odnajdzie? Jestem zmęczona - przyznała nieoczekiwanie. - Ta noc przypomniła mi coś, o czym nie chcę pamiętać.

Jadziołek przydreptał do nich niezgrabnym, rozkołysanym krokiem po wysokiej trawie i skrzeczając z cicha, otarł się o cholewę wysokiego buta Szarki. Dziewczyna bez słowa, gołą dłonią podrapała go po podgardlu i raptem wydała się Twardokęskowi markotna i zniechęcona. Przyszedł mu na myśl klasztor Cion Cerena i słowa wiedźmy.

- Iście was ongiś Szarka zwali? - nerwowo potarł opuchniętą skórę na brodzie.

- Sharkah - poprawiła bezwiednie. - Bardziej przekleństwo to niżli imię. Razem z bratem się rodziliśmy, ja wyszłam pierwsza, on się udusił. Czemu, jak łatwo wnosić, mało się radowano.

Zbójca nie zdziwił się. W Górach Żmijowych także nie świętowano narodzin dziewczynek i w co bardziej odludnych okolicach zdarzało się, że je matki wynosiły na pustkowie.

- Moi rodzice bardzo się miłowali - Szarka oparła brodę na kolanie. - Pewnie dlatego, że wojna kraj pustoszyła i czegoś się w tym zamęcie musieli uchwycić, więc się siebie chwycili. Dwójka to smarkaczy właściwie była i we ćmie, co nastąpiła, jako wszyscy przerażonych. Wtenczas już tylko w lasy umykać trzeba było i tam się gdzieś w glibieli głęboko skryć, na uroczyskach. A oni się we stołpie zaparli - pokręciła głową. - Głupio, bo ze wszech stron wojsko szło pobuntowane, a przy nich ledwie nędzna przygarść straży została. I najemnicy. Ale ojciec uparł się, że uciekać nie będą, choć tyle ten jego upór wart był, co błysk na sztylcie, kiedy gardło podrzyna. Matka chodziła z nim po murach, brzuch dumnie jak bitewny bęben przed sobą obnosząc, i o mścicielu, co się z jej żywota pocznie, bełkotała. Słowem, wyczekiwali rzezi.

- I jakoż było?

- Matkę potem na wpół żywą najemnicy Dumenerga ze stołpa wywieźli. Kiedy się jatki na dobre zaczęły. Wtedy nas rodziła, oboje. Przed czasem i gdzieś w rowie. Z niebem jasno oświetlonym od płonącego zamku, bo w zamęcie rebelianci ogień zażegli. Rodziła pod tą luną, buntownikom zemstę obiecując. I tam mi imię nadała.

- A wasz ojciec?

- Przy bramie go szafelinami zakłuli jak odyńca. A matkę w rowie Dumenerg zostawił wykrwawioną. Dość, nie podpytuj mnie, Twardokęsek, jutro jeszcze się językiem namłócisz, a pewnie i nie tylko językiem.

- No, ciekawym tylko, na co nam teraz przyjdzie - zbolałym głosem odezwał się zbójca. - Spichrze podpalim czy szczuraków do miasta wpuścim, czy może tylko księcia łaskawie utrupim?

- A skąd ci to we łba zaświtało? - popatrzyła na niego spod opuszczonych powiek. - Tu wokół nas samych obręcz się łatwo zacisnąć może.

Twardokęsek zakłopotał się trochę. Pogryzł chleba z cebulą, pomilczał posepnie.

- Nieskładnie mi to wyjaśnić - podjęła dziewczyna - ale wciąż mi się zdaje, że pogoń za plecami słyszę, pogoń i psów granie. Może mi to tylko jadziołek w rozum kładzie, ale ja się, Twardokęsek, w obławie chowałam... prędzej bym samej siebie zapomniała.

- Nic innego jeno wiedźma, przekleńnica, nieszczęście na nas ściąga. Iluż ludzi ona w tej gospodzie ogniem wygubiła, a koni, a bydła - pokręcił głową. - I ze zwierzołakiem wędruje - dodał szeptem. - Ten kociak, co go ze sobą prowadzi, nic innego to, jeno ludojadek. Nocką w potworę się zmienia i ludzkie plemię prześladowuje.

- I cóż stąd? Wciąż o wiedźmach słucham, że plugastwo od bogów przeklęte, a ludziom zatracenie knujące. Ale jakoś nikt nie potrafi objaśnić, czemu plugastwo zwłaszcza w czas wojen roić się zwykło. Pomnisz Łysą Wiedźmę? Czy nie za najazdu norhemnów spustoszyła brzegi Kanału Sandalyi? A Pustułka? Nie wtedy grasowała, gdy Vadiioned wojnę rozpętał? Nie - pokręciła głową - im więcej nad tym myślę, tym wyraźniej mi wychodzi, że kiedy się tylko jakiś zamęt w Krainach Wewnętrzznego Morza zaczyna, to wiedźmy ludzi szczególnie gnębią. A jak spokojnie, to i one czemuś przycichają. Przecież nawet po wioskach gadają, że ich magia z krwi się bierze, z czarnej posoki.

- Aż krwi! - zaperzył się zbójca. - Jeno że z tej krwi plugawej, co ją co miesiąc zrzucają!

- To wszystkie byśmy już wiedźmami były! - prychnęła. - Nie, Twardokęsek, ja się jej dobrze przyglądałam. I tyle wypatrzyłam, że płochliwa jest i przestraszona, nie - lekkie widać miała życie. Jednak złości w niej żadnej, czy ku ludziom nienawiści, nie spostrzegłam ani czarów żadnych. Aż do tej ostatniej nocy, kiedy o krwi i o ogniu bredzić zaczęła - przygryzła wargę. - I tak mi się wydaje, że to z tych zbójców, których jasiołek nad Trwogą przydybał. Jeden na niej z opuszczonymi spodniami zdychał. Strasznie w gospodzie płakała, że krew do niej krzyczy i coś mi się zdaje, że nie pierwej w niej ta magia rozgorzała, póki krwi na trakcie nie przelano.

- A cóżże za różnica - złośliwie zauważył zbójca - za jaką przyczyną wiedźma nas wygubi, czy od tej krwi, co z kupra ciecze, czy innej zgoła? Toż zeszłej nocy jasno na jaw wyszło, że prawi są ci, co im ogniem sprawiedliwość chcą czynić, bo to plemię nieczyste, ze złem sprzymierzone. Żeby tak ludojadka piastować - wskazał na zwiniętego na wiedźmim podołku rudego kota - toż grzech jest i obraza boska!

- Różnica istotnie żadna - przyznała Szarka. - Ale gdyby nie wiedźma, to ja bym się w tej gospodzie na noc ułożyła i by mnie zwierzołacy we śnie zeżarli. Nie, Twardokęsek, ona innymi oczyma niż ty czyja na świat patrzy i nie dam jej odpędzić, nie teraz... - zacięła się. - Nam trzeba sprzymierzeńców szukać, Twardokęsek, nie wybrzydzać. No, dość już. Zlitujże się, łeb mi ciąży, kiedy indziej porozprawiamy. Zdrzemnęłabym się przed brzaskiem, a jutro jakoś wkręcimy się do tego kurnika - pokazała cytadelę księcia Evorintha.

- A jakimże to sposobem? - spytał podejrzliwie.

- Bardzo tradycyjnym - odparła sennie. - Przekupstwem.

Pozostawiony samemu sobie zbójca melancholijnie podumał jeszcze trochę. Potem zaś nakrył się hybercuchem zdartym z nieszczęśnika, który Szarkę w krzakach podchodził. Spać jednak nie potrafił, wciąż mu się w chyboczących badyłach zwidywali szczuracy. Morwa też widać sen miała nielekki, bo dygotała jak psina. Wiedźma zaś leżała skurczona na boku, z piąstką przyciśniętą do brody. Spódnica podwinęła się jej wysoko, odsłaniając osmalone, krągłe udo, wtulony w zagłębienie ramienia zwierzołak łagodnie falował oddechem. Ładna z nas kompania, zadumał się gorzko Twardokęsek, zbójca, dziwka, wiedźma i... tanta, która szła z południa.

Całe zło lęgnię się na południu, powtarzano w Górach Żmijowych, a bezmierne przestrzenie

poza równinami Turznie zdawały się odpowiadać prześmiewcze, wypływając kolejne hordy norhemnów, rodząc letnią posuchę i pomór, co dziesiątkuje bydło. Gdzieś za Łysogórami ona zrodzona, pomyślał, wedle samego krańca ziemi. Człek nie dojdzie, co się tam kryć może, jakie dziwy a potwory, lasy bezmierne za spaloną ziemią czy jeno pustynia śmiercionośna. Może u Servenedyjek się chowała? Jak one z żelazem obeznana, może tam już wszędy takowy obyczaj? Może być, jest kraj, gdzie człek nie trwoży się, ze złym niczym ze swojakami gwarzy, jak ona na morzu z boginką gadała? Gdzie plugastwo za psa służy i snu strzeże?

Przypomniał sobie gadki o skrajnych wyspach, ostatnich wyspach, jak żeglarze gadali, za którymi woda przelała się przez krawędź świata, zakrzepła w nieboskłon. Wyspy Szczęśliwe, nazywali je żeglarze, najdalsze, najodleglejsze. Ano, ofuknął się w myślach, dzieciaka między zmije ciepnać a grodziszcze wyrznać, o kozi kiep takie Wyspy Szczęśliwe rozbić. Umna jest dziewczka, harda a pyskata, mus szlachecka córka. Gadała, że ziemię jej wzięli, gród spalili, tedy w świat poszła, nie ona pierwsza, nie ostatnia. A mnie trza nie o niej przemyśliwać, jeno się cichaczem w Spichrzy wymknąć, wielkie miasto, ludne, ani się spostrzeże...

Szarka śniła, drżały uwieszone jej rzęs cienie, usta składały się do jakichś słów i zamierały na nowo.

* * *

O świcie tłum rzucił się ku bramom zwartą ławą.

- Wasze chorągwie nad cytadelą - Przemęka z odległego pagórka obserwował, jak rozochocona tłuszcza coraz silniej szturmuje bramy Spichrzy. - Ani chybi twoja siostra dostała list. Dziw, że ją Wężymord luzem puścił. Bo chyba sam tu się z nią nie przywłókł?

- Nie, to żalnickie lwy - mruknął Koźlarz. - Wężymord przyjechałby raczej pod znakami Pomortu. Nie myślałem, że zobaczę w Spichrzy ojcową chorągiew. Ciekawe, czy się Kostropatka zdołał przemknąć.

- Czemu nie? - wzruszył ramionami Przemęka. - W same Żary żeśmy zmówieni, więc jutro się rzecz cała okaże. Na razie zdałoby się gdzie przytaić, bo tu o przygodę łatwo.

- Znam gospodę. Przy murze, za końskimi jatkami.

- U rakarzy? - z lekką urazą spytał Przemęka. - Odkąd żeśmy do włości Zараźnicy przybili, nic tylko hultajskie gospody, zbóje, guślarstwo i głusza. To już będzie trzeci raz, jak między hyclami na popas stajem. Czemu my nigdy nie możemy u jakich godnych mieszczan przyłgnąć?

- Bo się godni mieszczanie w spiski nie mieszają - wykrzywił się książę. - Za mądrzy na to. Godny mieszczanin kazałby nas pospołu psami poszczuć. Albo i grzbiet jeszcze otłukł.

Ulica Na Zboczu jeszcze przed świtem rozpoczęła dzionek od przeraźliwych przekleństw, którymi piekarka Gałkowa obrzuciła Lizęgę, powszechnie szanowanego handlarza śledziami. Kilka przybranych w szlafmyce głów wychynęło ospale z okien. Ktoś niecelnie chlusnął zawartością nocnika. Lecz wojna pomiędzy piekarnią a kramem rybnym trwała już trzecie pokolenie, a rozprawa, tocząca się ze zmiennym szczęściem przed trybunałem księcia, nie rokowała nadziei na koniec zmagania, i mieszczanie z rezygnacją przywykli do porannych wrzasków.

- A żebyś po śmierci tak cuchnął jako twoje śledzie zgniłe! - rozdarła się Gaikowa.

Jaszczyk uśmiechnął się pod nosem, nie przestając polerować srebrnej chorągiewki przy szyldzie wciśniętego pomiędzy skłócone kramy kantorku Fei Flisyon. W niektórych dzielnicach strażnicy trzymają koguty, pomyślał, aby nastanie dnia zwiastowały, ale u nas niepotrzebne one, lepsze pianie nas z łóżek zdziera. No, czas o śniadanie się zatroszczyć, zdecydował. Pątników mrowie do Spichrzy ściągnęło, jak się do kantoru zaczął złościć, tak do zmierzchu ani o jedzeniu myśleć nie będzie czasu.

- Witajcie, pani Gaikowa - przywitał piekarczową. - Pięknie się wam dziś rogałe udały, jeden w drugiego.

- Ano! - zaśmiał się przekupień śledziami. - Iście, wyrosnięte jako te rogi, co je nieboszczykowi z piekarczykami w komorze przyprawia!

Od strony piekarni rozległ się dźwięk zatrzaśniętej gwałtownie okiennicy.

- Spłoszyliście mi śniadanie - z wyrzutem powiedział Jaszczyk. - Przyjdzie teraz o suchym pysku dzionek cały przecierpieć.

- Młodyś jeszcze - zadrwił przekupień - a za młodu samo zdrowie się przegłodzić. Lepiej wieczera będzie smakować.

Jeśli jeszcze co tam matka w rynce zostawi, pomyślał markotnie Jaszczyk. Od śmierci ojca nie przelewało się u nich w domu, oj, nie, a miał cztery młodsze siostry, które jak obstały miskę, to ni kijem by odpędził, póki nie wyczyściły do dna. Trzymał co prawda parę miedziaków w sakiewce, ale chciał je raczej zachować na podarunek dla posługaczki z gospody Pod Wesołym Turem.

Przypomniawszy sobie, jak hucznie obchodzono w ich dworcu Żary. Mieli piękny szmat gruntu nieopodal Spichrzy. Pszeniczna była ziemia, żyzna i zasobna, ale jeszcze rodzic dobrze nie przestygł, a zewsząd zjechali się stryjowie z listami zastawnymi, które pono nieboszczyk im pisał, i bratową z dziećmi na jednym wozie z domu wyprawili. Z początku przylgnęli kątem u granicznika, ale kiedy zaczął po nocach w drzwi wdowy stukać, zabrali się stamtąd co prędzej. Potem różnie bywało, aż osiedli pod murem Spichrzy, na Krzywej.

Zeskoczył z drabiny, obrzuciwszy tęsknym spojrzeniem rogałe Gaikowej.

- Wcale udatnie - pochwalił go od drzwi Krotosz, zwierzchnik kantorka. Jego świeżo wygolona głowa połyskiwała lekko i widać spodziewał się znaczniejszych gości, bo przywdział białą kapiecę z najcieńszego płótna. - Iście, wyszykowaniśmy na święto, ale jeszcze nam świętować nie czas. Siła się dzisiaj luda zwali. Patrz im, Jaszczyk, uważnie na ręce, łatwo w ciżbie o jakie oszustwo. Pojedynczo do lady niech podchodzą, każdy grosz oglądaj, czy aby nie oberżnięty albo i fałszywy.

- Czy jam się kiedy dał oszukać, wasza wielbność? - wyszczerzył zęby Jaszczyk.

- Toż ja tego nie mówię - odparł kapłan - tylko napominam, żebyś ostrożny a czujny był. Do miasta idę, kantor na twojej głowie. Pisarczyków doglądaj. Niech nie próżnują.

Chłopak rzucił mu szybkie, zuchwałe spojrzenie. Siedem lat minęło od dnia, gdy Krotosz przydybał go, jak ściągał sakiewkę skalmierskiemu wielmoży. Kapłan najpierw Jaszczyka powodem dobrze złoił, a później zapędził do zamiatania dziedzińca. Z czasem Jaszczyk został chłopcem na posyłki, potem pisarczykiem, a ostatnio coraz częściej zdarzało się, że Krotosz wychodził w środku dnia, powierzwszy mu doglądanie interesu. Jaszczyk siadywał wtedy na jego miejscu, przy ladzie w głębi kantorka, a po okolicy huczek szedł, że go sobie kapłan na zauszniaka upatrzył.

Pisarczykowie tymczasem nerwowo rozkładali tabliczki, klóby w wagach rychtowali i przeklinali grosze, które ostatnio bito w Żalnikach - z wierzchu wyglądały na srebrne, ale więcej w nich było cyny niż pocziwego kruszcu. Dla wszystkich, nawet dla piegowatego ulicznika Łyczka, który biegał na posyłki, zapowiadał się długi i znojny dzień.

Pierwszym gościem okazał się wyniosły dworzanin. Usiłował zastawić naszyjnik ręką samego Kii Krindara Od Ognia uczyniony, jak utrzymywał zawzięcie, podczas gdy Jaszczyk, widząc, że nie tylko naszyjnik niewiele wart, ale i szlachcicowi oczy podejrzenie wkoło latają, tłumaczył cierpliwie, że najbliższy lombard za rogiem. Kiedy natręt wreszcie poszedł, napatoczyło się trzech dziadów ze stertą rozmaitych miedziaków, wyszczerbionych brak teatów, oberżniętych pół - i ćwierćgroszówek, żądając, aby cały ten chłam wymienić im na srebrne książęce grosze. Dwóch pisarczyków niechętnie zaczęło sortować i przeliczać monety, a trzeciemu dostała się wylupiastooka szlachcianka, która postanowiła zaciągnąć dług na poczet majątku przyszłego męża, Jaśnie Pana Kwarka na Solemnicy, jak głosił pergamin umowy przedślubnej, którą ścisła w garści.

- Pókiście jeszcze nie zaślubieni - znużonym głosem wyjaśniał pisarczyk - pieniędzy w zastaw dobra małżonka brać nie możecie.

Dziewoja z początku próbowała się wyklócać, potem wybuchła głośnym zawodem. Zebracy przypatrywali się temu z zainteresowaniem. W zamieszaniu chłopiec na posyłki zdołał ściągnąć z lady półgroszówkę. Bezczelnie wyszczerzył zęby do Jaszczyka i czmychnął z kantorka, niemal wpadając w drzwiach na niewiastę w białym żałobnym stroju.

Miała na sobie prostą wierzchnią suknię, rozciętą na przodzie od stanu i odsłaniającą szeroką sukienną spódnicę, jej włosy i szyję zaś okrywała szczelnie podwika z białego lnu. Zwyczajny, domowy strój ubogich szlachcianek, jednak Jaszczyk ciekawie wychylił się zza swojego stołu. Odzienie niewiasty było pozbawione ozdób. Upięty wysoko nad czołem welon nie miał żadnych znaków, jego końce swobodnie opadały na plecy i nawet z kształtu węzła jej pasa nie potrafił

rozpoznać, czy panna, czy zaślubiona. Najbardziej jednak stropiły go buty.

Sterane solidnie trzewiki, pokryte kurzem i zaschniętym błotem. Jakby przywędrowała tu na piechotę, choć najuboższa nawet szlachcianka wolałaby przesiedzieć święto w domu, niż na własnych nogach, niby pospólstwo, wlec się gościńcem.

Wszystko to spostrzegł niemal mimochodem, wprawnie oceniwszy po stroju, że najpewniej przysła zastawić kilka zaśnieżonych, rodowych pierścieni. Kobieta uchyliła się w drzwiach przed umykającym chłopcem i weszła do kantorku, bardzo wysoka i smukła. Nim ktokolwiek zdążył ją zatrzymać, minęła pulpity pisarczyków, wywinęła się żebrakowi, który usiłował klepnąć ją po tyłku, i podeszła do Jaszczyka. Miała najzieleńsze oczy, jakie kiedykolwiek widział, i zmęczoną twarz o skórze tak jasnej, jaką miewają mieszkańcy Wysp Zwajeckich.

- W czym mogę wam pomóc? - spytał lekko schrypniętym głosem, nie odrywając wzroku od obcisłego stanu jej sukni.

Sięgnęła na pierś, pod koszulę, jej dłoń była wąska i drobna, lecz pokryta ledwo co przyschniętymi zadrapaniami. Podała mu złożony w kilkoro pergamin. Ze zdziwieniem rozpoznał znak Fei Flisyon. Nie jeden z prowincjonalnych stempli, ale wielką pieczęć bogini, którą przechowywano w tragańskiej świątyni. Niepewnie obrócił pismo w palcach, ale ponieważ stała przed nim z drażniącym obojętnym wyrazem twarzy, postanowił raczej narazić się na gniew Krotosza, niż przyznać, że nie ma prawa otwierać podobnych listów. Szybko złamał pieczęć i zaparło mu dech w piersiach:

Pozdrowienia i łaska Fei Flisyon niech będzie przy was, bracia, bowiem posyłamy wam żagiew, od której wielu może zgorzeć, głosiło pismo, a która nigdy nie powinna zapłonąć poza ogrodami Traganki. Ponieważ jest wolą Pani, aby ogień wędrował przez krainy niewiernych, przyjmijcie ją jako wybraną i umiłowaną spośród wszystkich innych. Wszakże bądźcie baczni, czujni bądźcie, strzeżcie się tego, co ma przy boku, i tego, co za nią idzie. Nic niech nie umknie oczom waszym i co rychlej uczynicie nam o niej wiadomość. O co z ojcowskim naszym błogosławieństwem was upraszamy, Mierosz, najwyższy kapłan świątyni Fei Flisyon Od Zarazy, etc.

Wyjęła pergamin z jego spoconej nagle ręki, złożyła starannie i nie czytając, wsunęła mu do kieszeni kubraka. Jej oblicze wciąż było spokojne.

- Czy wy...? - wyszeptał bez tchu. Położyła mu palec na wargach, nie pozwalając dokończyć.

- Myślę, że właśnie śmierć swoją przeczytałeś, chłopcze - zauważyła cicho.

Pisarczykowie zaczęli się im przyglądać i Jaszczyk opanował się z wysiłkiem.

- Chodźmy stąd - poprosił. - Trza poczekać, aż Krotosz wróci. Ale nie tu, gdzie już się na nas gapią.

Pospiesznie powiódł ją bocznym dziedzińcem do siedziby kapłanów Fei Flisyon, wczepionego

w stromy stok Jaskółczej Góry i niemal przesłoniętego żółtą fasadą kantorka domostwa. Zdarzało mu się wcześniej bywać w rezydencji Krotosza, lecz zazwyczaj przesiadywali w niewielkim alkierzyku, gdzie kapłan przechowywał księgi dłużników. Nie wiedział, dokąd ją zaprowadzić. Wraz z Krotoszem w Spichrzy mieszkało jeszcze trzech ostatnich sług Zażnicy i Jaszczuk najchętniej zawołałby jednego z nich, lecz o tej porze zwykli głosić kazania w kapliczce. Pobudowano ją aż za murami miejskimi, bowiem kapłani Nur Nemruta Od Zwierciadeł, boga miasta, zazdrośnie strzegli, by żadni konfratry nie zadomowili się w samej Spichrzy.

Stał w wejściu, rozglądając się bezradnie.

- Chodźmy na taras - poddała lekko.

- Nigdy tam nie zachodziłem - przyznał. - Nie wiem, czy...

Uśmiechnęła się kącikami ust i klasnęła w dłonie, wywabiając z wnętrza domu posługaczkę. Wysoka koścista niewiasta wynurzyła się zza załomu korytarza z niechętnym grymasem. W ręce ścisnęła na wpół ogryzione żeberko.

- Prowadźcie na wykusz, dobra kobieto - rozkazała dziewczyna. - I uprzedźcie pana, że go wyglądamy.

Siedziba kapłanów Fei Flisyon wydała się Jaszczukowi labiryntem. Podłogi wszędzie zaścierały grube białe dywany, kanapy pokryto jasną skórą, blaty stolików połyskiwały macicą perłową, a kryształowe zwierciadła zwielokrotniały ową biel, jakby nagle znaleźli się pośrodku znieruchomiałego, zamrożonego lasu. Chłopak dreptał za posługaczką z wytrzeszczonymi oczami, bowiem nigdy wcześniej nie widział podobnego bogactwa.

Alabastrowe kolumny wykusza były inkrustowane czerwonym złotem i obrośnięte białymi pnąciami różami.

- Napiłabym się soku z granatu - rzuciła posługaczce dziewczyna. - Gorący dzień.

Jaszczuk z zamętem w głowie oparł się o balustradę, powtarzając w myślach słowa listu, który niemal palił go przez kieszeń kubraka: "Żagiew, od której wielu może zgorzeć... wybraną i umiłowaną spośród wszystkich innych..."

Z wyraźną ulgą ściągnęła z głowy welon i podwikę. Długie złotorude włosy rozsypały się swobodnie i zobaczył nad jej czołem wąską obojętą, gładką kutą, pozbawioną znaków, i rozpoznał obręcz dri deonema, taką samą, jak w księdze na obrazku. Zaszło mu w gardle, zaskorupiało. Zielonooka ciekawie wychylała się z galeryjki, a on słowa nie mógł wykrztusić. Jakby złe jakoweś za gardło go chwyciło.

Bo też i złe to było, ale to sobie dopiero później wyłożył, kiedy na galeocie pomiędzy Szczeżupinami wiosłował. Nie zwierzołak ze śliną z pyska ciekącą, nie smard, nie prądka na stęgnię utajona, ale przebiegłe zielonookie zło daleko od tamtych gorsze, zjadlejsze.

W korytarzu zaszurały kroki posługaczki. Poderwał się spieszenie i wyjął jej z rąk tacę z

dzbankiem. Sok był ciemnoczerwony, przejrzysty.

- Słodki jak na Tragance - poprzez ukwiecone gałęzie róż patrzyła na dachy Spichrzy. - Wędrowałam za kimś poprzez Góry Żmijowe - dodała nieoczekiwanie - lecz potem straciłam go z oczu.

- To wielkie miasto - potrząsnął głową Jaszczyk - i co roku mnóstwo ludzi ściąga na święto.

- W ciżbie najłatwiej się ukryć - przytaknęła zadumana. - Wiem, że spieszył na spotkanie, a ktoś, kto ma potężnych nieprzyjaciół, musi szukać równie potężnych sprzymierzeńców - przeniosła wzrok na wieże cytadeli księcia. - Opowiedz mi o władcy Spichrzy, proszę.

- Młody jeszcze, ledwo mu dwa tuziny lat minęły - odpowiedział posłusznie Jaszczyk. - Dobry pan, sprawiedliwy, baczący i mężny, jeno wyniosły po trochu. I za dziewczkami bardzo lata - dodał. - Nie ma, żeby się przy nim dwie albo i trzy nie kręciły, ale szybko je pani Jasenka z siodła wysadza. Gadają ludzie, że pachołkom każe je w kanale topić. Sama jest najgłówniejszą księżącą nałożnicą.

- Czy bogom przychylny? - uniosła lekko brew. - Czy cześć im oddaje?

- Jako każdy człek śmiertelny, nie mniej, nie więcej niż inni - odparł z pomieszaniem, nie pojmując, ku czemu dziewczyna zmierza. - Przodków przykładem co roku dary bogate posyła na ofiarę Nur Nemrutowi. Zwierzchnika świątyni szanuje, o radę pyta. Z innymi bogami, jako władcy przystoi, w pokoju żyje.

- Z postronnymi panami nie miewa zatargów? - spytała.

- Skądby? - z rozbawieniem potrząsnął głową. - Toż to jest miasto Nur Nemruta, w samym środku świata. Święte miejsce, najświętsze - objaśnił. - Nikt przeciwko niemu ręki nie podniesie. Chociaż jako w saku pomiędzy Żalnikiem, Skalmierzem i księstwami Przerwanki siedzimy, nigdy tu wojna nie nastąpiła. Nawet Vadiioned nie ważył się Spichrzy splądrować, jeno u bram stał, wołając, by matka do niego na mury wyszła.

- Nie wyszła? - uśmiechnęła się lekko.

- Wyparła się go i przeklęła po tym, jak jej braci na pale wbijać kazał. A kiedy uciekła do Spichrzy i schroniła się w świątyni, Vadiioned do reszty oszalał. Właśni ludzie musieli go łańcuchami wiązać, bo rzucał się i wył jak wściekły pies. Potem z siłą luda pociągnął na Żalniki i wielkie z tego nieszczęścia dla wszystkich Krain Wewnętrzznego Morza nastąpiły - ciągnął, zachęcony jej milczeniem.

- A ty stąd jesteś? - spytała znienacka. - Ze Spichrzy?

- Dworzec pod samym miastem mieliśmy - spochmurniał chłopak. - Piękny był, niebieską dachówką kryty, sad przy nim, pasieka i ziemi szmat. Jedno tylko, że jak ojciec pomarli, to bracia jego rodzeni matce dworzec zagrabili - ciągnął z goryczą. - Niechby się teraz przytrafiło, swego nie odstąpiłbym, choćby i we wrotach ubić mieli, ale dzieciak byłem, przy spódnicy jeszcze. Dziadowie

też już w ziemi, a z braćmi nie kochała się mać, to do miasta żeśmy się obrócili.

Popatrzyła na niego zadumana, podała kryształowy kielich na długiej nóżce. Upił łyk chłodnego soku. Jej oczy spoglądały spod rzęs uważnie i smutno, aż wreszcie, sam nie wiedząc czemu, począł jej opowiadać o sobie. Słuchała z brodą opartą na splecionych dłoniach, nie przerywając ni słowem.

- Ja obydwójga rodziców nie pamiętam - powiedziała, gdy skończył. - Dumenerg, stryj, mnie wychował i Mokerna, mamka, która bardziej mi matką, niżli mamką była. Po lasach się kryliśmy, bo wojna wtedy straszna nastąpiła - odwróciła twarz. - Między wojami rosłam, na pustkowiu, w zły czas. Jeszcze od ziemi mało co odstałam, a na pobojojwiska zaczęli mnie zabierać, rannym gardła podrzynać i trupy obdzierać nauczyli.

- Straszna jest wojna - przytaknął cicho, z sercem ściśniętym litością.

- Ludzkie głowy na pikach i kobiety z rozprutymi brzuchami, z których wyrwano płód – jej oczy zapatrzyły się w dal. - Stada kruków na trupach, zgliszcza i mór. Zdziczałe psy nocami na gościńcu i jeszcze od nich gorsi grasanci. Patrzyłam na doliny po przejściu wojsk. Na jeńców, którym wykłuto oczy, wyrwano języki, obcięto ręce... Gdziekolwiek się zwróciliśmy, było tak samo. Spalone pola, zatrute studnie, wyjałowiona ziemia, obrane z mięsa szkielety bydła i szpalery ścierwa gnijącego na palach po obu stronach drogi. I to jeszcze pamiętam, jakieśmy z Mokerną w chaszczach leżały. Mróz był, my ledwo opończą nakryte, a ona powtarzała: nie płacz, córuchno, nie trza w nocy płakać, jeszcze twoich krew nie pobieliała, wstyd tobie płakać.

W milczeniu zamknął w rękach jej chłodną, drżącą dłoń. Pochyliła ku niemu jasną złotorudą głowę. Włosy opadły, zasłoniły jej twarz i przez chwilę siedzieli nieruchomo, niemal stykając się kolanami. Jaszczyk miał wrażenie, jakby w tamtej minucie z całego wielkiego świata pozostało jedynie ich dwoje, samotnych na zboczu Jaskółczej Góry, ponad dachami miasta.

- Tak, straszna jest wojna - podjęła. - Przyhołubiła mnie niby złota kołyska, ukołysała, utuliła, daleko, daleko stąd. Był taki człowiek - zacięła się, przygryzła wargi. - Kiedyś popatrzył na mnie jak na tą, którą mogłabym być, gdyby nie wypalił mnie tamten czas, nie przekuł na nice.

- Jego znaleźć próbujecie - Jaszczyk nieudolnie skrywał rozczarowanie. - Ale łatwiej igłę w stogu siana znaleźć, niżli człowieka w czas święta w Spichrzy.

- W każdym mieście są ludzie, którzy wiedzą więcej niż inni - łagodnie uwolniła rękę z jego uścisku. - Czy słyszałeś o kimś, kogo zwą Suchywilkiem?

- Niech bogowie ustrzegą! - wzdrygnął się z odrazą. - Tak wołają kniazia, który Wyspom Zwajeckim przewodzi. I głowę daję, że nie masz go w Spichrzy, nie dozwoliłby dobry pan Evorinth podobnej bogom obrazy. Toż Zwajcy kamień ledwo ociosany na ołtarzach układają i cześć mu oddają, uczciwym ludziom na szyderstwo. Jego szukacie? - spytał podejrzliwie.

- Człowieka, którego ma spotkać - wyjaśniła lekko. - I muszę się upewnić, czy Suchywilk jest w Spichrzy.

- Drabowie przy bramach stoją - zachnął się. - Każdemu w twarz zaglądamy, a książę szpiegów ma po gospodach. Mysz się nie prześlizgnie niezauważona.

Rzuciła mu krótkie spojrzenie spod opuszczonych rzęs.

- Starczy brodę zgolić albo włosy ufarbować i zupełnie innym wyda się człowiek. A zamiary książąt są pokrętne. Może Evorinth tajemnie ze Zwajeckimi się schodzi?

- Nie może to być! - zaperzył się chłopak. - Nie dalej jak wczoraj żalnicka księżniczka przybyła, i od Wężymorda poselstwo przy niej, więcej niż tuzin kapłanów Zird Zekruna.

- Tym bardziej do cytadeli dostać się muszę - rzekła z uporem. - A może się zdarzyć, iż nie powitają mnie tu radośnie - zniżyła głos - bo przychodzę południowym szlakiem, a wczorajszej nocy szczuracy zeszli z Gór Żmijowych. Żywa dusza nie ocalała przy gościńcu wokół Modrej.

Jaszczyk poderwał się raptownie.

Strużka szkarłatnego soku granatu pociekła po stoliku.

- Przekleństwo! - wykrzyknął. - Przekleństwo na nich i zatracenie! Przecież ułożyli się z kapłanami, że co pomiędzy Trwogą i Modrą, to szczurze, a na nasze ziemie więcej nie będą napadać!

- Ludzie też sojusze łamią - wzruszyła ramionami. - Ale kiedy przez Góry Żmijowe szłam, zdawało mi się, że złe mi się tuż za plecami skrada. Prawie mnie tam zwierzołacy przydybali. I wszystko było jak niegdyś. Krew czarna i zgliszcza, i ogień za plecami. Boję się - dodała ciszej. - Może ktoś spośród bogów, ktoś równie potężny, by poszczuć zwierzołaków przeciwko śmiertelnym, z nienawiści ku Fei Flisyon postanowił mnie zabić, póki jestem daleko od Traganki? Potrzebuję pomocy - podniosła na niego oczy. - Brantem ci zapłacę, złotem najczystszy. Czym zechcesz.

Potoczył oszołomionym wzrokiem po stołeczkach wykładanych słoniową kością, po kryształowych kielichach, na dnie których wciąż czerwieniły się resztki soku z granatów, po marmurowych, inkrustowanych czerwonym złotem kolumnienkach i przez chwilę strach walczył w nim z nadzieją. A kiedy znów popatrzyła mu prosto w twarz wielkimi zielonymi oczami, zakręciło mu się w głowie.

* * *

Siekiera waliła bezlitośnie, przy samej ścianie. Morwa jęknęła, poruszyła się słabo. Sącące się pomiędzy deskami szopy światło boleśnie wwiercało się pod czaszkę, trzonek grabi uwierał w krzyż. Powoli, z wysiłkiem zmacała wiadro do pojenia koni. Na dnie chlupotało smętnie kilka łyków deszczówki.

Noc ledwo przyszarzała, kiedy w ciżbie podpitych pątników przeszli Bramę Solną. Przodem Twardokęsek, oparty na wystruganym naprędcie kiju, prawie niósł umordowaną bosonogą wiedźmę.

Morwa, jak jej przykazano, nie odstępowała Szarki na krok i ani śmiała spojrzeć ku trzymającym straż książęcym pachołkom.

Na darmo pukali do drzwi gospod. W co zaciejszych oberżyści ani chcieli gadać z oberwańcami, a w innych od dawna już miejsc nie było. Toć to są spichrzańskie Żary, powiadano im ze śmiechem. Luda tyle do miasta ściągnęło, że ładnych parę groszy dać trzeba za byle przygarść słomy w izbie na wspólnym posłaniu, a i o to trudno. Wreszcie zawędrowali do gospody Pod Wesołym Turem.

Łysy oberżysta patrzył na nich spode łba, póki Twardokęsek nie potrząsnął mu przed nosem sakiewką.

- Izby wszystkie zajęte, ni igła więcej się tam nie zmieści - wsunął trzos w kieszeń poplamionego skórzanego fartucha. - A w alkierzu pani Marszła mi się załęgła, gamratka przekłeta. Nijak jej popędzić nie mogę, choć pewnie grosza złamanego w gospodzie nie zostawi, bo to matka komendanta północnej wieży, a z książęcymi nie idzie zadzierać. Jest jeszcze stara drewnutnia wedle kuchni. Może wam się nada...

Wedle Morwy stara drewnutnia nadawała się najwyżej do rozbiórki.

Rozmasowała obolały krzyż i ostrożnie wykradła się na podwórze. Jakaś niewiasta w świeżo wykrochmalonym czepku głośno urągała dwóm pachołkom. Dziwka odpędziła kopniakiem ryjące przy wrotach prosię, ściągnęła pod szyją resztki lawendowego kubraczka i wyszła na ulicę. Trza mi jakiś kąt znaleźć, ogarnąć się, pomyślała smętnie, sadze zmyć. Trza mi też nowej przyodziewy, bo ta ze szczętem zmarnowana, a cały dobytek przepadł u Trwogi.

Zmacała pod koszulą zdarty z martwej Servenedyjki naszyjnik. Wyglądał na kuty z czerwonego złota i zapewne był wiele wart, ale Morwa rozumiała dobrze, że nie może z nim zająć do złotniczego kramu. Spichrzańscy kapłani od lat najmowali na służbę południowe wojowniczy, wystarczająco długo, by ludzie nauczyli się nie tykać niczego, co wyglądało na ich majątność.

Uśmiechnęła się posepnie. Miała co prawda na Krzywej dwóch znajomków, którzy się lichwą bawili, ale tam wszyscy szpiegowali dla Trzpienia. Był on żebrackim starostą, choć nie tylko żebraczemu bractwu przewodził, ale i całą dzielnicą uciech trzął. Zamtuzy i domy gier bez szemrania płaciły mu haracz, zachęczone przykładem kilku opornych, których dziwnym trafem znaleziono bez ducha w Psim Wykrocie. Pewnie siedzi w gospodzie u szpitalnego muru, pomyślała, ale jemu przed oczy lepiej nie leżać. Nie tylko by mnie z naszyjnika obłupił, ale jeszcze kosturem po grzbiecie wygrzmocił.

Znienacka przyszedł jej na myśl powroźnik z ostatniego postoju przed Górami Sowimi. Takż do Spichrzy wędrował i bardzo ją zachęcał, aby go w czas Żarów odnalazła. Przygryzła wargę. Nie była pewna, czy ci, którzy obmacywali ją na odludnym trakcie, będą chcieli z nią rozmawiać w Spichrzy. Zbyt wiele ladacznic ściągało co roku na święto.

Jednakże dziwki, nawet najbardziej postarzałe i paskudne, stroniły od tropicieli plugastwa.

Spichrzańscy powroźnicy siedzieli we Wiedźmiejskiej Wieży, potężnej budowli z szarego kamienia, wspartej o północny bastion książęcej cytadeli. Wzniesiono ją wiele pokoleń temu, kiedy w Górach Żmijowych grasowała wiedźma Pustułka. Kapłani pobłogosławili każdy głaz, by oparł się przeklętej magii bezimiennych i odtąd ponury stołp trwał na zboczu Jaskółczej Skały, przysadzisty, niemal wtopiony pomiędzy dwa rzędy murów. Mało kto mijał go, nie czyniąc odpędzającego złe znaku.

Jeszcze przed pierwszym murem buchnął Morwie w twarz potworny, zadawniony smród: wedle zwyczaju, powroźnicy obwiesili swą siedzibę śmiedlikiem, szpikanardą, czosnkiem i innymi cuchnącymi ziołami, których dziwka nie potrafiła rozpoznać. Odór potęgowały jeszcze dwa zdechłe psy, podrzucone przed wierzejami. Dziwka pospiesznie minęła ścierwo i poczęła walić w okute żelazem drzwi. Kołatka miała kształt ludzkiego czerepu, a rude zacieki na kamieniach wydawały się jej zakrzepłą krwią.

Dobrych parę minut przeszło, nim w owalnym okienku wysoko nad schodami pokazała się nalana twarz powroźnika.

- Czemu hałas czynisz, błaznico?! - ryknął. - I wara od kołatki, tu nie zamtuz. Poszła precz!

- Do Wronoga przyszłam, nie do was! - hardo rozdarła się dziwka. - Rzeknijcie mu, że go Morwa woła!

- Radbym rzekł - zaśmiał się powroźnik - bo trafiła się zalotnica, aż strach. Tyle, że on się wciąż gdzieś po zbójceckim gościńcu obraca. Miał na Żary do Spichrzy wrócić, ale coś go nie widać, pewnie gdzie zabradziażył. Albo go na trakcie szcuracy zeżarli! - zarechotał.

Morwa niepewnie przestąpiła z nogi na nogę. Przypieczone ramię piekło nieznośnie. To się musi wydać, pomyślała. Wnet się o pogromie rozniesie. Powroźnicy mają swoje sposoby, poty będą strażników po bramach a oberżystów po gospodach rozpytywać, póki wszystkiego się nie wywiedzą. Nikt nie zapyta, czy ja za wiedźmą z własnej woli szłam. Na męki mnie wezmą i z plugastwem pospołu w ogień wrzucą.

- Tedy przestańcie wyglądać - rzekła. - Jego i wszystkich, co na gościńcu byli. Bo ich ze szczętem szcuracy pomordowali. A ninie na Spichrze idą.

Głowa zniknęła jak zmieciona. Coś załomotało we wnętrzu wieży, szczęknęły odsuwane pospiesznie sztaby. Powroźnik był wielki, wypełniał całe drzwi.

- Wchodź - rozkazał szorstko.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Krotosz, namiestnik Fei Flisyon w dziedzinie księcia Evorintha, posępnie wspinał się na zbocze Jaskółczej Skąły. Nogi miał odparzone od źle wyprawionych trzewików, kapiec doszczętnie pokrytą kurzem. Choć dzwony nie wybiły jeszcze południa, kamienna ulica nagrzała się od upału, rozpalila jak patelnia. Krotosz zaś wstał przed świtem i wszystko go złościło: powolność łaźiebnych, niedbałość pisarczyków, hardość Jaszczyka. Bezczelny ulicznik, sarknął w myślach, czując, jak ciężkie krople potu ściekają mu po karku. Gołodupiec, przybłęda z litości przygarnięty, już i on głowę butnie podnosi. Wszyscy oni tutaj jednacy, niczym dzieci, miejsca swojego nie znają, porządku świata nie szanują.

Pogańska kraina, barbarzyński dialekt i dzikie obyczaje.

Osiem lat wygnania, pomyślał kapłan, i wkrótce dziewiąty minie, bo w tym przeklętym przez bogów mieście ledwo słońce mocniej zaświeci, znów spada śnieg. Osiem lat wśród niewiernych z ich kiszoną kapustą, końskim łajnem na ulicach i tłustymi dziewczkami o włosach ociekających łojem. Z pokrętnymi bogami, ze złym przyczajonym pod każdym kamieniem, z durnymi władcami, którzy nieustannie skaczą sobie do gardeł.

Wszakże skoro miał służyć Fei Flisyon właśnie pośrodku owej zdiczalej krainy, wypełniał swą należność jak najskrupulatniej. Krok po kroku wyrugował z miasta co większych lichwiarzy. Zanim księżę Evorinth spostrzegł, co się kroi na jego oczach, Krotosz miał w kieszeni połowę dworu. Nie wyłączywszy zresztą samego księcia, który po ojcu odziedziczył nie tylko zamięłowanie do maszkar i turniejów, ale też potężne długi. Mógł co najwyżej z wysokości cytadeli podejrzliwie przypatrywać się Krotoszowi. Ten zaś dbał, by nie narazić się panu miasta, i nigdy, przenigdy nie wspominał o długach.

Kapłan niechętnie odwrócił się i spojrzał na białą, górującą nad miastem wieżę, gdzie gnieździli się kapłani Nur Nemruta. Okazywali mu szacunek - w podobny sposób obwąchują się obce psy - lecz wiedział, że skrycie gardzą nim równie dotkliwie, jak on nimi. Niezależnie od wojen czy przymierzy pomiędzy bogami, kapłani nie znosili się wzajemnie i była to część ich profesji uświęcona tradycją, jak wszystko, co trwa wieki.

Krotosz nie bywał wcześniej w wieży Śniącego, lecz znał z widzenia najwyższego kapłana, Krawęska. Był to człowiek mały, zasuszony, o niezdrowej cerze i wiecznie skrzywionej twarzy. Krotosz dałby sobie rękę uciąć, że wypadki, które zmusiły Krawęska do napisania listu do sługi Morowej Panny, zasługują na uwagę.

W sali, do której go zaprowadzono, czekali już inni goście. Zaraz przy wejściu stała postawna dziewczyna w przetykanej złotem, szafranowej telejce, kapłanka Kei Kaella Od Wrzeciona. Twarz miała zmęczoną, wymiętą, oczy podkrążone z niewyspania. Krotosz domyślał się, że właśnie zjechała do miasta, a podróż z Sinoborza, gdzie Tkaczka panuje, z pewnością miała niełatwą.

Kapłanka Kei Kaella rozprawiała przyciszonym głosem ze służebnikiem Mel Mianeta Od Fali. Na północy zwali go Morskim Koniem, gdyż w czas spiętrzenia wód przybiera końską postać, tratuje kopytami połacie lądu i strąca w topiel. W Krainach Wewnętrznego Morza bardzo obawiano się Mel Mianeta i wznoszono mu świątynie nie tylko na wyspach, ale i na ziemiach dobrze oddalonych od morza.

W głębi komnaty słabo połyskiwało czerwone złoto. To służka Hurk Hrovke Od Szarańczy przechadzała się nerwowo wzdłuż ścian, starając się przy tym trzymać jak najdalej od kapłanki Kei Kaella. Zwyczajem Paciornika nosiła złocistą kolczugę i krótką spódniczkę z drobnych, nachodzących na siebie blaszek, które przy każdym ruchu wydawały nieznaczny szum niczym setki drobnych owadzich skrzydełek. Ciemne włosy miała obcięte nieco powyżej ramion, usta bezczelnie wyszminkowane, a przy pasie zakrzywioną szabelkę. Obraza boska, pomyślał Krotosz, obraza boska, grzech i zdziczenie. Ale ludek Paciornika lekce sobie ważył zwyczaje innych krain, siedzieli w obwarowanych chutorach pośrodku trzęsawisk i nikt nie śmiał ich zaczepiać, tak byli bitni i popędliwi.

Sala była skąpo oświetlona, w lichtarzu stały ledwo trzy świece, a pojedyncze, owalne okienko nie wpuszczało wiele światła, toteż Krotosz z początku nie rozpoznał zakapturzonej postaci. I dopiero po dobrej chwili pojął, że do wieży Śniącego przybył sługa Bad Bidmone Od Jabłoni, zaginionej żalnickiej bogini. Ludzie rozmaicie gadali o owych kapłanach. Wielu wierzyło, że bogini odeszła z Żalników za przyczyną zaprzaństwa swoich sług; powiadano też, iż wisi nad nimi przekleństwo Zird Zekruna Od Skały.

Krotosz sam nie wiedział, co myśleć. Bogowie czasami odchodzili. Kii Krindar porzucił Kopienników, gdy zaś przed wiekami urażona Hurk Hrovke wywędrowała na północ, cały lud podążył za nią. Jednakże nawet w największym gniewie bogowie nie zwracali się przeciwko świątyni. Zakon trwał i trwały dawne prawa, nawet jeśli służebnicy szli za panem na wygnanie.

Płaszcz służebnika Bad Bidmone był zrudziały od słońca, obszarpany, buty pokryte skrzepłym szlamem. Inni kapłani starannie omijali go wzrokiem.

Z nagła wystrzelił śmiech. Gromko, bezwstydnie, pod samo sklepienie. Rozradowany kapłan Org Ondrelssena Od Lodu cisnął na progu bogaty futrzany szłyk. Przygarnął służkę Hurk Hrovke Od Szarańczy, okręcił w powietrzu, aż zafurkotały blaszki spódniczki, wyczałował. Przylgnęła do niego ochoczo, widno znali się wcześniej.

Właśnie wtedy z szacownym szuraniem do sali wsunął się przełożony spichrzańskiej świątyni, Krawęsek. A za nim postępowało czterech kapłanów Zird Zekruna Od Skały, posepnych mężów o czołach poznaczonych znamionami skalnych robaków.

W komnacie nagle przycichło. Jedyne sługa Org Ondrelssena bez zmieszania umizgiwał się do wojowniczkę z Paciornika.

- Zeszłej nocy szczuracy przeszli Modrą - oznajmił Krawęsek - i rychło wieść o pogromie dojdzie do cytadeli. Uradziliśmy, że ci, którzy niegdyś świadczyli w Spichrzy pokój pomiędzy przedsięwzięciami z Sowich Gór i ludźmi z dolin, winni znów się spotkać i wysłuchać posłannika

zwierzołaków.

Krotosz uśmiechnął się nieznacznie. Widno, pomyślał, jak trwoga, to się konfratów ochoczo wzywa na naradę, aby ludzie nie gadali, że tylko sami słudzy Nur Nemruta ze złym się pokątnie zmagają. A tak będzie potem na kogo winę zwalić. Wina też jakby mniejsza, kiedy winnych wielu.

W tłumie podniósł się niespokojny poszum. Służka Hurk Hrovke pospiesznie przesunęła się ku grupie brunatnych sług Zird Zekruna, kapłanka Kei Kaella zaś poczęła jeszcze gorliwiej szeptać z kapłanem Morskiego Konia. Ano, pomyślał Krotosz, kiedy owce strzygą, na baranie skóra skwierczy. Niby kilka słów, a zaraz widno, kto do kogo Ignie. A może i nie, zawahał się, może to aby ócz mydlenie.

Na znak gospodarza drzwi otwarły się i dwóch młodych kapłanów wprowadziło wysłańca szczuraków. Krotosz z ciekawością wytrzeszczył oczy.

Chyłkiem, przy samej ścianie, zwierzołak wślizgnął się do komnaty. Nie sięgał Krotoszewi do ramienia, odziany w zbyt obszerną opończę, która skutecznie maskowała kształty. Słudzy bogów pierzchli mu z drogi. Szczurak wyszczerzył drobne, ostre ząbki w grymasie, który był albo szyderstwem, albo parodią uśmiechu, i stanął u boku Krawęska.

- Ykh! - chrząknął. Głos miał niski, chrapliwy, a mówienie przychodziło mu z trudem. - Ykh, ykh! Jak wspomniano, zdarzył się ów godny ubolewania incydent...

- Incydent! - syknął za plecami Krotosza wzburzony kapłan Morskiego Konia.

- A, incydent! - zwierzołak wbił w niego bezrżęse, ciemne oczka. - Głupców paru poszczuto na kmiotków, co się na naszych ziemiach lęgną.

- A jakaż to wasza ziemia? - złowieszczo jedwabistym głosem spytała kapłanka Kei Kaella. - Dwa wieki mijają, jak w tymże miejscu podpisaliście układ, że Trwoga i Modra będą granicą pomiędzy naszymi plemionami.

- Cóż są dwa wieki? - prychnął szczurak. - Ta ziemia była nasza, z woli bogów nasza, kiedyście jeszcze po jaskiniach się chowali, nasza też będzie, gdy tam powrócicie. I nie pokój myśmy podpisywali, tylko rozejm, który zerwać zawsze można - dodał wyzywająco.

- Pohamujcież się - przerwał gospodarz. - Dość wysłuchamy obelg i wyzwisk od książąt. Evorinth pierwszy będzie chciał na Sowie Góry iść. Naradzić się przystoi, czy jego gniew hamować, czy wręcz przeciwnie.

A juści, zgryźliwie pomyślał Krotosz, jako to miło gardłować, puszyć się i radzić, ale nie widzi mi się, aby książkę słuchać zamierzał.

- Jak wy go hamować zamýślacie? - zaciekawił się kapłan Org Ondrelssena, z rozmarzeniem przesuwając ręką po kolecie służki Hurk Hrovke. - Toż on kniaź tutaj, włodarz. Jego ludzi w nocy pomordowano, jakże mu zemsty, wróżdy świętej zaniechać?

- Już wy się tym nie frasujcie - uśmiechnął się gospodarz. - Łacno sposób znaleźć, a księcia uspokoić. Jeśli za bardzo gardłował będzie, tedy mu przypomnim o Ergurnie Szalonym, ojcu jego, który przeciwko świątyni wicherzył, wiary i obyczaju odstąpiwszy. Pyszny był, bogom otwarcie urągał. A jak skończył? Opętanego własni pacholkiowie do nas przywiedli i jako niedźwiedziowi pierścień mu w nozdrze wraziwszy, u bramy uwiązali, innym ku przestrodze. A co do wróżdy, to rodziny pomordowanych spłacić można. Kraj nasz cieplejszy, jako widzicie, tedy obyczaje łagodniejsze - dorzucił z cieniem szyderstwa.

- I jeszcze o czymś zda się naradzić - nie ustępowała kapłanka Kei Kaella. - Rzeczona tu, że ktoś spośród nas podburzył zwierzołaków. Chciałabym tedy i tuszę, nie ja jedna, by imię zdrajcy odkryto.

- Więc go sobie sama poszukajcie, pani - zimno uciął szczurak. - Bo nam starczy, żeśmy dla zadośćuczynienia temu nędzemu traktatowi młode nasze musieli własnymi zębami przed świtem mordować - wśród kapłanów podniosła się kolejna fala szeptów, a przedsięwzięcowa przyglądał im się przymrużonymi złymi oczami, póki nie ucichli. - Tedy możecie powiedzieć książętom, że pomsta się dokonała. A jeśli wciąż będzie który chciał na Góry Sowie pociągnąć, to jego wola, myśmy gotowi. W wasze spory pchać się nie będziemy. Sami zdrajców pomiędzy sobą tropcie i ścigajcie, skoro wam tak pilno.

- Jeśli winni pokarani - zgrzytliwie odezwał się kapłan Zird Zekruna - poniechajmy przelewu krwi, nic jeszcze nigdy dobrego z zemsty nie przyszło. Jak radzicie, bracie - skłonił głowę ku gospodarzowi - trza zadośćuczynienie rodzinom pomordowanych zapłacić, a księcia na postronku trzymać.

- Słusznie - poparła go służka Hurk Hrovke. - Ale prędszej wy przed Nur Nemrutem przysięgnijcie, żeście prawdę rzekli i ziemie zagrabione wróćcie.

- Jeno krew kto przelaną wróci? - mruknął niechętnie kapłan Org Ondrelssena, ale pozwolił zaprowadzić się do sali, gdzie za szeregami zwierciadeł spoczywał uspiomy bóg Spichrzy.

Krotosz powlókł się na samym końcu, razem z pokornym starcem, który zarządzał szpitalem Cion Cerena. Braciszek był zgrzybiały i niezdamy, a na schodach upadłby niezawodnie, gdyby go Krotosz nie podtrzymał.

- Niech ci bogowie wynagrodzą, bracie - rzekł z prostotą. - Oczy coraz słabsze, a jeszcze dzisiaj tyle nieszczęścia na nas spadło, że ani siły, ani chęci, by na świat patrzeć.

- A cóż się zdarzyło? - spytał Krotosz.

- Opactwo nam w Górach Żmijowych zeszłej nocy spłonęło - wyjaśnił mnich. - I ludzi w nim wielka mnogość, tako współbraci naszych, jako i wędrowców.

- Srogi to traf - zgodził się Krotosz. - Ogień kto zaproszył, czy piorun ugodził?

- Skąd nam to wiedzieć? - potrząsnął głową staruszek. - Był tam jeden sługa, na umyśle słaby i

on podobno miał ogień zażęgnąć. Jenó skąd by podobny czyn miał się w jego głowie żaląc, nie wiadomo.

Kręte schody doprowadziły ich na samo dno wieży Nur Nemruta. Krotosz, który nigdy nie wierzył w panującą wśród kapłanów Śniącego ascezę, z drwiną uniósł brwi, spoglądając, jak jego odbicie rozpryskuje się w labiryncie kryształowych zwierciadeł. Sala była jasna, roziskrzona światłem, które zdawało się bić z głębi zwierciadeł, a stukot podkutych butów kapłanki Hurk Hrovke na posadzce z polerowanego srebra niósł się szeroko, bardzo szeroko.

Gdzieś za szpalerami zwierciadeł śnił Nur Nemrut.

Szczurak szybko złożył przysięgę oczyszczającą, a Nur Nemrut najwyraźniej nie ocknął się z drzemki, ponieważ zza lustrzanych ścian nie dobiegło ich nic prócz przyciszonego pochrapywania. Ano, zauważył zjadliwie Krotosz, prawią tutejsi kapłani, że w snach Nur Nemruta krzepną losy całego świata, że on wszelkie rzeczy zakryte widzi i osądza. Może i prawdę gadają, tyle że do czasu samo chrapanie słyhać.

- Jeszcze coś innego przydałoby się usłyszeć, skorośmy się w tym miejscu zesli - kapłanka Kei Kaella niecierpliwie stuknęła obcasem w - zwierciadlaną posadzkę. - Przystoi, aby się co poniektórzy z nas przysięgą z podejrzeń o uwarzenie owego nieszczęsnego incydentu oczyścili - urągliwie spojrzęła ku kapłanom Zird Zekruna.

- Srogie to oskarżenie - zauważył niechętnie gospodarz. - Łacniej podejrzzenia rzucać, ciężiej później dobrą sławę przywracać.

- Więc nie rzucamy i nie przywracamy, tylko zawczasu łeb plotce ukręcmy przysięgą - rzucił kapłan Morskiego Konia.

- Nie mogę przysięgać bez zgody opata - zafrasował się stareńki kapłan Cion Cerena.

- Nikt tego od ciebie nie chce, ojczy - uśmiechnęła się pobłaźliwie kapłanka Hurk Hrovke. - Ani ode mnie, bo, jak się zdaje, nasza czcigodna siostra zdołała już odnaleźć i osądzić winnych. Ale o tym chyba zapomniała, że myśmy wszyscy ślubem posłuszeństwa związani i bez porozumienia z kolegium kapłańskim żadnych przysięg składać nam nie wolno.

- Mnie tam przysięga nie wadzi! - tubalnie zaśmiał się kapłan Org Ondrelssena. - Czy mój pan dba o Góry Sowie? Pewno o nich ani słyżał!

- I ja przysięgnę chętnie! - zapalczywie dodała kapłanka Kei Kaella - A Pani wybaczy mi, bowiem nie dla siebie, jenó dla wspólnego dobra o prawdę zabiegam!

Kapłani poczęli przekrzykiwać się, jeden przez drugiego wrzeszcząc: "Przysięgać!" "Nie przysięgać!", aż w komnacie uczynił się okrutny hałas. Zza lustrzanych ścian dobiegło zbolełe jęknięcie, a szczurak przyglądał się kłócącym z nieskrywaną uciechą. Dzikusy, po raz kolejny pomyślał Krotosz, nieokrzesane dzikusy, o godność nie dbają ani obyczajność. Jakże to tak, bez wstydu żadnego, jak przekupki na oczach złego rajcować?

Na koniec, nie uradziwszy niczego, kapłani pospiesznie rozeszli się do swoich siedzib, by, jak przypuszczał Krotosz, spisywać raporty do rodzimych świątyń.

Co uczynią ci głupcy, pomyślał z niepokojem, kiedy wybuchnie wojna, bo przecież każdy widzi, że wojna musi wybuchnąć? I co uczynią ich bogowie, gdy Zird Zekrun wyciągnie rękę po kolejne ziemie? Czy znikną, jak niegdyś zniknęła Bad Bidmone Od Jabłoni?

Stare zarzewia nowych sporów, myślał Krotosz, wspominając zranioną dumę Morskiego Konia, któremu przed laty Zird Zekrun Od Skały wydarł kawał dna morza i obrócił w ciemną pomorską ziemię, oraz babskie kłótnie pomiędzy Zaraźnicą, Hurk Hrovke Od Szarańczy i Keą Kaella. Niech jeno złączą, pomyślał, a rozewrze się ziemia jak stara rana i pokolenia pogrzenie, nim na nowo się zblizni. Jak na początku dni, gdy lądy zamieniały się w popiół, a morza płonęły od gniewu bogów. Zły, zły czas, najgorszy.

Świat powoli chylił się ku zagładzie i nawet z Traganki szły zatrważające wieści. Przypomniat sobie ostatnie pismo z wielkiej świątyni i zakłuło go w piersiach. Konfratry pisali, że dri deonemem została niewiasta i za zgodą Fei Flisyon odpłynęła na poszukiwanie człowieka o imieniu Eweinren. Krotosz nie wątpił, że wkrótce wieść o kobiecie wędrującej z obręczą dri deonema na czole rozejdzie się szeroko, wystawiając sługi Fei Flisyon na pośmiewisko. Jakby mało było innych nieszczęść, jeszcze i dziewczka, zamruczał pod nosem. Dziewka z dwoma mieczami i złym u boku.

Wreszcie w głębi ulicy Na Zboczu błysnęła mu żółta fasada kantorku. Uwiązany do mosiężnego pierścienia w murze skrzydłom wygrzewał się leniwie. Jedwabista, błękitna sierść lśniła w słońcu, a nieco ciemniejsze, potężne skrzydła gładko przylegały do boków. Gdy cień kapłana padł na zwierzę, jego powieki uchylły się, bursztynowe źrenice zabłyśły i zgasły obojętnie. Krotosz zajrzał do środka, spodziewając się znaleźć jakiegoś wielmożę, ale poprzez skłębiony tłum zobaczył jedynie, że Jaszczyk zniknął, interes samopas zostawiwszy. Kapłan zacisnął zęby, postanawiając przy najbliższej okazji porządnie natrzeć mu uszu.

Ledwo otworzył drzwi, posługaczka wyrzała z kuchni, jak zwykle niedomyta i jak zwykle podpita winem, które beczelnie kradła mu z kredensu. Była to niewiasta słusznego wzrostu, czerwona i opuchnięta na twarzy. Jej bracia służyli w książęcych drabach. Razu jednego Krotosz wrócił dobrze po zmroku i od progu uderzył go w nozdrza ciężki odór baraniny duszonej z czosnkiem. Zamierzając porządnie babę złać, zszedł do kuchni. Czterech wielkich czarnobrodych zbirów poderwało się na jego widok od stołu, zaś posługaczka podetknęła mu pod nos garniec miejscowego kwaśnego piwa. Nie pamiętał, co się zdarzyło owego wieczoru, ale nad ranem obudził się przy palenisku, z nogami w popielniku i szatą powalaną na wpeł przetrawioną baraniną. Odtąd nie miewał zatargów ze strażą miejską i choć po trochu bał się posługaczki, nie śmiał jej odprawić.

- Jaszczyk czeka was na wykuszu - powiedziała, podpierając się pod boki. - I pannica jakaś, co ją sobie przyprowadził - dodała cierpko.

- I wyście na to zezwolili? - spytał z niedowierzaniem. - Byle przybłądę do domu wpuściliście?

- Ja tam nic nie wiem! - oburzyła się posługaczka. - Ja prosta kobieta jestem. Drzwi sami

otwarli, toż im wejść bronić nie będą. Sok rozkazali podać, to podałam. A skąd mnie wiedzieć, komu wejść bronicie?

No, dosyć, zdecydował Krotosz, przebrała się miarka pobłażliwości. Wybiegł na wykusz, zamierzając niezwłocznie wykląć marnotrawnego syna i wypędzić go precz na zawsze. Lecz to, co ujrzał, sprawiło, że musiał oburącz uchwycić się oplecionej różanymi pnączami kolumnienki.

Odziana w biel niewiasta omiotła go spojrzeniem. Jej oczy były zielone pod obręczą dri deonema. Jaszczyk zaś, widząc zwietrzywszy, na co się święci, skurczył się w sobie i przygarbił. Położył na stole rozpieczętowane pismo z Traganki i usiłował wymknąć się ukradkiem.

- A ty gdzie? - ostro zagadnął go kapłan. - Dokąd ci tak spieszo?

- Idź - rzuciła cicho zielonooka. Chłopak zawahał się nieznacznie, skulił jeszcze bardziej i uciekł.

Krotosz widział wielu dri deonemów, bo też żaden dłużej niż parę lat na stolicy Fei Flisyon nie wytrwał. Niektórych pamiętał lepiej. Białowłosego pirata, który przechwalał się, że własnymi rękami wypatroszył władcę Żalników. Skalmierskiego księcia, na którym powiadano, że ułożył się po cichu z buntownikami i wydał im ojca dzisiejszego pana półwyspu. Potężnego zbója grasującego niegdyś w Łysogórach. Miał on zwyczaj przyginać czubki dwóch młodych gibkich sosen i przywiązywać do nich podróznym, aż drzewa, rozprostowując się, rozdzierały ich na strzępy.

Zielonooka dziewczyna w długiej płóciennej sukni w milczeniu obrywała liście pnącej róży. Jej twarz była blada, czysta i bardzo spokojna, i nie wiedział, jakimi słowami ją przywitać. W liście z Traganki napisano mu, że wędruje z jasiołką i nosi dwa miecze. Przypuszczał więc, że będzie podobna do servenedyjskich wojowniczek o twarzach pokrytych splotami tatuaży, dzikich i niepojętych, bardziej zwierząt niż ludzi.

Nic nie przygotowało go na podobne spotkanie.

- Wyświadczyć mi łaskę - odezwała się pierwsza - i wyślijcie zaufanego do gospody Pod Wesołym Turem, zostawiłam tam towarzyszy. I lepiej - dodała - niech nikt nie zobaczy, jak wchodzi do waszego domu.

- To wolne miasto - ocknął się Krotosz. - Nikt krzywdy ani wam, ani waszym towarzyszom nie uczyni, żadne tajemnice czy skradania niepotrzebne. Nie kochają nas tutaj, nie bardziej niżli w innych miastach niewiernych. Ale w biały dzień po ulicach chadzamy spokojnie.

- Jak wolicie - odparła bez zmieszania. - Tyle tylko, że to wiedźma i Twardokęsek, zbój z Przełęczu Zdechłej Krowy, możecie o nim słyszeli, sławny tu niegdyś bywał. A i to jeszcze - ciągnęła, przypatrując się bacznie pobladłemu nagle Krotoszowi - na uwadze miejcie, żeśmy z Gór Żmijowych w nocy zeszli.

- Bogowie! - wyszeptał zdrętwiałymi wargami.

- Nic od was nie chcę ponad to, co mi na Tragance obiecano - pokazała na rozpieczętowane

pismo. - A co wam się zda stosowne, wiernie opiszcie. Tam wieści czekają, a mnie za jedno.

Przez chwilę bezmyślnie obracał list w palcach, a potem przebiegł pismo wzrokiem: "Żagiew, od której wielu może zgorzeć... ogień wędrujący przez krainy niewiernych... strzeżcie się tego, co ma przy boku, i tego, co za nią idzie..." i przeraził się, że oto przestrogi poczęły się wypełniać.

- Lepiej się wam w takiej kompanii nie pokazywać - rzekł niespokojnie. - A zwłaszcza nie po tym, jak zwierzołacy popod samą Spichrza miasteczka dwa wymordowali. Ludzie tu zapalczywi, nieobyczajni. Pewno już po placach powroźnicy wiedźm wypatrują. Jeszcze im się uroi, żeście ze złym w znowie. Po prawdzie to zdałoby się wam jak najszybciej ze Spichrzy wyjechać.

- Rychło - uśmiechnęła się. - Rychło się mnie pozbędziecie. Przeczekać tylko chcę, póki wasz pacholik nie wróci.

Bogowie wiedzą, pomyślał ze strachem Krotosz, co ona temu postrzeleńcowi, Jaszczukowi, do głowy nakładła, bo przecież jakby mu kto soli na ogon nasypał, pognał do miasta. I niech no się tylko wyda, że tu wiedźmę przechowuję, jak wesz mnie ogniem umorzą.

- Nie obawiajcie się, wiedźma wywarem z szaleju i bieleńki napojona i zmordowana - dziewczyna jakby odgadła jego zmartwienie. - A jeśli Jaszczuk ktoś przed księciem o znowę ze złym oskarży, to się go wyprzyjcie i złodziejem okrzyknijcie, bo złoto będzie miał wasze po kieszeniach.

Krotosz ledwo powstrzymał jęk bóleści. Toż łajdak, niecnota, pomyślał gorzko, bez wielkiego zachodu go nakłoniła, żeby otworzył skarbczyk. Przygarnie człek takiego, w ucziwości, jak własnego chowa... Wszystko nic to. Starczy, by dziewczyna kuprem zakręciła.

- Ludzi tutaj nie znacie - pot mu spływał po karku grubymi kroplami. - Skoro się nadarzy sposobność zarazem i nas z miasta wygnać, i wzburzonemu motłochowi zdrajcę podsunąć, co się ze szczurakami cichaczem zmawiał, księżę Evorinth skwapliwie dwa ptaszki za jednym zamachem ustrzeli. Nie, chłopaka tak długo małodobry szczypcami szarpać będzie, aż wszystko im wyśpiewa. I to, co widział, i to, co jako żywo nigdy na świecie nie bywało. Czym wyście mu w głowie zamieszali, że tak do reszty zgłupiał?

- A jaka to sztuka gołowasowi rozum pomącić? - spytała oschle. - Jeśli on wam drogi, to go ze Spichrzy co prędzej wyprawcie, ja czasu na miłosierdzie nie mam. Znużona - dodała - a w gospodzie tyle tylko, że kurz zmyć z siebie zdążyłam. Każcie kąpiel przygotować. Niech sługa wasza myśli, że dziewczkę wszeteczną wam Jaszczuk sprowadził.

Krotosz posiniał. Nie było mu tajne, że w Spichrzy powszechnie łaźnie za zamtuzy służyły i miejsca sekretnych schadzek. Co urodziwsze z łaźbeniczek często po domach mieszczan nawiedzały i nikt się temu nie dziwował. Czasami tylko księżę pan edykty wydawał, solennie przykazując, by niewiasty łatwej sławy suknię złotymi pasami zdobiły. Z czego się wielce naigrywano, a hultajstwo lektyki książęcych dworek podobnymi pasami przystrajało. Najbardziej pani Jasenki.

- Lepiej, żeby ludzie sprośne gadki powtarzali - uśmiechnęła się krzywo - niż żeby was przed

murami książę Eivorinth na pal wbić kazał. Słudze zapłaćcie, żeby gębę trzymała zawartą, to żadne w niej podejrzenie nie postanie. W łaźni swobodniej porozprawiamy. No, idźcie - niemal wypchnęła go za drzwi. - Tylko wiedźmy i Twardokęska, Derkaczem się teraz zwie, nie zapomnijcie sprowadzić. Powiedzcie, że posyła was Szarka.

Nie wiedzieć czemu, Krotosz był pewien, że dziewczyna nie ustąpi. Zeżłony kazał przywołać Łyczka. Chłopiec jak zwykle był umorusany i Krotosz widział, że tylko czeka, by coś zwędzić.

- Pobiegniesz go gospody Pod Wesołym Turem - przykazał. - Najdziesz człeka o imieniu Derkacz i tu go przywiedziesz. Będzie przy nim niewiasta, trochę na umyśle słaba. Ją też przyprowadzić należy. A jakby się zapierali, tedy powiedz, że pani Szarka cię posyła. A prędeż - dodał w nagłym przeblysku - dokładnie się o nich u karczmarza rozpytaj, kto oni i skąd przychodzą. Dług spory będą owej pani Szarce własnym majątkiem świadczyć, tedy trzeba się dokładnie wywiedzieć, czy to ludzie stateczne, a nie, uchowaj bogini, jakieś powsinogi.

- Gospoda Pod Wesołym Turem, Derkacz, pani Szarka - rażno powtórzył chłopak i wybiegł, chwytając w locie miedziaka.

Ze służebną nie poszło Krotoszowi równie łatwo. Słyszając, że dwie kadzie w łaźni trzeba przygotować, kobiecina podparła się pod boki i zarechotała:

- A, to taką pannicę Jaszczyk wam sprowadził! Tak mi się coś zawsze widziało, że jakeście do miasta latali, to nie po to jeno, aby pergaminy pisać. Niech co chcą po kramach gadają, ja swoje wiem. Chłop to jest chłop, choćby i nie nasz, nie tutejszy, i swego użyć musi. I po co to było kręcić, w żałobne szatki dziewczkę odziewać? Czy to ja głupia jestem? - zaśmiała się rubasznie i klepnęła Krotosza po plecach.

Kapłan zmełł w zębach przekleństwo. Trzeba będzie babę odprawić, w domu jej nie ścierpię, zdecydował ze złością i poczłapał do alkierza w głębi domostwa, gdzie miał schowane najcenniejsze listy i kwity zastawne. Obawiał się bowiem, czy aby zielonooka dziewczyna tak dalece Jaszcykowi we łbie nie zabełtała, że i te jakimś sposobem zdołał wykraść. Pieniądza, myślał, dużo w kapocie Jaszczyk wynieść nie mógł, ale z listami inna sprawa zgoła. Toż jak by się one jawnie okazały, na samo dno wieży książę by mnie wtrącił.

Jednakże leżały spokojnie w żelaznej skrzyni. Ledwo zamki na powrót zamykał, dobiegły go nawoływania posługaczki. Baba czaiła się u podnóża schodów, ciężko oparta się o ścianę pomiędzy dwoma drewnianymi cebrzykami.

- Skoro kąpiel gotowa - powiedział szybko - tedy nie będę was dziś więcej potrzebować. A to - wcisnął jej w garść kilka monet - żebyście się przed snem czym rozgrzać mieli.

- Teraz to prawie jak jeden z naszych gadacie - rozpromieniła się. - Zawszy mówię, że trza się co wieczór gorzałeczką z lekka zaprawić. Od tego i rozum jaśniejszy, i choróbsko się żadne człeka nie czepi. Ale, myślę sobie, wam podpalanka dziś potrzebna nie będzie - zarechotała na pożegnanie.

Przez chwilę słyszał, jak człapie po schodach, cebrzyki obijały się z głuchym dźwiękiem po

ścianach. Gdy wreszcie upewnił się, że odeszła na dobre, wśliznął się do łaźni.

Zanurzona po szyję w parującej wodzie Szarka wskazała sąsiednią kadź.

- Wchodźcież - zachęciła, rzucając mu świeżo wyparzone winniki.

- Zda się, że dość już tej maskarady - rozłożył na zydlach wykrochmalone płócienne prześcieradła. - I tak służka niechybnie po mieście rozniesie, że dziewczki po kryjomu sprowadzam.

- Nie po to się rozdziałam - odparła - żeby teraz ktoś zobaczył, jak się na mnie z drugiego krańca komnaty z rozdziawioną gębą gapicie. A balię jeszcze bliżej podsuńcie, żebyśmy nie musieli do siebie krzyczeć. Skąd o szcurakach wiecie? - podała mu mydło. Białe ramię łysnęło spod wody, odsłaniając zarys obojczyka.

Pospiesznie odwrócił oczy i zaczął opowiadać jej o naradzie w świątyni Nur Nemruta. Słuchała w rozchylonymi ustami. Strużki wody ściekały po jej policzkach.

- Kto ich mógł podburzyć? - spytała na koniec. - Któryś z ludzi Evorintha?

- Żaden by się nie poważył przedsięwzięcowych w doliny ściągać - potrząsnął głową. - Za dobrze pamiętają, co się tu kiedyś działo, nim jeszcze pokój nastał. Nie, nie na dworaków Evorintha głowę taki spisek. Tu wyżej zdrajcy szukać trzeba.

- Jak wysoko?

- Bardzo wysoko - odparł szeptem, a ona nie naciskała więcej. Przygryzła w zębach kosmyk mokrych włosów i powiedziała:

- W gospodzie nas nocką zaszli. Mrowie takie, że gdyby ich wiedźma ogniem nie wygubiła, ani kosteczka by nie została na ślad, żeśmy tamtędy szli.

W lot zrozumiał, co chciała mu podsunąć.

- Nie wy jedni tą drogą szliście - sprzeciwił się.

- Prawda - przyznała - nie ja jedna.

Łuczywo zasyczało przeciągle. Słaby ogienek dopalał się jeszcze przez chwilę, a potem zgasł. Onegdaj baba pochodnie kupować poszła, przypomniał sobie Krotosz, i już na schodach ciemno, a w piwnicy jeno dwie żagwie. Znów mnie zdzira okradła.

- Opowiedzcie mi - poprosiła szeptem, woda w jej kadzi chlupotała z cicha - o Annyonne. Aż wzdrygnął się ze wstrętu.

- O tym nie tylko mówić, ale i myśleć się nie godzi - warknął przez zaciśnięte zęby. - A gdyby i na to przyszło, to podobna wiedza tylko wielkiemu kapłanowi przystoi.

- Posłańca na Tragankę z zapytaniem ślać radzicie, kiedy mnie tu zaszlachtować jeszcze dziś mogą? - spytała zgryźliwie. - Zaiste, piękna to pomoc i piękna porada. Póki życia się wam nie wypłacę.

Z dala coś załomotało donośnie i Krotosz poderwał się z kadzi. Chciał chłopaka na schodach przydybać, ale ledwo zdążył się okręcić prześcieradłem i wsunąć chodaki. Zziajany Łyczko wpadł do łaźni, poślizgnął się na wilgotnej posadzce i omal nie przewrócił u stóp kapłana.

- No, gdzie tak bez opamiętania bieżysz? - przytrzymał go Krotosz.

- Bo wy, panie, jeszcze nic nie wiecie, jakie nieszczęście na nas przyszło - wykrztusił chłopak. - Szczuracy nocką z gór zesłi, ni żywa dusza się przy gościńcu za Modrą nie ostała. A teraz pono z wielką siłą na nas ciągną. Tylko patrzeć, aż nasz dobry pan Evorinth wsiadanego odtrąbić każe, bo zaciekłość w ludziskach taka, że sami się rwą na Góry Sowie. Co przedniejsi mieszczyani z ratusza do cytadeli posłali, żeby księżę nie zwlekając, zbrojnych ścigał. Miasto też dwie chorągwie opłaci. A pan Wiórkowy, ten, co ma dwie kamienice na samym rynku, sam z siebie milicję zbroić zaczął. Córkę mu pono jedynaczkę plugawi zadusili i dziecko przy niej maleńkie.

- Wszystko to pięknie - przerwał Krotosz - aleś ty miał ludzi z gospody sprowadzić, a nie po targowisku plotki zbierać.

- To ja właśnie o tym - urażonym głosem odparł Łyczko. - Jak kazaliście, prosto Pod Wesołego Tura pogałem. Derkacza nijakiego nie było, tylko księżęcych pachółków co niemiara. Wiedźmę tam rozpoznali i to się też jasno okazało, że ona ze zwierzołakami w zмовie ludzi gubiła.

- Jakżeż ją rozpoznali, skoro się tam ni żywa dusza nie uchowała? - złośliwie zagadnął kapłan.

- Bo po wiedźmie jak po kleszczu, zawsze poznać można, kiedy się krwi opije - objaśnił z przejściem chłopak. - Ta niemało widać pobroiła, bo trzech ją pachółków z gospody wynosić musiało, taka jeszcze była tą krwią nabrzmiąta i spuchła. A jedna niewiasta z księżęcymi przyszła, co pono wszystko widziała i zaświadczyć może, że wiedźma i jej zauszniak, bo był tam przy niej chłop, wielki i na gębie czarny, pewnikiem nie z ludzkiego nasienia, tych ludzi mordowali. Ciżba wielka jeszcze była, pachółkowie gości przepytywali, alem ja Lipnika wypatrzył, co w stajniach służy - dodał z dumą. - I ten mi rzekł, że ludzi tyle na święto do miasta zeszło, że gospoda po brzegi wypchana. Lite dwa grosze tam teraz płacą za byle kęsek słomy we wspólnej izbie, na klepisku. O Derkaczu nic nie słyszał.

Z nagła Szarka wyłoniła się z mrocznej głębi łaźni. Bosonoga, samym tylko prześcieradłem owinięta, z mokrymi splotami włosów na plecach. Łyczko wytrzeszczył ślepie.

- Przypomnij sobie - przyklękła przy chłopcu i położyła mu dłonie na ramionach - kto zacz ta niewiasta, która pachółków księżęcych sprowadziła.

- A skąd mnie wiedzieć? - chłopiec gapił się na nią ż przestraczem, jak na zjawę. - Dużo się tam o nią rozchodziło, bo w zamieszaniu jakoś odkręciła się i zniknęła. Jedni powiadają, że ze strachu, by jej nie zauroczyła, a drudzy mówią, że i ona sama wiedźma.

- Nic się nie bój - Szarka odgarnęła mu z oczu płuwe skołtunione włosy - tylko całą prawdę mów. Jakbyś przed samym księciem panem stał.

- Wyście od naszego pana Evorintha? - jeszcze bardziej przestraszył się Łyczko.

- Od niego samego, Jasenka mnie wołają - odparła miękko.

Krotosz ledwo co powstrzymał jęk, słysząc, jak Szarka podszywa się pod wszechwładną faworytę. Lecz na brudnym obliczu Łyczka pojawił się wąty przebłysk zrozumienia.

- Cytadela gości pełna. Księżniczka pomiędzy nimi z Żalników i Zird Zekruna Od Skały kapłanów przy niej gromada - łagodnie tłumaczyła Szarka. - Zaszczyt to wielki i honor niemały, lecz lęka się pan nasz dobry, aby kto w tym zamęcie bezceństwa jakiegoś nie uczynił. Może być, że tamta niewiasta zacna, która ją książęcym wskazała, i o innych sprawach wiadomość mieć będzie.

- Lipnik ją widział - powiedział Łyczko. - Niecałkiem stara jeszcze białogłowa, mówił, ale brudna i obdarta, jak żebraczka, i wielce przerażona. Nie dziwota też, że uciekła, bo jak ją wiedźma ujrzała, strasznie krzyczeć zaczęła i wygrażać.

- Dużo krzyczała?

- Jako to u wiedźm we zwyczaju - odparł skwapliwie. - Kto by ją wyrozumiał? Kiedy zobaczyła tamtą drugą niewiastę, to aż się ludzie przelękli, że mimo pachółków do niej przyskoczy. I to jeszcze tamtej przepowiadała, że znamię śmierci na jej czole widzi, że z psami pospótek, choć gorzej niż pies zdychać będzie, i że z psami jej ścierwo rzeką popłynie. Potem nic już wiedźma nie krzyczała - dokończył pod ponaglającym spojrzeniem Szarki - bo jej jeden pachółek, bardziej widać od innych krewki, w gębę pięścią przyłożył, zęba wybiwszy. A niewiasta zniknęła. Kapłanów tam było z tuzin i oni się tym zniknięciem wielce zeżlili.

- Dobry z ciebie chłopiec - dziewczyna podniosła się z klęczek - i niechybnie księciu powiem, jakoś nam pomógł.

- Ja bym jeszcze nie tak się księciu przysłużył - rzekł zapalczywie chłopiec. - A o was ani słowem nie wspomnę, choćby mnie szczypcami rwać mieli - zarzekł się w drzwiach.

* * *

- Powroźnicy bez zwłoki posłali do świątyni - wyjaśnił Mroczek. - Zważ, Twardokęsek, nie prosili o radę księcia jaśnie pana, choć niby jemu służyć mają, ale kapłanów Śniącego. I w sam czas, bośmy właśnie z Ciecierką do Spichrzy zjechali. Prosto do kąciny Zird Zekruna, co popod samymi murami miejskimi postawiona. Anim wytchnąć zdołał, jak nas do twojej gospody powlekli. Dobrze, że po ziołach, które mi u szcuraków na ranę kładli, nieco mi we łbie pojaśniało. Choć i tak zesłałem okrutnie.

- Czerwone skalmierskie na upływ krwi najlepsze - poradził mu zbójca. - Nie ten cienkusz, co się nim raczymy. I oczywista nie jeden bukłak.

- Jest i czerwone skalmierskie - Mroczek wyciągnął z sakwy opleciony wikliną gąsiorek. - Nie wiedzieć, czyli z niego jakowy pożytek na upływ krwi, ale że twoje ulubione, tegom pewien. Twoje zdrowie, Twardokęsek - łyknął i usłużnie przystawił zbójcy gąsior do gęby, bowiem wraz z upływem trunku wpadał w coraz serdeczniejszy nastrój. - Jakbyś ty mnie wczora lepiej sztyletem zmacał, pewnie byś ninie moje pogrzebowe pił, ale ja ci to z serca wybaczam - i na potwierdzenie owych słów zatoczył ramieniem szeroki łuk, zachlapawszy winem i siebie, i zbójcę. - Dobry byłeś herszt, Twardokęsek, najlepszy. Złości do ciebie nie będę chować. Ja zawdy byłem za tobą.

Twardokęsek chrząknął nieznacznie. Znakomicie pamiętał, jak Mroczek buntował przeciwko niemu kamratów, ale rozmarzony trunkiem handlarz bławatny coraz serdeczniej wspominał dawne czasy, bełkotliwie nucił jakieś sprośne przyspiewki z Przełęczu Zdechłej Krowy, a na koniec zaczął się zwierzać zbójcy ze swych nieszczęść.

- Jakem ja ciebie w onej gospodzie wedle więdmy zoczył, a zrazu cię rozpoznałem, boś bardzo chwacko przeciw książeńcym pachółkom stawał, to już wiedziałem, że my oba w gównu po uszy wpadli. Bo i ja u tych pomorckich zatracenców jako w niewoli. Ale uradowali się niezmiernie, kiedy rzekłem im, żeśmy pospołu na Przełęczu Zdechłej Krowy zbójowali. I zaraz mnie wypytywać poczęli, ktoś ty i jakim sposobem do tej ryżej dziewczki przystałeś. A Ciecierka, żeby go zaraza wydusiła - splunął przez ramię - zaczął wrzeszczeć, żeś zdrajca i żeby mi szyję urzezać.

- Kurwi syn - zgodził się zbójca.

- Szczęściem niewielkie ma wśród tutejszych poważanie. Niby do Zird Zekruna przystał i cierpieć go muszą, ale coś niechętnie na niego patrzą.

- Kto jednego pana porzucił, ten i drugiemu wiary nie dochowa - sentencjonalnie rzekł Twardokęsek. - Toż on zwyczajny odstępcą. Zaprzaniec.

- Gorzej - oznajmiła przywiązana do ławy tortur więdma. - Jego teraz Zird Zekrun jak wosk może w palcach urabiać. Przecież on opętany.

Twardokęsek rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, ale trunek najwidoczniej zdążył Mrocza udobruchać, bo tylko wzruszył ramionami i spytał łaskawie:

- Czego?

- Ciecierkę Zird Zekrun opętał - powtórzyła niebieskooka niewiastka. - Toż widać. Baczcie, by się i wam nie przytrafiło.

- Jakże to? - zaniepokoił się Mroczek.

- Dość, by was który z kapłanów piętnem skalnych robaków naznaczył - wyjaśniła. - Ale najgorsza, że kiedy na nic więcej się bogowi nie nadacie, wtedy was owe skalne robaki ze szczętem zeżrą. Ani garsteczka ścierwa się nie ostanie. I bardzo dobrze - dokończyła zajadle. Mroczek

wytrzeszczył oczy.

* * *

Szarka z roztargnieniem przeczesywała mokre włosy. Sztywne, wykrochmalone prześcieradło Krotosza miękło już na niej od wilgoci i układało się w coraz łagodniejsze fałdy.

- Jasenka? - rzucił z przekąsem. - O głowę od was ona mniejsza, na gębie smagława i włosy też ma ciemniejsze. Przy tym, cóż ona by u mnie w łaźni robiła ni giezłem nie okryta?

- Co niby miałam powiedzieć? Że wiedzieć chcę, kto mi wiedźmę zmarnował? Że mnie teraz sposobu trzeba, by ją z cytadeli dobyć? Dla chłopaka wyście wielki świat, we wszystko uwierzy, bez różnicy.

Teraz dopiero Krotosz przeraził się na dobre. Niech no tylko wyjdzie na jaw, pomyślał, żeśmy wiedźmę uwolnili z wieży, a żadne z nas głowy na Tragankę nie uniesie.

Szarka ze zmarszczonymi brwiami skubała skraj prześcieradła. Włosy na jej skroniach przeschły i poczynąły skręcać się w drobne pierścienie.

- Spichrza nie Targanka. Tu niewiernym schlebiać trzeba a nisko się kłaniać - ostrzegł ją. - Jeśli nie z roztropności, tedy z szacunku dla Fei Flisyon wiedźmę własnemu losowi zostawcie. Pomóc jej nie zdołacie, tylko i nas, i siebie zgubicie.

- Wy jak dziecko - uśmiechnęła się krzywo. - Czy nie widzicie, że ktoś na moje życie nastaje? Że nie bez przyczyny trud sobie zadał spośród wszystkich, co do miasta ściągnęli, wiedźmę jedną wyłuskać?

- Mogło się przytrafić, że ją kto rozpoznał - sprzeciwił się Krotosz.

- Nie mogło. Samiście rzekli, nikt z miasteczek nie uszedł. Nikt więc wiedźmy nie widział, jak ze zwierzołakami wespół ludzi mordowała. Nie, jedna tylko niewiasta wydać nas mogła - jej oczy błysnęły w półmroku. - I jak ją odnajdę, to mi się ze wszystkiego skrupulatnie wytłumaczy.

Nieprzyjemny dreszcz przeszedł Krotoszowi po krzyżu.

- Może się wam o uszy obilo - ciągnęła - czy tu gdzie jakiegoś Psiego Źródła nie znają? Albo Psiego Strumyka, albo jakiegoś innego miejsca, gdzie by i psy, i woda była?

- Wy naprawdę wiedźmich bredni słuchać zamierzacie? - Krotosz w osłupieniu wyłamywał palce. - Wždy wiedźma głupia, sama nie wie, co gada.

- Was wierzyć nie zmuszam. Ale pomyślcie, ilu takich mądrych i przemyślnych niedowiarków szczuracy zagryźli tejże nocy, gdy nas wiedźma z opresji wywiodła. Miałam spokojnie na Jaszczyka

poczekać, ale teraz widzę, że co prędzej trzeba mi ruszać. Bo kiedy wiedźmę w wieży trzymają, to i o mnie wiadomość szybko mieć będą. Chciałam do was niepostrzeżenie przybyć. W przebraniu. Ale teraz nie czas kryć się i w maskarady bawić. Juki mi od skrzydłonia przynieście.

- I co? - spytał z przekąsem. - Na ulicę wyjdziecie, przeciwko księciu ludzi burzyć? Czy samopas Wiedźmiej Wieży dobywać będziecie?

Zimne, zielone oczy zabłyśły i Krotosz pospiesznie zaprzestał kpin. Pamiętał, jak na Tragance, wiele lat temu, dri deoneme ni z tego ni z owego wpadł w szal. Zanim niewolnicy zdołali go powstrzymać, wyrznął na oślep dobry tuzin błagalników bogini.

Skrzydłom wciąż drzemał na słońcu. Gromadka gapiów przyglądała mu się ciekawie z drugiej strony ulicy. Mógłby kark skrócić jednym uderzeniem skrzydeł, pomyślał Krotosz, z trwogą dotykając grzbietu zwierzęcia. Skrzydłom zaświergolił, odsłaniając rzędy ostrych zębów, bursztynowe ślepia spoglądały na Krotosza poprzez długie rzęsy. Kapłan szybko cofnął rękę.

Toboły Szarki były zadziwiająco ciężkie, lecz nim zdołał o cokolwiek spytać, dziewczyna wydarła mu je z rąk i zniknęła za parawanem.

Kiedy wychynęła z powrotem, odziana była prawie jak jedna z najemniczek, co się ostatnimi czasy ze wszech stron zbiegały do Spichrzy, zwabione wieściami o rychłej wojnie. Wdziała na grzbiet coś niby nabijaną ćwiekami tunikę, brudną i osmaloną, aż strach brał. Nosiła też dwa zakrzywione miecze w czarnych pochwach, podobne owym szabelkom, w których Servenedyjki się lubują, choć bardziej okazałe. Nogi miała w wąskich, skórzanych nogawicach, biodra ledwo przesłonięte postrzępioną spódniczką. Południowym zwyczajem, powieki barwiczką umalowała, a omotana na szyi chustka kłuła oczy czystym szkarłatem.

- Ujdzie - pochyliła się, zatykając sztylet za cholewę buta. - Dostyc się tu najemniczek kręci. Skrzydłonia w ogrodach u was wolno puszczyć. Róże pewnie ucierpią, ale zwierz bezpieczniejszy będzie, niżby miał na gościńcu czekać.

- Co dalej zamierzacie? - spytał z niepokojem.

- Przejdę się zaułkami - jej misterne, srebrne kolczyki pobrzękiwały przy każdym słowie. - W jakiejś karczmie o to psie miejsce rozpytam. Wierzę, że wiedźmy na stos na gwałt nie powleką, że ją pierwszej badać będą i żywą jeszcze zastaną.

- Toć nie licuje, sami pojmujecie, że nie licuje! - zaperzył się Krotosz. - Jakże to? Obręcz dri deonema nosicie! Warn nie uchodzi jak jakiej kortezance po gospodach się włóczyć! Was pokornie u bram winni witać, nisko się kłaniać a po szkarłatnym suknie do księcia na zamek prowadzić!

- Kuszące! - zaśmiała się - Ale ja już po szkarłatnym suknie chadzałam, mierna rozkosz. Księcia Evorintha też nie ciekawam. A tak, może co przydatnego usłyszę, nie uwierzylibyście, ile ludzie po gospodach gadają. Czy wy mnie za głupią macie? - podjęła zmienionym głosem. - Czy też chcecie, żebym po tym czerwonym suknie prosto w kleszcze wlażała? Myślicie, że pošlecie potem na Tragankę pisanie, że głupia była dziewczka, usiekli ją, łatwo przeboleć? A wam, myślicie, że

wszystkim darują, po tym krasnym suknie do bram powiodą i na Tragankę wyprawią? Z obręczą dri deonema w garści? Tedy głupiście - hardo zadarła brodę. - I z gruntu nieprzydatni.

Ma rację, pomyślał niechętnie Krotosz, ma rację niezawodnie. Na Tragance mnie nie o wiedźmę i zbójcę rozpytywać będą, jeno czemu dziewczka samopas w miasto poszła.

- Lepiej wam Psi Wykrot pokażę - zdecydował z ociąganiem - skoro was od tego odwieść nie potrafię. Ruczaj tam płynnie, brudy ludzie do niego z całego miasta znoszą, odkąd zaraza porządnie miasto przetrzebiła i księżę pod grzywną zakazał nieczystości na ulice wywalać. Psów się zdziczałych gromada zawdy przy nich kręci. Plugawe jest miejsce, ale jak was to ma uszczęśliwić, tedy chodźmy. Choć nic z tego wiedźmiego gadania nie przyjdzie - zastrzegł się.

Poprowadził ją rozpaloną ulicą w dół Jaskółczej Skały. Dziewczyna śmiało strzelała oczami, bezwstydnie, ale po prawdzie nie było na co patrzeć. Domy stawiano prawie jednakie, trzypiętrowe, o grubych murach z jasnego łupka i wąskich, dla upału na głucho zatrzaśniętych okienkach. Gdyby co bogatsi nie kryli ścian białą, marmurową kostką, ciężko byłoby rozpoznać, który dom zasiadacza, co w ratuszu radzi, a gdzie się biedota gnieździ. Rozmaite były tylko drzwi, czy raczej bramy wielkie pod ciężkimi portalami, kute w żelazie przez kopiennickich kowali. Im kto znaczniejszy, tym brama ozdobniejsza, niektórzy całą niemal historię Spichrzy mieli na niej przedstawioną, począwszy od objawienia Nur Nemruta.

W miarę jak schodzili niżej, bruk stawał się nierówny, a gdy weszli do Krowiego Parowu, zniknął bez śladu pod piachem i nieczystościami. Ta część miasta spłonęła doszczętnie w wielkim pożarze i gdzieniegdzie wciąż pozostały stare, dobrze już porośnięte dzikim koprem zgliszcza. Pomiędzy nimi, ledwo co widoczne spod krzaków czarnego bzu i akacji, czerniły się niskie, byle jak sklecone chaty. Mieszkały w nich servenedyjskie wojowniczkę ze straży świątynnej: jak zwykle, stroniły od ludzi Spichrzy.

Minęli niską szopę, z wyglądu drewnianą, dziwacznie przystrojoną obdartymi ze skóry krowimi łbami, przy których uwijały się roje much. Wokół cuchnęło potwornie nieczystościami i nadpsutym mięsem. Dwa żółte kundelki zajadle wyrywały sobie resztkę wnętrzości. Krotosz nie dostrzegł znaków cechowych, widać partacka to była jatka, ale też nie spodziewał się, by szlachetny cech rzeźników, który wszak w dostatki opływał i niezgorzej samym starostą kręcił, przyznał się do tego obejścia.

- Darz bóg, siostró - zarechotał zza uchylonych drzwi łysy mężczyzna w zakrwawionym skórzanym fartuchu. - Spiekota dziś potworna, może piwka łykniecie? - wyciągnął przez próg kufel. - A może i zajęciem nie pogardzicie?

- I wam niech się dzionek darzy - otarła pianę z ust. - Dzięki za napitek, a co do innych rzeczy, tom do zmierzchu opłacona.

- Dzionek szybko mija. Nocką w gospodzie Kurzejnóżki o rzeźnika pytajcie, nie pożałujecie.

Kiedy tylko minęli szopę, rozbawienie zniknęło z jej twarzy jak starte gąbką.

- Widzicie, ile pożytków, jak się szarszun przypasze? - wykrzywiła się cierpko. - Zajęcie do rąk samo się pcha na gościńcu.

Minęli Bramę Sienną. Dwóch pijanych hycli drzemało w rowie przed koślawym budynkiem, siedzibą rakarskiego cechu. Krotosz przyspieszył kroku. Szli ścieżką pomiędzy wysokimi krzakami rzepów i czarnego bzu. Na dołach pełnych przegniłych odpadków wygrzewały się zdziczałe psy. Duży, czarny kundel o wystających żebrach wyskoczył na drózkę. Powąchał rękę Szarki i nieoczekiwanie polizał czubki palców. Twarz kobiety złagodniała. Pochyliła się, potargała zmierzwioną sierść na grzbiecie psa.

Zwierzę popatrzyło na nią mądrymi żółtymi oczami i utykając na przednią nogę, pokuśtykało w chaszczce. Krotosz podkasał tunikę i syknął, gdy kępa turzycy smagnęła go po gołych łydkach. Wyschnięte zielsko szeleściło pod nogami, znad wykrotów podrywały się roje ociężałych, wielkich much. Potknął się, niemal upadł, gdy jedna wpadła mu wprost do oka.

Pies przystanął. Nisko, przy samym strumieniu coś zaskomlało. Szarka podkradła się cicho, rozgarnęła nawis pożółkłej trawy, przyklękła na skraju skarpy. Pokryta zaschniętym błotem, trawą i pędzonymi wodą patykami kupa szmat drgnęła, zaskowytała.

Pies zamarł, podkurczywszy zranioną nogę.

Dziewczyna wyjęła sztylet zza cholewy i lekko dźgnęła oklejoną mułem postać.

- Znalazłaś... mnie... - zacharczał słaby głos - wiedziałam...

- Morwa? - Szarka zaczęła odsuwać powalane mułem szmaty. - Co z tobą, Morwa?

- Zostaw... - poprosiła tamta. - Wiedźma... wiedziałam...

- Dlaczego? - spytała, cofając ostrze. - Dlaczego wydałaś wiedźmę?

Przez chwilę nie dobiegło ich nic, prócz świszczącego oddechu.

- Piętno... - wyjęczała Morwa z wysiłkiem - z klasztoru... brunatne piętno... zapłata... - zachłysnęła się. - Poszłam do wieży... powroźnickiej... a potem... dotknął mnie... tylko jednym palcem... - odpowiadała z coraz większym trudem. - Boli... potwornie boli... - poskarżyła się.

- Kto cię dotknął?

- Piętno... kapłani... boli... tak strasznie boli... - jej głos przeszedł w rżenie.

Szarka zawahała się nieznacznie i ściągnęła sztyletem szmaty.

Prawą połowę twarzy kobiety pokrywała falująca, oblepiona krwią i śluzem gęstwa brunatnych robaków. Głos dobywał się z bezkształtnej, krwawiącej jamy. Długie, obłe larwy drążyły ścieżki pod skórą szyi.

- Pomóż... - westchnęła tamta niemal niedosłyszalnie. - Pomóż...

Krotosz opadł na kolana i zwymiotował wprost do strumienia. Kiedy się odwrócił, dziewczyna czyściła sztylet o brzeg kubraka. Skalne robaki wciąż ryły w ścierwie kobiety.

Szarka przysiadła na krawędzi skarpy. Smukła błękitna wążka wisiała na wprost jej twarzy.

Daleko ponad ich głowami słońce opadało w czerwonej łunie na wysokie baszty cytadeli księcia Evorintha.

- Teraz mi wierzycie? - spytała Szarka.

- Toż to skalne robaki, klątwa Zird Zekruna - wyrzucił z siebie kapłan. - Co wyście uczynili, że prześladują was kapłani z Pomortu?

- Wędrowaliśmy przez Góry Żmijowe - odparła, nadal przyglądając się brunatnym larwom. - Opat klasztoru Cion Cerena próbował nas spalić. Wiedźmę, nie mnie - poprawiła się. - Ja wykrwawiłam się prawie na śmierć.

Coś się zdarzyło w tamtą noc. Opat uciekł z brunatnym znamieniem na czole, a jego następcą przekazał mi słowa Cion Cerena. O Annyonne.

- Przestańcież powtarzać to przeklęte miano! - wybuchnął Krotosz. - Nie ma opactwa Cion Cerena w Górach Żmijowych. Spłonęło ostatniej nocy!

W oddali przeciągle zawył pies. Po chwili dołączył do niego drugi, trzeci i jeszcze jeden.

- Widzicie - ciągnęła, jakby wcale nie słyszała jego słów - jestem jak ślepiec. Idę po własnych śladach i nie znam ręki, która mnie prowadzi. Nie dociekam przyczyn. Nie muszę rozumieć. Są tylko strzępy opowieści, twarze, które przeniosłam przez ogień. Ścieżka już czekała. Ścieżka, kamień, na którym usiądę, strumień, by zaczerpnąć łyk wody. Może urodziliście się tylko po to, aby ze mną mówić.

- Wszyscyśmy błoto w rękach bogów.

- Nie, nie wszyscy - hardo rzuciła głową. - Jeśli się komu uroiło, że mnie sprytnie poszczuć można, to się omylił. Bo nie dość tych skalnych robaków. Ni opactwa, co w Górach Żmijowych spłonęło. Niczego nie dość. Nie będę dla waszych bogów miotłą, co śmieci wymiata.

- Błuznicie!

- Głupiście! - kąciki jej ust wykrzywiły się urągliwie. - Ani was ta świątynna kapica skryje, ani obroni. Gdzieś tam - machnęła ręką ku twierdzy Evorintha - ktoś wypytuje wiedźmę o rzeczy, o które i ja powinnam była spytać, gdybym zanadto nie bała się odpowiedzi.

Podążył wzrokiem za jej dłonią: wyniosła wieża świątyni czarnym zarysem kładła się na słonecznej tarczy, mury cytadeli poczerwieśniały od wieczornego nieba.

A nieco niżej, na stoku Jaskółczej Skały, dojrzał jaskrawy rozchybotany blask. Ze zdławionym okrzykiem przycisnął ramiona do piersi.

Kantor, dom i kaplica Fei Flisyon stały w ogniu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przedstawienie było marne, ale też dzielnica wokół Bramy Solnej mocno ostatnimi czasy zubożała i co lepsi kuglarze woleli rozbijać namioty gdzie indziej. Ukryty w grupie czeladników garncarskich Jaszczyk z wysiłkiem udawał rozbawienie. Nie było mu do śmiechu, wcale nie. Co chwila czuł na plecach uporczywy wzrok, zdawało mu się, że spadnie na niego ciężka łąpa powroźnika i powłoką go do Wiedźmiej Wieży.

Dzień przybrał dla Jaszczyka zgoła nieoczekiwany obrót. Wczesnym popołudniem, gdy rozmyślając łąkomie o skarbach kapłanów Zараźnicy, wspinał się do domostwa Krotosza, w zaułku dostrzegł znajomą posługaczkę z gospody Pod Wesołym Turem.

Nie zdjęła nawet poplamionego fartucha, a zęby dzwoniły jej ze strachu.

- Powroźnicy powlekli twoją matkę i siostry do cytadeli - wykrztusiła i uciekła, stukocząc drewnianymi chodakami.

Okręcił się na pięcie i pognął bocznymi uliczkami w dół Jaskółczej Skały. Do kantoru Fei Flisyon wracać nie mógł; żeby go Pod Wesołym Turem dziewczka chciała przechować, nie wierzył, więc zaszył się w posiadłości wielmożnego Karczocho. Ponieważ z Wiedźmiej Wieży nikt inaczej nie wyszedł, jak na stos, nie przemyślał, jakim sposobem matkę oprawcom wydrzeć, tylko jak własną skórę uchronić.

Kiedy baszty cytadeli poczerwieniały od zachodzącego słońca, Jaszczyk wychynął wreszcie z porzeczkowej chachmęci. A potem, ponieważ sam nie wiedział, co lepszego mógłby zrobić, powlókł się ku Solnej Bramie spotkać Szarkę.

Odziany w łąciaty kostium błazen śpiewał sprośną piosenkę o kopiennickich gamratkach, a że w Spichrzy nie kochano ludzi z gór, widownia rechotała donośnie. Jaszczyk rozglądał się coraz niespokojniej. Dopiero gdy wesolek skończył śpiewkę i gapie poczęli się rozchodzić, dojrzał Krotosza przyczajonego pod okapem kramu kaletnika. Płaszcz kapłana pstrzyły rzepy i drobne gałązki, jego ręce drżały gorączkowo. Szarka zaś, w przyodziewku najemniczki, z dwoma mieczami przypasanymi do boków, beznamiętnie przyglądała się mieszczanom.

- Zabrali moich do Wiedźmiej Wieży - poskarżył się Jaszczyk.

Dziewczyna uniosła lekko brew, nawet na niego nie spojrzała.

- Miałeś wprowadzić mnie do cytadeli - przypomniała, wciąż taksując wzrokiem

przechodniów.

Jaszczyk zaniemówił. Ona o nic nie dba, przyszło mu nagle do głowy. Choćby cała Spichrza wypaliła się jak gliniana skorupa, za jedno jej. Przejdzie przez popiół, otrząśnie chodaki i ani się obejrzy za siebie. Z nagła łyzy, głupie, zdradliwe, zakręciły mu się w oczach.

- Jakże wy tak możecie - ujął się za nim kapłan. - Toż widać, że chłopak ledwo żyw.

- Ale żyw jeszcze, choć przepowiedziałam, że śmierć swoją w liście Mierosza przeczytał - zauważyła beznamiętnie Szarka. - Teraz nie czas rozpaczać. Trzeba stąd co rychlej głowę unosić - lekko skinęła brodą ku wyłaniającej się z Bramy Solnej grupie powroźników.

Oprawcy przystanęli, przyglądając się popisom błazna i choć wśród gapiów nie powstało żadne większe zamieszanie, w jednej chwili zrobiło się wokół nich nieco przestronniej. Pomimo strachu przed wiedźmami i najazdu szczuraków, mieszczanie obawiali się powroźników równie mocno, jak ściganego przez nich plugastwa.

- Ilu ich jeszcze do miasta ściągnie? - wybuchnął piskliwie kapłan.

- Wielu - odparła rzeczowo. - Idę o zakład, że wasz dom nie był ostatnim, który spłonie tej nocy. Nie - potrząsnęła głową - nim odmieni się księżyc, miasto będzie jasne od stosów. Patrzcie! - W piosenkę wesołka wkrađło się babskie zawodzenie i spod łuku bramy wyszedł orszak pogrzebowy.

Drobny sterany konik ciągnął furę, słabo zaścieloną sianem, z zawiniątkiem pośrodku. Ano, pomyślał Jaszczyk, nic więcej tam nie zostało, aby przygarść kości dobrze przez zwierzołaków obgryzionych. Błazen urwał śpiewkę w pół zwrotki, jedynie tamburyn zagrzecotał. Dziewczyna z bębenkiem przystanęła z uniesioną dłonią, a karawan powoli toczył się w dół ulicy, aż zawodzenie żałobni - czek przemieszało się z przyciszonymi okrzykami biedoty, która w bocznych uliczkach świętowała wigilię Żarów.

U Bramy Solnej sposepniali ludzie rozchodzili się z wolna.

Odblask pochodni padł na twarz Szarki i wtem Jaszcykowi zdało się, że zza jej pleców bije pożar, że dom za nią stanął w ogniu, że cała Spichrza gorzeje. Nie wiedział, skąd mu się biorą takie myśli, lecz niespodzianie przypomniał sobie opowieść o jałowym polu, na którym umierali Stworzyciele. Opowieść o Annyonnie: "I czarne kruki oznajmiały jej przyjście, i pożoga głosiła jej imię".

- Przez was to wszystko - ozwał się chrapliwym głosem. - Przez was niby zapowietrzeńców nas tropią a ścigają. Bo czy mać moja zmawiała się ze szczurakami? Albo siostry? W czym one zawiniły? Ja sam winien i tym tylko, żeście mnie złotem i pieszczonymi słowy zwiedli, skuglowali.

- Jaszczyk! - upomniał go kapłan.

- Przez wasze kapłańskie spiski - ciągnął coraz gwałtowniej. - Przez urąganie księciu, przez zmawanie się ze zwajeckimi bluźniercami. No, co się tak gapiacie? - prawie wrzasnął na zdumionego

Krotosza. - Nie wiecie, kogo ona w Spichrzy szuka? A Suchywilka, zwajeckiego kniazia, nikogo innego! I niech go sobie znajdzie, mnie to już za jedno. Do żebrackiej gospody, wedle szpitala Cion Cerena, idźcie i o karła pytajcie, on was do cytadeli wprowadzi. I niech was wieczny ogień pochłonie!

I przekleństwo, i obelga spłynęły po niej bez śladu. Odwróciła się i odeszła szeroką ulicą, tylko rozrzucone na plecach włosy mignęły jeszcze raz z oddali. A kiedy zniknęła, cała wściekłość i gorycz opuściły nagle Jaszczyka.

- Czemuż ją wasza bogini wybrała - spytał żałośnie - gdy ona jako sama śmierć, jako zatracenie?

- A po cóż nam to wiedzieć, Jaszczyk? - martwym głosem powiedział Krotosz. - Chodźmy już lepiej. Chodźmy.

A potem wsparli się o siebie, znękany człowiek w brudnym płaszczu i chudy, obdarty wyrostek, i pokuśtykali ku Bramie Solnej. Dobrze zaprawieni winem pachółkowie ani na nich spojrzeli, więc poszli dalej, za mury miejskie, poprzez błonia rozżarzone od ognisk pątników. Droga była pełna wędrowców ciągnących do Spichrzy na Żary, a oni mozolnie szli w przeciwnym kierunku. I żaden nie obejrzał się, póki miasto i Jaskółcza Skała nie zniknęły w oddali.

* * *

Tego wieczoru w żebrackiej gospodzie wszyscy rozprawiali o wiedźmach i szczurakach. Poza tym nastrój panował radosny, jako że dla dziadów święto Żarów to najlepsza w roku sposobność do napchania brzuchów. Miedziaki i ćwierćgroszówki z brzękiem toczyły się po szynkwacie, a gospodarz ledwo nadążał z napełnianiem kubków słynną spichrzańską okowitą.

Gdy Szarka zajrzała do środka, żadna głowa nie podniosła się znad ławy. Wnętrze było proste. Jedyne tylną ścianę, a był nią w istocie mur szpitala Cion Cerena, postawiono z ciosanego kamienia, pozostałe zaś zbito niedbale z grubych desek, co nadawało karczmie wygląd wiejskiej szopy. Poczerniały stół, ciężkie ławy, kilka niskich stołków, ot, całe ochędostwo. Pod stołem, na twardo udeptanym klepisku spała wychudła suka, z rzadka budząc się z drzemki, gdy ktoś rzucił jej kość, której nie zdołały zmiażdżyć człowiecze szczęki. W głębi, za kontuarem gruba bosonoga dziewczka strugała karasie.

Przy palenisku grupa obdartusów grała w kości. Po prawdzie, uciecha ta była w Spichrzy surowo zabroniona edyktem księcia Evorintha, lecz żaden z miejskich pachółków nie był na tyle zuchwały, by zapuszczać się do dziadowskiej gospody. W kącie trzech zwróconych plecami do izby mężczyzn naradzało się szeptem. Mizerny człowieczek o twarzy oszpeconej zajęczą wargą obejrzał się przez ramię, przesunął wzrokiem po Szarce i zaraz obrócił się ku kompanom.

- A luda co się zląło! - przy stole krępy żebrak z opaską ślepeca niedbale zsuniętą na szyję rozprawiał o wiedźmie, którą pod wieczór sprawiono na Rybim Rynku. - Aż w nosie kręciło od

szpikanardy, czosnku i wołka, co się nimi obwiesili ze strachu przed urokiem. Trzech powroźników, nie nasi, nie z Wiedźmiej Wieży, ale widno z gór ściągnęli, bo gęby mieli czarniawe, ogorzałe, a ślepia złe i przewrotne, przytroczyło wiedźmę do słupa i jeden ją wielce umiejętnie szarpał rozgrzanymi kleszczami, powolutku, aby nie szczała przed czasem. Z początku zapierała się i znajomków o litość błagała, bo była tutejsza, u Starej Bramy chmiel warzyła. Ale kiedy ją nieźle wiedźmami pazurkami popróbował, jako ptaszka śpiewać zaczęła - zarechotał - cieniutenko, i kumoterki wydawać.

- Ech, popamiętają zamsiki to szcurze święto - zaśmiał się inny. - Draby po domach chodzą, wiedźmy spod pierzyn wyciągają. Nie jeno zielarki, ale i panie paradne.

- Aby drzwi dobrze zawrzyjcie! - krzyknął gospodarz, kiedy Szarka przechodziła nad wysokim progiem. - Pierwszy raz was widzę, siostró - dodał podejrzliwie. - Tu zarobku nie znajdziecie.

- Nalejcie okowity - rzuciła mu kilka miedziaków. - Karła szukam.

- A, karła - uspokoił się nieco. - Tedyście w czas przyszli, bo właśnie Szpotawego do cna ograbił. Może będzie z wami gadać.

Z glinianym kubkiem w ręce Szarka przepchnęła się nieco bliżej paleniska. Przysiadła, popijając okowitę, i niedbale przyglądała się grającym.

Stara suka wylazła spod stołu, położyła łeb na kolanie dziewczyny, która bezwiednie zaczęła gładzić wyliniałą sierść zwierzęcia. Lubiły ją psy, choć doprawdy nie wiedziała, dlaczego. Niegdyś wieczorami zakradały się do jej komnaty, brązowe suche posokowce, zażarte i śmigłe w polowaniu. Mokerna gniewała się, krzycząc, że nie przystoi, by bydlęta sypiały u pani w alkierzu, lecz ona nigdy nie potrafiła ich odpędzać. I na końcu, choć były rzeczy dawniejsze i bardziej zapiekłe, to właśnie miało je poróżnić dotkliwiej może niż wszystko inne. Wspomnienie złotookiej suki z rozprutym brzuchem, gdy zdychała u jej stóp.

Mokerna, ciężkie, zgrubiałe ręce na moim czole - nie płacz, córuchno, nie trza w nocy płakać, jeszcze twoich krew nie pobielala, wstyd tobie płakać.

Ciężki od rosy łan, zimna, twarda ziemia, chodźmy w pole, mateńko, chodźmy w pole spać, nie znajdą nas nocką, nie ubiją. Pasiasty biało - niebieski fartuch. Sen.

Czterech jeźdźców, niskie sterane konie o krótko urżniętych ogonach. I ta dziewczynka wciąż krzyczy, choć suchy kurz drogi drapie gardło, krzyczy nawet wówczas, gdy pasiasty fartuch dawno zniknął w kurzawie.

Obietnice daremne, w złą godzinę wypowiedziane słowa. Wrócę, Mokerno, nie zapomnę. A zdało się raczej z pamięci wygnać, żelazem wypalić...

U stołu wciąż gadano o wiedźmach. Szarka czujnie nastawiła uszu, ale dowiedziała się tylko tyle, że nazbyt mokre drewno na stos podłożono, a skazanym zawczasu wyrwano języki, by oprawców nie przekląły. Podobno były młode, ale dobrze w plugawym rzemiośle zaprawione. Nie

dość że się pokładały ze szczurakami, ale jeszcze dzieciątka małeńkie dla nich kradły. A wiadomo przecież, iż dla złego nie ma większej rozkoszy, niż wytoczyć krew z niewinnego dziecka i jady z niej okrutne warzyć.

Przy kościach zostało trzech graczy: wielki chłop na gębie żelazem pryskowany, jednoręki i karzeł. Po przyodziewku niziołka było znać, że w innej kompanii się obraca, nie pomiędzy żebrakami. Co nie dziwiło, bo karłów za wesołków przy dworach panowie trzymali i wielce ich ceniono. Zazwyczaj były to krzywulce niewydarzone, koślawe, paskudne. Tymczasem niziołek przy kominie był wcale kształtny. Plecy miał proste, opięte czerwonymi rajtuzami łydki zgrabne, tyle że żebrakom ledwie do łokcia sięgał. Bujna, starannie spleciona broda niemal zupełnie przesłaniała mu twarz. Bulwiasty nos przebijał się przez gęstwą włosów, a głęboko osadzone czarne oczka były zdumiewająco bystre. Szarka nie potrafiła odgadnąć jego wieku.

Rzut piętnowanego okazał się niepomyślny. Zniechęcony wytrząsnął z sakiewki parę drobnych i przysiadł się do miski z mamałygą, przegnawszy z ławy łysą niewiastę.

- By jeno nikt was nie przydybał - zaszemrał za plecami Szarki przyciszony głos. – Pani dziewce łeb przykazała skrócić, ale cichcem i po kryjomu. Resztę zapłaty potem dostaniecie. Srebrnymi groszami, książęcymi. A jak się komu wygadacie...

- Toż nam nie pierwszyczna - zaśmiał się ktoś w odpowiedzi. - Ja waszej pani nie doradzam, jako księciu nocką wygadać, tedy i ona niech mnie w moim rzemiośle nie poucza. A dziewczka kuternóżka, niemrawa, ani się spostrzeże.

- Tedy idźcie, zda się koło naszych spraw zakrzętać.

Kątem oka spostrzegła, jak Zajęcza Warga wymyka się z gospody. Bez pośpiechu dopiła okowitę i podeszła do paleniska, gdzie przy wtórze przekleństw niziołek zbierał wygraną. Żebracy przyglądali się jej nieufnie.

- Zagrasz, siostrze? - karzeł szacował ją zmrużonymi oczkami.

- Nie, nie mam szczęścia - odparła. - Ale was właśnie szukam. Jaszczyk mnie przysyła.

- A, ten błazen! - mruknął niziołek. - Co was tak wszystkie świerzbi, by księciu leżać przed oczy? Kurwa czy szlachcianka, psiakrew, żadnej różnicy. Nie takie jak ty mu w głowie. Żalnicka księżniczka ze świętą zjechała. A Jasenka też po cytadeli jak wściekła suka się snuje, czeka, by kogo na prągu oćwiczyć. Po co ci do cytadeli leżać, dziewczko? Mnie za jedno, Jaszczyk srebrem płacił, tedy umowy dotrzymam, ale nic tam po tobie. No, bywajcie, kamraci! - rzucił półgroszówkę gospodarzowi. - Czas księcia naszą przytomnością uradować.

Nikt mu nie odpowiedział. Tylko Trzpień, starosta żebraczy, popatrzył nieprzyjaźnie spod najeżonych, szpakowatych brwi.

- Nie strach wam tak z pełną sakiewką po ciemnicy łązić? - spytała, kiedy zanurzyli się w zapuszczone błotniste uliczki.

- Niech nie będzie zwolennik nad mistrza mądrzejszy - karzeł przeskoczył nad rynsztokiem i skręcił w jeszcze ciemniejszy i bardziej cuchnący zaułek. - A tobie, dziewczeczko, nie strach było do żebrackiej gospody iść? Coś ty sobie myślała? Że brzeszczot zoczą i snadnie po nim poznają, że tu nie z prostą dziwką sprawa? I że się zląkną, dziewczkę samopas oglądając? Akurat. Siedzi tam teraz Trzpień z kamratami i duma, czy w nagłej potrzebie obracać mieczami potrafisz, czy jeno hałasu narobisz. A, jako że Trzpień człek jest rozważny, przed końcem trzech kolejek ni o krok się nie ruszy. Tak czy owak, iście niewieścia głupota do żebraczej karczmy nocką przyleźć. Ale nie troskaj się, dziewczeczko - zarechotał złośliwie. - Wielki przymiot u niewiasty głupota i wielce w nim dobry pan Evorinth gustuje. Może i w tobie zagustuje...

- Jako rzekłem - rozwodził się dalej - pewnikiem po - kosztujesz łask naszego dobrego pana... jako i wszystkie inne dziewczki w cytadeli pokosztowały, od dworek księżnej po dójki z obory. Jeno nie tej nocki, bo drabowie bardzo pilnują, niejedną już wiedźmę, co przeciwko pańskiemu życiu knowała, przydybawszy. Za to jutro igry będą, do pierścieni gonienie i maskarada wielka dla księżniczki zgotowana - zachichotał z cicha. - Żadna sztuka jedną białogłowe więcej wprowadzić, kiedy się ich tam mrowie całe będzie krzątać - zachybotął się na wysokich kamieniach, które gwoli wygody przechodniów osadzono w co bardziej błotnistych ulicach.

Nagle niebo nad nimi rozbłysło purpurowymi ogniami. W pałacu księcia Evorintha rozpoczęła się wieczorna biesiada. Karzeł przystanął, zadarł głowę.

Pośrodku oświetlonej znieacka ulicy podochocony przechodzień opuścił pludry i począł łać wyniosłą strugą ku niebu, na którym z sykiem wybuchały barwne fontanny ognia.

- Rok cały je ogniomistrze dla naszego zacnego księcia sposobili - zachichotał karzeł. - A dziś ledwo kto łbem kiwnie, wiedźmy im się wszędzie zwidują. Po sprawiedliwości to nie wiem, gdzie nam na nockę przylgnąć. Ludzie zestrachane, powroźnicy ulice przepatrują i łącno we ćmie jakiś ciołek może mnie miast zwierzołaka sprawić - dodał z namysłem. - No, widzi mi się, nocka letnia, w ogrodach legniem i do świtu przedrzemiem, z dala od zgiełku. Ale wcześniej zda się powieczerzać odrobinę. Książę pan nasz dobry w ogrodach pątnikom jadło rozdaje... a i miastu po drodze się przypatrzysz, boś, widzę, nie z naszych.

Dziwne to było święto. W Spichrzy prawie każdy potracił krewniaków, częściej więc mijali domy na głucho zamknięte i kirem obleczone niżli ubrane kwieciem. Po mieszczańskich kamienicach za zatrzaśniętymi oknami zawodziły płaczki, ale też ulicami włóczyły się gromady tałatajstwa spojonego winem, które książę pan kazał u bram zamkowych darmo wydawać; ryczeli przy tym srodze i szczurakom złorzeczyli. Nie brakło też pątników w ciemnych podróznich płaszczach, którzy z dala na święto zjechawszy, ani o szczuraków dbali, ani żałobę chować myśleli.

Przez wąską furtkę wyszli na przestronny bulwar, po obu stronach obwarowany wielkim murem, i zaczęli się wspinać ku świątynnej wieży i jasnym od pochodni murom cytadeli. Karzeł maszerował rażno, nie zaczepiając nikogo, nie robiąc nawet małpich min do książęcych drabów.

- Tu już nie miastu, jeno świątynny trakt - objaśnił zdziwioną Szarkę. - Tu Servenedyjski pokoju pilnują - wskazał czubkiem brody nadciągające od strony świątyni wojowniczkę.

Jechały środkiem drogi, zarówno pątnicy, jak i szlacheckie orszaki pospiesznie ustępowały im miejsca. Servenedyjki nie przyglądały się nikomu w szczególności, obojętnie wyprostowane na grzbietach krępych łaciatych koników. Nosiły się srebrno i niebiesko. Twarze miały poznaczone siną farbą w węzowe sploty, na nogach obcisłe niebieskie nogawice, a na kolczugach sute płaszcze podbite białym futrem. Nawet rękawice i wysokie buty z wywiniętymi cholewami zabarwiono kosztownym żalnickim błękitem. Przy pasie każda miała zgrabną szabelkę w srebrzystej pochwie i buzdygan.

Wędrowcy na trakcie jakby ścichli i spokornieli. Matki zasłaniały oblicza dzieci, by nie padł na nie wzrok wytatuowanych wojowniczek, mężczyźni skwapliwie przyglądali się własnym stopom.

- Zwierzchnik świątyni je najął - tłumaczył niziołek. - Będzie ze trzy tuziny lat, jak się norhemni przedarli za Góry Żmijowe, jeszcze za starego księcia. Okolicę doszczętnie spustoszyli. Ludzi mnóstwo w niewolę pobrali, wojsko dobrego pana znieśli i popod samą Spichrza stanęli. Wtedy właśnie kapłani Servenedyjki sprowadzili. Zrazu jedną czy dwie kopy, bo ludzie się ich strachali okrutnie. A teraz w każdej cytadeli stoją, co rok więcej ich z gór spływa.

- Skąd są?

- Kto je tam wie? Za bardzo to one po naszymu nie gadają, ani nawet te, co się na dobre we Spichrzy zaległy, w Krowim Parowie. Werbownicy szukają ich za Górami Żmijowymi, ale jeszcze dalej na zachodzie siedzą, pomiędzy górami. Do księżycy pono niby wilkowie nocami wyją i cześć mu oddają. A gniewliwe bardzo i zaciekle, tedy się nie gapię.

Nie zatrzymywani przez Servenedyjki przeszli nisko sklepioną bramą, jak wyłuszczył karzeł, czwartą z jedenastu bram, które bronią przystępu do świątyni Śniącego. Na trakcie gwar był wielki i odświętne zamieszanie. Spod murów dziady hałaśliwie nawoływali miłosierdzia i jeszcze hałaśliwiej przeklinali skąpych darczyńców. Przekupnie wciskali pątnikom poświęcone w świątyni miedziaki z wizerunkiem boga, które ponoć od nagłej śmierci chronią. Trzech wsadzonych w gąsiory i dobrze już poturbowanych wyrostków, którzy na błoniach pod miastem kradli, niezdarnie osłaniało się przed ciskanymi przez co bardziej krewkich pątników kamieniami. Nieopodal bramy wkopano solidny pal. Tkwiło na nim nieźle przegniłe i przez ptactwo napoczęte niewieście ścierwo. Przechodzący przyglądali się mu z mieszaniną ciekawości i trwogi.

- Powisi, póki nie zgnije ze szczętem. Książę na gardle przykazał karać, kto by zdjąć próbował - karzeł pochwycił pytające spojrzenie Szarki. - Chłopka, dziecię własne w kotle na strawę uwarzyła i do Spichrzy przed gniewem pańskim zbiegła... bo i głód popod miastem takowy, że rychło ludziska ziemię zreć będą, tedy chłopstwo zbiega, kędy może, ani im nasz dobry pan Evorinth z dusienicami nastarcza. A białkę ową to ja dobrze pomnę, jako ją przed rychtarza drabowie przywiedli. Głupia była baba, głupia straszliwie. Ani się próbowała zapierać. Dziecisków w obejściu dziewięcioro, gadała, a wszystkie ledwo zipią, tedy my z chłopem uradzili, przyjdzie najdrobniejsze na karmę uwarzyć. Jak uradzili, tak uwarzyli - zarechotał. - Ale widać, strawa im na zdrowie nie poszła.

- To i chłopca na pal nawlec powinni - spostrzegła Szarka.

- A, to już zgoła inna sprawa - wyłożył szyderczo. - Bo widzicie, dzieciak, jako i każde inne

żywiszcze w obejściu, ojcowskiej władzy powinni. A władza to surowa, nieugięta, choćby i życie zabrać władna. Nie zachwała tedy tego księżę nasz pan dobry, ale chłop był w prawie własnego dziecięcia mięso żreć, to i żarł, i karać się go za to nie godzi. Ale niewiastka matka jest i matczyzna w niej powinność. Znaczy się, dziecię własne miłować i życie własne za nie stawić. Durne prawo, ale prawo. Przeto babę na pal nawlekli, a chłopu luzem puścili. Ale ledwo nogami powłóczył i zda mi się, też długo nie pociągnie.

Przed piątą bramą Książęcy Trakt rozszerzał się nieco, tworząc obszerny, podłużny dziedziniec. Mury były tu równie solidne jak wcześniej, ale wprawne oko rozpoznawało w niektórych miejscach odmienną murarkę.

- Opactwo tu kiedyś stało potężne - znów się odezwał niziołek. - Sławne, nieledwie jak sama świątynia. Aliści się potem powadzili, bo księżę nieboszczyk przychyłał ucha raczej opatowi niżli świątyni. Ale nie godzi się u mężów świątobliwych niskich pobudek dorozumiewać, tedy pewnie nie o książęcą łaskę, ale o większe rzeczy spierać się musieli, znaczniejsze... - zarechotał plugawo. - Znaczy się, o gacie...

Kilku książęcych drabów przystanęło wokół, przysłuchując się ciekawie słowom niziołka. Książęcy raz po raz brali się za łby ze strażnikami świątynnymi, toteż karzeł ani się nie stropił i dalej radośnie na mnichów wygadywał.

- Ano, prawie o gacie - ciągnął. - Bo widzicie, mnisi w opactwie nie dość, że poczęli bez gaci chodzić, to jeszcze głosili, że gacie oznaka zniewieścienia i gwoli surowości zakonnej przენiewierstwo. Nie dziwota, że rozjuszyli świątynnych, którzy też rzeško pokrzykiwali, że mnisi z opactwa zadki gołe trzymają, aby tym łatwiej mieszczkom dogadzać. Wkrótce już głośno o herezji wygadywano, stosami się nawzajem straszono i na zamek listy gniewliwe pisano. A jak się wszystko skończyło, próżno gadać. Księcia na łańcuchu do świątyni pachółkowie przywiedli, opactwo zburzone. Co zaś się tyczy gaci... nie dalej, jak wczoraj u dworki księżnej Egrenne w alkierzu mnicha przydybali, więc aż tak one świątynnym nie wadzą... - zarechotał.

- Ale wam zawadzić mogą - ostrzegł czarnowłosy halabardnik. - Niech na was ktoś kapłanom doniesie, to po was jeno w gaciach smród zostanie.

Halabardnicy szli trzymać straż przy książęcych ogrodach, zresztą bez większego zapału, gdyż dla uczczenia letniego święta w koszarach wydawano ciężkie skalmierskie wino i nie nęciła ich służba. Skwapliwie przyjęli niziołka do kompanii, a temu też gęba się nie zamykała. Miasto, widać, dobrze znał, bo jedna za drugą sypały się opowieści, wszystkie wredne i sprośne.

- Po co to? - spytała Szarka, wskazując na zbiegowisko przy kamiennej sadzawce.

- Nie słyszeliście o żywej wodzie ze świątyni Nur Nemruta? - zdziwił się halabardnik. - Toż ona wszędy słynie, niemoc każdą leczy. A najbardziej w czas letniego święta.

- Ano - przytaknął z powagą karzeł. - Przeto Servenedyjki cały rok w niej konie poją. Najzdrowsze są to wierzchowce w Krainach Wewnętrzznego Morza.

- Cięty masz jęzor, łokietku! - mruknął pacholek - żeby ci go za bluźnierstwo nie wydarli. Ale prawda, że z daleka niedojdy wszelakie ciągną, by się tej wody napić. Nawet od Wężymorda posłowie przybyli z księżniczką, starego Smardza córą. Alchemiczka ona ponoć, w książęcych hawerniach rudy ma szukać, choć są i tacy, którzy powiadają, że chce błagać Śniącego o uzdrowienie, bo kuternózka jest, znaczy kulawa. Na co przyszło? - pokręcił głową.

- Żeby kapłani Zird Zekruna w mieście popasali. A i to jeszcze, że popod wieczór zjechał poczet nieliczy Zwajców. By się tylko z Pomorckimi za łby nie poczęli wadzić, bo nieszczęście będzie.

- A juści - przytaknął inny. - Jako kruczyska na wieczerzę się zlatują. A zuchwali tacy, że i po mieście samo - pas łążą. Zachodzim do Wiórka gardło przepłukać, to karczma bardzo zacna, a tam z tuzin Zwajeckich siedzi. Nic się nie boją. Piwo przednie ciągną, świniaka obkrawają. Dziewki też wszystkie się do nich szczerzą, żeby je łożna niemoc sprąła, gzęgżółki.

- Szumno Zwajeccy jechali, pod chorągwiami! Że się mury Spichrzy nie zawaliły, ze sromu pod ziemię nie zapadły! - zachichotał niziołek. - Ponoć za zaciężnych byli na Szczeżupinach, ale kto ich tam wie. Huczało od tego po mieście, a że huczało. Dziwne ludzie są Zwajeccy - ciągnął. - Gniewliwe łby, do bitki skore. Widziałem, jak ich dzisiaj pan nasz Evorinth do cytadeli wiódł. Nie w smak to wielce kapłanom. Krawęsek skwaszony chodził, bardziej za przyczyną owych Zwajców, niżli szcuraków. Niby święto jest, Servenedyjki pokoju pilnują, ale coś mi się nie widzi to wszystko... - wzruszył ramionami.

- Aby nie te włosy, to ty byś mogła być za Zwajkę - popatrzył bacznie na Szarkę. - Oni także chłopcy wielkie, rozrośnięte i na gębie bladawe.

Dotarli do ósmej bramy, wysokiej, ostro sklepionej, z białego, gładko szlifowanego kamienia. Za nią rozciągały się zewnętrzne podwórce świątyni, klasztor Nur Nemruta, skryptoria, rozległy żółty gmach biblioteki i bursy szcolarzy. Było to jakby osobne miasto, ludne i gwarne, na dobre stajanie szerokie, opasane zębatymi murami.

Plac był ciasno zastawiony kramami, jak na jarmarku. Ludzie przepychali się, przekupnie wrzeszczeli. Na środku wkopano wysoki słup, obwieszony przy czubku wszelakim jadłem i widać dobrze czymś śliskim pomazany, bo z tuzin żaków daremnie usiłował wspiąć się ku zdobyczy.

Zza kramu z posążkami Śniącego wyszła drobna niewiasta w brązowym płaszczu. Opadające do pasa, zebrane srebrzystymi klamerkami warkoczyki zdradzały szlachciankę.

- Kolegia tu kręgiem stoją - niziołek wskazał odrapane budynki z jasnego piaskowca. - Tam na prawo to skryptorium, gdzie się książęcy pisarczykowie szkolą. A z tyłu kolegium sztuk... Hej, nie odstawaj, panno!

Szarka przystanąła przed smatruzem ze skalmierskimi haftowanymi chustami. Zażywna przekupka przyjrzała się spode łba jej osmolonemu kubrakowi, ale nie odpędzała, bo w czas wiosennego zrównania za nic człek nie odgadnie, kto nędzarz, a u kogo pieniądz w sakiewce brzęczy.

- Paradne chusty, skalmierskie - zachęciła. - Tanio oddam, darmo prawie.

- Skończone - niziołek pociągnął Szarkę za rękaw. - Toć nigdy one Skalmierza nie oglądały. Popod samą Spichrza chłopcy je tkają i trawą barwią, a mnie w brzuchu aż kruczy.

- Wynocha! - wrzasnęła przekupka. - Patrzcie ich, jak to się tkactwie zna, pokurcz zapowietrzony! A ja to nie wiem, kto przy kramach zamęt czyni a sakiewki odcina?! Wynocha, bo strażę zawołam!

Dziewczyna w brunatnym płaszczu powoli, utykając, szła ku schodom prowadzącym do cytadeli księcia Evorintha.

Szarka odwróciła się ku karłowi.

- No to chodźmy! - rzuciła ze złością.

* * *

We Wiedźniej Wieży tymczasem zdesperowany Twardokęsek patrzył, jak kolejna ćma z sykiem płonie w smolnej pochodni.

Na korytarzu zadzwieczał gong: następną wiedźmę prowadzono na kaźń.

Która to już? - pomyślał. Najpewniej czwarta.

Szyję Twardokęska opasywała osadzona w murze obejma, nogi tkwiły w przymocowanych do podłogi żelaznych pierścieniach, a krwawiące plecy powoli przysychały do ściany. Oprawca, potężne chłopisko w skórzanej, należącej jeszcze o poranku do zbója kamizeli dorzucił do ognia przygarść smrodliwego zielska i nieufnie spojrzął ku więźniom. Zbójca pospiesznie opuścił wzrok.

Skulona na posadzce wiedźma skomliła z cicha. Czoło miała powalane krwią, na policzku dojrzywał wielki siniec. Powroźnicy obdarli ją z przyodziewku, głowę starannie wygolili brzytwą, a włosie i szmaty spalili w trójnogu, by się w nich zło nie przyczało. Potem na wadze ją kładli, gdzie się dobitnie wydało, że dopiero co krew ludzką chleptała i wciąż jej posoka ciąży. Oprawcy poczęli złorzeczyć pod nosem, bo wiadomo, że opita świeżą posoka wiedźma najzłośliwsza jest i największa w niej moc gorzeje. Ale że dobry pan Evorinth na gardle ich karać przyobiecał, jeśli by szczyła przed badaniem, przeto tylko Twardokęskowi nie szczędzili szturchańców.

Powroźnicy robili, co do nich należy, i właściwie Twardokęsek nie miał do nich żalu. Nie miał też żalu do Morwy, która wydała ich książęcy: sam był sobie winien, że jej pierwszej karku nie skręcił. Jak wół pod nóż rzeźnicki, zachnął się w myślach Twardokęsek, takom się dał Szarce do karczmy podprowadzić. I gdzież teraz Szarka? Gdzież jej pomocnicy czarowni, owe jadziołki i zwierzołaki?

Tępo przypatrywał się narzędziom tortur. Wielu zbójceckich kamratów nosiło na ciele ślady katowskich zabiegów i chętnie o nich rozprawiali, toteż Twardokęsek bez większego zachodu rozpoznawał rozmaite przyrządy. Pośrodku lochu rozpierał się wieżmi tron, solidne dębowe krzesło najeżone długimi kolcami. Dalej bezładnie stały dyby, wieżmie pazurki do obdzierania ze skóry i wydrążony pień, dobrze nabijany w środku ćwiekami, eculeusy do wyciągania stawów, żelazne maski, bociani dziób, kleszcze do powolnego zgniatania kończyn, okute żelazem koło, na którym łamano kości, i drabiniasty przyrząd do tortury wody. Nie darmo Wieżmia Wieża słynęła aż w Górach Żmijowych.

Zapatrzył się, zadumał. Ani spostrzegł, jak do lochu wkroczyła pokaźna gromadka. Przodem szła para halabardników w barwach księcia Evorintha, za nimi czterech drabów z krótkimi mieczami. Kilku pacholków ze straży świątynnej otaczało wysokiego starca odzianego w biel Nur Nemruta. Jego nie przepasana kapica z szelestem ciągnęła się po kamiennej posadzce, twarz miał napiętą. Dalej postępowało trzech kapłanów w brunatnych, grubo tkanych płaszczach; odrzucone na plecy kaptury odsłaniały czoła poznaczone znamionami skalnych robaków.

Jako się rzekło, zbójca był człek obyty. I choć sam od boskich przybytków stronił, dobrze rozumiał, że jeśli z pomorckimi kapłanami sprawa, tedy już się nie wywiną. Że teraz na dobre przyjdzie grzbietem tarcicę heblować, czerwiom na ucztowanie.

Dobre parę kroków z tyłu, chyłkiem, wślizgnął się jeszcze jeden kapłan w brunatnej opończy. Twardokęsek stęzał, rozpoznając Ciecierkę, opata z klasztoru Cion Cerena w Górach Żmijowych.

Ciecierka dojrzał skuloną przy murze wieżmę. Ślepia mu wściekle rozbłysły.

Zbójca nerwowo oblizwał wargi. No, widno nie minie człeka, co mu od bogów zapisane, pomyślał ponuro. Zdarzyło się w opactwie od ognia wymknąć, tedy teraz przyjdzie w ogniu szczeznąć.

Do izby weszli kolejni halabardnicy i młody mężczyzna o czerstwym smagłym obliczu, odziany w dopasowaną srebrzystą tunikę i zielone nogawice. Na czarnych kędzierzawych włosach nosił srebrną opaskę.

- I jakże ci tu u pana w komorze, Twardokęsek? - spytał kpiąco.

- U pana? - parsknął Twardokęsek. - Ja z Kopienników, my nie mamy panów.

Książę Evorinth nic nie odpowiedział, tylko oczy złowróźnie przymrużył. Był wściekły. Pół miasta kotłowało się z zajadłości na szcuraków, drugie pół piło na umór. Kapłani od ranka znosili się cichaczem, najpierw pospołu w wieży Nur Nemruta, później skrycie po świątyniach, i bogowie wiedzą, jakie plugastwa obmyślają. Cytadela wrzała, jakby kto wsadził kij w gniazdo szerszeni. A Jasenka zamknęła się w swojej komnacie.

Spiski utkane tylko po to, by stały się splotem w kolejnych spiskach, pomyślał i znów zląkł się, jak wówczas, kiedy spoglądał na posłańców Wężymorda niespiesznie ciągnących poprzez błonia ku murom miasta. Kiedy wjechali w bramy cytadeli, wydało mu się z nagła, że czuje na twarzy chłód jesiennych pomorckich wichrów. Wydało mu się też, że oto wpuszcza do miasta moce, których nie

potrafi ogarnąć. Nie cofnął się, nie zmylił rytmu gładkiej powitalnej mowy. Jednak za każdym razem, gdy spoglądał na owych zasuszonych starców, na znamiona skalnych robaków niestrudzenie pulsujące na ich czołach, ogarniał go przestrasz. Podstępny, oślizgły lęk.

Lecz wszystko zostało obmyślane dawno temu. Zbyt dawno, by cokolwiek cofnąć, a ścieżka była wąska, bardzo wąska.

- Mój ród wiecie się od Thornveiin - poprawił łagodnie. - Thornveiin, która zrodziła Vadiioneda i była ostatnią panią na Stopnicy. Jestem dziedzicznym władcą Kopienników.

- Rząd przez niewiasty nie przechodzi - zgryźliwie rzekł Twardokęsek. - Przez niewiasty przechodzą aby na zadek wrzody. Kopiennicy upadli za przyczyną Thornveiin. Zła krew, panie - dodał - wielce zła krew.

Ciecierka zdzielił Twardokęska kańczugiem. Zbójcy pociemniało przed oczyma.

- Zostaw - książe skrzywił się nieznacznie. - Nie miałem, że przyjdzie nam rozprawiać o rodowodach, zbójco, ale słowa lepiej bacz. Znają tu twoje imię, Twardokęsek, aż za dobrze znają. Ni roku nie pomnę, bym nie słał zbrojnych na Przełęcz Zdechłej Krowy. No i mam cię wreszcie, Twardokęsek, na powrozie, a dalej szczekasz.

Zbójca milczał, przyglądając się ukradkiem powroźnikom, którzy układali wiedźmę na szrobie. Wiedźma gapiła się wkoło wytrzeszczonymi oczyma, nieprzytomnie, i nie bardzo chyba rozumiała, że ją do wyciągania sposobią. Nie, na wiedźmę Twardokęsek nie mógł liczyć.

- Nie jesteś ciekaw, zbójco, czemuś w niewód popadł? - lekko spytał książe. - Dziwka cię powroźnikom wydała, Twardokęsek, a kamrat własny rozpoznał, ot, i wszystko. Trzeba się było Przełęcz trzymać, a nie ze zwierzołakami mataczyć.

- Nie mataczyłem - mruknął ponuro zbójca.

- Za głupca mnie bierzesz, Twardokęsek? - prychnął książe. - Mam wiadomość pewną, że od Trwogi ciągniesz. Znaczą się przez Góry Sowie, siedlisko szczuraków. I ty mi tu psinę oczu nie zatykaj, że ci po dobroci przejazd dali. Alboś im już za to odpłacił, albo cię za przysługą jaką do Spichrzy przysłali.

Zbójca splunął ku safianowym butom księcia i zaraz zakwilił pod kolejnym ciosem kańczuga. Ciecierka uśmiechnął się złowieszczo.

- Waszej miłości zda się do gości iść - rzekł kapłan Śniącego. - Wiedźma wszak władzy kościelnej powinna.

- Nasza miłość nie porzuci świątyni w owym obowiązku. Toż my dwa państwa filary, nam się wspierać i umacniać trzeba - zadrwił książe. - A ucztą i tak się nie rozpocznie, póki wasze świątobliwości w lochu. Widzisz, Twardokęsek - ciągnął swobodniejszym tonem - to już nie mordowanie po gościńcu, tylko polityka. Będzie przeto rozsądniej, jeśli wyjawisz, co wiesz, a ja zadbam, żeby ci szybko i akuratnie ścięli łeb... - Przerwało im wycie wiedźmy, która ocknęła się

wreszcie z odrętwienia.

Powroźnicy co prędzej podkręcili sznury, aż wiedźma zaskowityła. Obdarta z przyodziewku wydawała się jeszcze chudsza. Żebra wystawały jej ze skóry jak rząd ości.

Księżę pochylił się nad rozciągniętą na szrobie niewiastą. Powroźnicy pospiesznie okładali ją liśćmi świnięj wszy, by którego nie zauroczyła, i ciemniźcą, co od złego oka strzeże.

Wiedźma targnęła wykręconymi nad głową ramionami, stęknęła boleśnie.

- Poluzujcież - rozkazał księżę. - Gadać musi.

Łysy powroźnik popuścił sznury. Bez zbytniego zapału.

- Wiesz, kim jestem? - spytał księżę.

- Yhm - odparła skwapliwie wiedźma. - I głupi Twardokęsek. Bo wy macie prawo nad Kopiennickimi. Jeno nie po Thornveiin, ale...

- Dosyć! - popatrzył na nią z czystą grozą. - Starczy... po prostu starczy...

- Ja już widziałam księcia - pochwaliła się wiedźma. - Nerinka. Ale nie był dla mnie dobry. Trzymał w klatce u powały i bił, więc ogień uczyniłam i poszłam od niego...

Toż jakby ona nie była głupia niedojda, pomyślał ze zdumieniem zbójca, rzekłby człek, że go straszy. Że leży na szrobie i się odgrąza.

I widać nie samemu Twardokęskowi przyszło to do łba. Jeden z powroźników mimowiednie sięgnął ku naszyjnikowi z zeschniętych kostek nietoperza, które, jak wierzono w Krainach Wewnętrznego Morza, odbierają moc złemu. Oprawcy znali swoje rzemiosło, znali aż za dobrze. Wiedzieli, że lichy nigdy nie śpi, a wiedźmę raz pochwyconą jak najszybciej trzeba w ogień wrzucić. Bo jak nią już raz szal o władnie, żadne wtedy płacze czy zaklęcia nie pomogą.

- Nawet kamienie się spaliły - mruknął do siebie księżę. - Był zaślubiony mojej kuzynce. Przyjechali raz do Spichrzy z dwoma tłustymi rozwrzeszczanymi bachorami... Z gęby Nerinek się zawsze na idiotę zdawał, a tu proszę, wiedźmę do cytadeli przygarnął. Co samo jedno za dowód przeniiewierstwa wystarczy, bo nie po to ją w klatce wieszał, aby zamiast kanarka śpiewała. Szkoda, że w owym ogniu umorzony, bo ja bym mu powolniejszą śmierć zgotował...

- Chyba wasza miłość pojmuje - powiedział oschłym głosem kapłan Zird Zekruna - że lepiej mistrzów powroźnickich z wiedźmą zostawić. Niech swe rzemiosło czynią, bo ona w zabawach z ogniem dobrze wprawna i tu się może zła przygoda trafić.

Grymas wykrzywił gębę Twardokęska. Ano, pomyślał, strachajcie się. Dobrze rozumiecie, że jak się wiedźma odwinie, to się wieża niczym purchawka rozpęknie.

- Pojmuje to jasno - uśmiechnął się księżę - i aż serce we mnie zamiera, by wasze

świętobliwości pod dachem moim nie ucierpiały.

- Jest powinnością świątyni plugastwo ogniem wypalać - sztywno odparł kapłan.

- A powinnością korony wziąć pomstę na zwierzołakach i tych, co rzeź z nimi ukartowali. Tedy powinności nasze jednakie, nieprawdaż? Posłuchaj, wiedźmo. Widziałaś szczuraków, prawda?

- Yhm - przytaknęła wiedźma. - Ogień w gospodzie zażęłam, szczuraków paliłam...

- Nie będziecie chyba słyhać wiedźmiego bełkotu, wasza miłość - zaprotestował kapłan Śniącego. - Od kaźni się plugastwo wykpić próbuje.

- Toż sam mnie, pacholę jeszcze niedorośle, wasza świętobliwość nauczałeś, że wiedźma głupia jest i do knozań niezdatna. Czego ojciec mój, Ergurn Szalony, doświadczył, gdy z wiedźmiństwem pospołu przeciwko świątyni spisek uwarzył - odparł z drwiną książę. - Tedy powiadasz - zwrócił się ku wiedźmie - że zwierzołaków paliłaś w gospodzie. A potem do Spichrzy ściągnęliście. Po cóż? Trzeba było w góry co prędzej umykać, nie między ludzi leżać.

- Bo tędy jej droga idzie - odparła wpatrując się w twarz księcia bezmyślnymi niebieskimi oczami.

- Czyja?

- Jej. Oni wiedzą - kiwnęła głową na Krawęska i kapłanów Zird Zekruna. - Dlaczego ty nie wiesz?

- Więc powiadacie wasze świętobliwości, że wiedźmy są głupie? - uszczypliwie spytał książę.

- A po cóż ci wiedzieć? Nic ona od ciebie nie chce. Przechodzi tylko. Szuka. Nie możecie jej zostawić? - zapłakała nagle. - Nie pokryła jej woda, nie pochłoniął ogień, czego jeszcze chcecie? Wy nią jako kukłą obracać nie będziecie... Bo już zgadywać poczyna, ku czemu ją posłano. Bo jej wszyscy o Annyonne prawią...

- Błuznierstwo! - wykrzyknął kapłan Śniącego. - To imię przekłete nawet kamienie nagie obraża!

- Kamienie nagie zmilczą zniewagi - chłodno odpowiedział książę. - O co i waszą świętobliwość pokornie proszę. Jednak wątpię, by wiedźma mogła bluźnić. Wiedźma bogom nie przynależy, więc zaprzeczyć się ich nie władna. Dalej, wiedźmo. Skąd ta niewiasta? Jak ją wołają?

Wiedźma zacisnęła wargi, hardo wysunęła brodę. Wargi drżały.

Książę dał znak i powroźnik podkręcił sznura. Wrzasnęła cienko, piskliwie, wyrzuciła do tyłu łusą głowę, aż walnęło. Ot, głupia, pomyślał ze złością Twardokęsek. Toż powiesz, wszystko wyśpiewasz. Tyle aby, że męczyć cię pierwej będą, kleszczami szarpać, na kole łamać. Gadaj - że, niedojdo, co ci do tego łba pustego Szarka nakładła.

Lysy powroźnik, widać bardziej od innych obrotny, bez rozkazu podsycił ogień w trójnogu i począł rozgrzewać chwytniki. Narzędzia były dobrze przysposobione do sprawiania wiedźm, gdyż oprawcy żelazo hartowali w soku chrzanowym wyciskanym przez chustę razem z glizdami, by przeciw złemu dobrze stwardniało.

Wiedźma znów zaskowytała. Zachłysłnęła się wysokim zawodzeniem, aż w krzyżu Twardokęsek ów pisk poczuł, szarpnęła się, wygięła. Coś jej chrupnęło w stawach, ale ją drugi powroźnik przytrzymał. W brzuch nisko pięścią ugodził i w gębę poprawił.

- Szarka - wyrzucił z siebie raptownie zbójca. - Na Tragance zwano ją Szarka, ale innych imion zda się wam u niej samej wywiedzieć. Albo i u kapłanów Zaráźnicy - dodał pod ponaglającym spojrzeniem księcia. - Nosi ich znak, obręcz dri deonema. Więcej nie wiem. Przez góry jeno ją prowadziłem. Mnie się nie opowiadała, czego w Spichrzy szuka.

- Iście zadziwiające - skrzywił się książę. - Spichrze nawiedza kochanica Morowej Panny, tfu, chciałem powiedzieć, najwyższa kapłanka prześwietnej Fei Flisyon. Schodzi z gór pospołu z zastępami szcuraków w przeddzień Żarów. Z wiedźmą i zbójcą z Przełęczu Zdechłej Krowy u boku. Traf, że w cytadeli popasają też wasze świątobliwości - lekko uklonił się kapłanom Zird Zekruna - i wasz zausznik wyłuskuje wiedźmę wśród mrowia pątników prędzej, niż mój służebny chwyta pchłę. Ja oczywista nic nie wiem - uderzył pięścią w ścianę. - Bo i po cóż? Toż pani Jasenka ochoczo pachółków do gospody po wiedźmę wysyła. A skąd owa nagła pani Jasenki skwapliwość? Bo płodności nabyć pragnąc, drugi rok do kapłanów po kryjomu chadza i rozkazów ich skrupulatnie słucha. Pewno, że wiem - spojrzał spode łba - pół Spichrzy o tym gada. Pani Jasenka nie jest zbyt bystra, lecz ma inne zalety. Mogę przymykać oczy na jej słabości, moja wola i nic nikomu do tego. Ale nie pozwolę, żeby mi własnych pachółków za plecami bałamuciła i waszej świątobliwości na posługi oddawała! Ma świątynia Servenedyjki, niech złoczyńców ścigają. Ale na świątynnym trakcie, a nie w mieście, bo tu moje prawo i mój sąd! - zakończył, niemal wrzeszcząc.

Podczas całej tej przemowy kapłan Zird Zekruna Od Skały przyglądał się księciu Evorinthowi niczym nieznanemu rodzajowi zwierzęcia. Z mieszaniną obrzydzenia i ciekawości.

- Pohamujcież się, wasza miłość! - upomniał go kapłan Śniącego.

- Masz mnie za głupca, Krawęsek? - zachnął się książę, opuściwszy niedbale słowa: "wasza świątobliwość". - Wszak tu nie o jedną wiedźmę sprawa. Ja Zaráźnicy rozjątrzyć nie zamierzam, ani się księżyc nie odmieni, a miasto mi pomorem wyludni. I co wtedy będzie? Że bogowie ścierwa wskrzeszać się nie kwapią, tedy mniemam, że mi Śniący ludzi nie wróci.

- Dość - sucho skarcił go Krawęsek. - Sami nie wiecie, co mówicie. Lepiej, abyśmy nigdy nie słyszeli głosu Śniącego. Anim ja o owej niewieście, co z Traganki przychodzi, wiedział, ani znał jej imię. Bo gdyby mnie zasię o niej uwiadomiono, sam bym do bram witać ją wyszedł. Jednak nie dalej niż dzisiejszego ranka gościłem namiestnika Fei Flisyon Od Zarazy. Nie rzekł mi ni słowa o dri deonemie, a nie widzi mi się, by rzecz podobną przede mną tał.

- Cóż, przyczyn powściągliwości waszego konfratra dowiedzieć się już nie zdołamy - odrzekł książę. - Przed zmierzchem jego domostwo spłonęło ze szczętem, a sam czcigodny Krotosz zniknął w

zamieszaniu. Nie, nie robić mi tu zdziwionych grymasów! - wrzasnął na Krawęska - Ktoś podburzył pospólstwo, a nie ja, tedy świątynia! I nie o to się rozchodzi, że mnie Krotosza żal! Dobrze wiecie, listy zastawne, przez księcia ojca pana podpisane miał i jakoby za gardło mnie nimi dusił. Sam bym mu chętnie węgle pod rzyć podłożył! Ale, że się gdzieś w zamieszaniu zawieruszył, to jest partactwo i przeciwko sztuce zbrodnia! Jak się na czym, wasza świątobliwość, nie znacie, to łap w cudzy sak nie pchajcie!

- Ja... - zająknął się posiniały Krawęsek. - Ja nie...

Oprawcy spoglądali to na Krawęska, to na księcia, wielce pomieszani ich kłótnią. Ogień jednak wytrwale sycili, póki chwytniki nie poczerwieniły od żaru. Powroźnicy bowiem dobrze rozumieli, że świeckie tu li kościelne prawo przeważa, za jedno, rzecz się bez kleszczy nie obejdzie.

- Po próżnicy z wami gadka - rzucił książę. - Nierad cię ostawię, wiedźmo - wziął spod ściany długi szpikulec i uniósł nim wiedźmę pod brodę - lecz zaiste trzeba ucztę gotować. Dobrze plugastwa, mistrzowie, doglądajcie - rzucił powroźnikom. - I nie tykać mi jej, póki nie wrócę.

On dopiero zaczął pytać, zrozumiał Twardokęsek. Zląkł się imienia Zараźnicy, ale i tak bez kapłanów nocką wróci, ścierwo, nie poniecha. Poty będzie dręczył, póki z nas ducha nie wypuści, nie darmo jego w górach Dręczyciel wołają. Nie uniesieni stąd szyi. Ani my, ani ci powroźnicy, co się między pańskie sprawy zaplątali.

- Poniechajcie tego, panie - zgrzytliwym głosem odezwał się kapłan Zird Zekruna. - Jeśli nie na własną głowę, tedy na miasto baczenie miejcie. Na gości, co na zamku, na święto...

- Nie lękajcie się, wasza świątobliwość, mam na miasto baczenie, a dobre - książę niedbale otrzepał rękaw. - Co zaś się wiedźmy tyczy, to jako człek prawowierny, bogom ufający, oddaję się w opiekę Śniącego. Róbcie, co chcecie. Okadzajcie ściany, poświęćcie narzędzia, sprowadźcie tłum kapłanów, niech psalmy wokół Wiedźmiej Wieży zawodzą. Za to do świątyni grosz posyłam i to wcale niemały. Dość o tym - uciał. - Księżna pani, moja matka, pewno już zniecierpliwiona, a i Zarzyczki nie godzi się zaniedbywać.

Kiedy tylko książę oddalił się na dobre, powroźnicy z nieskrywaną ulgą czmychnęli z loszku. Zbójca słyszał, jak zabawiają się grą w kości o dobytek skazańców.

Rozciągnięta na szrobie niewiastka chlupała cicho. Przed północą gong obwieścił kaźń ósmej wiedźmy.

- Rychło wasza kolej będzie - w drzwiach pokazał się łysy łeb oprawcy. - Niech was tylko dobrze wypytają i prościutko w ogień. A tymczasem gości macie. Z samej świątyni...

* * *

Przed dziewiątą bramą trakt się rozdzielał. Północna furtka wiodła ku cytadeli; tą drogą

panowie Spichrzy chadzali do świątyni. Dziś furтка owa była otwarta na oścież i przywabiała mnóstwo ludzi, bowiem w ogrodach pod bokiem cytadeli dobry książę Evorinth przykazał pątnikom wydawać jadło. Natomiast za potężnymi, odlanymi z litego żelaza wrotami rozciągały się świątynne podwórcę.

Trójkątny placyk przed bramą był zapchany kupieckimi kramami.

Przekupnie wrzeszczeli. Pątnicy kłębili się bezmyślnie. Złodzieje odcinali sakiewki.

Obszarpany i bez wątpienia szalony staruch piskliwie zwiastował nadchodzący dzień sądu.

Trzech książęcych drabów rozsiadło się przy roźnie z pieczonymi kapłonami. Halabardy oparli o mur, hełmy zdjęli i łapczywie żarli wyłudzone od przekupnia pieczyste, bez żenady przepijając z co nadobniejszymi pątniczkami.

Dziewczyna w brązowym płaszczu wymówiła się ulicznikowi, który próbował wcisnąć jej srebrny krążek z podobizną Śniącego. Utykając, szła ku książęcym ogrodom, drobna, przykurczona.

Poniżej na trakcie rozległy się nieprzyjazne pokrzykiwania. Od strony miasta nadchodziła niewielka kompania zwajeckich najemników. Wyspiarskim zwyczajem każdy wdział kolczugę albo ciężki bechter, na plecach mieli oburęczne miecze, a niektórzy nieśli potężne topory. Że mężowie byli rośli, postawni, ich zwieńczone czarnymi kitami hełmy wyrastały nad głowy pątników. I tak szli szumnie, środkiem gościńca, nie zważając na wrogie pohukiwania.

W cizbie rozległ się wrzask:

- Bij Zwajeckiego!

Przygrywający pątnikom na nisko strojonych szałamajach ślepy staruch z zapalem pochwycił kostur. Wysunął zeń słusznej wielkości szpikulec i zdradziecko dźgnął najbliższego Zwajcę w plecy. Wojownik uchylił się i mieczem na płask dziada ugodził.

- Rąbać kurwich synów! - ryknął radośnie jeden z biesiadujących na murze żaków.

Jego towarzysze poczęli z zapalem wydzierać kamienie z nadwątlonego muru i najemników nimi razić.

Książęcym drabom, co pospółstwo próbowali hamować, w mig halabardy wydarto i od furtki ich odepchnięto. Wśród rozjątrzonej gawiedzi coraz śmieiej pobłyskiwało żelazo. Nie miecze, których książę pan Evorinth pospółstwu nosić nie dozwalał, ale szerokie obusieczne noże, jakie z dawien dawna kuto w Górach Żmijowych, i maczugi z drewna lipowego, do których mocowano żuchwy bydlęce. Znienacka ktoś cisnął brukowcem. Jeden ze Zwajców zwałił się na gościniec, co jeszcze bardziej tłuszczę rozzuchwaliło.

Wojownicy uczynili krąg i poczęli się cofać ku cytadeli. Tłum naciskał na nich ze wszech stron i złorzeczył plugawo, wszakże nikt się za bardzo nie kwapił pod zwajeckie miecze podkładać.

Paru spitych spichrzańską okowitą wieśniaków żwawo oczyściło rożeń z kapłonów i ruszyło rabować kupieckie smatruzy.

W zamieszaniu ktoś niepostrzeżenie zarznął staruszka, co koniec świata przepowiadał.

Z gospody Pod Karaskiem wysypała się gromada dobrze rozochoconych szlachciurów. Od ścigającego na święto chłopstwa odróżniały ich tylko krótkie miecze, które nosili na konopnych sznurkach u pasa, i zawieszane na piersiach ryngrafy z wizerunkami Śniącego. Byli to ubodzy zaściankowi, co z dawien dawna żyli pod bokiem Spichrzy. Drobne nadziały ziemi, na których siedzieli, w żaden sposób nie mogły ich wyżywić, więc najmowali się co zasobniejszym gildiom do obrony transportów. Szlachetkowie owi byli do bitki prędcy, choć wielce nabożni i świątyni Nur Nemruta oddani, przy tym chełpliwi, hardzi i wszelakim obcym wielce niechętni. A już najbardziej Zwajeckim.

- Błuzniercy! - zakrzyknął najroślejszy z wydmikufl. - Wiedźmiński pomiot obmierzły!

- Za ich nieprawości bogowie doświadczają nas najazdem szczuraków! - zawtórował mu młodzik w sobolim kołpaczku. - Bodajby wasza noga nigdy w Spichrzy nie powstała!

Zwajcy, którzy z początku płazowali po grzbietach co bardziej zajadłych krzykaczy, pojęli rychło, że tu nie z tłuszczą niewprawną sprawa, ale wojownikami doświadczonymi i zajadłymi jako gzy. Czarnobrody mąż, który najwyraźniej zwajeckiej gromadzie przewodził, uśmiechnął się paskudnie i ugodził w łeb wrzaskliwego szlachcica. Ogromny topór gładko rozszczepił czerep, ani go misiurka zatrzymała, ani srebrzysty ryngraf od śmierci uchronił. Zwajca zaśmiał się szyderczo.

Uwiązany przy sadzawce z uzdrawiającą wodą brunatny niedźwiedź, który zwykle do wtóru drumli tańcował, ocknął się nagle z drzemki. Przestraszony zgiełkiem, wyrwał z nadwątlonego muru żelazny pierścień i rzucił się w dół traktem. Gromada szkolników pognąła za nim, szczując i targając za łańcuch, póki nie wpadł pomiędzy garncarskie kramy. Uczyniło się wielkie zamieszanie. Niedźwiednik wyskoczył z karczmy, gdzie chwacko od południa popijał. Czeladnicy garncarscy biegali za nim, donośnie biadając nad utraconym dobytkiem.

Na stopniach wiodących do spichrzańskiej cytadeli Zarzyczka obejrzała się za siebie, by zobaczyć, jak kramarzący wizerunkami Śniącego ulicznik, charcząc, wali się u jej stóp. Z pleców sterczała mu rękoność sztyletu. Księżniczce z nagłą zabrakło tchu. Od świątynnego traktu, gdzie Zwajeccy na dobre już rąbali spichrzańską szlachtę, biegł ku niej z tuzin mężów w żebraczych łachmanach. Nie byli wszakże żebrakami, bo broń wszelaką dzierżyli w garściach. Przodował łysy rzezimieszek, pryskowany na gębie haniebnym znakiem szubienicy. Wygrażał księżniczce szafelinem i było pewne, że zamierza ją w zamęcie owym szafelinem przebić. Za nim spieszyli inni. Z kopiennickimi mieczami.

Zarzyczka ani spostrzegła, skąd się przy niej wzięła niewiasta w ciężkim, nabijanym ćwiekami kubraku. Odepchnęła księżniczkę w załom muru i zgrabnie cięła przez pierś pierwszego ze skrytobójców.

W dole, od strony świątyni, rozległo się wycie servenedyjskich wojowniczek. Tabunik wpadł

pomiędzy spichrzańskich szlachciców, rąbiąc bez różnicy i końmi ich tratując. Rozumiejąc, że odsiecz nadchodzi, Zwajeccy zwarli się i ławą do przodu ruszyli, zagrodziwszy pospólstwu drogę do książęcych ogrodów.

Nad nimi rudowłosa niewiasta wymykała się ciosom morderców. Zakrzywione miecze w jej rękach wznosiły się i opadały niczym srebrnołuskie zmije. Musnęła ostrzem szyję piętnowanego bandyty. Chłop zwalił się. Posoka chlusnęła mu z gardła, paskudnie upaprawszy marmurowe stopnie. Dziewczyna, nie zwalnając, cięła łańcuch morgensterna, którym wymachiwał ryży pachół. Miecz przeszedł gładko, jakby to nie było żelazo, tylko pergaminowa ceduła. Pachół rozwarł usta do wrzasku. Nie wrzasnął. Nie zdążył.

Na placu u bramy Servenedyjki dorzynały resztki pospólstwa. Ci z zaściankowych, którzy zanadto zwłóczyli z ucieczką, do jednego legli. Ślepy żebrak czołgał się pomiędzy umierającymi, bo mu się gdzieś szalamaje zawieruszyły.

Przywódca Zwajców zdjął poszczerbiony hełm, nieznacznie pokłonił się Servenedyjkom. Z wytatuowanych siną farbą twarzy wojowniczek nic się nie dało odczytać. Dwie zeskoczyły z łaćiatych koników. Chodziły pomiędzy poprzewracanymi kramami, dobijając rannych. Inne leniwie przypatrywały się bijatyce na schodach do cytadeli. Prawo broniło im przystępu na książęcą ziemię, więc tylko rażno pokrzykiwały, jak kto się walił na bruk.

Niziołek mozolnie wygrzebał się spod resztek budy krytej ciemnym smołowanym płótnem.

Czterej zbójów próbowało zająć niewiasty półkolem.

Wojowniczką w nabijanym żelazem kubraku prześlizgnęła się między nimi. Dwóch chlasnęła jednocześnie i nie zatrzymując się, sparowała cios. Zarzyczka przestała nadążać za ruchami mieczy. Tyle tylko rozumiała, że tamta nie próbuje się zasłaniać. Chciała zamknąć oczy. Nie patrzeć. Nie słuchać przedśmiertnego charczenia. Nie potrafiła.

Odrąbane u nasady ramię w łosiowej rękawicy spazmatycznie przykurczyło palce i zdawało się pełzać między nogami walczących. Jasnowłosy młodzik potknął się, zawahał. I wtedy go zahaczyła. Samym piórem. Nisko, nad plecionym z rzemieni pasem. Chłopiec zwiotczał, osunął się na ziemię, ledwo pięć stopni od Zarzyczki. Nawet nie krzyknął. Tylko wnętrzości, co mu się z rany razem z krwią i żółcią wylewały, próbował z powrotem wepchnąć do brzucha, ale wyślizgiwały mu się z palców.

W przelocie mignęły Zarzyczce wielkie zielone oczy tamtej niewiasty. I twarz. W poświacie letniej czerwonej nocy blada niczym oblicze topielicy. Posiniałe, zagryzione wargi. Gładko kuta obręcz na czole.

Berserkiński szal, odgadła z grozą. Bitewne szaleństwo.

To już nie była ta drobna, brunatnowłosa dziewczuszka wciśnięta w załom muru, zmartwiła z przerażenia. Ani kohorta tałalajstwa, niewprawnie mieczami robiąca. Nie wyrostek z wyprutymi wnętrzościami.

Tylko skrwawiona głowa Dumenerga na zamkowym ostrokole. Toporem od tułowia odrąbana. I sprośne śpiewki wojowników uczujących wokół ognia na dziedzińcu. Zimowa noc. Czarnowłosy chłopiec, równie jak ja pijany i bardziej jeszcze przerażony. Zaślubiny.

Ogień pod dworzec przed świtem podłożony. Śmiech Jill Thuer, kiedy odepchnęły mnie od niej piaski, piaski i woda. Wataha wilków na śniegu.

Samotnie płaczę w rozległej, chłodnej sali. Dogasa ogień, brązowa suka zagląda mi w twarz.

Dumenerg. Jill Thuer. Mokerna. Jedno po drugim.

Zimne zębate ostrze.

Jak modlitwa.

Nie będę niczyją miotłą, by nią śmiecie wymiatać... Czy ja kiedykolwiek miałam wybór, Eweinren? Czy tylko niby frygą mną obracano?

Pobojowisko. Kwik pokłutego sulicami konia. Łuna nad skrajem nieba.

Spadające gwiazdy.

Mokerna przygwożdżona do ściany dwoma mieczami, przygwożdżona do gobelinu, na którym falują niebieskie trawy. Jej usta rozwarte do krzyku, ciemne pęknięcie pośrodku twarzy.

A gwiazdy wciąż spadają. Bez końca.

Ból. Tępy obmierzły ból, co trzewia na skroś rozdziera.

Ci, którzy godnie nie żyli, powiedziałaś.... I wszystkie moje siostry martwe, co do jednej.

Wysoka, chłodna fala. Żółć w ustach.

Karzeł podbiegł do grupy wojowniczek. Wczepił się w strzemień najbliższej Servenedyjki. Spojrzała na niego przelotnie znad wysokiej kulbaki, przerywając czyszczenie szabelki, którą starannie ocierała zdartym z trupa strzędem harasu.

- Toż pod waszym bokiem niewiasty szlachtują! Toż się nie godzi!

- Książęce prawo, pokurczu! - wbrew temu, co pospolicie w Spichrzy gadano, Servenedyjka mówiła bardzo składną mową Krain Wewnętrzznego Morza. - Traktu nas strzec wynajęli, to strzeżem, a reszta nam za psie jaje stoi! - błysnęła w uśmiechu ostro spiłowanymi, sinymi od barwiczki zębami. - Gównu mnie obejdzie, choćbyście się pospołu wyrznęli! Byle za traktem!

Jakby dla potwierdzenia jej słów, druga Servenedyjka, mniej widać elokwentna, wymierzyła karłowi kopniaka. Buty miała podkute.

Na schodach zostało jeszcze czterech skrytobójców. Namyślali się. Sześciu ich kamratów padło i ci, którzy przeżyli, nie kwapili się do dalszej rąbaniny.

Drobnymi tanecznymi krokami Szarka poczęła zbiegać ku nim po okrwawionych stopniach.

- Patrzajcie! - zakrzyknął ktoś w gromadzie Zwajców. Przywódca Zwajców odwrócił się i spojrzał na dziewczynę w nabijanym żelazem kubraku. Jego brwi zbiegły się w grubą, ciemną kreskę.

- To nie może być ona - powiedział bardzo cicho. - To nie może być...

Chudy zbir, widać najrozsądniejszy, wdrapał się na okalający ścieżkę murek i pospiesznie zniknął w księżących ogrodach. Reszta wahała się. Zbyt długo.

Zwajca postąpił kilka kroków naprzód, aż do samego podnóża schodów, i wsparł się ciężko o stylisko topora.

- Zatrzymaj się! - ryknął potężnie. - Stój, dziewczyno!

- Nie słyszy was! - łagodnie powiedział siwowłosa wojownik.

Ostatni z niedoszłych zabójców, drobny chłopaczyna w siermiężnej koszuli, stał jak wrośnięty. Morgenstern wypadł mu z ręki. Z bezmyślnie wytrzeszczonymi oczami czekał na śmierć.

- Dosyć! - wrzasnął Zwajca.

Dziewczyna zaśmiała się. Przemknęła obok chłopca, nie patrząc musnęła go czubkiem miecza.

Zarzyczkę dobiegł rozpaczliwy płacz. Jej własny.

- Ona nikogo nie słyszy - powtórzył siwowłosa. - To berserkerka. Tu zgoła inaczej trzeba - wziął porzucony w walce brukowiec i z zamachem cisnął nim w dziewczynę.

Czarnobrody Zwajca rzucił się do przodu, pochwycił ją, nim jeszcze upadła na ziemię. A potem przyklęknął i zaczął ją kołysać, jak małe dziecko.

Zarzyczka zsunęła z ramion płaszcz i bardzo delikatnie przykryła chłopca z rozciętym brzuchem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Nie jestem twoją córką! - rozpaczliwie wierzgając, rudowłosa dziewczyna usiłowała się wyrwać z uścisku. Zarzyczka nie dawała jej wielkich szans: zwajecki wojownik trzymał ją dobry sążen nad ziemią, unikając co celniej wymierzonych kopniaków. - Nie jestem twoją przeklętą córką!

- To ten kamień - szpakowaty wojownik uśmiechnął się szeroko. - Za mocno ją wałnąłem.

- Temperament ma po matce! - książę zdecydował się uwolnić wreszcie dziewczynę. Ostrożnie przytrzymał ją za kubrak na karku, jak kociaka, i postawił na nogach. Otrząsnęła się, popatrzyła na niego spode łba. - I zęby! Patrzajcie, jak się wgryzła! - oznajmił z dumą. - Wyszczериła mi koleczugi.

- Z oblicza też prawie Sella, każdy by rozpoznał - przytaknął siwawy. - I te włosy. Nie wyprzecie się.

- A bo to zamierzam! - Suchywilk serdecznie klepnął dziewczynę po plecach, aż ją przygięło do ziemi. - Przecie ja jej prawie dwa tuziny lat szukam, ptaszyny mojej!

- Zdumieliście! - rozdarła się. - Do cna zdumieliście! Wyście nie mój ojciec. Nie mam ojca!

- Pierwsze to byłoby w bożym świecie dziwowisko! - zaśmiał się jakiś Zwajca. - Bez chłopca nie Iza, dziewczyno. Tutaj praktyków dosyć. Poproś ładnie, to ci który wszystko wyłoży i objaśni.

- Kamień - pokiwał głową siwowłosy. - Ani chybi rozum się jej od kamienia obłuzował.

- Pewnie ją sinoborskie mniszki przyhołubiły - rzucił inny. - One od frejbiterów dzieciaki skupują i w klasztorach chowają. Okrutnie dobre i poczciwe niewiasty, ale co swoim wychowankom do głowy kładą o bocianach i kapuście... Zabobon i ciemnota.

- Dicz! - zgodziła się wojowniczką o twarzy pokrytej sinym tatuażem i chichocząc, opasała go ramionami.

Zarzyczka wciąż dygotała - z zimna i na wspomnienie niedawnych jatek. Ktoś narzucił jej na splamioną posoką telejkę wspaniały, podbity futrem płaszcz z błękitnego sukna, wcisnął w rękę gliniany kubek. Servenedyjka uśmiechnęła się, odsłaniając ostro spiłowane ząbki.

- Ty pić - poradziła.

Wokół Suchywilka i rudowłosej utworzył się zbity krąg. Księżniczka nie mogła się nadziwić, jak szybko wśród wyspiarzy i Servenedyjek poczęły krążyć rozmaite naczynia. Dwóch Zwajców przydźwigało z gospody Pod Karaskiem wielką beczkę, a drobna wojowniczką warząchwiał czerpała okowitę i rozdzielała równie hojnie napitek, jak całusy.

Pomordowanych w niedawnej bitce odciągnięto za nogi i zwałono na kupę przy brzegu traktu, tworząc miejsce dla gromadnych płasów. Ktoś wetknął dziadowi w garść szałamaje.

- Graj, dziadu! - wojownik w pogiętym bechterze podsadził ślepcę na okalający gościniec mur. - Graj, ile sił starczy. Kniahinę my odnaleźli!

Pośrodku powszechnej wesołości rudowłosa przestała lżyć Suchywilka. Desperacko czegoś szukała pod nabijanym żelazem kaftanem.

- Daremny trud - objaśnił ją ktoś ciepło. - My ci szatki dobrze przetrząsnęli, ptaszyno.

- Przechowam je - siwowłosa Zwajca odwinął brzeg zawiniątka, odsłaniając głównie mieczy. - Póki się nie upewnim, czy ci coś głupiego do łba nie strzeli.

- Tylu chłopca na schodach położyła - chełpliwie oznajmił Suchywilk. - A w przyodziewku miała cztery sztylety pochowane. Prawa Zwajka!

- Czego naprawdę chcecie? - dziewczyna ciasno opasała się ramionami.

- Zabrać cię do domu, córuchno - Suchywilk podszedł do niej całkiem blisko, jego głos był poważny i uroczysty. - Między swoich. Ja cię wszędzie szukałem. Popod samą Hałuńską Górą na targach byłem. Wypytywałem po klasztorach Rożenicy - Wieszczycy...

- Czy ja wyglądam na nierozgarniętą? - przerwała ze znużeniem. - Żal, że wam Pomorcy córkę porwali. Ale nawet jeśli się gdzie po świecie obraca, jak wy ją odnaleźć zamierzacie? Jak rozpoznać, skoro taki czas minął? Moglibyście z nią przy jednej ławie w gospodzie siedzieć, a i tak byście się nie spostrzegli. Co mi jeszcze spróbujecie wmawiać? Jakieś tajemne piętno, którego nikt nie oglądał? Nie jestem waszą córką i nie wierzę, żebyście ją mieli odnaleźć. Tak się nie dzieje. Przykro mi.

- Nie, nie wyglądasz na nierozgarniętą - powiedział ciepło. - Wyglądasz dokładnie, tak jak trzeba, dziewczyno. Masz swoje dziedzictwo wypisane na twarzy. Każdy potwierdzi - kilku Zwajców zawtórowało mu przyciszonym pomrukiem. - Twoja matka pochodziła od Iskry.

- Cholera! - rudowłosa pobladła. - Nie wierzę! Po prostu nie wierzę!

Była na północy taka stara historia, przypomniawszy sobie Zarzyczka. Legenda o wojowniku, który porwał wicherową sevri z orszaku Org Ondrelssena Od Lodu.

- Dawne czasy - wyjaśnił jej wojownik w hełmie zwieńczonym dwoma rogami. - Suchywilk miał już trzech chłopaków z niewolnicą, godnych synów. No, nie dziwujcie się, księżniczko - uśmiechnął się nieznacznie. - U nas mniej ludzie o podobne głupoty dbają, a niewolnica była pono ze szlachetnego skalmierskiego rodu. Ale dość, że mu tamta zielonymi ślepiami w gębę zaświeciła... Zdurniał chłop ze szczętem. A Sella tylko się śmiała. Harda była niewiasta, do swobody nawykła, z mężami na wiking pływała. Ale kniaź chodził wedle niej, chodził, póki nie wychodził. Sella, jasna Sella, tak ją nazywali - potrząsnął głową. - Kniaź wszystkie inne niewiasty z dworca popędził, choć ona nieledwie cztery lata jako głucha płonka była, żadnego owocu nie potrafiła do czasu donosić.

- Aż wreszcie Sella urodziła córkę - dolał księżniczce piwa. - Bogowie, jak kniaź to dziecko miłował! Ale się nie nacieszył. Dziewuszka mało co od ziemi odrosła, jak Pomorcy dworzec napadli. Związali Suchywilka, ręce mu przybili ćwiekami do drzwi dębowych. Żeby patrzył, co robią z Sellą. Na koniec ją zabili. Co do kniazia, to chyba wierzyli, że sam z siebie zdechnie. Nie zdechł, choć prawie oszalał. Zapiekł się w zemście. Posłał synów tropem Pomorców. Kazał im płynąć między Żebami Morza. Po dziewczuszkę. Ni jeden nie wrócił.

Księżniczka przygryzła wargi. Ogromny Suchywilk niezgrabnie opierał się o stylisko bojowego topora. Rudowłosa wojowniczką, jego córka, rozcierała wierzchem dłoni brud na policzku i z

uporem przypatrywała się swoim butom. Bardzo znoszonym butom, zauważyła księżniczka.

- Trzymajcie - Zarzyczka podała rudej na wpeł opróżniony gliniany kubek. - Jestem Zarzyczka. Zabiorę was do cytadeli. Tutaj z niczym nie dojdziemy do ładu.

- Słusznie - zgodził się szpakowaty. - Jak berserkerski szal minie, to takowe znużenie człeka rozbiera, że najlepiej zawczasu leże znaleźć. Zda się ciebie, dziewczynko, spać ułożyć.

- Szarka - wojowniczka uśmiechnęła się nieznacznie do żalnickiej księżniczki. - Nazywają mnie Szarka. Książę Evorinth przymknął w lochu mojego człowieka. I głupawą dziewczkę, która miałam w pieczy.

- Dziwaczne miano - z przyganą stwierdził starszawy Zwajca. - Południowe.

- To od tych gwiazdek, które przy pasie miałam. Z pasa też żeście mnie obdarli - dodała z wyrzutem. - A imię sługa mi nadał, tenże sam, co teraz w książęcej wieży. Jego wińcie.

- Imię? - mruknął pod nosem siwawy wojownik, ten sam, który wciąż trzymał pod pachą jej miecze. - Nadał ci imię, powiadasz?

- Niedobrze - kniaź pogładził się po wypiełgnowanej, splecionej w dwa grube warkocze brodzie. - Myśmy tu u kniazia w gościnie, dziewczyno. Nie przystoi nam po jego piwnicach buszować. No, ale jak ci ten sługa imię nadawał, to inna zgoła sprawa. Zobaczymy.

* * *

Książę Evorinth zazwyczaj nie wzywał pani Jasenki przed północą, więc wieczorami zaprzętały ją owe rozliczne obrzydliwe zajęcia, które kobiety skrzętnie skrywają przed swoimi mężczyznami. Przed większymi balami zamykała się wcześniej niż zwykle. Owego dnia jeszcze przed południem wypędziła z komnaty wszystkich, prócz dwóch niezmiernie rozwydrzonych kotów, które z wyniosłą obojętnością przypatrywały się jej zabiegom. Nałożyła na twarz zielonkawą cuchnącą miksturę. Dworski alchemik bardzo ją zachwalał, ale doprawdy nie potrafiła sobie przypomnieć, z jakiego powodu.

- Gęsie gównno!

W drzwiach stał Szydło, książęcy błazen. Jasenka gniewnie przymrużyła oczy. Nie lubiła pokurcza. Zawsze miała wrażenie, że się z niej skrycie wyśmiewa.

- To gęsie gównno! - oznajmił radośnie Szydło. - Przednio z was alchemik zadrwił. Z czystego gęsiego gównna tę miksturę przyrządza, ze szczyptą pachnących olejków, żeby za bardzo nie śmierdziało. Wszystkie dworki się śmieją, że co wieczór nacieracie gębę łajnem.

- Wynocha - głos pani Jasenki był pełen wystudiowanego spokoju, lecz pod warstwą mazi jej

usta drżały niespokojnie. - Wynocha z komnaty, karle, bo zawołam straż.

- Może zechcą przyjść i popatrzeć - niziołek z powątpiewaniem zajrzał w rozchylony peniuar. - Choć nie bardzo jest o co oko zaczepić. Gadają też, że księżę pan coraz rzadziej do was zachodzi. Pono żalnicka księżniczka bardzo mu do serca przypadła...

- Żebyś zdechł, gadzino! - cisnęła flakonem z ciężkiego niebieskiego szkła.

Naczynie rozprysło się na ościeżnicy. Karzeł zachichotał, przemknął między rozwścieczoną kobietą i sofą, na której drzemały szare kociska.

- No, bez czułości! - zadrwił, kiedy palce Jasenki o włos minęły jego kubrak. - Co by księżę powiedział, gdyby zobaczył, jak namiętnie chłopów ścigacie? A ja wam nowiny przynoszę, najpierw słuchajcie, później pofiglujemy. Jak was ochota nie odejdzie.

Księżęca nałożnica przyczała się na stołeczku przed zwierciadłem.

- Gadaj - rozkazała.

- Goście do zamku idą. Sam zwajecki książę. Święto w dworcu będzie i dziwowisko, bo książę córkę znalazł. Przynajmniej on tak wierzy, bo dziewczka coś bardzo nierada. Na samych schodach cytadeli ją przydybał. Jak wybijała morderców, których nasłaliście na żalnicką księżniczkę.

- Łzesz!

- Nie - nieoczekiwanie łagodnie rzekł karzeł. - Nie kłamie. Wywabiłaś Zarzyczkę do miasta i najęłaś skrytobójców. Byłaś głupia, dziewczynko, bardzo głupia. Księżę i tak by jej nie poślubił. Nawet gdyby chciał, nie mógłby tego uczynić.

- Powinnaś była wiedzieć, Jasenko - ciągnął. - To nie kolejna dworka, którą można cichaczem udusić i w juchtowym worze rzucić do ścieku. Czy pomyślałaś, co się stanie? Komu się przysłużysz?

- Ciżba ludzi na Żary ściągnęła, całe mrowie. I zamęt w mieście okrutny. A tu jeszcze Suchywilk córkę znalazł. Tak, Jasenko - uśmiechnął się szyderczo. - Najwyższy zwajecki książę w Spichrzy. Z żalnickim księciem przymierze knuje. Z synem starego Smardza.

W obwódce zgniłozielonej mazi oczy nałożnicy rozszerzyły się nieznacznie.

- Księżę Evorinth ich w gościnę prosił. Nie powiedział ci, Jasenko? Może są też inne rzeczy, o których nie mówił. Bo on to długie miesiące szykował, siostrzyczko.

- Skąd wiesz? - spytała powoli. - Skąd karzeł rozeznaje się w podobnych sprawach?

- Ja wiele wiem - szyderczo powiedział niziołek. - Wiele słyszę. Ludzie nie lękają się wesołka. To Szydło, mówią, i rzucają we mnie resztkami jadła. Obgryzionymi kośćmi i zgniłą nacią. Raz twoje dworki wepchnęły mnie do gnojówki. Po pachy. A ja się przysłuchuję. Siedzę z psami pod stołem i łowię wieści. Widzisz, Jasenko, ludziom roztropności nie dostaje. Nie trzeba się było z

żebrackim starostą zmawiać. On cię za sakiewkę srebrników wyda.

- Tak, gołąbeczko - uśmiechnął się. - Wieczór cały w żebrackiej gospodzie w kości grałem, wielu mnie tam oglądało. Słyszałem, jak wasz komornik, Zajęcza Wargę, ludzi zgodził. Trzeba było kogoś innego posłać, Jasenko. Kogoś mniej znacznego, Zajęczą Wargę za łatwo rozpoznać. Niech go tylko powroźnicy zaczną przypiekać chwytnikami, wyda cię niechybnie, Jasenko. A księżę nic nie uczyni. Będzie się twoja głowa wytrzeszczonymi oczami podróżnym przypatrywać. Z piki nad bramą. I będzie nasz dobry pan kłyckie gryzł, ale nie przeszkodzi. Bo kapłani Zird Zekruna nie darują zamachu na Zarzyczkę, a on nie wystawi swojego władztwa na traf dla jednej załóżnicy. Durnej załóżnicy.

- Ale może być też i tak, że durna załóżnica straż wezwie - pogłaskała jedwabny sznurek od dzwonka na służbę. - Ani będą o rację pytać. Powieszą Szydło na powrozie, ledwo nogami w powietrzu drobno poprzebiera. Choćbym i kuternózkę umorzyć zamierzyła, kto wtedy Zajęczą Wargę wypytywać będzie? Kto się odważy?

- Zwajecka kniahinka - odpowiedział zimno karzeł. - Umyślnie ją do zbójeckiej gospody zwabiłem. A potem po mieście tak drogę plątałem, żebyśmy na te schody w tejże samej chwili wyszli, kiedy skrytobójcy Zarzyczkę mordować chcieli.

- Dlaczego?

- Bo przez twoją bezmyślną zawiść za bardzo się wszystko zapętiło. Wiesz, co jest najbardziej zadziwiające? - podszedł do okna. - Że on cię naprawdę kocha. Mimo że od lat szpiegujesz dla świątyni i psujesz zdrowie medykamentami, które mają utrzymać w tobie jego nasienie. Mimo służebnych, które potopiono w kanałach. Mimo znamienia na szyi, które tak starannie pokrywasz pudrem. On je już dawno zobaczył, Jasenko. Nigdy nie myślał o tym, żeby cię oddalić.

- Dziwna noc, prawda? - karzeł spoglądał ku migoczącym na obrzeżach miasta wiedzim stosom. - Wigilia Żarów. Zwierzęta ludzką mową gadają. A czasami nie same zwierzęta, czasami nawet bogowie. Fea Flisyon sobór na Tragance zwołała. A potem obróciła przeciwko sobie własną moc. Zasnęła, Jasenko. Zasnęła z powodu rudowłosej dziewczyny, która nosi na głowie obręcz dri deonema. Tej samej, którą Suchywilk obwołał swoją córką.

- Kiedy odchodzą bogowie... - wyszeptała Jasenka. - Kiedy odchodzą bogowie...

- Znaki i przepowiednie - wzruszył ramionami karzeł.

- Nie wierzę prorocत्वom. Tyle z nich wyrozumieć można, że ciemno, głucho i strach, co jeszcze stać się może. Widzisz, Jasenko, stare są zarzewia dzisiejszych sporów, odwieczne. Fea Flisyon bała się Zird Zekruna Od Skały, ale jeszcze bardziej przeraziło ją imię Delajati.

- Dlaczego mówisz mi podobne rzeczy? - niespokojnie skubała brzeg szaty. - Nie powinnam o nich wiedzieć. Nie chcę.

- I tak niewiele wiesz, Jasenko. Nie wiesz nawet, kto cię podjudził do zamachu na Zarzyczkę.

Co ty pamiętasz? Pokojówki, jak mruczą pod nosem, że czas się księżciu ożenić? Kilka nieznaczących, zjadliwych drwin na uczcie u księżnej matki? Nic więcej.

- Niewiele trzeba, aby złamać jedno z was - podjął po długiej chwili. - Bardzo niewiele. Dość we właściwej chwili lekko popchnąć tam, dokąd i tak ze swej natury się skłaniacie. Bo przecież naprawdę chciałaś pozbyć się żal - nickiej księżniczki. I tych wszystkich służek, które utopiono przed nią w kanałach. Ale jest jeszcze coś. Coś, co się nazywa opętanie.

- Nie rozumiem.

- Zaczęło się bardzo dawno - karzeł wpatrywał się w okno niewidzącymi oczami. - Może wtedy, gdy zniknął Kii Krindar i z powodu jego urażonej dumy zdziczały Góry Żmijowe? A może wtedy, kiedy Zird Zekrun wykroił z morskiego dna nową wyspę, piracki Pomort? Potem za sprawą Zird Zekruna odeszli żmijowie. A jeszcze później przepadła bogini Żalników. Świat począł zatrwająco chybotać się w posadach, Jasenko. Tylko patrzeć, jak ze szczętem się wywróci.

- Z początku wszystko wydawało się bardzo niewinne

- pokręcił głową. - Nagieli jedno z praw i nic się nie stało, więc zrobili to samo z następnym. Chyba tak właśnie jest z prawami. Dość złamać jedno, by rzeczy potoczyły

się całkiem odmiennie. A oni dokazywali jak dzieci. Kto komu bardziej dokuczy. Fea Flisyon podarowała rudowłosej dziewczynie obręcz dri deonema. Więc Zird Zekrun pozwolił swoim kapłanom zabawiać się opętaniem. Teraz sobie przypomnisz - lekko dotknął jej ramienia.

Pamiętam. Patrzę zza framugi, jak księżę oprowadza żalnicką księżniczkę po cytadeli. Śmieje się. Nie powinien się tak śmiać, nie dla tej kuternóżki.

Dwaj kapłani Zird Zekruna, nie spostrzegłam, kiedy nadeszli. Rubinowa kolia, jakieś pochlebstwa. Nic wielkiego. Nic, co nie zdarzyłoby się wcześniej. Wiele razy.

- Czy oni mi wtedy coś zrobili? - spytała powoli. - Czy jestem opętana? Czy jestem wiedźmą?

- Nie, wiedźmą nie jesteś - przypatrywał się jej uważnie i dopiero teraz spostrzegła, że jego oczy są zupełnie pozbawione rzęs. - Wiedźmy nie panują nad swoją magią, ale też niełatwo naginają się do cudzej woli. Nie można ich opętać. Zabić... Tak. Ale nie opętać. Z wami jest inaczej.

Kapłan dotyka mnie, coś szepcze. Strącam jego rękę. Księżę obejmuje ramieniem żalnicką księżniczkę. Kapłan się śmieje.

- Zird Zekrun robił to od dawna - mówił karzeł. - Ale teraz pozwolił, żeby jego kapłani roznosili zarazę.

- Czy to można jakoś cofnąć? Odwrócić?

- Kiedyś było można - pokiwał głową niziołek. - Każdej mocy przypisana inna moc, by jej siłę zniweczyć. Ale zbyt wiele się zmieniło. Zbyt wiele praw złamano.

- Nie baw się ze mną, karle - Jasenka zacisnęła palce na krawędzi blatu. - Chcę wiedzieć.

- To zależy. Zird Zekrun pozwoli ci żyć, dopóki będziesz użyteczna.

- Jak użyteczna?

- Skąd mam wiedzieć? - zaśmiał się posępnie. - Może zechce sięgnąć po Spichrze? Gdybyś otruła księcia... Albo zakłuła go w łożnicy szpilą do układania włosów... Evorinth nie ma następcy, prawda? Cała Spichrza wie, że szpiegujesz dla kapłanów Nur Nemruta i podejrzenie padłoby na świątynię. A w zamieszaniu ktoś wezwałby Wężymorda.

- Nie wierzę ci.

- Nie zostało wiele czasu - karzeł nie zwrócił uwagi na jej słowa. - Rankiem kniahinka pocnie wypytywać służbę o Zajęczą Wargę i wszystko się wyda. A nuż jeszcze tej nocy Zird Zekrun każe ci iść do komnat księcia? Albo oszczędzi zachodu powroźnikom i rano pokojowa znajdzie w twojej komnacie kupkę stoczonego przez skalne robaki ścierwa? Naprawdę nie wiem.

- Nie wierzę.

- Wolna wola, dziewczynko. Dla ciebie marna pociecha - zachichotał - ale zawsze miło pomyśleć, że oprócz naszej gromadki bogów jest jeszcze coś. Coś, co potrafiłoby ich złamać z taką samą łatwością, z jaką ciebie opętał Zird Zekrun.

- Nie wierzę - powtórzyła z nieco mniejszym przekonaniem.

- Delajati, młodsza siostra bogów - wykrzywił się. - Nadajemy jej różne imiona, ale tak właściwie w ogóle jej nie znamy. Zawsze tylko przyglądała się z daleka. Ale teraz najwyraźniej przestała się przyglądać. Fea Flisyon powiedziała, że nadchodzi czas płacenia długów. Biedna mała Fea Flisyon.

- Kim ty jesteś? - spojrzała na niego z przerażeniem.

- Parszywą owcą. Tym, co przywołała Fea Flisyon. Oni nazywają mnie złodziejem. Dobranoc, dziewczynko - karzeł uśmiechnął się krzywo.

Ręce jej drżały, kiedy zmywała z twarzy resztki mazidła.

To nie może być prawda.

Wzięła srebrne zwierciadło na długiej mahoniowej rączce. Twarz z lustra spoglądała ku niej wielkimi ciemnymi oczami. Twarz w kształcie serca, jak śpiewali bardowie. Delikatne wargi, których kąciki z wolna wyginają się do płaczu.

Przesunęła czubkami palców po policzkach. Gdzieś w środku coś nabrzmięwało.

Podarunek Zird Zekruna. Skalne robaki.

Jednak wciąż widziała tą samą twarz.

Mógł mnie okłamać, pomyślała, karzeł mógł mnie we wszystkim okłamać.

Nigdy nie będę wiedzieć.

Dwa tuziny lat wcześniej inna szczupła dziewczynka stoi na drodze, przy wielkiej kępie bzów. Jedną ręką wczepia się w płaszcz matki, drugą przyciska do piersi srebrne zwierciadelko na długiej rączce. Za jej plecami płonie dworzec rodziców. Dziewczynka niewiele rozumie, ale wie, że nie powinna płakać. Dopiero później, długo później dowiaduje się o księciu. O Ergurnie Szalonym, który próbował się prawować z zakonem Śniącego. Dziewczynka nigdy nie zdoła odkryć, co się stało z jej ojcem, po tym, jak stary książę wezwał go do spichrzańskiej cytadeli. Ludzie nadal nie będą chcieli gadać o spiskowcach, którzy wraz z kniazem wystąpili przeciw świątyni.

Ciemnowłosa dziewczyna kurczy się na zarzuconym sfatygowaną baranicą łożku. Izdebka jest niewielka, miskę pokrywa gruba warstwa lodu. Księżna Egrenne zgodziła się na koniec przyjąć córkę buntownika do fraucymeru, ale nie zamierza wypłacić jej ni jednego miedziaka.

Przetrwałam to, pomyślała Jasenka. Przetrwałam nieustanne przerabianie sukien, tak steranych, że rudziały i strzępiły się w niezliczonych miejscach. Próby swatania mnie z tuzinem głupawych, zdiadziałych szlachetek. Kpiny dworek, które szpiegowały każdy mój krok. A później przetrwałam truciznę w skalmi er skini winie i kwas, którym ktoś cisnął we mnie na głównym placu miasta. I gromady coraz młodszych, coraz bardziej urodziwych dziewcząt, które dziwnym trafem pojawiają się we fraucymerze księżnej.

Nigdy się nie dowiem, co było prawdą.

Odszukała w sekretarzyku wąskie zakrzywione ostrze. Sztylet ze świątyni Zird Zekruna, mówił handlarz, składano nim ofiary pod samą Hałuńską Górą. Jeśli naprawdę jest jeszcze coś, pomyślała, coś ponad bogami, to niech ma mnie w opiece. I bardzo dokładnie przecięła sobie żyły.

* * *

- Nie puszczę! - starosta dolnego zamku obronnym ruchem przycisnął do piersi zwój pergaminów. - Bez zgody księcia nie puszczę! Należy się pisanie z dużą pieczęcią. No - mruknął z niesmakiem - może być średnia pieczęć. Ale na niebieskim sznurze. Wosk też niebieski.

Zafrasowany książę poskrobał się po głowie. Potyczka z biurokracją przedłużała się nieznośnie. Co prawda Suchywilk przerastał starostę prawie o łokieć i był pewien, że mógłby przełamać każdą z jego krzywych, obciążonych żółtymi rajtuzami nóg równie łatwo, jak zeschnięty patyk. Ale na razie to biurokracja zwyciężała.

- Człeka naszego we wieży trzymacie - powtórzył nieco defensywnie. - Tedy go nam wróćcie, bo ani wy, ani wasz książę mocy nad nim nie macie.

- We wieży? - zainteresował się nagle starosta. - A w której?

- We Wiedźmiej Wieży - podpowiedziała Szarka. Zwajeccy wojownicy poczynali już znacząco postukiwać toporami.

- O, do Wiedźmiej Wieży to nijak nie wejdziecie - rozpromienił się starosta. - Inna jurysdykcja.

- Znaczy się, co? Nie puście nas?

- Toż powiadam, że inna jurysdykcja. We Wiedźmiej Wieży powroźnicy siedzą, a nad nimi tylko ich cech zarząd ma. Trza wam do mistrza cechowego posyłać. Mnie nic do tego.

- Ale klucze macie? - upewnił się Suchywilk.

- Mam - cierpliwie wyjaśnił starosta. - Ale nie dam. Bo one jeno dla samego księcia. Każdy inny człek od cechu zezwolenie mieć musi. Jako rzekłem, nad Wiedźmią Wieżą powroźnicy nadzór mają.

- Ja was lepiej objaśnię! - zza ławy poderwał się pyza - ty pisarczyk. - Wyście w książęcej gościnie, tedy was jaśnie pan starosta bez ceregieli odpędzić nie może. Ale dopiąć to wy niczego nie dopniecie. Ani w cytadeli, ani w powroźnickim cechu. Książę się cechowym prawem zasłoni, a cechowi do księcia was odeślą. I kiedy będziecie tak od jednego do drugiego wędrować, powroźnicy po cichońku człeka wam uwędzą.

- Cicho, gówniarzu! - oburzył się starosta.

- Toż szczerą prawdę gadam! - chłopiec zamasyście odgarnął opadającą na oczy grzywkę. - Wy z nimi zanadto bardzo politycznie, panie starosto. Musiał się ten ich człowiek w jakieś wiedźmie sprawy uwikłać. I nie dziwota, toż to Zwajcy! Może i oni w jakim spisku z plugastwem? Z nimi żadna polityka nie pomoże, niech precz idą!

- Polityka? - złowrogo powtórzył Suchywilk. - Ja ci politykę pokażę! Zwajecką! - i zdzielił starostę na płask toporem. - Idziemy, córuchna!

* * *

- Co robią?! - książę Evorinth rozpaczliwie usiłował wyplątać się z opuszczonych do kostek zielonych nogawic. Wieść o napaści na Wiedźmią Wieżę doszła go podczas końcowych przygotowań do uczy. W skrytości ducha książę uważał to za osobistą zniewagę. - Co robią?!

- Idą do Wiedźmiej Wieży - skwapliwie powtórzył pokojowiec. - Horda Zwajców, żalnicka księżniczka i jeszcze jedna niewiasta. Wszyscy idą do Wiedźmiej Wieży. Pobili starostę, zabrali klucze i idą do wieży...

- Mówiłeś już! - ryknął oswobodzony wreszcie książę. - Mówiłeś, dokąd! Ale po jaką cholere

tam leżą?!

* * *

Powroźników nie udało się zaskoczyć. W przeciwieństwie do książęcych pachołków, którzy rozleniwili się i utyli na spichrzańskich wikcie, łowcy plugastwa pieczołowicie strzegli swego bezpieczeństwa. Przywykli do kociej muzyki i psiego ścierwa, noc w noc podrzucanego przez żaków pod schodki do wieży. Jednak zdarzało się, że Wiedźmią Wieżę nachodzili nie sami szkolarze. Przetrwawszy trzy próby otrucia i jedno podpalenie, powroźnicy sypiali nader ostrożnie.

Kiedy pierwsi Zwajcy podkradali się cichaczem do okutych żelazem drzwi, z okienka wychynął łysy powroźnicki łeb. Poświecił sobie kagankiem, zlustrował pospiesznie majstrującego przy zamku wojownika. I bez zwłoki podniósł wrzask.

- Możecie sobie ninie te klucze w rzyć wetknąć - zauważył siwowłosy Zwajca, kiedy ze środka zaszczekały pospiesznie zakładane sztaby. - Dobrze się, ścierwa, pilnują - pokazał powroźnika zacząjonego w okienku nad drzwiami z pokaźnym mosiężnym kociołkiem. - Widać wrzątek mieli nagotowany. Bardzo roztropnie.

- Niech no który dyla wynajdzie! - rozkazał Suchy - wilk. - A tego mądrałę z wrzątkiem strzałą przepłoszyć.

Od strony górnej cytadeli odpowiedziały mu rześkie okrzyki. Spod bram górnego muru wysypywało się mrowie pochodni. Zarzyczka słyszała rozjuszonego księcia Evorintha, który popędzał co bardziej opornych pachołków.

Księżniczka niespokojnie przygryzła wargę. Jedną rzecz odnalezienie z dawna utraconej córki, pomyślała, a zgoła inną ruchawką w spichrzańskiej cytadeli. Musi być to zamieszanie Suchywilkowi na rękę. Zanadto chytry, by się losem jednego sługi przejmować.

- Co to?! - wrzasnął zadyszany książę. - Co to za napaść? Czemuście moich ludzi pobili?

Otoczająca go gromada była przypadkową zbieraniną pałacowych strażników, wścibskich dworzan i najzupełniej przypadkowych gapiów. Ale nawet uzbrojeni w wielkie pałasze pachołkowie nie kwapili się bynajmniej do starcia ze Zwajcami. I książę Evorinth doskonale o tym wiedział.

- Ano to, że mnie wasi ludzie życia zbawić próbowali. Ot, jeszcze krew mam na sukni. - Zarzyczka rozchyliła płaszcz: na spódnicy miała rząd zakrzepłych, rdzawych plam.

To chyba ten chłopiec, przypomniała sobie. Chłopiec z rozprutym brzuchem.

- Nie może być - słabo odpowiedział pan cytadeli.

- Jak nam nie dowierzacie, to idźcie ścierwo na schodach cytadeli obejrzeć - prychnął któryś ze

Zwajców. - O ile ich jeszcze kamraci ukradkiem nie uprzątęli. Całe mrowie nasza kniahinka ubiła.

Rudowłosa wojowniczką uśmiechnęła się miło. Za plecami księcia Evorintha ktoś głośno wciągnął powietrze.

- Kniahinka - powtórzył bezmyślnie książę. - Jaka kniahinka?

- Moja córka - Suchywilk znacząco bawił się toporem.

- Jej człowieka do wieży wtrąciliście, tedy go z powrotem bierzem. Każcie drzwi odewrzeć albo sami rozbijemy - jakby dla potwierdzenia groźby, zza wieży wysypało się truchcikiem paru Zwajców: nieśli imponujący i najpewniej wyłamany z ostrokołu słup.

Książę przymrużył oczy. Nie chciał bijatyki ze Zwajca - mi. Nie w wigilię Żarów, kiedy miasto i tak kipiało ze wzburzenia po napadzie szczuraków.

- Starego wiernego sługę - wyczekująco powtórzył książę.

Jego córka zasłoniła usta ręką. Dłonie miała bardzo ładne, choć umorusane, o długich, wąskich palcach. Złotorude włosy nosiła nieskromnie rozpuszczone na ramionach, a nabijany żelazem kubrak - dość nieświeży, jak mimowolnie spostrzegł książę - zupełnie nie przystawał niewieściej godności.

- Musiał was ktoś niecznie w błąd wprowadzić - oznajmił cierpko. - We wieży samo plugastwo siedzi. Wiedzmy i ich pomocnicy. Tych chyba na świat dobywać nie zamysłacie.

- Skoro w wieży samo plugastwo - spytała zuchwale rudowłosa - to chyba nie będzie wam wadzić, jeśli tam zajrzemy?

Rzucił jej nieprzychylnie spojrzenie.

- Nie godzi się, by za lichą przyczyną jakieś urazy między nami powstały - zdecydował niechętnie. - Ale to złowieszcze miejsce, krwią naznaczone. Niechaj straż niewiasty do zamku odprowadzi, bezpieczniej tam i opieka lepsza.

- Krwi dość dzisiaj oglądałam - odparła księżniczka. - Gdy zaś o bezpieczeństwie mowa, to nie wydaje mi się, bym mogła polegać na opiece waszych poddanych.

- Skądże pewność, że właśnie moi ludzie was napadli? - zniecierpliwił się książę. - Chyba się z imion nie opowiadali?

- Nie, nie opowiadali - wtrąciła się córka Suchywilka.

- Ale ja w żebraczej gospodzie słyszałam, jak się kilku szubrawców naradzało. Pani zapłaciła, gadali, żeby kuternózkę ubić, ale z cicha i ukradkiem. Nie przypatrywałam się, inne mi rzeczy w głowie stały. Ale jednego pamiętam, bo miał zajęczą wargę.

Za plecami oniemiałego księcia dworzanie wymieniali znaczące spojrzenia. Książę posiniał.

- Chodźcie - rzucił oschle, zdusiwszy nieszlachetne pragnienie, by zapytać, czego szukała w żebrackiej tawernie. - Pokażę wam Wiedźmią Wieżę. Dobrze się przypatrujcie, bo tam jeszcze cudzoziemska noga nie powstała. Otwierajcie, dobrzy mistrzowie! - rozkazał łyseму, który przypatrywał się zajściu z okienka nad wrotami.

Zarzyczka niepewnie rozglądała się po wnętrzu wieży. Na zawilgłych, poznaczonych zaciekami porostów ścianach wisiały wianki śmierdzących ziół, czosnek i coś, co wedle księżniczki musiało być jakimś zasuszonym pierzastym truchłem. Zgadywała, że owe dziwaczne remedia miały osłabiać wiedźmią magię. Nie miała jednak wielkiego doświadczenia z wiedźmami, Wężymord zadbał, by w Żalnikach nie zostało ich zbyt wiele.

- Od których zaczniemy? - książę Evorinth z przekąsem pokazał szereg bliźniaczych, niewielkich drzwiczek. - Bylebyśmy przed świtem zdążyli, bo tu prawie w każdej komnatce wiedźma siedzi. Pracowity dzień mistrzowie mieli.

- Niemiły zakątek - Suchywilk oparł się o pokrytą czerwonymi symbolami ścianę. - Choć waszych ludzi widno zadawała, nawet biesiadować gotowi. Co to za śpiewy?

- Widać mistrzowie sprowadzili kapłanów - wyjaśnił obojętnie książę. - Żeby świątobliwymi pieśniami plugastwu moc odbierali.

- E, ci to chyba nie bardzo pobożnie śpiewają - książę przyłożył ucho do drzwi. - Posłuchajcież, wasza miłość. Toż to jest znana śpiewka o tym, jak dwie kopiennickie niewiasty niedźwiedzia w malinach przydybały...

Książę gwałtownie otworzył komnatę. W środku dwóch przyjacielsko objętych mężczyzn ryczało skoczną piosenkę. Większy był przykuty do muru solidnym łańcuchem, mniejszy nosił na grzbiecie brunatną kاپicę kapłanów Zird Zekruna. Obaj byli zupełnie pijani.

- Oszpecili mnie! - zawyła rozciągnięta na ławie golusienka niewiasta. - Ogolili!

Zarzyczka zagapiła się na nią w osłupieniu.

- To zaden stary wierny sługa - zgryźliwie wyjaśnił książę Evorinth. - To nic innego, jeno Twardokęsek. Poniekąd okoliczna zbójcka znakomitość, bo on tu już parę tuzinów lat w Górach Żmijowych grabi. Bardzom rad, że mi się tak szczęśliwie napatoczył.

- Jakim sposobem w wasze ręce wpadł? - zaciekała się zwajecka kniahinka.

- Z wiedźmą w gospodzie się przyczaił. Kamrat go rozpoznał.

- Nie dowierzałabym temu nadmiernie - oznajmiła bezczelnie. - Często człek jeden drugiego dla korzyści siepaczom wyda. Zwłaszcza w takowy czas, kiedy pospólstwo rozjuszone, a powroźnicy wszędzie złego wyglądają.

- Jak śmiecie! - oburzył się książę Evorinth, lecz w jego głowie powoli zaczynało świtać posępne podejrzenie. - Twardokęska sam badałem, w oczy mi się przyznał.

- A badaliście człeka, który go powroźnikom wydał? Nie trafiło się? To się już nie trafi - wydeła wargi. - Co prawda nie kamrat to był Twardokęska, jeno niewiasta. Dziwka, Morwa ją wołali.

- Kamrat czy dziwka, mnie za jedno.

- Prawdziwie za jedno - przyznała. - Bo Morwę już skalne robaki stoczyły. Ze szczętem.

- Nie może być!

- Może. I rada bym wiedzieć, czemu zadbano, by tak spiesznie szezła. Czemu ją na sposób Zird Zekruna umorzono.

- Wyście ta niewiasta, co chodzi w obręczy dri deonema! - z oburzeniem krzyknął książę.

Pomiędzy Zwajcami poszedł nikły pomruk. Zarzyczka mimowolnie odsunęła się od wojowniczeki.

- Chwalić bogów - rzucił ktoś przenikliwym szeptem - nie mam córek. Jedne się kurwią, drugie zostają czarownicami. Samo nieszczęście.

Suchywilk sapnął niespokojnie.

- To prawda? - zapytał. - Bo lepiej, żebyś się zanadto nie pospolitowała ze sługami Zaraźnicy. To nie są porządni ludzie. Ich bogini też nie jest szczególnie warta szacunku, córeczko.

- Warta szacunku? - prychnęła wojowniczka. - O szacunku kiedy indziej będziemy rozprawiać. Bo teraz o moich ludziach mówimy. Wróćcie mi ich, wasza książęca mość. Są mi potrzebni.

- Twardokęsek? Dziś to nikt z niego pożytku mieć nie będzie - książę z powątpiewaniem pokazał na zbójcę. - Inna rzecz, jak on się w samej Wiedźmiej Wieży tak do cna spić potrafił? Przecie mu powroźnicy gorzałki nie przynieśli.

- Może ten czarniawy kurdupel - mruknął obojętnie książę.

- Jaki kurdupel?

- Chyba nie powroźnik - zastanowił się Suchywilk - bo świątynną suknię miał na grzbiecie. Musiał być jaki człek znaczny - dodał złośliwie. - Pewnikiem od nas znaczniejszy, jak go starosta grodowy wpuścić raczył. Nam bardzo zajadle przystępu bronił. Ale coś ów godny człek niegodnie czmychnął.

- Cholera! Mistrzowie!

Powroźnik w skórzanej kamizeli niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- Świątynia tu swego człeka przysłała. Ledwoście z wieży wyjść raczyli. Kazał wszystkim iść

precz. To my jeno jemu rzekli, by więdźmy nie tykał, bo wasza książęca mość nierad będzie.

- Ja oszaleję! - książę chwycił się za starannie wypieleęnowane włosy. - To zamtuz jest, nie więzienie! Jak tu tak każdy wedle swej woli włazić może, czemuście mu dziwek nie sprowadzili? Ja was wszystkich powywieszam!

- Nie Twardokęska! - rudowłosa wojowniczka potrząsnęła głową. - I nie moją więdźmę!

* * *

Za murem miejskim, obok siedziby spichrzańskich hyclów, płonęło ognisko. Niewielka gromadka biesiadników raczyła się pieczonym wieprzkiem i bardzo poślednią gorzałką, którą dla uczczenia Żarów ufundowało bractwo rakarzy. Od czasu do czasu do ognia przybliżał się któryś z pałętających się po błoniach pątników, ale rozpoznawszy ze znaków na kapotach profesję kompanii, umykał pospiesznie. Wielce to bawiło książęcych drabów z Bramy Siennej.

Sami strażnicy, z dawna spoufaleri z hyclami, ani myśleli odstąpić ogniska - przynajmniej póki starczy świniny i gorzałki. Z wdzięczności za poczęstunek raczyli hyclowskie bractwo najświeższymi wieściami.

- ...a jak się jatki wedle książęcych ogrodów skończyły - rozwodził się strażnik - to się dowodnie okazało, że ta napadnięta kuternózka to nikt inny, tylko sama żalnicka księżniczka. Zaraz ją Zwajcy do cytadeli powiedli...

- I co ty na to? - szorstko spytał Przemęka.

- Nic - książę beznamiętnie obgryzał świńskie żebro.

- Mogli całą bijatykę ukartować. Po to właśnie, żebym na oślep do cytadeli pognał. Zresztą noc jest, bramy na głucho zawarte.

- Może i racja - wzruszył ramionami Przemęka. - Trzeba poczekać, aż ją Pomorcy pod naszym nosem za - szlachtują. Baba z wozu, koniom lżej.

- Nie wierzę, że to Pomorcy - Koźlarz wytarł tłuste ręce o brzeg płaszczka. - Zbyt wiele mieli okazji, żeby ją cichaczem zabić na dworze Wężymorda. Bez niepotrzebnego zamętu i rozjątrzenia spichrzańskiego księcia.

- A jeśli właśnie o to idzie? - mruknął Przemęka. - Może chcą rozjątrzyć księcia, aby we wzburzeniu uczynił coś nader nieopatrzego? Na przykład zerwał nasze małe przymierze?

- Nasze przymierze i tak na wątłej nici zawieszzone - przyznał Koźlarz. - Suchywilk księciu Evorinthrowi nie dowierza, nietrudno będzie ich powaśnić. Nic, darmo teraz włosy rwać. Jutro się wszystko okaże.

* * *

Twardokęsek nie mógł usnąć. Wiercił się niemiłosiernie i przewracał z boku na bok, popatrując nieprzychylnie ku skulonej obok wiedźmie. Bowiem po wstępnych płaczach i wyrzekaniach jaśminowa wiedźma usnęła jak kamień. Nawet nie popatrzyła na jadło, ani chciała słyszeć o kąpieli, zwyczajnie zwała się na posłanie.

Rozjuszony zbójca strącił z piersi wiedźmią rękę. Jak ona tak może, pomyślał z niesmakiem.

- Zgadnij, ile razy wcześniej próbowano ją palić na stosie? - Na tarasie zamajaczył zbójcy skurczony kształt. - Ile razy golili jej głowę? Ile razy wymykała się rozjuszonym wieśniakom? Przywykła, Twardokęsek, niech śpi, jeśli potrafi. Dziw, że ty nie usnąłeś.

Prosto z Wiedźmiej Wieży zawiedziono ich do komnat żalniczej księżniczki. Zarzyczka uparła się, że nie przystoi, aby córka Suchywilka kładła się do spoczynku między zwajeckimi wojownikami. Pokoi dosyć, mówiła, posłanie przygotować też żadna troska i póki co nie rozniesie się wieść o wiedźmie i Twardokęsku. Zbójcy było to właściwie obojętne: nawet nie poczuł, kiedy Zwajcy rzucili go na naprędcie uszykowane legowisko w obszernym, przylegającym do sypialni Zarzyczki wykuszu.

- Zbyt szybko wytrzeźwiałem. - Wyrzebał się z barłogu. Poranione korbaczami plecy bolały niemiłosiernie. - We łbie mi się kłębi, a nic do kupy poskładać nie potrafię.

- Powtórz mi, o czym wyście z tym twoim kamratem rozprawiali - Szarka nerwowo obrywała płatki pelargonii i niechybnie w ogóle nie kładła się spać, bo obskubała prawie wszystkie kwiatki. - Inna rzecz, Twardokęsek, że należało mi jeszcze w Górach Sowich o Mroczkę powiedzieć. Ale zanadto zmordowana, by się wykłócać.

Zbójca przysiadł obok niej na chłodnych płytkach.

- Pomnicie opata Ciecierkę? Przyczaił się w Górach Sowich i wedle zbójckiego gościńca krążył, wiedźmy wyglądając. Tamże Mrocza przydybał i do pieczar go powłókł, gdzie opat zwierzołaków podburzał...

- I niby cały szcuracki najazd dlatego, że Ciecierkę wiedźma mierzi? - zadrwiła. - Nie, nie sądzę. Czymś jeszcze musiał ich opat przekonać.

- Jego Zird Zekrun do reszty opętał - przyciszonym szeptem wyjaśnił zbójca. - Wiedźma mówiła. A piętno skalnych robaków na jego łbie sam widziałem.

- A ja oglądałam, co te czerwie z Morwą uczyniły - dziewczyna kolejny raz obciągnęła przyciasną, pożyczoną od Zarzyczki koszulę. - Ledwie sobie przypomnę, do reszty mnie sen odchodzi. Ale między mną i Zird Zekrunem nie ma żadnych swarów. Nie wiem, czemu miałby mnie ściagać. I prześladować wiedźnę.

- Nie. Utrupić wiedźmę chce przede wszystkim Ciecierka. Samorzutnie i bezzwłocznie - wyjaśnił Twardokęsek. - Reszta to raczej miała chęć jej posłuchać. Jak będzie o was rozprawiała.

- Ruda dziwka w obręczy dri deonema? - cierpko zaśmiała się dziewczyna. - Plugastwo? Kochanica bogini?

- Nie. Nie widzi mi się - zbójca z zakłopotaniem podrapał się po piersi.

- To co?

- Ani chybi o żalnickiego wywołańca idzie. Przecie nie bez przyczyny taki szmat świata się za nim wleczenie. Nadto wyście Suchywilka córka. Zwajcy. Bezbożnika.

- Akurat!

- Nie zapierajcież się własnego ojca - pouczył ją zbójca. - W ogólności to on mnie z tury wywlókł, pies tedy jego bezbożnictwo trącał. Bo wyście się za bardzo z ratunkiem nie pospieszali. Prowadzicie jadziołka. Wiedźma zwierzołaka na podołku piastuje. Ze szczętem my się z plugastwem pobatali. Tylko czemu z nich żadnego pożytku?

- Z ciebie też żadnego pożytku - ziewnęła od posłania wiedźma. - Ani spać nie dajesz. Choć Śmierdziuch cię nawet lubi...

- Co?

- Moja wiedźmia bestia - rzekła z godnością wiedźma. - Nazywam go Śmierdziuch.

- Ciekawe dlaczego? - fałszywie zdumiał się zbójca, któremu zeszłej nocy zwierzołak ziewnął prosto w nos.

- Bo śmierdzi - wyjaśniła umie. - Niech się tylko przemieni. Żadne wiedźmienie nie pomaga. Śmierdzi i już. Widać taka jego natura.

- Czemu więc we Wiedźmiej Wieży nie śmierdział?! - wrzasnął z oburzeniem zbójca. - Ciebie tam rozciągać mieli, niewiasto! Czemuś go nie zawołała?

Wiedźma aż się skuliła.

- Nie krzycz na nią, Twardokęsek - syknęła Szarka. - Lepiej, żeby ci Śmierdziuch zanadto z pomocą nie spieszył, pół Spichrzy by wymordował.

- Najwyżej z tuzin powroźników w wieży stało. Ja bym po nich nie płakał - upierał się zbójca.

- On by na samej wieży nie poprzestał, ale nie w tym rzecz. Kiedy zwierzołak morduje, bez trudu i wiedźmę szal ogarnia.

- Zabiłabym wszystkich - dokończyła wiedźma. Zbójca aż się zachłysnął na ową niespodzianą

nowinę.

- Podobnie jest z jadziołkiem - ciągnęła Szarka. - Dlatego się wściekłam, kiedy nad Trwogą zbójców wydusił. On mnie - zacięła się lekko - on mnie podjudza, Twardokęsek. To prawda, że czasami mogę go poszczuć, ale za każdym razem muszę poskramiać. Z trudem, Twardokęsek. Mogłam was tam wymordować.

Gapił się na nią wytrzeszczonymi oczami.

- Nie musiałaś mu mówić - wiedźma pociągnęła nosem. - I tak jest zniechęcony.

- Panujecie nad tym? - zapytał zbójca, kiedy minęły duszności i znów mógł mówić.

- A myślisz, że wiedźmy gnieździłyby się na uroczysskach - spytała zgryźliwie Szarka - jakby mogły na zawołanie obrócić w perzynę połowę Krain Wewnętrzznego Morza? Czemu, zamiast panować, wymykają się uzbrojonym w cepy kmiotkom? To wielka magia, Twardokęsek. Ogromna. A potężna moc nie skrępowana chodzi, nie można jej wezwać ani na dobre ujarzmić. Czasami uda się obrócić ją na wspólny pożytek, jak zeszłej nocy w gospodzie, kiedy wiedźma ogień zażegła. Czasami nie.

- Ja to raczej do ziemi mam rękę - wytłumaczyła z zawstydzeniem jaśminowa wiedźma. - Ogniem się bawić nie potrafię, kapusta mi lepiej wychodzi. I groch.

- Groch nieprędko będziemy nasadzać - roześmiała się Szarka. - A z kapusty, to w okolicy tylko Twardokęskowy kapuściany łeb. Na razie czas te pogwarki skończyć, bo się księżniczka obudzi.

- Jak jej Zwajcy nie obudzili - wzruszył ramionami zbójca - to i myśmy bezpieczni. Posłuchajcie tych wrzasków.

- Tu jest całkiem cicho - Szarka skrzywiła się cierpko. - Ale pod moją sypialnią są przytulne podcienia. Tak zajadle świętują, że oka nie zmrużyłam. Sprosilili całą kohortę Servenedyjek. Pono nie mogą wchodzić na książęcą ziemię, a pod moimi oknami całe ich mrowie.

- Tak mi się właśnie zdawało - zbójca łypnął szyderczo ku Szarce - że widzę waszego ojca. Pokazywał wojownicze swój topór za tamtą kępą agrestu. No, teraz to już pewnie oglądają jej tatuaże. Servenedyjki chętnie pokazują tatuaże.

- Niech się do sądnego dnia tarza w agreście - mruknęła zgryźliwie Szarka. - A wiesz, Twardokęsek, co mi Zarzyczka powiedziała? Że wedle północnego obyczaju i tyś mój ojciec.

- Naprawdę? - ucieszyła się wiedźma.

- Imię mi nadał. A jak kto komu imię nada, to go za własne dziecko przyjmuje. Musicie teraz z Suchywilkiem uradzić, czyje prawa większe.

- Nie drwijcie - obruszył się zbójca.

- Gdzieżbym mogła? - zdziwiła się fałszywie. - Ze wzruszenia ledwo mogę dychać. Popatrz, Twardokęsek, ile się dzieci po świecie obraca, co ani swoich ojców nie znają, ani od nich żadnego dobrodziejstwa nie doświadczyły. A ja? Trzech już mam, jak obszył. I może jeszcze inni w kolejce czekają.

- Wy myślicie, że was Suchywilk oszukać próbuje? - zbójca nie krył zdumienia. - Przecież to pospolicie w narodzie wiadomo, że jemu córkę Pomorcy uwieźli. I wybaczyć, po co miałby kłamać?

- Jest wiele przyczyn.

- Jakich przyczyn? - zniecierpliwiał się zbójca. - Cały wasz dobytek, ot, to, co na grzbiecie macie.

- A co, mam wierzyć, że z dobrego serca oprawcom was wyrwał? - prychnęła. - Czegoś on ode mnie chce. Wszyscy czegoś ode mnie chcą. Począwszy od Fei Flisyon. Nie chciałam tej przeklętej obręczy. Gwałtem mija na łeb wcisnęła.

- Nie powinna była tego robić - wtrąciła cicho wiedźma. - Bogowie związali swoją moc w jedenaście znaków, po jednym na ochronę każdej z Krain Wewnętrzznego Morza. Nie po to, aby służyły jednemu człowiekowi.

- Ano - przytaknął Twardokęsek. - Powiadają u nas w Górach Żmijowych, że Kii Krindar wykuł te znaki po tym, jak Hurk Hrovke spuściła plagę szarańczy i myszy na żalnickie pola. Żeby nigdy więcej złość jednego boga nie niosła zagłady całemu narodowi.

- Przez wieki spoczywały w ukryciu - ciągnęła wiedźma. - Chroniły nas, ale bogowie pilnowali, by żaden nie wpadł w ręce śmiertelnych. Więc kiedy żalnicki książę uciekł ze świątyni z Sorgo na plecach, byli wściekli. Naprawdę wściekli, że taka moc wyrwała się na swobodę.

- Moce zawsze wyrywają się na wolność... z samej swej natury - mruknęła Szarka. - Powinni byli wiedzieć. Nawet parthenoti powinny były wiedzieć.

- Sorgo miał ochraniać Żarniki - mówiła wiedźma. - I nigdy, przenigdy nie powinien ich opuścić. Tak samo jak obręcz powinna pozostać na wyspach.

- Skąd żeś nam tak niespodzianie zmądrzała, kochanie? - z przekąsem zapytała Szarka. - Skąd te wszystkie powinno i należało?

- Bo ja tam byłam - jaśminowa wiedźma skuliła się nagle. - Byłam na Tragance, jak ona zasypiała. Zaraźnica. Złamała prawo, kiedy pozwoliła ci zabrać obręcz, i teraz musiała usnąć. Najpierw Bad Bidmone, teraz Fea Flisyon. Naprawdę odchodzą. Słyszałam. A Fea Flisyon opowiedziała im o tobie - spojrzała niepewnie na Szarkę. - Byłam tam.

- Więc jednak ich słyszycie - zbójca z niedowierzaniem pokręcił głową. - Słyszycie bogów. Gadają - wyjaśnił Szarce - że wiedźmy to potrafią. Nie tylko wtedy, kiedy bóg je wezwie, nie w objawieniu, ale kiedy zechcą. Z własnej woli.

- Fea Flisyon mnie zawołała - wiedźma skuliła się jeszcze bardziej. - Wszyscy się kłócili. Dość już tego, wrzeszczeli, co Zird Zekrun wyprawia, a tu jeszcze obręcz dri deonema bezpiecznie szwenda się po Górach Żmijowych.

- Ona nawet nie była szczególnie przyjazna - powściągliwie odparła rudowłosa. - Właściwie mnie zastraszyła.

- Jest najbardziej kapryśną z bogiń - powiedział Twardokęsek. - Mogła wybrać każdego. Może tak musi być? Żalnicki księżę zabrał Sorgo, a tobie podarowano obręcz dri deonema. Może przed odejściem bogowie muszą znaleźć powierników swych znaków?

- Nie wiem - wiedźma wytarła nos w rękaw koszuli. - O powiernictwie Zażnica nic nie mówiła. Darła się, że bogowie sobie na to zasłużyli i bardzo im tak dobrze. Że skoro Zird Zekrun taki sprytny, to niech zgadnie, po co Delajati dziewczynę posłała. Mówiła, że musisz dokonać wyboru...

- Nic nie muszę - prychnęła rudowłosa. - ...a oni nie zdołają cię nagiąć czy przymusić. Że już raz Cion Ceren w rękach cię trzymał, a przez palce mu przeciekał jak woda. I mówiła, że nie uczyni nic, co mogłoby popchnąć cię ku Zird Zekrunowi. Niech już będzie tak, jak chciała Delajati. Oni się jej strasznie boją. Tej Delajati.

- Kto to jest Delajati?

- Nie twoja rzecz, Twardokęsek.

- No, może jednak moja - zezłościł się zbójca. - Bo z waszego uporu, z waszych tajemnic przeklętych, myśmy tylko ognia zaznali, głodu i batów w Wiedźmie Wieży. I mnie się zdaje, że wyście nam coś winni. Winniście nas objaśnić, czemu nas bogowie prześladują. Bo my wciąż z jednej biedy w drugą popadamy. Gorszą.

- Nic wam nie jestem winna, Twardokęsek - przerwała. - Nikomu nic nie jestem winna. Ale czemu nie? Chcesz wiedzieć, czemu tutejsi bogowie tak bardzo lękają się Delajati? Wszyscy chcą, psiakrew. Ale ja nie mam pojęcia, Twardokęsek. Najmniejszego. Bo Delajati dobrze wiedziała, że zrobię jej dokładnie na złość i nic mi nie wyjaśniła. Zamieszała we wszystkim jak w saganie i puściła mnie samopas. Przygotowawszy wcześniej kilka niespodzianek takich choćby, jak ten nieszczęsny, ogłupiony Suchywilk.

- I co my teraz pocniemy? - z przejęciem spytała wiedźma.

- Nic. Niezadługo Suchywilk spiskować zacznie, a i żalnicki księżę pewnie z ukrycia wylezie. A tymczasem, jak zwykł powtarzać Twardokęsek, przeczekamy. Chociaż właściwie złości mnie ci dwaj halabardnicy - Szarka wychyliła się pomiędzy szczeblami balustrady. - Łażą pod nami bóg wie jak długo i usiłują podsłuchiwać. Dnieje już, pewnie nie usniemy. Ale możemy posiedzieć i popluć im na hełmy.

Co też uczynili.